

ZWIERCIADŁO NIEBA

Kontynuacja
światowego bestsellera
Ślady palców
bogów

Giza, Teotihuacan, Angkor Wat, kolosy
Wyspy Wielkanocnej, megality Ollantaytambo:
zaszyfrowane przesłanie tajemniczej cywilizacji
sprzed 12 000 lat


AMBER



GRAHAM HANCOCK



Spis treści

Wstęp: Co jest po drugiej stronie? 9

Część pierwsza: MEKSYK 15

Rozdział 1. Pierzasty wąż i człowiek
obdarty ze skóry 17

Rozdział 2. Na Ziemi jest jak w niebie 29

Część druga: EGIPT 45

Rozdział 3. Sanktuaria kosmosu 47

Rozdział 4. W Sali Podwójnej Prawdy 59

Rozdział 5. Tajemne kręgi 71

Rozdział 6. Tajemniczy nauczyciele z niebios 82

Część trzecia: KAMBODŻA 93

Rozdział 7. Smok 95

Rozdział 8. Wzburzenie Morza Mleka 112

Rozdział 9. Mistrzowska gra 125

Rozdział 10. Wykluczyć niemożliwe 137

Rozdział 11. Martwy punkt na niebie 151

Część czwarta: PACYFIK 167

Rozdział 12. Fragmenty złamanego szyfru 169

Rozdział 13. Wyspa czarowników 190

Rozdział 14. Pajęcza sieć 202

Część piąta: PERU I BOLIWIA 217

Rozdział 15. Zamki z piasku 219

Rozdział 16. Tajemnica i jezioro 231

Rozdział 17. Kamień w centrum 242

WNIOSKI: Czwarta świątynia 259

Wstęp

Co jest po drugiej stronie?

Niebo na górze, niebo w dole;
Gwiazdy na górze, gwiazdy na dole;
Wszystko co jest nad, pokaże to, co pod
Szczęśliwyś, który zagadkę rozwiązesz.
Tabula Smaragdina

Smierć jest najważniejszą zagadką życia. Wszyscy mogą być jej pewni i nikt nie wie, co ona oznacza.

Tajemnicę można sprowadzić do prostych dylematów. Czy kiedy umieramy, wszystko się dla nas kończy, czy też w jakiś sposób żyjemy nadal? Czy jesteśmy tylko sumą naszych materialnych części, czy istnieje także dusza? Czy dusza jest wymysłem ludzkiej psychiki, czy też wynalazkiem religii? A może jest czymś cudownie prawdziwym?

Nauka, która potrafi zważyć, zmierzyć i zbadać ciało zmarłego, nie jest w stanie powiedzieć, co dzieje się po śmierci. W nauce powszechnie, chociaż nie jednoznacznie, zakłada się, że nie ma żadnej duszy, a „śmierć znaczy śmierć”. Niektórzy naukowcy powtarzają takie stwierdzenia, jakby były one doświadczalnie potwierdzonymi faktami. A jednak nie są to żadne fakty, lecz przypuszczenia, których nie sposób dowieść. Można wręcz powiedzieć, że nauka prezentuje w tym momencie czysto religijne podejście, ponieważ wyraża głęboką wiarę w nieistnienie duszy, lecz nie dysponuje żadnym sposobem na udowodnienie tej tezy.

Religia zajmuje dokładnie przeciwną pozycję, broniąc jej z równym zapałem – i na równie niepewnym gruncie. Nie ma naukowych dowodów na istnienie różnych religijnych niebios, piekieł czy zaświatów. Mimo to przedstawiciele religii nieustannie zapewniają nas, że dusza istnieje, po śmierci będzie osądzona, może wcielać się w różne formy i może się odrodzić.

Poszukujący jak ty...

Nic dziwnego, że w obliczu takich dwóch sprzecznych opinii ludzie myślący rozważają uniwersalne prawa rządzące fizyczną śmiercią i zastanawiają się, jaki los spotka ich po śmierci. Jedną z takich osób, według indyjskiego świętego tekstu zatytułowanego *Katha Upaniszad*, był Nachiketas, dzielny i dociekliwy

młody człowiek, który odnalazł drogę do „Domu Śmierci” i zdobył prawo wyrażenia jednego życzenia wobec Jamy, hinduskiego boga śmierci.

Nachiketas: Ta wątpliwość dotyczy człowieka, który umarł: „On istnieje”, mówią niektórzy; „On nie istnieje”, mówią inni. Wiedza o tym, której ty nauczasz, oto jest moje życzenie (...).

Jama: Prawo to jest subtelne i nielatwe do nauczenia (...). Wybierz, Nachiketasio, inne życzenie, nie żądaj tego ode mnie (...). Wybierz stuletnie życie dla synów i wnuków, liczne trzody i słonie, i konie, i złoto (...). wybierz bogactwo i długie życie (...).

Nachiketas: Jutro te ulotne rzeczy zniszczą siły śmiertelnika. Nawet całe życie jest krótkie (...). Nie w bogactwie człowiek może znaleźć zaspokojenie. Jakże moglibyśmy wybrać bogactwo, skoro widzieliśmy ciebie? Jakże moglibyśmy pragnąć życia, skoro ty jesteś panem (...)? Tego dotyczą ich wątpliwości (...), co jest po „drugiej stronie”, opowiedz mi o tym. To życzenie przybliży wielką tajemnicę, Nachiketas nie wybierze nic innego niż to.

Jama: Zaprawdę, zastanawiając się nad tymi drogimi i umiłowanymi pragnieniami, o Nachiketasio, spełniłeś je. Nie takie bogactwo wybrałeś, w jakim utonęło wielu ludzi (...). To, co jest po „drugiej stronie”, lśni nie dla dziecka zwodzonego złudzeniami majątku. „To jest świat, nie ma żadnego innego”, myśli i raz po raz wpada w moje władanie (...). Tyś jest niezachwiany w prawdzie; niech poszukujący jak ty, Nachiketasio, przybędzie do nas.

Następnie Jama, bóg fizycznej śmierci, wygłasza jedno z najważniejszych stwierdzeń, jakie znajdują się w hinduskich świętych pismach; stwierdzenie to dotyczy natury duszy, „która nigdy nie rodzi się i nie umiera ani nie pochodzi znikąd, ani niczym się nie staje”. Niezrodzona, odwieczna, niepamiętna, starożytna, nie ginie, kiedy ciało zostaje zabite (...), mniejsza niż mała, większa niż wielka, jest ukryta w sercu człowieka (...), rozumiejąc to (...), mądry człowiek nie może się smuć (...). Bezcielesna w ciałach, trwała wśród nietrwałych (...) zostaje uwolniona z paszczy śmierci.

W kolejnych rozdziałach przedstawimy dowody na to, że myśli przypisywane Jamie w *Upaniszadach* nie wywodzą się z hinduskiej filozofii religijnej. Stanowią one część starożytnych duchowych nauk, które były głoszone nie tylko w Indiach, ale również w tak odległych częściach świata, jak Meksyk, Egipt, Indochiny i Ameryka Południowa. Ten tajemniczy system idei wskazuje na istnienie wspólnej cywilizacji, o której nie mówią żadne podręczniki historii. To „wspólne źródło” wywierało wpływ na wszystkie te regiony. System ten stosował jako swą podstawową metodologię ezoteryczną formę astronomii i prowadził do wznoszenia na ziemi ogromnych dzieł architektury, które odzwierciedlały układ i ruchy ciał niebieskich. Był rodzajem „nauki o nieśmiertelności”, mającej na celu uwolnienie ludzkości „z paszczy śmierci”. Jego początki giną w mrokach prehistorii. Terminem „prehistoria” opisujemy niemal całkowitą amnezję, jakiej doznał nasz gatunek w odniesieniu do ponad 40 000 lat naszej przeszłości. Amnezja ta obejmuje okres od pojawienia się człowieka współczesnego do spisania pierwszych „źródeł historycznych” w Egipcie i Sumerze w III tysiącleciu p.n.e.

Potężne pamiątki

Z tego długiego okresu prehistorii przetrwało do naszych czasów wiele potężnych monumentów. Są wśród nich kute w skale świątynie, kręgi megalitów, święte miejsca zaplanowane dokładnie w liniach prostych na ogromnych odległościach, jak choćby aleje ustawionych pionowo kamieni w Carnac w północnej Francji. Jedno ze znajdujących się tam ziemnych sztucznych wzgórz, zawierające megalityczny korytarz zorientowany dokładnie na punkt wschodu słońca w dniu zimowego przesilenia, zostało datowane metodą radiowęglową na około 4700 rok p.n.e.

Uważa się, że najstarsze kręgi kamienne na Wyspach Brytyjskich, takie jak Callanish na Hebrydach, pochodzą z około 3000 roku p.n.e., ale możliwe, że są starsze. Tak naprawdę nikt tego nie jest pewien. W Japonii znajdują się megalityczne kręgi, które nigdy nie zostały odkopane. Megalityczne świątynie na Malcie są datowane nawet na 4000 lat p.n.e. W Etiopii kute w skale „kościółki” w Lalibeli i 300-tonowa granitowa stela w Aksum nie dają się datować żadnymi naukowymi metodami i nikt nie zna ich pochodzenia. Wyspy Pacyfiku są dosłownie usiane dziesiątkami tajemniczych megalitycznych konstrukcji. Nie możemy też zapominać o konstrukcjach z Egiptu, Meksyku i Ameryki Południowej, gdzie pojedyncze kamienne bloki osiągają wagę aż do 200 ton.

Większość tych budowli łączy jedno: nie jesteśmy pewni, kiedy, w jaki sposób i przez kogo zostały zbudowane. Łączy je też zaawansowana technologia, dzięki której zostały wzniesione oraz dokładnie obliczone orientacje astronomiczne.

Uważa się, że niektóre z megalitycznych alei w Carnac były wykorzystywane do obserwacji Księżyca. Wydaje się, że także kamienny krąg w Callanish został zaprojektowany, aby zwrócić uwagę na tajemnicze zjawisko astronomiczne zwane „południową skrajnością większego bezruchu Księżyca”, które ma miejsce raz na 19 lat. Ponadto jedna z głównych osi przecinających Callanish jest wycelowana w punkty wschodu i zachodu słońca w dniach jesiennej i wiosennej równonocy. Natomiast główna oś słynnego na cały świat megalitycznego kręgu w Stonehenge w angielskim hrabstwie Wiltshire jest zorientowana, dzięki tak zwanemu „heelstone”, na punkt wschodu słońca w dniu letniego przesilenia (najdalej na północ wysunięty punkt w rocznym zasięgu słońca wzdłuż horyzontu).

Związek z druidami

Przez dłuższy czas uważano, że Stonehenge było budowane powoli – przez prawie tysiąc lat, między 2100 a 1100 rokiem p.n.e. Chronologia ta została podważona w 1996 roku za sprawą nowych dowodów archeologicznych. Po dwuletnich studiach prowadzonych na zlecenie English Heritage Foundation badacze doszli do wniosku, że wielkie kręgi sarsenowe i dolerytowe zostały ustawione między 2600 a 2030 rokiem p.n.e. – a nakładem ogromnej pracy większą część ukończono w ciągu zaledwie trzech stuleci – między 2600 a 2300 rokiem p.n.e.

Niecały rok po opublikowaniu wyników tych badań ukazało się kolejne studium dowodzące, że zanim powstały kręgi kamienne, w tym samym miejscu stały kręgi z drewnianych bali z około 8000 roku p.n.e.

Nic nie wiadomo o religijnych rytuałach, do których służyło Stonehenge. Właściwie to, że były tam odprawiane jakiegokolwiek religijne ceremonie, jest tylko przypuszczeniem (choćby całkiem prawdopodobnym). Najwcześniejsze źródła pisane dotyczące tego miejsca pochodzą z czasów rzymskich – a wówczas nie wiadomo już było praktycznie nic o pierwotnej jego funkcji. Plotki głosiły, że tylko druidzi – którzy zresztą nie zbudowali Stonehenge – wiedzieli coś o jego przeznaczeniu. Nic jednak na ten temat nie mówili.

Druidzi po raz pierwszy pojawiają się na kartach historii w *O wojnie galijskiej* Juliusza Cezara, napisanej około 50 roku p.n.e. Wzmianka ta jest stosunkowo krótka – nie liczy nawet tysiąca słów – ale Cezar zawarł w niej wiele ważnych wskazówek na temat religii druidów:

Zwłaszcza starają się wpajać ideę, że dusze nie umierają, lecz po śmierci przechodzą z jednego ciała w inne (...). Dyskutują też wiele o gwiazdach i ich ruchach, o wielkości świata i Ziemi, o naturze rzeczy (...).

Precyzyjna orientacja Stonehenge informuje nas, że astronomia w ogóle, a punkt wschodu słońca w dniu letniego przesilenia w szczególności, musiały mieć ogromne znaczenie dla budowniczych kręgu, lecz nie mówią nam, dlaczego było to tak ważne. Wierzenia druidów, ściśle związane z ceremoniami przesileniowymi, mogłyby nam pomóc wypełnić tę lukę. Wskazują na możliwość, że Stonehenge nie było tylko miejscem prymitywnego brytyjskiego kultu solarnego, lecz miało związek z duchowymi poszukiwaniami reinkarnacji i nieśmiertelności duszy, w których empiryczne dociekania dotyczące pomiarów Ziemi i ruchów gwiazd stanowiły część procesu inicjacyjnego.

Uczeni nie podają w wątpliwość, że druidzi byli szczególnie zainteresowani liczbami. Z jakiegoś tajemniczego powodu szczególną atencją darzyli liczbę 72, która – jak zobaczymy w dalszych rozdziałach – została wyprowadzona z obserwacji astronomicznych. Liczba ta pojawia się często w druidzkiej tradycji. Właśnie 72 kresek wymagało napisanie wszystkich 22 liter tajemnego alfabetu ogamicznego, którego używali kapłani. Pismo ogamiczne samo w sobie zawiera kod. Jak dowiódł Robert Graves w książce *The White Goddess* (Biała bogini), błyskotliwym studium poświęconym celtyckim mitom, „stosunek wszystkich liter w alfabecie do samogłosek wynosi 22 do 7 (...), co jest formułą matematyczną, niegdyś tajemną, wyrażającą stosunek obwodu koła do jego średnicy”.

Dzisiaj, za pomocą kieszonkowego kalkulatora, możemy łatwo obliczyć obwód dowolnego koła, mnożąc jego średnicę przez transcendentálną liczbę pi – która wynosi 3,141592... Proporcja 22:7 wyraża tę wartość z dokładnością do dwóch miejsc po przecinku (22 podzielone na 7 wynosi 3,142857).

Przeczuwamy zatem, że druidzi musieli być biegłymi geometrami i matematykami. Ale mówi nam o tym tylko intuicja. Prawda jest taka, że nie wiemy nic

o pochodzeniu druidów – nie wiemy nawet, jak długo istnieli, zanim po raz pierwszy opisał ich Cezar. Ponadto, chociaż zwykle kojarzy ich się z Celtami, którzy przybyli na Wyspy Brytyjskie około 600 roku p.n.e., istnieją przesłanki pozwalające przypuszczać, że sprawowali oni swą charyzmatyczną służbę kapłańską na Wyspach Brytyjskich setki lub nawet tysiące lat przed pojawieniem się Celtów. Na koniec wreszcie musimy uznać druidów za spadkobierców prawdziwie starożytnych tradycji związanych ze Stonehenge, które najprawdopodobniej przechowywali i czcili.

Wspólne poszukiwania

Zagadka Stonehenge nie jest odosobniona. Megality w jeszcze większej nawet skali były używane w starożytnym Peru i Boliwii do wznoszenia gigantycznych konstrukcji, takich jak zygzakowate mury Sacsayhuaman czy świątynie w Ollantaytambo i Tiwanaku z 200-tonowymi kamiennymi ciosami. Równie ogromnych bloków użyto do wzniesienia „dolnej” i „grobowej” świątyni w Gizie, w Egipcie oraz tak zwanej świątyni Sfinksa. Sam Sfinks jest wykutym w skale monolitem o długości blisko 87 metrów. Wielka Piramida zawiera szereg bloków ważących około 100 ton, które w jakiś tajemniczy sposób przetransportowano na wysokość ponad 45 metrów nad ziemią. W Górnym Egipcie znajduje się tak zwany Ozyrejon w Abydos, zadziwiająca, częściowo podziemna konstrukcja ze 100-tonowych bloków, która wygląda na znacznie starszą niż otaczające ją budowle.

Nie ulega wątpliwości, że piramidy w Gizie, najśłynniejsze ze wszystkich egipskich zabytków, wiele łączy z okresem 2600-2300 p.n.e., kiedy, jak pamiętamy, powstało Stonehenge. Nie ulega też wątpliwości, że ich geneza – tak samo jak Stonehenge – jest jeszcze starsza. Te same geometryczne i astronomiczne poszukiwania nieśmiertelności (a także liczbę 72), których wyrazem są megality, można znaleźć nie tylko w Egipcie, ale także w wielu innych kulturach na całej kuli ziemskiej, i to w najbardziej zamierzchłej przeszłości.

Wspólną cechą wszystkich tych kultur była próba rozwiązania zagadki duszy: dokładnie tak, jak – według relacji Cezara – czynili to druidzi. W Meksyku – jak zobaczymy w części pierwszej tej książki – w Egipcie, Kambodży, na Wyspie Wielkanocnej, w Ameryce Południowej i celtyckiej Brytanii, wszędzie trwały poszukiwania. Bardzo często miały one jakiś związek z postacią „boga” lub „cywilizującego bohatera”, uważanego za wielkiego nauczyciela i założyciela religii. Zawsze i wszędzie poszukiwania te były prowadzone wśród świętych monumentów, stworzonych w celu podtrzymywania związku między niebem i ziemią.

Budowle te uważano za bramy do królestwa zaświatów – zarówno nieba, jak i piekła. Zdawano sobie sprawę, że ostateczne przeznaczenie tych, którzy przechodzą przez owe bramy, będzie uzależnione od dokonanych przez nich samych wyborów.

W Meksyku wybrano piekło.

Część pierwsza

Meksyk

Pierzasty wąż i człowiek obdarty ze skóry

WAmeryce Środkowej podróżnicy, którzy próbowali zbadać jej zabytki i przeszłość, odchodzili z poczuciem wielkiej i straszliwej tajemnicy. Mroczny sekret spowija cieniem całą tę ziemię, a to, co wiadomo o jej historii, pełne jest niewyjaśnionych sprzeczności.

Z jednej strony mamy niepokojące dowody istnienia wzniosłych duchowych idei, zadziwiających osiągnięć w dziedzinie sztuki, nauki i kultury. Z drugiej strony wiemy o odpychających aktach psychopatycznego okrucieństwa, które w Dolinie Meksyku zostało zinstytucjonalizowane na początku XVI wieku. Co roku, w scenerii z sennego koszmaru, azteckie imperium składało w ofierze 100 000 ludzi. Choć hiszpańscy konkwistadorzy, którzy przybyli w lutym 1519 roku, byli piratami i zimnymi mordercami, to ich interwencja, wynikająca wyłącznie z chciwości, położyła kres demonicznym krwawym ofiarom Azteków.

Zanim Hiszpanie utrwalili swoją władzę, wielu konkwistadorów i katolickich księży, którzy przybyli ich śladem, miało okazję oglądać te rytuały. Wśród świadków był sam zdobywca, Hernan Cortez, zaprawiony w bojach żołnierz Bernal Diaz de Castillo oraz ojciec Bernardino de Sahagun (1499-1590), „nadzwyczaj mądry franciszkanin”, którego *Historia rzeczy Nowej Hiszpanii* jest niezrównanym źródłem wiedzy o Meksyku sprzed konkwisty. Ich relacje odsłaniają mroczną stronę schizofrenicznej kultury przywiązanej do mordu, która zarazem obłudnie głosiła uwielbienie dla starożytnych nauk o nieśmiertelności ludzkiej duszy. Nauki te kazały wtajemniczonym poszukiwać mądrości oraz być „dzielnymi, pokornymi, miłującymi pokój (...) i współczującymi” wobec innych.

Według samych Azteków źródłem tej doktryny unikania przemocy i poszukiwania kosmicznej gnozy był bóg-król nazywany Quetzalcoatl – „pierzasty wąż” (*quetzal* znaczy dosłownie „upierzony” lub „pierzasty”, zaś *coatl* – „wąż”). Panował on, jak twierdzili, w zamierzchłych czasach, w złotym wieku, i przybył do Meksyku z odległej krainy z grupą towarzyszy. Nauczał on, że nigdy nie należy składać w ofierze istot ludzkich, lecz tylko „rosnące właśnie owoce i kwiaty”.

Jego kult był przesycony misteriami związanymi z życiem po śmierci, gdyż sam Quetzalcoatl miał podobno odbyć podróż w zaświaty i wrócić stamtąd, by o tym opowiedzieć.

Bóg piramid

Czy za opowieścią o Quetzalcoatlu kryje się jakaś prawdziwa, historyczna postać?

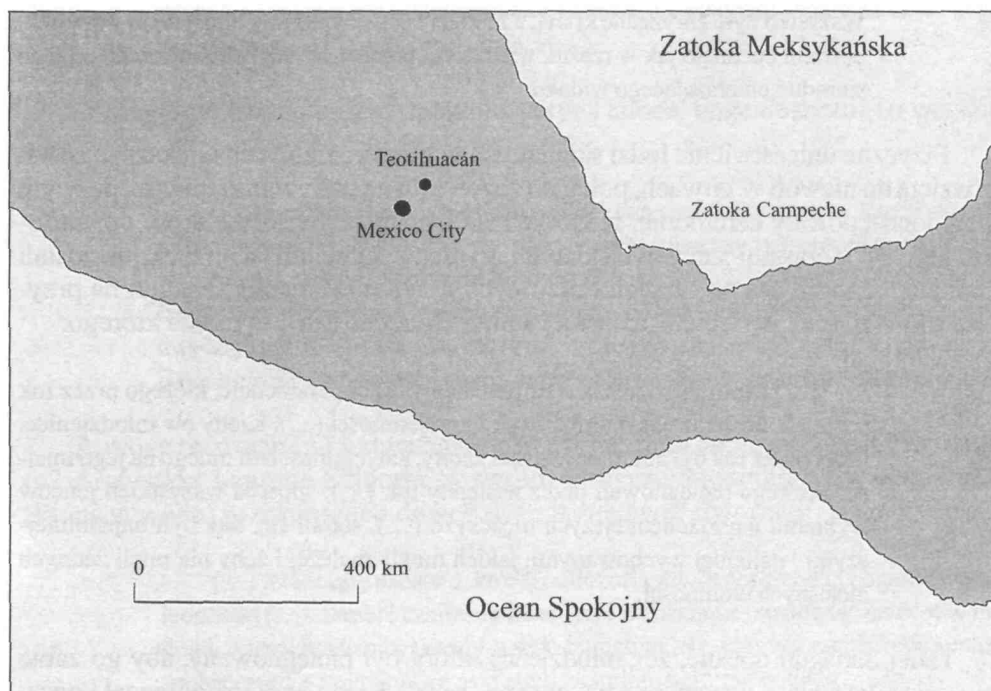
Wiadomo, że jakieś 200-300 lat przed początkiem dominacji Azteków w XIII i XIV wieku n.e. wielu władców, zwłaszcza mieszkających w Dolinie Meksyku Tolteków, nosiło miano „Quetzalcoatl”. Nie twierdzili oni jednak, że są właściwym Quetzalcoatlem, lecz jego spadkobiercami, i używali tego imienia jako rodzaju zaszczytnego tytułu.

Jak zobaczymy w następnym rozdziale, na długo przed Toltekami charakterystyczna symbolika Quetzalcoatla była dobrze znana Olmekom znad Zatoki Meksykańskiej. Ich kultura rozkwiłała 3500 lat temu. Nieco później, bo ponad 2000 lat temu, w mieście Cholula w środkowym Meksyku rozpoczęto prace nad gigantyczną konstrukcją, wznoszoną na cześć tego samego boga. Była ona rozbudowywana i powiększana przez wszystkie kolejne miejscowe kultury, a kres tej działalności budowlanej położyła dopiero pożoga hiszpańskiej konkwisty. Wynikiem zadziwiającego rozmachem projektu inżynieryjnego i architektonicznego jest góra-piramida Quetzalcoatla. Piramida ta, dzisiaj zwieńczona rzymskokatolicką kaplicą, ma przy podstawie powierzchnię 18 hektarów i wysokość niemal 70 metrów, a jej objętość jest trzykrotnie większa niż egipskiej Wielkiej Piramidy.

Również około 2000 lat temu kult Quetzalcoatla był silnie zakorzeniony w tajemniczej kulturze Teotihuacán – miasta leżącego 35 kilometrów na północny wschód od dzisiejszego Mexico City. Wznoszono na cześć tego boga piramidy i inne budowle. Od co najmniej 500 roku n.e. aż do hiszpańskiej konkwisty Majowie z Jukatanu, Chiapas i Gwatemali czcili go pod imionami Kukulkan i Gucumatz, które w różnych dialektach znaczą to samo – „pierzasty wąż”. Między 900 a 1200 rokiem n.e. dziewięciopiętrową piramidę na cześć Kukulkana/Quetzalcoatla ukończono w Chichen Itza. Podobnie jak wiele innych monumentów tego bóstwa, została ona wzniesiona wokół wcześniejszego świętego wzgórza w tym samym miejscu.

Podobnie Aztekowie, którzy swoje imperium stworzyli w latach 20. XIV wieku, przejęli od poprzedników starożytną tradycję związaną z „pierzastym wężem”. Opisywano go dość niejasno, jako:

(...) przystojnego, silnie zbudowanego mężczyznę z długą brodą (...). Tajemnicza osoba (...), biały człowiek o krzepkiej budowie ciała, z szerokim czołem, dużymi oczami i falującą brodą, który przybył zza morza w łodzi płynącej bez wiosel. Potępił on składanie ofiar, z wyjątkiem owoców i kwiatów, i słynął jako bóg pokoju.



Jedną z największych niewyjaśnionych zagadek w historii Ameryki Środkowej jest fakt, że brutalni Aztekowie oddawali cześć owej łaskawej postaci we wszelkiego rodzaju rytuałach i zawsze mówili z zachwytem o jej pokojowym nastawieniu i umiłowaniu życia. Wierzyli, że on i jego towarzysze opuścili Meksyk dawno temu, lecz pewnego dnia wrócą w łodzi od strony zachodniej. Wierzyli też, że Quetzalcoatl ukarze ich za to, że wrócili do składania ludzkich ofiar, że położą kres złu i trwodze oraz przywróci złoty wiek pokoju i dobrobytu, jakiemu patronował w zamierzczłej przeszłości.

Jak powszechnie wiadomo, legenda o białym, brodatym bogu-królu zadziałała na korzyść Hiszpanów, którzy przybyli do Meksyku w 1519 roku z zachodu w łodziach, które poruszały się bez wiosł, cierpiąc na „chorobę serca”, na którą jedynym lekarstwem było zagrabione złoto.

Złamane flety

Konkwistador Bernal Diaz de Castillo był twardym człowiekiem, a przemoc nie robiła na nim wielkiego wrażenia. Mimo to jednak, kiedy po raz pierwszy zobaczył aztecką świątynię, był głęboko wstrząśnięty:

Na tej niewielkiej przestrzeni można było zobaczyć wiele diabelskich rzeczy, rogów, trąbek i noży, i mnóstwo serc Indian, które spalili, okadzając swoje idole.

Wszystko było zbryzgane krwią, a było jej tak wiele, że przeklinałem to wszystko, bowiem cuchnęło jak w rzeźni, więc czym prędzej postanowiliśmy uciec od tego smrodu i przerażającego widoku.

Fizyczne unicestwienie ludzi składanych w ofierze, z których większość została wzięta do niewoli w bitwach, polegało zazwyczaj na wyrwaniu im serc, po czym często następowały ceremonie, w których „celebrant obdzierał ze skóry i ćwiartował jeńców”. Czasami jeńcy byli składani w ofierze natychmiast po tym, jak zostali pojmani, czasami zaś po długich i okrutnych przygotowaniach. Sahagun na przykład mówi nam o „święcie w azteckiej stolicy Tenochtitlan”, w czasie którego:

(...) zabili młodzieńca o bardzo uległym temperamentem, którego przez rok trzymali, dostarczając mu rozrywek i przyjemności (...). Kiedy ów młodzieniec, który przez rok był hołubiony, został zabity, natychmiast dali innego na jego miejsce, którego pielęgowali przez następny rok (...), spośród wszystkich jeńców wybierali najszlachetniejszych mężczyzn (...), starali się, aby byli najzdolniejszymi i najlepiej wychowanymi, jakich mogli znaleźć, i żeby nie mieli żadnych cielesnych ułomności.

Dalej Sahagun opisuje, że „młodzieńca, który był pielęgowany, aby go zabić w czasie tego święta, uczono pięknie grać na flecie”. Kiedy jego rok dobiegał końca:

(...) zabierali go do małej i źle wyposażonej świątyni, która znajdowała się przy drodze, daleko od ludzkich osiedli (...). Dotarłszy do schodów świątyni, wspinał się na nie sam, a na pierwszym stopniu łamał jeden z fletów, na których grywał w czasach pomyślności, na drugim łamał kolejny i tak wchodząc po schodach, łamał je wszystkie. Kiedy dotarł na szczyt, do najwyższej części świątyni, czekali tam w parach kapłani, którzy mieli go zabić. Chwyтали go, wiązali mu ręce i głowę, kładli go na plecach na kamiennym bloku. Ten, który trzymał w ręce kamienny nóż, wbijał go w jego pierś z wielką siłą, a wyciągnąwszy go, wkładał rękę w nacięcie zrobione nożem, wyrwał serce i natychmiast ofiarował je Słońcu.

Kiedy zaskoczeni Hiszpanie zapytali kapłanów o powód odprawiania co roku tak przerażających rytuałów, ci odpowiedzieli podobno, jakby było to dla wszystkich zupełnie oczywiste, że tragiczny los jeńca jest „rodzajem ludzkiego przeznaczenia”.

Tłumiąc głos natury

Aztekowie byli niestrudzonymi zabójcami dzieci – co jasno wynika z pozostawionego przez Sahaguna katalogu pewnych „świąt”:

W kalendy pierwszego miesiąca (...) zabijali wiele dzieci, składając je w ofierze w wielu miejscach na szczytach wzgórz, wydzierając im serca na cześć bogów

wody (...), pierwszego dnia czwartego miesiąca obchodzili święto na cześć boga kukurydzy (...) i zabijali wiele dzieci (...).

Szczególnie trudno było zaspokoić apetyt Tlaloca, boga deszczu. To właśnie jemu:

(...) składano w ofierze dzieci, po większej części niemowlęta. Kiedy przenoszono je w odkrytych lektykach, odziane w odświętne szaty, w najtwardszych sercach wzbierał żal, chociaż ich krzyki ginęły w dzikich śpiewach kapłanów, którzy w ich łzach odczytywali dobrą wróżbę dla swoich modlitw. Te niewinne ofiary kapłani zazwyczaj kupowali od ubogich rodziców, w których głos natury zagłuszała prawdopodobnie nie tyle możliwość uniknięcia nędzy, ile mocno zakorzenione zabobony.

A może to strach był najważniejszym czynnikiem zagłuszającym głos natury? Archeolog Laurette Sejourné w swoim klasycznym studium *Burning Water* (Płonąca woda) przekonująco dowodzi, że Aztekowie stworzyli:

(...) totalitarne państwo, którego filozofia zawierała głęboką pogardę wobec jednostki (...). Śmierć czała się wszędzie i nieustannie, stanowiąc cement w budowlu, której jeńcem był każdy Aztek. Istnieli ludzie, którzy z racji swego statusu społecznego z mocy prawa podlegali eksterminacji: niewolnicy – a każdy mógł się stać jednym z nich, tracąc majątek lub prawa obywatelskie; pojmani do niewoli wojownicy; dzieci urodzone pod wróżbą sprzyjającą ofierze i ofiarowywane bogom (...). Innym stałym zagrożeniem była kara śmierci: groziła każdemu, kto ośmielił się bezprawnie nosić strój sięgający poniżej kolan; urzędnikowi, który wszedł do zakazanego pomieszczenia w pałacu; kupcowi, którego bogactwo uczyniło zbyt pysznym; tancerzowi, który pomylił krok (...).

Ludzkie ofiary odgrywały tak ogromną rolę w tym „mechanizmie zniewalania człowieka”, że każdy, kto odmawiał udziału w takim spektaklu, był „uznawany za nikczemnego, niegodnego pełnienia jakichkolwiek funkcji publicznych i stawał się pozbawionym wszelkich praw wyrzutkiem”. Władcy i arystokraci często musieli być świadkami ludzkich ofiar „pod groźbą, że sami zostaną ofiarami, jeśli nie będą chcieli w nich uczestniczyć”.

136 000 czaszek

Groza tego, co zobaczyli konkwistadorzy, przekraczała wszelkie wyobrażenie. Według opisu kronikarza Munoz Camargo:

jeden, który był kapłanem diabła, powiedział mi (...), że kiedy wyrwywają serce z wnętrzości nieszczęsnej ofiary, siła, z jaką pulsowało i uderzało, była tak wielka, że zazwyczaj podnosiło się trzy lub cztery razy z ziemi, zanim ostygło (...).

Sahagun opisuje święto, w czasie którego:

właściciele jeńców ciągnęli ich za włosy, każdy swojego, po schodach w górę (...). Wlekli ich na kamienny blok, gdzie mieli ich zabić i wyrwać każdemu serce (...), zrzucali ich ciała ze schodów na dół, gdzie czekali kapłani, którzy obdzierali je ze skóry.

Przy okazji rytuałów odprawianych na cześć boga ognia właściciele:

brali [swoich jeńców] i wiązali im ręce z tyłu, a także stopy. Następnie zrzucali ich sobie na ramiona i zanosili na szczyt świątyni, gdzie płonął ogień i znajdował się stos węgla; a kiedy już dotarli na górę, rzucali ich w ogień (...) i w ogniu nieszczęsny jeńiec wił się i jęczał (...), a kiedy był w agonii, wyciągali go żelaznymi hakami (...), kładli go na kamieniu (...), otwierali jego pierś (...), wrywali mu serce i rzucali je do stóp posągu Xiuhtecutli, boga ognia”.

Zgodnie ze zwyczajem w świątyniach przechowywano czaszki ofiar zatknięte na poziome belki specjalnych drewnianych stelaży zwanych *tzompantli*, w „specjalnie do tego celu przeznaczonych budynkach”. W jednym z takich budynków żołnierze Corteza naliczyli 136 000 czaszek, które były „tak ułożone, aby osiągnąć najbardziej odrażający efekt”.

Alegorie brane dosłownie

Jak właśnie zauważyliśmy, wielka tajemnica Ameryki Środkowej polega na tym, że kultura odznaczająca się tak niepohamowanym okrucieństwem równocześnie była nośnikiem wzniosłych idei religijnych. Zwłaszcza Bernardinowi de Sahagun zawdzięczamy udokumentowanie tych idei i tym samym umożliwienie nam zapoznania się z nimi. Bez jego udziału najprawdopodobniej nie wiedzielibyśmy dzisiaj o nich nic. Współcześni naukowcy uznają jego *Historię rzeczy Nowej Hiszpanii* za „najpełniejszy etnograficzny opis ludu” i chwalą ją za stosowanie „najbardziej rygorystycznych i dokładnych metod naukowych”.

W 1956 roku Laurette Sejourné, czerpiąc z bogatego źródła etnograficznego i religioznawczego materiału zgromadzonego przez Sahaguna, wysunęła interesującą teorię na temat Azteków. Ich kult ludzkich ofiar, jak twierdziła, powstał, ponieważ starożytny system duchowej inicjacji, związany z poszukiwaniem nieśmiertelności, został groteskowo, błędnie zinterpretowany. Wszystkie okrutne fizyczne aspekty azteckich ofiar – obdzieranie ze skóry, wrywanie serca, palenie itd. – były początkowo metaforami duchowych procesów, jakim poddawany był adept w czasie inicjacji. „Obdarcie ze skóry” oznaczało techniki pozwalające wtajemniczonymu na oderwanie się od swego fizycznego ciała. „Serce” oznaczało duszę, która musiała zostać „wycięta” z ciała w chwili śmierci i wypuszczona do krainy światła (oczywiście symbolizowanego przez Słońce). „Palenie” było ogniem odnowy, w którym wie-

kuisty duch, powstając niczym feniks z popiołów swej wcześniejszej egzystencji, odrzucał zużytą fizyczną formę jednego życia i rodził się na nowo w kolejnej.

Jeśli weźmiemy pod uwagę takie metafory, łatwiej będzie nam zrozumieć, dlaczego azteccy ofiarnicy nazywali los ofiary rozpieszczanej przez rok, a następnie brutalnie mordowanej, „rodzajem ludzkiego przeznaczenia”. Kiedy jeniec szedł do świątyni, gdzie czekała go śmierć, odrzucając wszystkie dotychczasowe luksusy życia i łamiąc flety, na których grał piękną muzykę, odgrywał alegorię. Symbolizowała ona najwyższą prawdę, poznawaną przez wtajemniczonych – że w chwili śmierci dusza musi pozbyć się wszystkiego, co należy do ziemskiego, materialnego świata. Prawdę tę przekazuje także fragment starożytnej nauki w języku nahuatl, którym mówili Aztekowie. Spisał ją Sahagun w XVI wieku:

Mój umiłowany i delikatny synu (...), dowiedz się i zrozum, że twój dom nie jest tutaj (...), ten dom, w którym się urodziłeś [tzn. fizyczne ciało], jest tylko gniazdem, gospodą, do której przybyłeś, wchodząc do tego świata; tutaj rozwijasz się i rozkwitasz (...), twój prawdziwy dom jest gdzie indziej.

Czytamy też:

Nadchodzą narodziny, życie przybywa na ziemię.
Na krótką chwilę jest nam pożyczone
chwała tego, przez co wszystko żyje.
Nadchodzą narodziny, życie przybywa na ziemię.

Sejourne mocno podkreśla, że system tych wzniosłych idei był obecny w Dolinie Meksyku na długo – przy tym trudno sprecyzować, jak długo, być może tysiące lat – przed przejęciem go przez Azteków. Ci byli po prostu najbardziej walecznym z wielu mówiących językiem nahuatl wędrownych plemion zwanych Chichimeca (co znaczy „barbarzyńcy”), które napłynęły do Ameryki Środkowej w XII i XIII wieku n.e. Nie mając własnej kultury, zaadaptowali do swoich potrzeb pozostałości wspaniałej niegdyś cywilizacji meksykańskiej, którą pokonali. Poznali jej astronomię, rolnictwo, inżynierię, architekturę i przejęli niektóre aspekty jej religii. Szczególnie wrażenie wywarły na nich barwne i dramatyczne rytuały inicjacyjne, które przejęli w całości. Nie rozumieli jednak – lub nie chcieli zrozumieć – że rytuały te były metaforycznymi dramatami, które odgrywano tylko symbolicznie. Odczytali je dosłownie – z przerażającym skutkiem.

Echa pierwszych ludzi

Aztekowie wierzyli, że ich plemię narodziło się w przypominającej macicę jaskini w sercu gór, że Aztlan, ich pierwsza ojczyzna, powstało na wyspie, i musieli opuścić tę wyspę na rozkaz boga Huitzilo pochtli, który przepowiedział: „Podbijecie cztery rogi świata, pokonacie je i podporządkujecie sobie (...), będzie to was kosztowało wiele potu, pracy i czystej krwi”.

Bóg oznajmił także, że w swoich wędrówkach napotkają pewnego dnia orła siedzącego wśród kolców kaktusa wyrastającego ze skały. W tym miejscu mieli założyć stolicę swojego imperium.

Podobnie jak naziści zahipnotyzowani przez Hitlera, Aztekowie zabrali się dziarsko do wcielania w życie wizji Huitzilo pochtili; bez trudu pokonali osiadłe ludy Doliny Meksyku i nieustannymi wojnami systematycznie osłabiali i podporządkowywali sobie inne plemiona Chichemec. Na początku XIV wieku, na bagnach wokół jeziora Texcoco, ujrzeli skałę, na której rósł kaktus; między jego kolcami siedział orzeł. Pamiętając słowa przepowiedni, zaczęli budować miasto Tenochtitlan, które w 1325 roku zostało aztecką stolicą.

W ciągu dwóch wieków, jakie pozostały do konkwisty, azteckie imperium skoncentrowane wokół Tenochtitlan rosło w siłę, a w ślad za tym rozrastało się i miasto, z czasem stając się 300-tysięczną metropolią. Zbudowane na wyspie, otoczone szeregiem założonych kolidziej i na planie kwadratu kanałów, było zorientowane zgodnie z czterema kierunkami świata. Mistrzowsko zaplanowane groble prowadziły do czterech głównych bram. Na centralnym placu dominowała gigantyczna czterostopniowa piramida, którą Hiszpanie, pełni podziwu dla jej architektury, nazwali Templo Mayor. Cortez zapewniał, że „żaden ludzki język nie jest w stanie opisać jej rozmiarów i wyglądu”, zaś Bernal Diaz twierdził: „byli tam żołnierze, którzy widzieli wiele części świata, Konstantynopol, całą Italię i Rzym, i powiedzieli, że nigdy nie widzieli placu o tak doskonałych proporcjach, takiej wielkości i tak pełnego ludzi”.

Szczególnie godne uwagi jest to, że sami Aztekowie nie przypisywali sobie tego ani wielu innych cudów swego kwitnącego imperium. Otwarcie przyznawali, że cały system wiedzy przejęli jednorazowo jako dziedzictwo boga-króla Quetzalcoatl i jego towarzyszy, którzy byli „pierwszymi mieszkańcami tej ziemi, i pierwszymi, którzy dotarli do tej części świata, zwanej Meksyką (...), tymi, którzy po raz pierwszy zasiali nasienie człowieka w tym kraju”.

Każdy, kto stara się poznać tożsamość tych „pierwszych ludzi” i ustalić, w jakim czasie mogła rozwijać się ich cywilizacja, szybko zda sobie sprawę, że historia Ameryki Środkowej przed okresem dominacji Azteków jest nieznaną. Właściwie przed 1000 rokiem n.e. nie ma „historii”, a im głębiej sięgamy w przeszłość, tym jest jej mniej. W rezultacie naukowcy nie wiedzą prawie nic o pochodzeniu trzech największych i najstarszych cywilizacji, jakie udało się zidentyfikować w tym regionie: Olmeków, których kultura najprawdopodobniej rozkwitła, głównie wzdłuż wybrzeża Zatoki Meksykańskiej, przed 1500 rokiem p.n.e. i trwała aż do początku naszej ery, Majów, żyjących równocześnie z nimi i później, a których potomków do dzisiaj można znaleźć w całej Ameryce Środkowej; oraz cywilizacji, która wzniosła imponujący okrąg sakralny w Teotihuacan niemal dwa tysiące lat temu. Laurette Sejourné, prowadząca badania archeologiczne właśnie w Teotihuacan, napisała w 1956 roku: „Początki tej wysoko rozwiniętej kultury są zagadką”. W 1990 roku, po blisko 50 latach wykopalisk, archeolog Karl Taube z Uniwersytetu Kalifornijskiego, musiał przyznać: „Wciąż nie wiemy, jakim językiem mówili mieszkańcy Teotihuacan, skąd pochodzili i co się z nimi stało”.

Śmierć i odrodzenie epok świata

We wrześniu 1996 roku, na kilka dni przed jesienną równonocą, wspięliśmy się na górę zwaną Cerro Gordo i spojrzeliśmy z jej szczytu na Teotihuacan – tę nazwę w języku nahuatl nadali miastu Aztekowie, a znaczy ona dosłownie „miejsce, w którym ludzie stają się bogami”. W dole, przed nami, rozciągała się prosta jak strzała oś tak zwanej Drogi Umarłych, odchylona 15 stopni i 30 minut na wschód od dokładnej północy magnetycznej. Na jej północnym krańcu wznosi się 46 metrów w górę pięciostopniowa bryła Piramidy Księżyca. Kilometr na południe od niej, po wschodniej stronie Drogi Umarłych, znajduje się jeszcze potężniejsza Piramida Słońca, mająca ponad 70 metrów wysokości i 222 metry długości każdego z boków podstawy. Jeszcze dalej, otoczona rozległym prostokątnym murem, leży mniejsza Piramida Quetzalcoatl.

Profesor Michael D. Coe z Uniwersytetu Yale zauważył, że zarówno Piramida Słońca, jak i Piramida Księżyca są „wyraźnie wymienione w starych legendach”, i doszedł do wniosku, że „nie ma żadnego powodu wątpić, iż były one poświęcone tym właśnie bóstwom”. Te same nazwy przejęli Aztekowie, kiedy zajęli Teotihuacan krótko po tym, jak w XII wieku weszli do Doliny Meksyku. Gigantyczne, geometrycznie zaplanowane miasto, już wtedy starożytne, było zrujnowane. Przybysze przechowali jednak interesujące legendy na temat miasta, co może wskazywać, że albo jego sława dotarła do Azteków jeszcze w ich ojczyźnie, albo też – co bardziej prawdopodobne – dowiedzieli się o nim od ludów, które podbili, tworząc swe imperium. W każdym razie darzyli Teotihuacan tak wielkim szacunkiem, że Montezuma, aztecki władca panujący w okresie konkwisty, miał podobno często odbywać piesze pielgrzymki do Piramidy Słońca w ostatnich latach rządów.

Podobnie jak wszyscy jego poddani, Montezuma wierzył, że piramida jest oryginalnym pragagórkiem, wyznaczającym miejsce, w którym świat został wprowadzony w ruch na początku obecnej epoki ziemi. Według legend – bardzo rozpowszechnionych wśród mieszkańców całej Ameryki Środkowej, a zwłaszcza wśród niespokrewnionych sąsiednich kultur, takich jak Majowie – minęły już cztery wcześniejsze epoki, czyli „Słońca”, z których każda kończyła się kataklizmem, niszczącym doszczętnie powierzchnię Ziemi. Piąta epoka rozpoczęła się podobno wśród mroków 4 ahau 8 cumku – ta data kalendarza Majów odpowiada 13 sierpnia 3114 roku p.n.e. – i ma się zakończyć katastrofą spowodowaną „wielkim ruchem ziemi” 4 ahau 3 kankin – co odpowiada 23 grudnia 2012 roku według współczesnego kalendarza.

Aztekowie twierdzili, że ich okrutne ofiary z ludzi mają na celu opóźnienie, lub być może odwrócenie, zapowiedzianego końca świata – ofiarowanie coraz to nowych serc i krwi miało „odnowić” starzejące się Piąte Słońce. Jeśli jednak weźmiemy pod uwagę wszystkie aspekty, wydaje się nieprawdopodobne, by kiedykolwiek szczerze w to wierzyli. Jak twierdzi Sejourne, ich represyjny ustrój polityczny „opierał się na duchowym dziedzictwie, które przekształcił w narzędzie sprawowania ziemskiej władzy”. Innymi słowy, Aztekowie dokonali bardzo przyziemnej interpretacji

subtelnych symbolicznych rytuałów i wykorzystali stare proroctwo o końcu Piątego Słońca jako usprawiedliwienie polityki terroru, która najwyraźniej odpowiadała wielu spośród nich i pełniła funkcję ideologii „krwawego państwa”.

Narodziny Piątego Słońca

Rozpoznanie prawdy kryjącej się za aztecką propagandą nie powinno nam przesłaniać faktu, iż tradycje związane z Teotihuacan obejmują też wizję kosmiczną, starożytną i wyrafinowaną, która uznaje upływ czasu nie za proces linearny, lecz nieskończony szereg cykli powstawania i upadku systemów światowych.

Fragmenty tej wielkiej wizji można znaleźć w pieśniach i poematach w języku nahuatl. Głoszą one, że po zniszczeniu Czwartego Słońca przez światowy potop („woda była przez 52 lata, a potem niebo runęło”) bogowie zgromadzili się na szczycie prapagórka w Teotihuacan, aby zadecydować, który z nich sam siebie złoży w ofierze, aby stać się nowym, Piątym Słońcem i przynieść światu na nowo światło:

Mimo że jeszcze była noc,
Mimo że jeszcze nie było dnia,
Mimo że jeszcze nie było światła, zgromadzili się,
Bogowie zebrali się
Tam, w Teotihuacan.

Dwóch z nich walczyło o zaszczytne prawo rzucenia się w święty ogień, w którym miało się narodzić Piąte Słońce – przystojny i wytworny Tecciztecal, „który był arogancki i żądny chwały”, oraz pokorny i skromny Nanahuatzin, „bóg zarazy, schorowany i pokryty wrzodami”. W ostatniej chwili Tecciztecal cofnął się przed palącym żarem płomieni. Nanahuatzin jednak „przemógł się, zamknął oczy, runął naprzód i rzucił się w ogień, a wtedy zaczął skwierczeć i płonąć w ogniu”. W wyniku tego aktu kosmicznego altruizmu powstało w końcu Piąte Słońce, dając początek obecnej epoce: „odbierało wzrok oczom, lśniło i rzucało wspaniałe promienie; a jego promienie przenikały wszędzie”.

Poszukiwanie nieśmiertelności

Sejourne przykłada szczególną wagę do faktu, iż bóg, którego ofiara umożliwiła narodziny Piątego Słońca, jest:

(...) pokryty strupami, jego ciało rozpada się, ukończywszy swoje zadanie polegające na godzeniu przeciwieństw, zaczął się odrywać od swego podzielonego „ja” (...). Ta opowieść, z jej rytualnymi szczegółami, stanowi wzorzec ostatecznej inicjacji, prowadzącej przez śmierć do wiecznego życia.

Zastanawiające, że wiele mitów, legend i ceremonii związanych z Teotihuacan, które przetrwały do naszych czasów, dotyczy nieśmiertelności ludzkiej duszy i ciężkiej pracy, jaka czeka wtajemniczonego na drodze do jej osiągnięcia. „O bracie – ostrzega prowadzący w jednym z fragmentów starożytnego rytuału – przybyłeś do miejsca wielce niebezpiecznego, miejsca pracy i strachu (...), przybyłeś do miejsca, gdzie są zastawione pułapki i sieci, i spiętrzone jedne na drugich, tak że nikt nie może przejść, nie wpadając w nie (...), są to twoje grzechy”.

Ten fragment nie pozostawia większych wątpliwości, że przynajmniej jeden z aspektów rytuałów odprawianych w Teotihuacan miał coś wspólnego z pokutą i duchową próbą. Z tych samych źródeł jednak jasno wynika, że samo święte miasto było uważane za integralną część mechanizmu inicjacyjnego. Jego budowlom przypisywano szczególną i tajemniczą wartość, stanowiącą sakralny kontekst, w którym fizyczna śmierć – jak wierzono – traciła moc i śmiertelni ludzie mogli się przekształcić w nieśmiertelnych bogów:

I nazwali je Teotihuacan
ponieważ było miejscem,
gdzie panowie zostali pogrzebani.
Powiedzieli więc:
„Kiedy umieramy,
w istocie nie umieramy,
ponieważ będziemy żyć, powstaniemy,
będziemy nadal żyć, będziemy się budzić” (...)
Zatem zmarłego pouczano,
kiedy umierał:
„Przebudź się, niebo już jest różowe” (...)
I tak starzy mówili,
że ten, kto umarł, stał się bogiem,
powiedzieli:
„On tam został uczyniony bogiem”.

Legendy zachowane w języku nahuatl mówią nam też, że nad procesem przekształcania człowieka w boga czuwała grupa kapłanów – „starych”, którzy rozkazywali zmarłemu się przebudzić. Kapłani ci podobno byli „mędrcami, biegłymi w sprawach tajemnych, strażnikami tradycji”. Niekiedy nazywa się ich „towarzyszami Quetzalcoatlą”. Wspomina o nich *Popol Vuh*, święta księga starożytnych Majów Quiche, jako o „Pierzastych Wężach (...), wielkich wiedzących, wielkich myślicielach w samej swojej istocie”. To właśnie oni nauczali niezwykłych rytuałów duchowej inicjacji, które ostatecznie na 200 lat przed konkwistą przejęli Aztekowie.

Quetzalcoatl

Najważniejszą postacią starożytnych meksykańskich rytuałów odrodzenia był „Pan Pierzasty Wąż” Quetzalcoatl – bóg-król złotego wieku, który umarł, jak mówi legenda, lecz pewnego dnia powróci. Dobrze znane opisy tego „dawnego i przyszłego króla” zawarte w mitach – wysoki, o białej skórze, żółtowołosy i brodaty – przypominają człowieka typu kaukaskiego. Nowego Świata nie odwiedził jednak podobno żaden człowiek rasy kaukaskiej przed Kolumbem, a legenda o Quetzalcoatlu jest znacznie starsza. Dlatego przez dłuższy czas naukowcy ignorowali wyraźnie kaukaskie cechy bóstwa jako niezgodne z powszechnie przyjętymi teoriami na temat zaludnienia Ameryk, a i przez niektóre odłamy rdzennie amerykańskiego lobby uważane za „politycznie niepoprawne”.

Ostatnio jednak pojawiły się zaskakujące nowe dowody, które wymuszają całkowitą rewizję tego sposobu myślenia:

„Washington Post”, wtorek, 15 kwietnia 1997:

Szkielety odkryte w wielu zachodnich stanach i na wschodzie aż w Minnesocie stanowią wyzwanie dla tradycyjnego poglądu, iż najdawniejsi Amerykanie pod względem fizycznym przypominali współczesnych Azjatów. Czaszki szkieletów zdradzają cechy podobne do Europejczyków, co wskazuje, że ludzie rasy kaukaskiej znajdowali się wśród pierwszych, jacy przybyli do Nowego Świata ponad 9000 lat temu. Antropolodzy od lat wiedzieli o istnieniu takich kości, lecz nie w pełni doceniali ich znaczenie – aż do ostatnich kilku miesięcy. Odkrycie ostatniego lata nowych szczątków ludzkich – wyjątkowo kompletnego szkieletu człowieka rasy kaukaskiej, który umarł około 9300 lat temu w pobliżu Kennewick w stanie Waszyngton – doprowadziło do nowych studiów (...). Głowa i ramiona tego człowieka uległy mumifikacji, tak że zachowała się na nich skóra (...). Ci, którzy badali go początkowo, uważali, że kości są szczątkami europejskiego osadnika, ale datowanie metodą radiowęglową pozwoliło ustalić jego prawdziwy wiek. „To ekscytujące odkrycie i sądzę, że wkrótce będziemy świadkami prawdziwej rewolucji w poglądach na temat zasiedlenia Ameryk” – powiedział Dennis Stanford, naukowiec z Narodowego Muzeum Historii Naturalnej Smithsonian Institute.

Ile lat liczą mity o Quetzalcoatlu? Czy mogą sięgać czasów owych prehistorycznych kaukazoidów, „podobnych do Europejczyków”, którzy byli w Ameryce w epoce kamienia, co najmniej 9000 lat temu?

Rozdział 2

Na Ziemi jest jak w niebie

Jedną z niewielu rzeczy, jakie wiadomo na pewno o początkach Teotihuacan, jest to, że jego mieszkańcy znali i czcili najwyższego boga, Quetzalcoatl. Od najdawniejszych czasów aż do przybycia Hiszpanów jego najbardziej charakterystycznym symbolem był „pierzasty wąż” – zazwyczaj przedstawiany jako gigantyczny wąż z piórami wyrastającymi wokół głowy i wzdłuż grzbietu. Ten specyficzny motyw, podobnie jak i inne dobrze znane emblematy bóstwa, można zobaczyć w dużych ilościach w Teotihuacan, nie tylko w tak zwanej Piramidzie Quetzalcoatla, ale również w wielu innych świątyniach i pałacach. Wydaje się wręcz, jak twierdzi Laurette Sejourné, że znaczna część funkcji miasta musiała być od pewnego momentu związana z kultem Quetzalcoatla.

Kult ten obejmował między innymi duchową transformację wtajemniczonych – proces wytężonej pracy umysłowej i samowyrzeczeń, mających na celu uwolnienie się od świata zmysłów i tym samym wyzwolenie duszy, opisywanej jako „drogocenny kamień i bogate pióro”, z okowów materii. Jedną z części tego procesu polegała prawdopodobnie na odprawieniu rytuałów, podczas których wtajemniczany przeżywał symboliczną śmierć i odrodzenie boga Quetzalcoatla, dawnego i przyszłego króla, który według legendy miał się dobrowolnie zamknąć na 4 dni w sarkofagu – „skrzyni wykonanej z kamienia”, z którego następnie powstał, udając się na „niebiański brzeg boskiej wody”. Tam zaś:

(...) stanął, zapłakał, wziął swe szaty i założył swoje insygnia z piór (...). Potem, kiedy już był przyozdobiony, podpalił sam siebie i spłonął (...). Mówią, że kiedy spłonął, jego popioły natychmiast wzniosły się w górę i wszelkie rzadkie ptaki pojawiły się, kiedy Quetzalcoatl umarł (...), z tego powodu po ośmiu dniach pojawiła się wielka gwiazda zwana Quetzalcoatl.

W tej prekolumbijskiej środkowoamerykańskiej legendzie bardzo wyraźnie zaznaczają się dwa dominujące motywy, które naukowcy dotychczas kojarzyli

wyłącznie ze Starym, nie zaś z Nowym, Światem. Po pierwsze – motyw feniksa powstającego z popiołów swego własnego stosu pogrzebowego, po drugie – gwiazdne odrodzenie, które – jak zobaczymy w części drugiej – pierwszy raz pojawiło się daleko od Meksyku, w staroegipskich *Tekstach Piramid* z III tysiąclecia p.n.e. Podobnie jak w starożytnym Egipcie, gdzie niewyczerpane możliwości samoodnawiania się Słońca były wymownym symbolem reinkarnacji, starożytni Meksykanie nazywali Słońce „królem tych, którzy wracają”.

Zaświatowe królestwa

Takie zbieżności można znaleźć w całym spektrum wierzeń religijnych. Na przykład starożytni Egipcjanie wierzyli w istnienie straszliwego królestwa zaświatów, leżącego w części nieba zwanej „Duat” (co zwykle tłumaczy się jako „świat podziemny”), w którym dusze zmarłych musiały odbyć niebezpieczną podróż. Starożytni Meksykanie również opowiadali o królestwie zaświatowym, równie przerażającym, które nazywali „Krajem Tajemnicy”:

Im bardziej płaczę, im bardziej jestem zasmucony,
 tym bardziej moje serce tego nie pragnie,
 czyż nie muszę, skoro wszystko zostało powiedziane, udać się do Kraju Tajemnicy?
 Tutaj na ziemi nasze serca mówią:
 O moi przyjaciele, gdybyśmy byli nieśmiertelni!
 O przyjaciele, gdzie jest kraj, w którym nikt nie umiera?
 Czy naprawdę muszę odejść? Czy tam jest moja matka?
 Czy tam jest mój ojciec?
 W Kraju Tajemnicy (...) moje serce drży;
 Gdybym tylko nie musiał umrzeć, gdybym nie musiał zginąć (...)!
 Cierpię i czuję ból.

Meksykanie nauczali, że zmarły musi przejść w Kraju Zagadki siedem trudnych prób, z których ostatnią był ostateczny sąd przed przerażającym obliczem boga śmierci. Istniała też legenda, mówiąca, że sam Quetzalcoatl umożliwił ewentualnym przyszłym podróżnym do krainy zaświatów zwycięstwo, przynosząc ukryte tam kości przodków i przywracając ich do życia. Starożytni Egipcjanie niemal identyczną rolę przypisywali bogu Ozyrysowi, panu zmartwychwstania i odrodzenia.

Zupełnie jak dawni Egipcjanie, ludy starożytnej Ameryki Środkowej wierzyły, że ich zaświaty znajdują się w tej części nieba, przez którą przebiega Droga Mleczna. Inna zastanawiająca zbieżność polega na tym, że oba te ludy najwyraźniej były przekonane, iż bramy zaświatów otwierają się „w czerwonej poświacie w mroku poprzedzającym świt”. Jeszcze bardziej uderzający jest jednak stopień, w jakim oba te systemy inicjacyjne koncentrowały się na astronomii – a zwłaszcza na ezoterycznej wiedzy o cyklach niebios – i poszukiwały nieśmiertelności

wśród gwiazd. Z tego właśnie powodu azteccy mędrcy, poproszeni o wyjaśnienie tajemnicy śmierci, „odpowiedzieli, że nie umrą, lecz przebudzą się ze snu, którym było ich życie (...), i znowu staną się duchami lub bogami (...). Powiedzieli też, że niektórzy zamienią się w Słońce, inni w Księżyc”.

Taka apoteoza była ostatecznym celem, do którego dążyli wtajemniczeni idący drogą Quetzalcoatla, „tego, który zna tajemnice wszystkich czarów”, o którym mity mówią: „przede wszystkim przekazał on człowiekowi naukę, pokazując mu, jak mierzyć czas i studiować ruchy gwiazd”.

Naśladowanie niebios

W kontekście idei takich jak te nie powinno nas dziwić, że Teotihuacan, ze swoimi piramidami dedykowanymi Quetzalcoatlowi, Słońcu i Księżycowi, miało złożony astronomiczny układ, który ściśle wiązało miasto z niebem.

Wiemy już, że główna oś miasta, Droga Umarłych, jest celowo odchylona o 15 stopni i 30 minut na wschód od magnetycznej północy. Wyjaśnienia tego odchylenia nie należy szukać w samej Drodze Umarłych, lecz w budowlu dominującej nad Teotihuacan – Piramidzie Słońca, która została zbudowana tak, że jej zachodnie lico jest odchylone o 15 stopni i 30 minut na północ od magnetycznego zachodu, a lico wschodnie o 15 stopni i 30 minut od magnetycznego wschodu. Innymi słowy, przebieg Drogi Umarłych został zdeterminowany przez orientację zachodniego lica Piramidy Słońca.

Taka orientacja nie jest przypadkowa. Wskazuje ona punkt zachodu słońca na zachodnim horyzoncie w dwóch astronomicznie ważnych dniach, 19 maja i 25 lipca – jedynych dwóch dniach w roku, kiedy Słońce, w południe, przechodzi dokładnie pionowo nad szerokością geograficzną Teotihuacan (19,5 stopnia na północ od równika). W Teotihuacan stwierdzono również silny związek z punktem zachodu grupy gwiazd w konstelacji Byka, znanej jako Plejady – i to około 150 roku n.e., która to data dokładnie zgadza się z archeologią tego miejsca. Z astronomicznych symulacji komputerowych wynika, że w tamtych właśnie czasach, w pierwszym z dwóch w ciągu roku dni przejścia Słońca przez zenit, miało miejsce tak zwane heliakalne wzejście Plejad – to znaczy, że były one widoczne nisko na wschodzie na tle różowego nieba tuż przed świtem.

Dla starożytnych Majów z Ameryki Środkowej, którzy – jak nam wiadomo – utrzymywali stałe i ożywione kontakty z Teotihuacan w czasach jego rozkwitu, Droga Mleczna była szczególnie ważnym elementem niebios. Uważali ją za drogę prowadzącą do zaświatów, zwanych Xilbaba, które podobnie jak u wielu innych ludów Ameryki Środkowej znajdowały się na niebie. Jednym z dobrze znających tę kosmologię naukowców, który podjął zakrojone na szeroką skalę badania archeoastronomiczne w Teotihuacan, był Stansbury Hagar, sekretarz wydziału etnologii w Brooklyn Institute of the Arts and Sciences. W akademickich czasopismach publikowanych w latach 20. XX wieku przedstawił on przekonujące dowody, iż Droga Umarłych w Teotihuacan – w niektórych tradycjach znana też jako Droga Gwiazd – mogła

w planach jej twórców „reprezentować Drogę Mleczną” i co za tym idzie pełnić funkcję symbolicznej drogi, po której „duchy miały przechodzić (...) między ziemią a krainą dusz położoną wśród gwiazd”.

Najważniejszym elementem tej prowokacyjnej teorii jest uznanie Ziemi za „zwierciadło nieba” – a ściślej mówiąc, konstrukcji architektonicznych wzniesionych „w dole”, na ziemi, na wzór pewnych elementów „w górze”, na niebie i takie ich zorientowanie, by wskazać na konkretne zjawiska astronomiczne. Jak zobaczymy w następnych rozdziałach, trzy wielkie egipskie piramidy i Sfinks na plateau w Gizie są rozmieszczone zgodnie z takim właśnie planem, a co więcej, zostały powiązane z Nilem, który uważano za ziemskie odzwierciedlenie Drogi Mlecznej. Czy można uznać za dzieło przypadku istnienie takiego samego systemu idei w Teotihuacan, które – według Hagara – „oddawało na ziemi domniemany plan świata niebiańskiego, w którym mieli mieszkać bogowie i duchy zmarłych”?

Hagar podsumowuje swoje badania stwierdzeniem: „nie docenialiśmy ani znaczenia, ani rozpowszechnienia w całej starożytnej Ameryce astronomicznego kultu, którego jednym z elementów był plan niebios i którego Teotihuacan było jednym z najważniejszych ośrodków”.

Jeśli Hagar ma słuszość, to ów kult musi być niezmiernie stary. Znajdujemy go w Egipcie już w III tysiącleciu p.n.e. Jeśli chodzi o Meksyk, to archeolodzy są pewni, że budowle Teotihuacan w obecnej postaci zostały zbudowane między 150 i 300 rokiem n.e. Jednak pod fasadami wszystkich trzech piramid znaleziono ślady wcześniejszych warstw budowlanych, wyznaczających wcześniejsze piramidy, które stały w tym samym miejscu. Sięgały one czasów prapagórków – z których część zawierała groty – czczonych w zamierzchłej przeszłości.

72 kawałki jadeitu

21 września 1996 roku, w dniu jesiennej równonocy, byliśmy na Jukatanie w Chichen Itza, pochodzącym z VI wieku n.e. mieście Majów, jak się uważa, systematycznie rozbudowywanym aż do co najmniej XIII wieku. Centralna piramida tego miasta jest dedykowana Kukulkanowi (Quetzalcoatlowi). Składa się z dziewięciu ustawionych jedna na drugiej coraz mniejszych platform, wznosi się na 30 metrów, a każdy z jej boków ma 55,3 metra długości. Podobnie jak w Piramidzie Słońca w Teotihuacan, jej główna oś jest odchylona na wschód od magnetycznej północy. Tutaj jednak oś nie wskazuje na dzień przejścia Słońca przez zenit, lecz na wiosenną i jesienną równonoc, kiedy Słońce wstaje dokładnie na wschodzie, a dzień i noc są równej długości.

Mniej więcej kwadrans po godzinie piątej po południu wiadomo już, co się będzie działo. Ta przepiękna piramida została tak dokładnie skorelowana z trajektorią Słońca, że starożytni budowniczości przewidzieli nawet grę światła i cieni na zachodnim boku północnych schodów, osiągając konkretny efekt. W miarę jak upływały kolejne minuty, a Słońce chyliło się ku zachodowi, powoli i stopniowo

cień rzucany przez północno-zachodni narożnik piramidy zyskiwał coraz wyraźniejszy kształt. Około godziny 17.30 na zachodnim boku schodów pojawił się potężny wijący się wąż o siedmiu splotach z cienia, rozdzielonych trójkątami światła. Ogon węża sięgał platformy na szczycie piramidy, zaś jego ciało wilo się w dół balustrady aż do podstawy piramidy, gdzie ogromna rzeźbiona głowa węża z otwartą paszczą dopełniała złudzenia.

To niemal magiczne pojawienie się starożytnego bóstwa dokładnie w dniu równonocy świadczy o tym, jak zaawansowana musiała być astronomia i geodezja w Chichen Itza – bowiem tylko cywilizacja dysponująca biegłymi astronomami, mierniczymi i inżynierami mogła uzyskać tak precyzyjną orientację budowli, aby możliwe było zmaterializowanie wizerunku bóstwa dokładnie w pożądanym momencie. Nie jesteśmy w stanie powiedzieć, kiedy nauki te po raz pierwszy ujawniły się w architekturze Chichen Itza, ponieważ świątynia Kukulkana – podobnie jak piramidy w Teotihuacan – została wzniesiona na wcześniejszej budowli, która stała dokładnie w tym samym miejscu i miała taką samą orientację.

Wiele takich „piramid-przodków” zachowało się w stanie nienaruszonym, przykryte fasadami obecnych piramid. Od lat 30. XX wieku były one poddawane intensywnym badaniom archeologicznym. Wspięliśmy się na sam szczyt stromych, przypominających raczej mroczny tunel schodów, odkrytych przez archeologów dokładnie pod współczesnymi północnymi schodami piramidy. Tam znaleźliśmy się w prostokątnej komorze, zawierającej półleżący posąg typu zwanego Chacmool, często używany jako ołtarz dla ofiar z ludzi. Za tą postacią, w mrokach drugiego pomieszczenia, można było dostrzec wspaniałą posąg pumy wyrzeźbioną w jednym kamiennym bloku i pomalowaną na czerwono. Paszcza drapieżnika była otwarta, co starożytnym Majom kojarzyło się z „wejściem do zaświatów”. Cętki na jej futrze imitowały 72 kawałki jadeitu.

Jak zobaczymy w następnych rozdziałach, w Egipcie odpowiednik pumy to lew – w postaci Wielkiego Sfinksa (który również był pomalowany na czerwono), a liczba 72 jest „ściśle wpleciona” w plan Wielkiej Piramidy.

Zagadka gwiazd w jaskiniach

Użycie liczby 72 w starożytnym Egipcie i Meksyku – oraz w wielu innych starożytnych kulturach – wywodzi się ze zjawiska astronomicznego zwanego „precesją”, które można odkryć jedynie w drodze długotrwałych i niezwykle precyzyjnych pomiarów i obserwacji.

Od jak dawna istoty ludzkie prowadzą tego rodzaju obserwacje?

W 1972 roku Alexander Marshack na podstawie datowanych metodą radiowęglową rzeźbionych fragmentów kości z epoki kamienia dowiódł, że fazy Księżyca, a być może również zimowe i letnie przesilenia, były obserwowane i precyzyjnie odnotowywane w północnej Europie już 40 000 lat temu.

Niektóre z fragmentów kości badanych przez Marshacka, z dziwnymi spiralnymi wzorami z grawerowanych punktów, pochodziły z regionu Lascaux we Francji. W grud-

niu 1995 roku astronom Frank Edge opublikował artykuł zawierający „gwiazdną interpretację” Sali Byków ze słynnej jaskini w Lascaux. Naukowcy generalnie są zgodni co do tego, że Sala Byków została namalowana mniej więcej 17 000 lat temu, to znaczy ponad 14 000 lat wcześniej, niż starożytni Grecy i Babilończycy określili i nazwali 12 znaków zodiaku. Zatem każdego, kto jest przywiązany do tej ortodoksyjnej teorii, musi niepokoić przekonująca, dokonana przez Edge’a, analiza podobieństw między zodiakalną (rzekomo dopiero grecko-babilońską) konstelacją Byka – taką, jak mogła ona wyglądać według komputerowych symulacji tuż przed świtem w dniu letniego przesilenia 15 000 roku p.n.e. – a Wielkim Bykiem z Lascaux:

Zastanówmy się przez chwilę nad znaczeniem sześciu kropek tuż nad barkami Byka z Lascaux. Porównując te punkty z Plejadami, możemy odkryć, jak silny jest związek między Bykiem z Lascaux a konstelacją Byka. Nie tylko punktów tych jest tyle samo, co widocznych gwiazd z grupy Plejad, ale także ich układ jest wiernym odbiciem układu Plejad i znajdują się one w takiej samej relacji do głowy Byka jak Plejady. Podobieństwo tego byka z epoki lodowcowej do tradycyjnego wizerunku gwiazdozbioru Byka jest tak uderzające, że jeśli znaleźlibyśmy Byka z Lascaux w średniowiecznym manuskrypcie, a nie na sklepieniu jaskini, natychmiast rozpoznalibyśmy w nim konstelację Byka.

Nosiciele niebos

Alexander Gurshtein, profesor astronomii w Mesa State College w stanie Kolorado, rozszerzył ostatnio wnioski Edge’a dotyczące Byka na inne gwiazdozbiory. W artykule opublikowanym w „Scientific American” z maja 1997 roku Gurshtein dowodzi, że „wizerunki najważniejszych gwiazdozbiorów mogą być znacznie starsze, niż dotychczas sądzono”.

Jego teoria opiera się, z grubsza rzecz biorąc, na fakcie, iż „spośród 12 znaków zodiaku tylko cztery mają rzeczywiste znaczenie w określonym czasie. Są to konstelacje, w których Słońce wschodzi w dniach wiosennej i jesiennej równonocy oraz w dniach zimowego i letniego przesilenia” (zobacz tekst w ramce na następnej stronie, „Podstawowe fakty z dziedziny astronomii”). Gurshtein wskazuje, że dzisiaj owymi czterema „nosicielami niebos” są gwiazdozbiory: Ryb, Panny, Bliźnięt i Strzelca. Jednak w czasach Babilończyków:

było zupełnie inaczej. Chybotanie osi ziemskiej [„precesja”] sprawia, że punkt, w którym Słońce wschodzi w dniach równonocy i przesilenia, przesuwa się o jeden stopień w ciągu 72 lat. I tak około 700 roku p.n.e. (kiedy podobno został odkryty zodiak) najważniejszymi gwiazdozbiorami były: Baran [w dniu wiosennej równonocy], Waga, Rak i Koziorezec. To mogłoby wyjaśnić, dlaczego Babilończycy umieścili te właśnie znaki na swoich mapach, ale po co zadali sobie tyle trudu, by nadać nazwy pozostałym? Odpowiedź możemy znaleźć, cofając się jeszcze głębiej w przeszłość. Aby wszystkie 12 znaków zodiaku miało znaczenie w czasach Babilończyków, proces nada-

wania nazw musiałyby się rozpocząć około 4400 roku p.n.e., kiedy główne konstelacje były takie same jak dzisiaj. Innymi słowy, możliwe, że Ryby, Panna, Bliźnięta i Strzelec są najstarszymi znakami zodiaku, nazwanymi już w epoce kamienia.

Symulacje komputerowe wpływu „precesyjnego” chybotania osi ziemskiej na gwiazdne tło wskazują, że przedstawiona przez Gurshteina data: 4400 rok p.n.e., jest bardzo ostrożna. Jeśli jego tok rozumowania jest prawidłowy, to musimy przyjąć, że jest to najpóźniejsza data, kiedy mógł się rozpocząć proces nadawania nazw konstelacjom, gdyż wówczas już gwiazdozbiór Bliźniąt przestał być „domem” Słońca w dniu wiosennej równonocy i w wyniku zjawiska precesji zastąpiła go w tej funkcji sąsiednia konstelacja Byka. W tej samej epoce w dniu letniego przesilenia Panne jako rządzącą konstelację zastąpił Lew, Strzelca w czasie jesiennej równonocy – Skorpion, a Ryby w czasie zimowego przesilenia – Wodnik. Natomiast jeśli cofniemy się o 1600 lat, do roku 6000 p.n.e., odkryjemy, że wówczas Słońce właśnie zaczęło swą „precesyjną” podróż przez znak Bliźniąt w dniu wiosennej równonocy – a co za tym idzie przez Panne w dniu letniego przesilenia, Strzelca – w czasie jesiennej równonocy i Ryb – w czasie przesilenia zimowego.

Z teorii Gurshteina wynika, że konstelacje te mogły być znane – w takiej samej postaci, w jakiej znamy je dzisiaj – już 6000 lat p.n.e. Jeśli to prawda, to znaczy, że zodiak nie został odkryty przez Greków ani Babilończyków. Musieli oni przejąć go jako dziedzictwo ze znacznie starszego źródła, które – przynajmniej teoretycznie – mogło wywierać wpływ również na inne starożytne kultury.

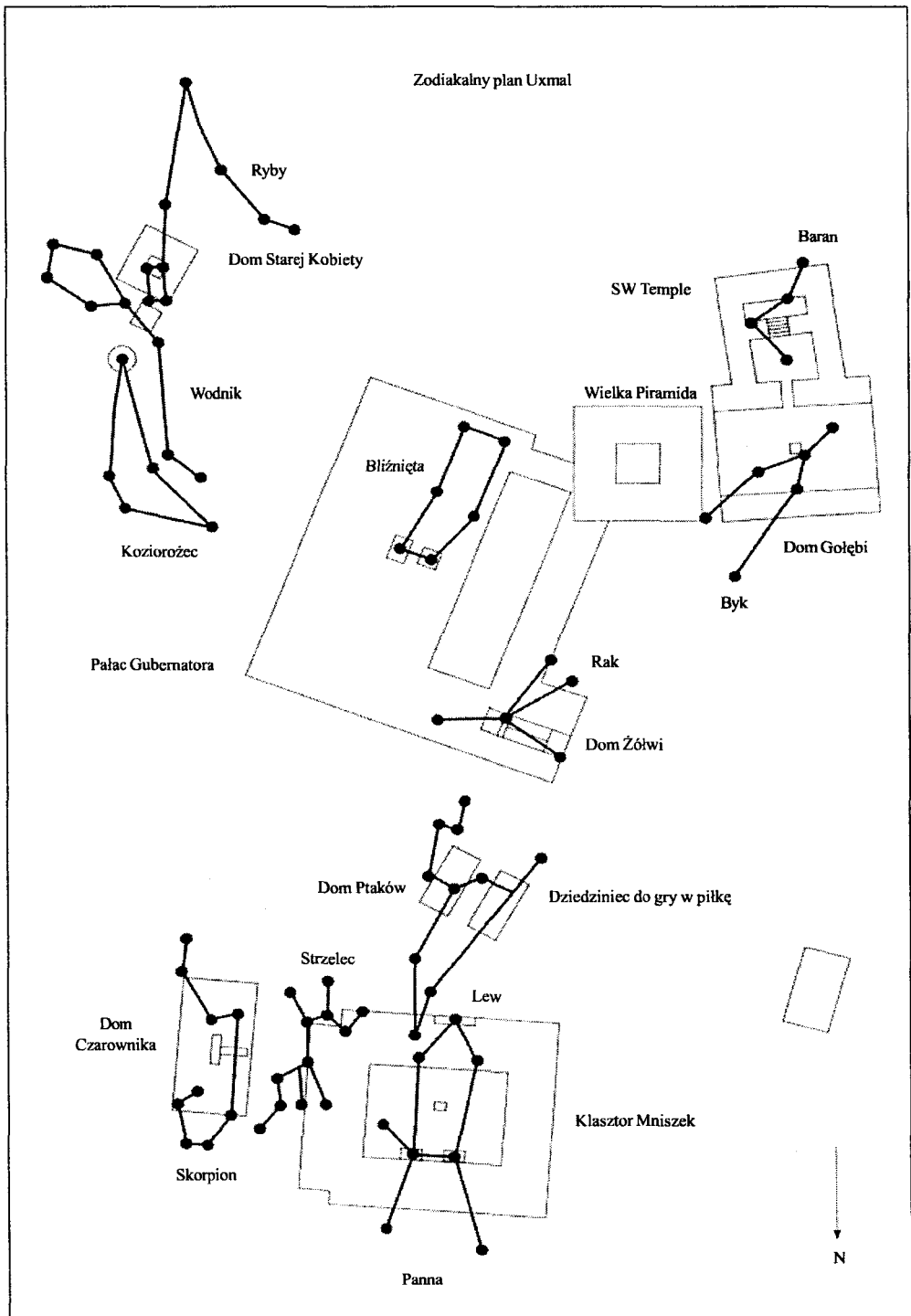
Miasta zodiaku

Na długo przed Edge'em i Gurshteinem Stansbury Hagar zwrócił uwagę na uderzające podobieństwo zodiaku zachodniego do tego, którego używali prekolumbijscy Majowie w Ameryce Środkowej. Uznał on wręcz, że „oba zodiaki są na tyle podobne, że można powiedzieć, iż oba prawdopodobnie wywodzą się z tego samego źródła, chociaż nie wiemy, gdzie i w jaki sposób doszło do komunikacji”.

Kontynuując swoje wcześniejsze prace nad „imitacją nieba” w Teotihuacan, Hagar odkrył elementy zodiakalne w planie świątyń Majów i dowiódł, że:

Wiele, a być może wszystkie miasta Majów zostały zaplanowane tak, aby odzwierciedlały na ziemi układ ciał niebieskich. (...) W czterech miejscach – Uxmal, Chichen Itza, Yaxchilan i Palenque – można rozpoznać niemal pełną sekwencję zodiakalną, a mniej lub bardziej kompletne sekwencje można zobaczyć też w wielu innych miejscach, między innymi w świątyniach i steli w Copan i Quirigua, najstarszych znanych Majowskich ruinach (...).

Najbardziej szczegółowe badania Hagar przeprowadził nad miastem Majów Uxmal, leżącym około 200 kilometrów na zachód od Chichen Itza; zaprezentował je w naukowym artykule *Zodiakalne świątynie Uxmal*, opublikowanym w 1921



Zodiakalne świątynie w Uxmal

roku. Jak pokazują nasze diagramy, zidentyfikował on świątynię położoną w pobliżu południowo-zachodniej granicy miasta jako ziemski model konstelacji Barana, tak zwany „Gołębnik” z charakterystycznym „grzebieniem” na dachu jako odpowiednik Byka, a „Pałac Gubernatorski” jako odpowiednik Bliźniąt (ponieważ „dwa węże, które zdobią jego fasadę, zajmują w zodiaku Majów miejsce odpowiadające znakowi Bliźniąt”). Poza tym „Dom Żółwi” reprezentuje Raka, centralnie położony dziedziniec do gry w piłkę to Lew, tak zwany „Klasztor Mniszek” – Panna, „Dom Kapłanów” – Waga, „Dom Ptaków” – Strzelec, a charakterystyczna „Piramida Czarownika” jest odpowiednikiem Skorpiona; Koziorożca, Wodnika i Ryby reprezentują trzy świątynie położone w pobliżu południowo-wschodniej granicy miasta.

Ten wielki kosmiczny schemat był, jak pisze Hagar:

oparty na wierze, że wszystko na tym świecie jest cieniem czy też odbiciem doskonałej rzeczywistości istniejącej w królestwie niebios. Dlatego naśladowanie zaobserwowanego planu nieba sprowadza na ziemię jakąś część niebiańskiej doskonałości. Świątę, zaprojektowane na wzór niebios, miasto uczestniczy w tej doskonałości i udziela swoim mieszkańcom dobroczynnych wpływów gwiazd.

Gwiazdne miasto Oriona

Oprócz zidentyfikowanego przez Hagara zodiakalnego szablonu istnieje miasto Majów wzorowane na konstelacji nie należącej do zodiaku. Miastem tym jest Utatlan, ostatnia stolica (1150-1524 r. p.n.e.) postklasycznych Majów Quiche na wyżynach Gwatemali. Majowie Quiche byli autorami księgi mądrości znanej jako *Popol Vuh* – księgi zawierającej liczne zagadkowe wzmianki o „łądzie-ziemi” i „niebie-ziemi” jako swoich wzajemnych odbiciach czy też imitacjach. Dlatego nie budzi zdziwienia fakt, ustalony przez archeologów José Fernandez, Roberta Cormacka i innych, iż „rdzeń miasta Utatlan” został zaprojektowany „zgodnie z niebiańskim schematem odzwierciedlanym przez kształt konstelacji Oriona”. Fernandez dowiódł także, iż wszystkie ważniejsze świątynie Utatlan „były zorientowane na punkty heliakalnego zachodu gwiazd Oriona”, i twierdził, że Mleczna Droga, w pobliżu której znajduje się Orion, była uważana za niebiański szlak łączący pępek firmamentu ze środkiem zaświatów.

Z pewnością ogromne znaczenie w tym kontekście ma fakt dobrze znany naukowcom. Mianowicie Orion był ściśle związany z wierzeniami Majów dotyczącymi odrodzenia, w których gwiazdozbiór ten jest niczym innym jak „miejscem stworzenia”. Trzy jasne gwiazdy pasa Oriona są wielokrotnie opisywane w *Popol Vuh* jako trzy kamienie wprawione w „serce świata” albo jako „żółw odrodzenia”. *Kodeks Madrycki* zawiera trzy sceny, w których drzewo Boga Kukurydzy, symbolizujące kosmiczną oś, wyrasta z grzbietu żółwia. Jak zobaczymy w części III, niemal identyczna symbolika pojawia się w reliefach w Angkor Wat w Kambodży, gdzie bóg Wisznu w swoim żółwym wcieleniu nosi na grzbiecie oś wszechświata,

reprezentowaną przez Górę Mandera, kiedy „wzburza Ocean Mleka”, aby wytworzyć eliksir nieśmiertelności. W Egipcie natomiast, jak zobaczymy w części II, gwiazdozbiór Oriona uważano za niebiański wizerunek Ozyrysa, boga odrodzenia, a trzy gwiazdy pasa Oriona stanowiły astronomiczny prototyp, na którego wzór rozmieszczono na ziemi trzy wielkie piramidy w Gizie. I tym razem lokalizację tę uważano za „miejsce stworzenia”.

W grobowcu Senmuta w Górnym Egipcie gwiazdozbiorowi Oriona, łatwemu do rozpoznania dzięki trzem charakterystycznym gwiazdom pasa, towarzyszą wizerunki dwóch żółwi, które Majowie kojarzyli z Orionem i odrodzeniem.

Na malowidle ściennym w Świątyni Liściastego Krzyża w Majowskim mieście Palenque w prowincji Chiapas możemy zobaczyć Drogę Mleczną przedstawioną jako kukurydza wyrastająca w „miejscu stworzenia w pobliżu Oriona”. Drogę Mleczną flankują dwie postacie – ducha Pana Pacala, dawnego zmarłego władcy Palenque, oraz jego syna i następcy Chan-Bahluma. Kiedy ojciec wstępuje do niebios, syn przekształca się ze „statusu dziedzica w króla”. Równocześnie jest zrozumiałe samo przez się, że czyn i rytuały odprawiane przez syna są niezbędne dla osiągnięcia przez ojca odrodzenia wśród gwiazd. Jednym z wniosków wypływających z tego malowidła jest to, że ojciec został w pewnym sensie zrodzony przez własnego syna – tę ideę David Friedel, Linda Schele i Joy Parker nazwali „wielką i najważniejszą tajemnicą religii Majów”.

Niezmiernie dziwne jest, że niemal identyczna tajemnica leży u podstaw starożytnego egipskiego kultu odrodzenia – gdzie Ozyrys odgrywa rolę przekształcającego się ojca, a Horus jest rodzącym synem. W Egipcie, podobnie jak u Majów, gwiazdny kontekst obejmuje Oriona i Mleczną Drogę. W Egipcie, tak jak w Meksyku, zmarły musi podjąć podróż przez zaświaty. W Egipcie, podobnie jak w Meksyku, religia uczyła, że życie daje możliwość przygotowania się do tej podróży – możliwość, której pod żadnym pozorem nie wolno zaprzepaścić.

Bez precedensu

Takie zbieżności każą nam się domyślać, że elementy starożytnego rytuału odrodzenia – przybrane w wyrafinowane obserwacje astronomiczne i wywodzące się ze znanego na całym świecie systemu kosmologicznego, którego ślady można znaleźć między innymi w Egipcie i w południowo-wschodniej Azji – są obecnie rozproszone po całym Meksyku. System ten uczący dualizmu i interpretacji nieba i ziemi – ducha i materii – zalecał wtajemniczonym oderwanie się od świata zmysłów (tak jak wyrzuca się połamane flety) i wzniesienie się w górę, poprzez ofiarę z samego siebie i poszukiwanie mądrości, do królestwa w niebiosach.

Nie ulega wątpliwości, że wszystkie wczesne cywilizacje Ameryki Środkowej podzielały takie idee. Problem polega na tym, że naukowcy nie mają pojęcia, skąd się te idee wywodziły. Po prostu istniały one, już w pełni wykształcone, na samym początku rozwoju Majów, gdy budowano Teotihuacan. Nic nie ma wcześniejszych faz rozwoju – nie tylko aspekty duchowe i kosmologiczne, ale także

sprawy tak przyziemne, jak na przykład imponujący plan miasta Teotihuacan. Jak zauważył profesor Michael Coe: „Najdziwniejsze chyba w tym ogromnym założeniu miejskim jest to, że nie ma on w Nowym Świecie absolutnie żadnego precedensu”.

Również Majowie byli pod każdym względem bezprecedensowi – za sprawą swoich wzniosłych duchowych wierzeń, dzięki zapierającym dech w piersiach dokonaniom w dziedzinie architektury oraz niebywałym talentom astronomów. A jednak najtrudniejszy do wyjaśnienia jest ich zadziwiająco precyzyjny kalendarz, nazwany przez historyka nauki Ottona Neugebauera „jednym z najbardziej urodzajnych wynalazków ludzkości”.

Kalendarz ten dostarcza największego bogactwa szczegółów na temat wielkiego schematu epok świata, w którym nasza epoka nosi nazwę Piątego Słońca. Jest on niewiarygodnie skomplikowanym dziełem, zawierającym bardziej dokładne obliczenie długości roku solarnego niż współczesny kalendarz gregoriański, dokładne obliczenia czasu obiegu Księżyca wokół Ziemi i czasu synodalnego obrotu Wenus. Jednak w przeciwieństwie do innych wynalazków Majów ich kalendarz nie jest zupełnie pozbawiony precedensu. Wręcz przeciwnie – obecnie naukowcy przyjęli, że jasno wynika z inskrypcji, iż dokładnie ten sam system stosowali Olmekowie – tak zwana „kultura-matka” Ameryki Środkowej.

Problem jednak polega na tym, że nie mamy właściwie żadnych informacji na temat pochodzenia Olmeków. Nawet nazwa tego ludu jest sztucznym tworem, została im nadana przez archeologów, którzy szczerze przyznają, że „faza proto-olmecka pozostaje zagadką (...), nikt naprawdę nie wie, w jakim czasie i w jakim miejscu kultura olmecka przybrała swoją, tak charakterystyczną, formę”.

Co niepokojące, wszystkim, co łączy nas z tym odległym w czasie i przestrzeni ludem, jest kilkaset niezwykle kamiennych przedmiotów, które Olmekowie wykonali, a następnie celowo ukryli, by przetrwały upływ czasu. Przedmioty te są zaiste nadzwyczajne.

Wniebowstąpienie węża

Dzień zbliżał się już ku końcowi, kiedy staliśmy w cieniu olbrzymiej „olmeckiej głowy” z La Venta, liczącego 3500 lat stanowiska, nad którym góruje dziwna stożkowa piramida o żłobkowanych ścianach, obecnie poważnie zniszczona za sprawą rozwijającego się przemysłu.

Głowa, która została wraz z tuzinem innych równie niezwykle rzeźb uratowana z La Venta, jest wykuta w jednym masywnym bloku szarego granitu. Jest to głowa starego człowieka, o wyraźnie afrykańskich rysach. Ma 2,5 metra wysokości, 2 metry szerokości i waży ponad 20 ton. Jej wargi są pełne i grube, nos szeroki i płaski, wyraźnie zarysowane oczy są wpatrzone w przestrzeń, na wprost. Rzeźbiarz dał jej charakterystyczne nakrycie głowy, zaznaczone w reliefie pasami przypominającymi pofałdowany materiał, który opada za uszami poniżej policzków. Podobieństwo tej głowy do Wielkiego Sfinksa w Gizie jest uderzające.

Ortodoksyjni historycy nie biorą pod uwagę możliwości pojawienia się jakichkolwiek Afrykanów w Ameryce przed Kolumbem i usiłują ignorować wyraźnie afrykańskie rysy liczących 3000 lat olmeckich głów – których, jak dotąd, odkryto 16. Możemy przynajmniej uznać, że archeologia nie zna rasizmu, gdyż przedstawiciele rasy kaukaskiej ponoć również nie dotarli do Ameryki przed Kolumbem! Dlatego właśnie naukowcy rozmyślnie udzielają wykrętnych odpowiedzi na temat mitu Quetzalcoatl o wysokim brodatym człowieku i odrzucają wszelkie sugestie na temat tego, iż właśnie do niego mogłyby nawiązywać niezliczone reliefy przedstawiające kaukazoidalne twarze, odkrywane na najstarszych stanowiskach archeologicznych Meksyku. Na terytorium olmeckim znajdowano je w tych samych warstwach co głowy o afrykańskich rysach, czasami tuż obok nich, ale wizerunki kaukazoidów znaleziono także w Monte Alban na południowym zachodzie, stanowisku z okresu między 1000 a 600 rokiem p.n.e.

Jak wspomnieliśmy w poprzednim rozdziale, w roku 1996 i 1997 odkrycie w Ameryce kości ludzi rasy kaukaskiej sprzed 9000 lat nieoczekiwanie potwierdziło wiarygodność mitu o Quetzalcoatl. Dlatego też wydaje się uzasadnione pytanie, ile czasu minie, zanim któryś z archeologów odkopie kości ludzi, którzy byli pierwowzorem gigantycznych olmeckich głów?

Głowy te, podobnie jak inne dziwne olmeckie rzeźby, nie mają żadnych poprzedników; nie potrafimy w żaden sposób wyjaśnić ich istnienia. Jak zauważył archeolog L.A. Parsons: „Nie znaleziono żadnych poprzedników olmeckich kamiennych rzeźb (...). Jestem przekonany, że nigdy nie uda się nam ich znaleźć w Ameryce Środkowej”.

Wśród tych osieroconych dzieł sztuki znajdują się najstarsze znane wizerunki upierzonego węża, Quetzalcoatl, oplatającego postać człowieka. Przywodzi to na myśl fakt, że w mitach nahuatl „pierzaty wąż (...) jest symbolem niebiańskiego pochodzenia człowieka”. Co jeszcze ważniejsze, obecność upierzonego węża na olmeckich zabytkach mówi nam, że związany z Quetzalcoatlem kult odrodzenia i duchowej odnowy, wraz z całą symboliką, był znany w Ameryce Środkowej co najmniej od około 1500 roku p.n.e., kiedy, jak się uważa, zaczęła się rozwijać cywilizacja Olmeków.

Architektura związana z tym kultem zawsze obejmowała piramidy – znajdujące się już w La Venta – które niezmiennie uważano za „bramy do zaświatów” i kojarzono z „porządkowaniem ziemi i nieba”. Około 2500 roku p.n.e., jak zobaczymy w części drugiej, głoszący niemal identyczne idee kult rozwijał się w Egipcie, w miejscu zwanym Ra-setau, co znaczy „brama do zaświatów” – w świętym okręgu Wielkiej Piramidy.

Podstawowe fakty z dziedziny astronomii

Słońce generalnie zawsze wschodzi „na wschodzie”, lecz nie zawsze pojawia się w tym samym punkcie wschodniego horyzontu. Niczym wskazówka gigantycznego zegara powoli przesuwa się wzdłuż horyzontu w ciągu roku solarnego, z każdym kolejnym świtem wstając nieco bardziej w lewo (na północ od wschodu), a następnie

w przeciwnym kierunku – i tak w nieskończoność. Pełny cykl, od południowego skrajnego punktu do północnego i z powrotem do południowego, trwa pełny rok.

W ciągu roku mamy cztery niezmiernie ważne momenty, z którymi niegdyś związane było mnóstwo religijnych ceremonii na całym świecie. We współczesnym zachodnim kalendarzu momenty te odpowiadają następującym datom:

- Grudniowe przesilenie (21 grudnia, środek zimy i najkrótszy dzień na północnej półkuli), kiedy Słońce osiąga najdalej na południe położony punkt w swojej rocznej trasie.
- Marcowa równonoc (21 marca, początek wiosny na północnej półkuli), kiedy Słońce wschodzi dokładnie na wschodzie, a dzień i noc są równej długości.
- Czerwcowe przesilenie (21 czerwca, środek lata i najdłuższy dzień na północnej półkuli), kiedy Słońce osiąga najdalej na północ położony punkt w swojej rocznej trasie.
- Wrześniowa równonoc (21 września, początek jesieni na północnej półkuli), kiedy Słońce wschodzi dokładnie na wschodzie (tak samo jak poprzednio w marcu), a dzień i noc są równej długości (również jak w marcu).

Każdy z „głównych momentów” odpowiada konkretnemu punktowi na orbicie Ziemi wokół Słońca. Północny biegun naszej planety, której oś jest odchylona o 23,5 stopnia od pionu, znajduje się najdalej od Słońca 21 grudnia, najbliżej Słońca 21 czerwca, zaś 21 marca i 21 września jest ustawiony dokładnie bokiem.

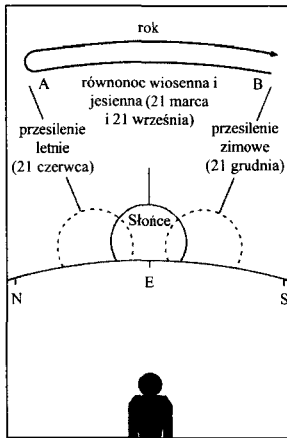
Ziemia okrąża Słońce w odległości 146 milionów kilometrów, po płaszczyźnie otoczonej bezkresem przestrzeni kosmicznej i dalekimi gwiazdami. Ponieważ żyjemy na planecie o kształcie kuli, nic dziwnego, że uważamy tę przestrzeń za wielką sferę, w której środku się znajdujemy. Sferę tę zdobi około 2000 gwiazd, w niektórych częściach gęściej, w innych rzadziej, jednak obecnych wszędzie.

Pas owych gwiazd, który starożytni astronomowie podzielili na 12 znaków zodiaku, leży w płaszczyźnie orbity ziemskiej. Jeśli wyobrazimy sobie orbitę jako kolistą linię kolejową, to ów pas znaków zodiaku byłby szeregiem stacji położonych wzdłuż torów.

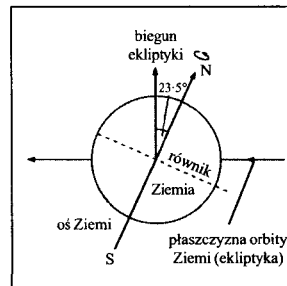
Oczywiście, że kiedy Ziemia przesuwa się wzdłuż orbity, Słońce znajduje się między nią a kolejno każdą ze „stacji” – tzn. każdym z 12 znaków zodiaku. W rezultacie obserwator na Ziemi odnosi wrażenie, że Słońce wschodzi na tle gwiazdnych wizerunków, które powoli zmieniają się w ciągu roku, spędzając mniej więcej miesiąc w każdym z „domów” zodiaku.

W większej skali czasu istnieje astronomiczne zjawisko zwane „precesją”. Polega ono na bardzo powolnym chybotaniu osi ziemskiej, a w jego efekcie dla obserwatorów na Ziemi pas zodiaku równie wolno przesuwa się względem punktu wschodu Słońca. W rezultacie w każdej z epok cztery główne konstelacje wyznaczają kardynalne punkty równonocy i przesilenia tylko czasowo. W wyniku owego ruchu precesyjnego, który odbywa się w tempie jednego stopnia na 72 lata, kardynalne punkty Słońca znajdują się w każdej z konstelacji przeciętnie przez 2160 lat. Zatem pełen cykl przejścia głównych punktów Słońca przez wszystkie 12 znaków zodiaku trwa niecałe 25 920 lat.

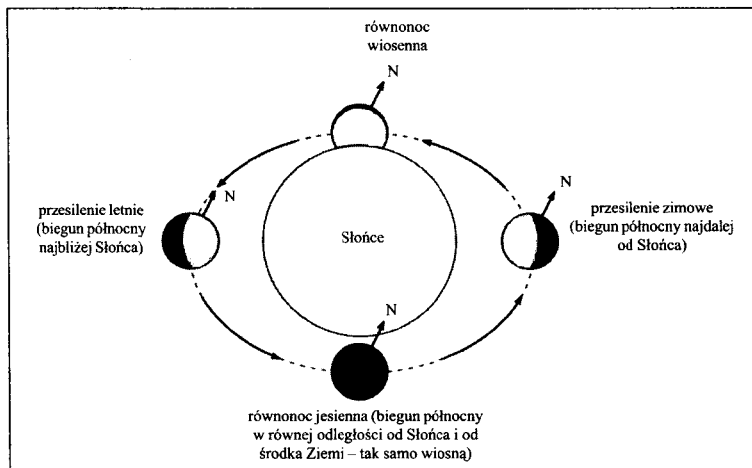
1. Pozycja wschodzącego Słońca w ciągu roku.
2. Nachylenie osi ziemskiej.
3. Położenie Ziemi w czasie obiegu wokół Słońca w czterech głównych punktach w ciągu roku.
4. Punkt wschodu i pozorna droga Słońca w czterech głównych punktach w ciągu roku, wyznaczające długość dnia (przedstawione tylko dla północnej półkuli).
5. Konstelacja, na której tle wschodzi Słońce, zmienia się co miesiąc w wyniku obiegu Ziemi wokół Słońca.
6. Wschód Słońca w znaku Lwa.
7. Miesiąc później wschód w znaku Panny.
8. W wyniku cyklu precesyjnego gwiazdne tło, na którym wschodzi Słońce o określonej porze roku, „cofa się” w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara z prędkością jednego stopnia na 72 lata.



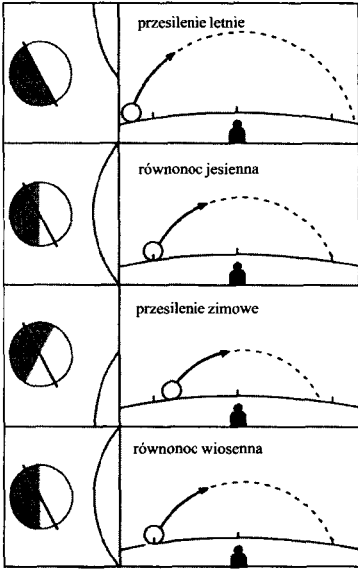
1



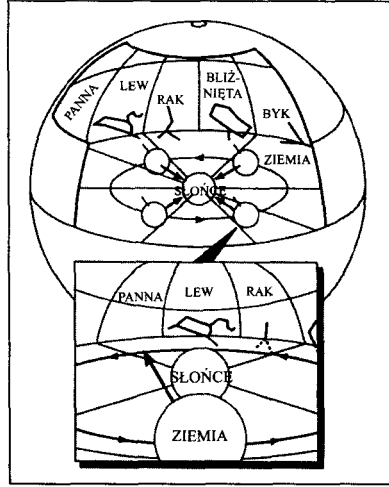
2



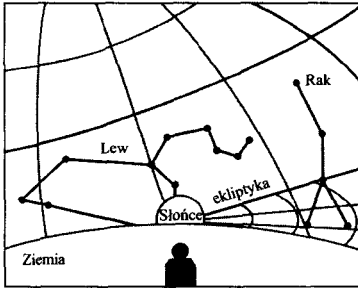
3



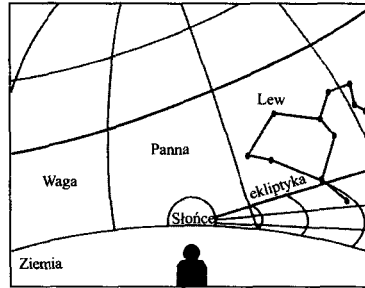
4



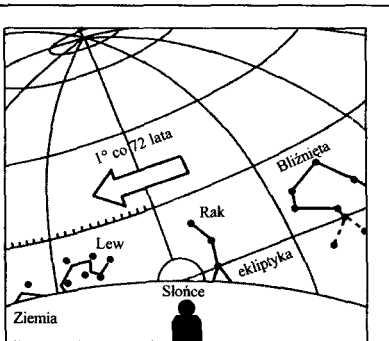
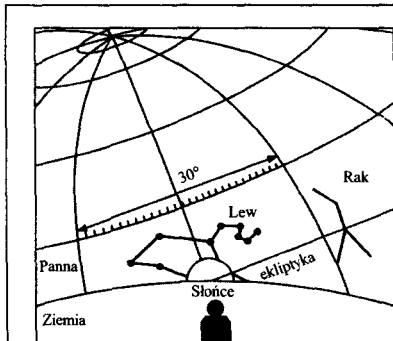
5



6



7



8

Część druga

Egipt

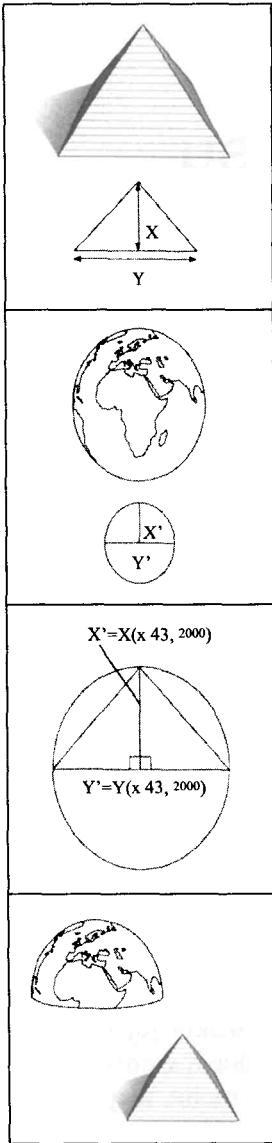
Sanktuaria kosmosu

Dotarliśmy na szczyt Wielkiej Piramidy tuż po wschodzie słońca, 21 marca 1996 roku, w dniu wiosennej równonocy. Po zachodniej stronie cień budowli sięgał daleko w pustynię – cień o tak ostrych konturach, jakby był rzucony przez gnomon wielkiego zegara słonecznego. Po wschodniej stronie, u podstawy piramidy, widzieliśmy szereg romboidalnych zagłębień wykutych w skale – były to komory zawierające niegdyś ceremonialne drewniane łodzie. Po południowej stronie podstawy znajduje się ohydny współczesny budynek tak zwanego Muzeum Łodzi, zawierający nietkniętą łódź długości 43,53 metra, znaną w pobliżu piramidy. Dalej na południowym wschodzie, przytłoczony dwiema archaicznymi megalitycznymi świątyniami, leżał Wielki Sfinks, z przednimi łapami wyciągniętymi w stronę horyzontu, symbol tajemnic starożytności.

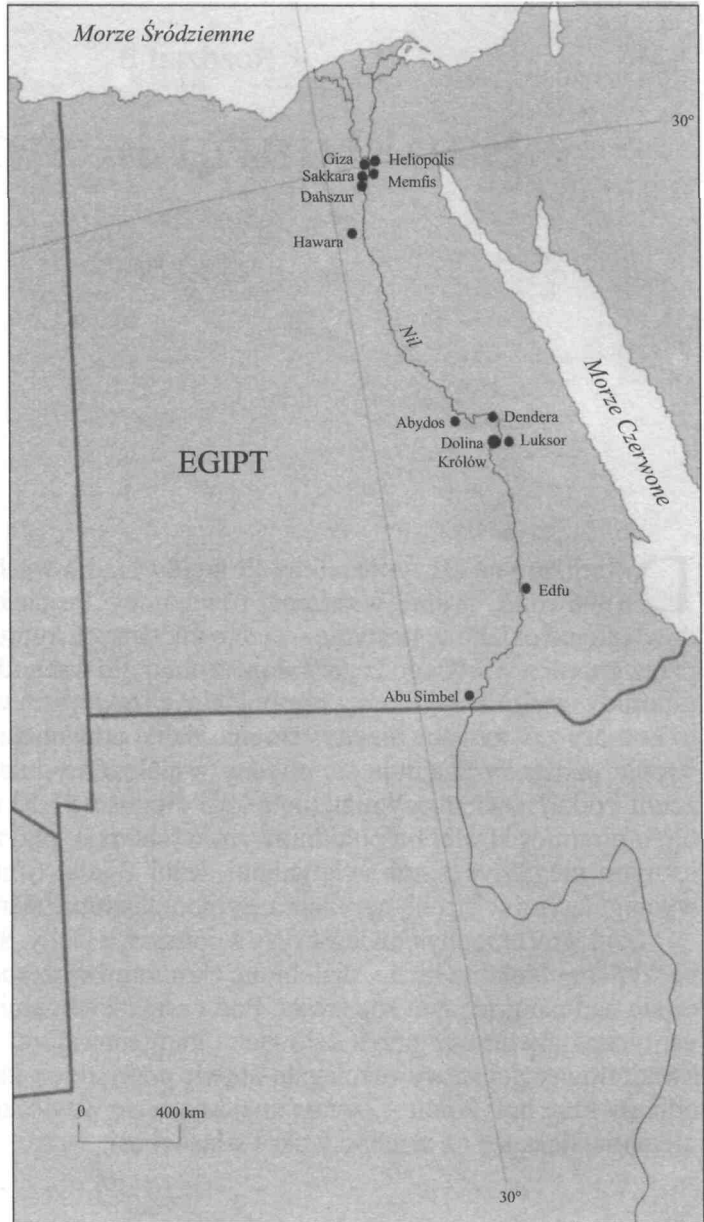
Czuliśmy chłodny powiew bryzy z północy, z Deltę. Spojrzeliśmy w górę i zobaczyliśmy błękitne niebo, ozdobione chmurami wczesnego poranka, zamykające się nad nami niczym soczewka. Pod naszymi stopami piętrzyła się w górę gigantyczna stworzona przez człowieka kamienna góra, zaś wokół jej rozległej kwadratowej podstawy rozciągała się we wszystkich kierunkach ziemia, aż po odległy krąg horyzontu – Ziemia znajdująca się w wiecznym ruchu, nieprzerwanie obracająca się na wschód wokół własnej osi.

Miniaturowy model

Giza, przez starożytnych Egipcjan zwana Ra-setau, „bramą do zaświatów”, ma w sobie coś, co skłania do rozmyślenia o kosmosie. Jeśli znajdziesz się nocą u stóp piramid, stań w takim miejscu, aby wyraźnie widoczna gwiazda znalazła się dokładnie nad wierzchołkiem jednej z nich, a w ciągu 10 minut zauważysz skutek ruchu obrotowego Ziemi, bowiem wtedy gwiazda nie będzie się już znajdowała dokładnie nad piramidą, lecz wyraźnie przesunie się na zachód. Podobnie, jeśli



Wielka Piramida jako model północnej półkuli



staniesz wieczorem na szczycie piramidy, a twój kolega u jej podnóża, to za sprawą krzywizny powierzchni Ziemi zobaczy on zachód słońca wcześniej niż ty.

Historycy czasami zastanawiają się, czy starożytni wiedzieli, że Ziemia jest kulą. Zazwyczaj dochodzą do wniosku, że nie wiedzieli, przynajmniej do czasów Greków. Czy zatem może być wyłącznie dziełem przypadku, że wysokość Wielkiej Piramidy pomnożona przez 43 200 daje wynik bardzo bliski współczesnym



Schodkowa piramida Quetzalcoatla/Kukulkana w Chichen Itza



Obserwatorium astronomiczne w Chichen Itza. Wąskie okna i drzwi wyznaczają dokładne linie wskazujące punkt zachodu Słońca w dniu równonocy, położenie Wenus w punkcie maksymalnego i minimalnego oddalenia od Ziemi, punkt zachodu Słońca w dniach przesileń, punkt wschodu Słońca w dniu letniego przesilenia oraz południowy meridian nieba. Astronomowie Majów mogli być spadkobiercami wcześniejszej tradycji obserwacji astronomicznych

Kamienny ołtarz przed Świątynią Wojowników, na którym składano ofiary z ludzi





Tikal, największe miasto Majów

Pałac w Sayil, wspaniały przykład architektury Majów





Świątynia w Monte Alban, centrum religijnym Zapoteków



Kamienna olmecka głowa z La Venta wykuta około 1200 roku p.n.e.; ma ponad 2,5 metra wysokości i waży ponad 20 ton



Olmecka głowa z La Venta z około 1500 roku p.n.e. Negroidalnych rysów nie wyjaśnia najczęściej wysuwana teoria o zaludnieniu kontynentu amerykańskiego



Zachodnia fasada piramidy Quetzalcoatl, Pierzastego Węża, w Teotihuacan



Aztecki kamienny kalendarz przedstawiający Pięte Słońce, symbol epoki współczesnej jego twórcom. Ofiary z ludzi miały „odnowić” starzejące się Słońce i odwrócić zapowiedziany koniec świata. Kalendarz jest przykładem zaawansowanej wiedzy astronomicznej, którą Aztekowie odziedziczyli po wcześniejszej cywilizacji kwitnącej w Dolinie Meksyku tysiące lat przed ich przybyciem



Teotihuacan, ceremonialne centrum Azteków. Z lewej strony 70-metrowa Piramida Słońca, z prawej Droga Umarłych. Amerykański inżynier Hugh Harleston dowiódł na podstawie ponad 9000 pomiarów, że wielkie budowle Teotihuacan zostały wzniesione na planie siatki, a siatka ta została wyznaczona przez architekta używającego standardowej jednostki długości 1,05946 metra, zwanej STU



Złota ozdoba aztecka. Takie motywy symbolizowały starożytne wierzenia, że świat ziemski jest odbiciem porządku nieba



Piramidy w Gizie są tak usytuowane, by wskazywać cztery kierunki świata. Wielka Piramida wyznacza północ bardziej precyzyjnie niż meridian na kopule Obserwatorium Greenwich. Co więcej, układ piramid odzwierciedla układ trzech gwiazd Pasa Oriona w roku 10 500 p.n.e.



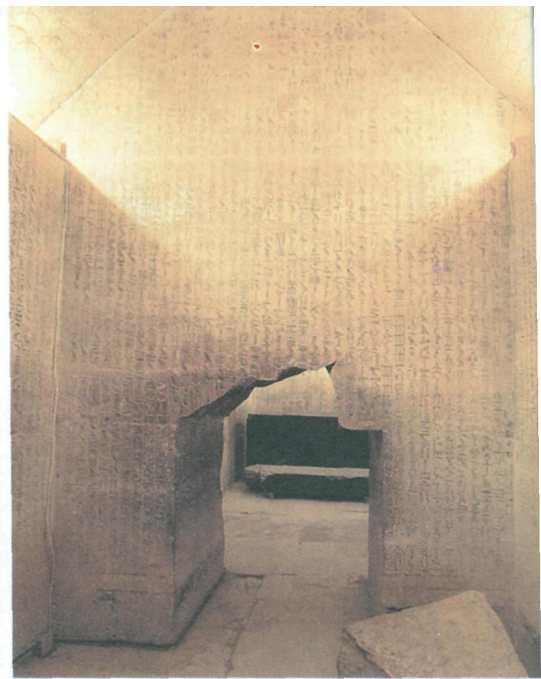
Statek znaleziony podczas wykopalisk u podnóża Wielkiej Piramidy ma konstrukcję okrętów morskich



Rampy i schody prowadzące do sanktuarium spomiędzy lasu kolumn świątyni w Abydos wzniesionej przez Setiego I i jego syna Ramzesa II, zwanego Wielkim



Ozyrys z dwoma symbolami Oka Horusa stojący przed ołtarzem

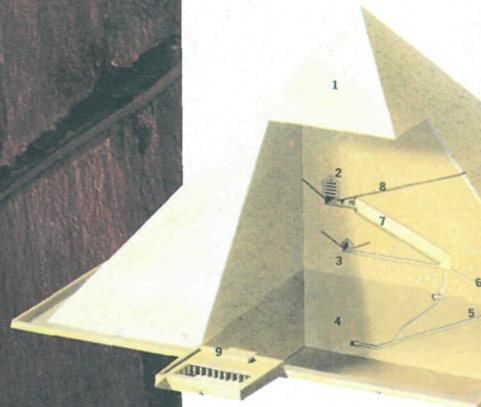


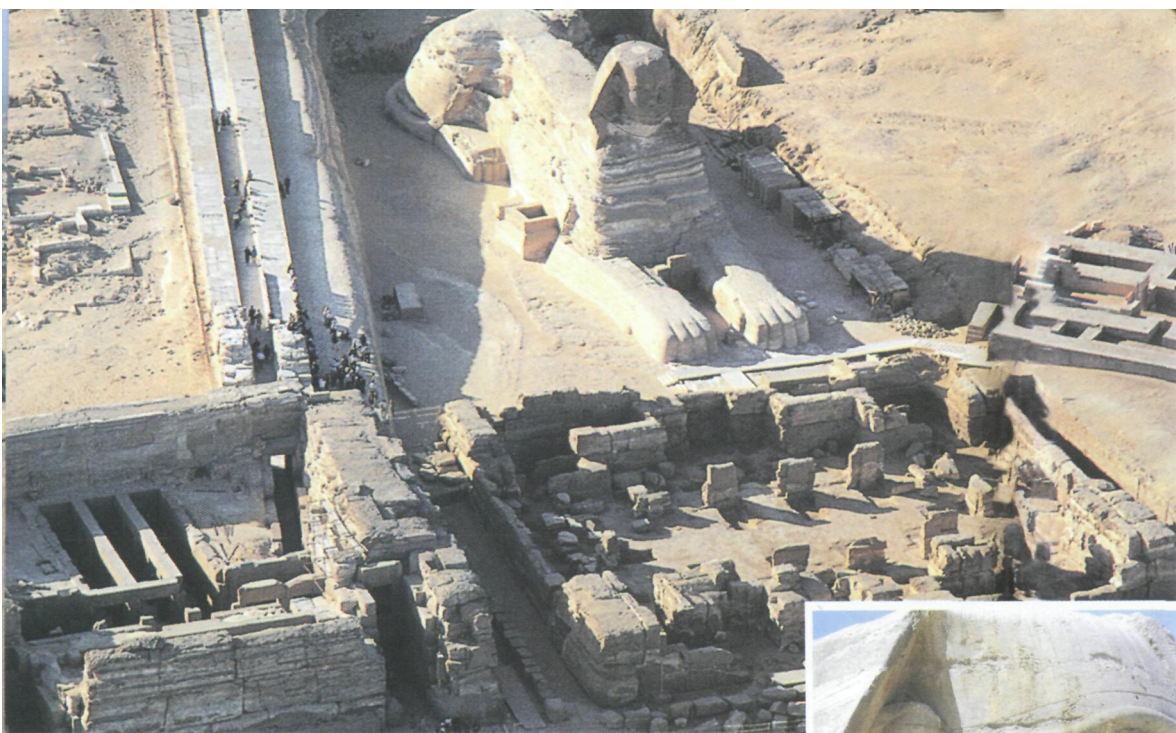
Komora grobowa piramidy Unisa, faraona V dynastii, w Sakkarze. Na suficie przedstawiono gwiazdy, na ścianach wyryto *Teksty Piramid*, najstarsze znane teksty pisane

Wielka Galeria Wielkiej Piramidy w Gizie

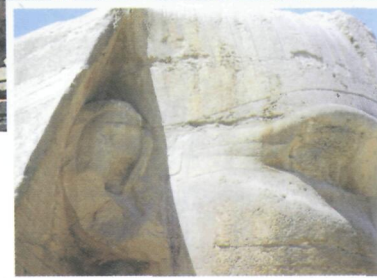


1. Wielka Piramida
2. Komora Króla
3. Tzw. Komora Królowej
4. Nie ukończona komora
5. Korytarz opadający
6. Korytarz wstępujący
7. Wielka Galeria
8. Szyb „wentylacyjny”
9. Świątynia grobowa





Wielki Sfinks i jego megalityczne świątynie. Świadcstwa geologiczne sugerują, że te budowle mogą być o tysiące lat starsze niż twierdzą egiptolodzy



Fascynujący Sfinks. Jakie sekrety i jaką wiedzę kryje?

Na reliefie ze świątyni w Abydos faraon Seti I pokazuje swemu synowi Ramzesowi II listę wszystkich królów Egiptu aż do Menesa, założyciela I dynastii. Wryta na przeciwległej ścianie lista cofa się aż do czasów prehistorycznych, wymieniając imiona Następców Horusa – a przed nimi bogów – którzy na początku rządili Egiptem. Następcy Horusa są nazywani przez tradycję „założycielami Heliopolis” i „tajemniczymi nauczycielami z niebios”



danym na temat długości polarnego bieguna Ziemi, a obwód podstawy piramidy, pomnożony również przez 43 200 jest niemal równy długości równika? Naukowcy przyjmują do wiadomości istnienie tej proporcji, lecz twierdzą, że nie można jej przypisywać jakiegokolwiek znaczenia: „Czy naprawdę mamy przyjąć, że to jest jakieś przesłanie, a nie zupełnie przypadkowe liczby?”.

Tym, co każe nam przypuszczać, że mamy do czynienia z przesłaniem, albo w każdym razie z próbą przekazania komunikatu, jest liczba 43 200; liczba ta nie jest przypadkowa, lecz została matematycznie wyprowadzona z „precesji” osi ziemskiej. Wspominaliśmy już w rozdziale drugim, że to powolne cykliczne chybota nie powoduje zmianę położenia gwiazd z prędkością jednego stopnia na 72 lata (a zatem pełen obrót o 360 stopni trwa 25 920 lat). Najbardziej znanym wynikiem tego zjawiska jest pozorne stopniowe przemieszczanie się 12 gwiazdozbiorów zodiaku w stosunku do punktu wschodu słońca w dniu wiosennej równonocy, dzięki czemu każda konstelacja jest „domem” Słońca w tym szczególnym dniu przez 2160 lat.

Rytm tego procesu wyznacza liczba 72 – tyle, ile lat wymaga precesyjny obrót o jeden stopień. Sześćset takich okresów daje liczbę 43 200 – występującą w proporcji piramid.

Zapomniana nauka?

Czy Wielka Piramida jest matematycznym modelem północnej półkuli Ziemi, celowo zbudowanym w skali wyprowadzonej z charakterystycznego dla Ziemi ruchu – czyli precesji jej osi?

Naukowcy głównego nurtu nie chcą „tracić czasu” na rozważanie astronomicznych i geodezyjnych właściwości Wielkiej Piramidy – ani innych starożytnych budowli. Być może wynika to z faktu, że zwolennicy ortodoksyjnej teorii uważają naszych dalekich przodków za zbyt głupich, aby mogli prowadzić dokładne obserwacje astronomiczne i geodezyjne. Co więcej, jak zauważył John Michael, w ludzkiej naturze leży to, że akademickie autorytety starają się „bronić swego terytorium”, uparcie wybierając raczej „swoją własną obraz prymitywnej starożytności niż jakiegokolwiek fakty, które mogłyby go obalić”.

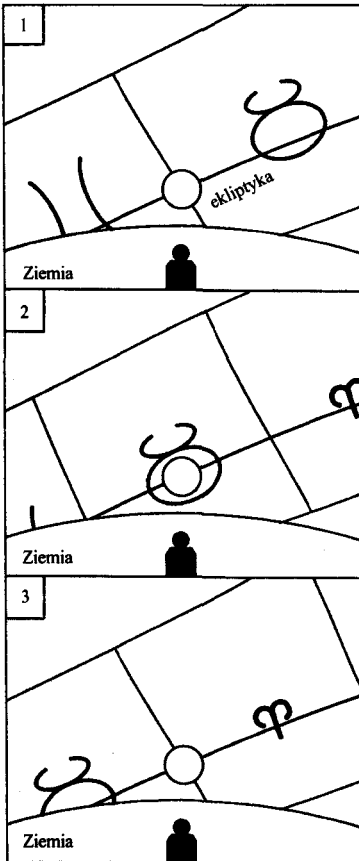
Efekty astronomicznego zjawiska precesji i prędkość, z jaką ono zachodzi, odkrył ponoć jako pierwszy grecki astronom Hipparch około 100 roku p.n.e. i podobno ludzkość nigdy wcześniej nie zdawała sobie sprawy z jego istnienia. Ta opinia, chociaż ciągle podawana jako niezbity fakt w encyklopediach i podręcznikach, wydaje się już niemożliwa do podtrzymania w obliczu coraz większej liczby dowodów – z których część przedstawiliśmy w poprzednich rozdziałach – dotyczących obserwacji gwiazdozbiorów zodiakalnych prowadzonych w epoce kamienia.

Takie dowody „historycznych anomalii” po raz pierwszy potraktowali poważnie dr Hertha von Dechend z uniwersytetu we Frankfurcie i zmarły Giorgio de Santillana, profesor historii nauki w Massachusetts Institute of Technology. W swoim

obszernym studium *Hamlet's Mill*, opublikowanym w 1969 roku, dowodzili oni, że na naszym świecie istniał wielki korpus wiedzy astronomicznej już 6000 lat przed Wergiliuszem (czyli około 6000 roku p.n.e.) i że wiedza ta obejmowała precyzyjne opisy – utrzymane w konwencji mitologicznej – zjawisk astronomicznych, które, jak dowiodły współczesne obliczenia astronomiczne, miały miejsce około 6000 roku p.n.e. Niebywała dojrzałość owych konwencji, nawet w tak wczesnej epoce, nie dawała spokoju Santillanie i von Dechend, którzy w końcu i z ociąganiem przypisali pochodzenie tej wiedzy „jakiejś niemal niewiarygodnie starej cywilizacji”, która „po raz pierwszy ośmieliła się rozumieć świat jako stworzony zgodnie z liczbą, miarą i wagą”. Tych dwoje naukowców oszpeciło, że ich zdaniem owa kultura wywarła ogromny wpływ na późniejsze kultury, tak od siebie odległe jak egipska i indyjska, grecka i meksykańska. W jakiś sposób, zanim jeszcze zaczęto myśleć o czymś takim jak historia, rozwinęła się „bezlitosna metafizyka” – „imponująca ogromem” teoria kosmologiczna, która „powiększała umysł niemal nie do zniesienia, nie niszcząc przy tym roli człowieka w kosmosie”.

Jednym z najbardziej przekonujących dowodów istnienia tej zaginionej duchowej i astronomicznej kultury jest fakt, iż dokładne wartości związane z precesją, w postaci określonych liczb, można znaleźć w większości starożytnych tradycji ludzkości. Zawarte w nich wartości i użyta symbolika są tak spójne, że autorzy chcąc nie chcąc doszli do wniosku, iż natrafili na ślady zapomnianej nauki – zaszyfrowanej wiedzy posługującej się własnym technicznym językiem – „wielkiej, obejmującej cały świat konstrukcji”, na której szczątkach „osiadł już pył wieków, kiedy Grecy weszli na scenę”.

Musi minąć 36 lat, zanim tak zwany przez astronomów „punkt wiosenny” (czyli „adres” Słońca na tle gwiazd w dniu wiosennej równonocy) przesunie się o pół stopnia wzdłuż pasa zodiaku, zaś przemieszczenie o cały stopień trwa 72 lata. Ponieważ w ciągu dnia światło słoneczne całkowicie przyćmiewa gwiazdy, starożytni astronomowie mogli prowadzić obserwacje tylko w ciągu godziny tuż przed świtem, patrząc w kierunku wschodniego horyzontu, kiedy można dostrzec gwiazdy, na których tle wschodzi Słońce. Powodowane przez precesję przesunięcie o jeden stopień, trwające 72 lata – całe ludzkie życie, jest ledwie zauważalne, odpowiada mniej więcej szerokości palca wskazującego na



Za sprawą precesji co 2160 lat zmienia się znak zodiaku, na którego tle Słońce wschodzi w dniu wiosennej równonocy

tle horyzontu. Natomiast przesunięcia o 30 stopni – o jedną zodiakalną konstelację – nie sposób nie zauważyć, ale odnotowanie tego ruchu wymaga obserwacji prowadzonych przez wiele pokoleń (30 stopni z prędkością jednego stopnia na 72 lata daje 2160 lat). Przesunięcie o 60 stopni, czyli o dwie konstelacje zodiakalne, zajmuje 4320 lat ($2160 \times 2 = 4320$), a pełen obrót o 360 stopni trwa 25 920 lat.

Oto podstawowe składniki szyfru liczbowego, nazwijmy go „kodem precesyjnym”, który, jak wykazali de Santillana i von Dechend – na setkach stron drobiazgowo udokumentowanych dowodów – jest obecny w starożytnych mitach i architekturze sakralnej na całym świecie. Podobnie jak inne ezoteryczne systemy numerologiczne, kod ten pozwala na dowolne przesuwanie przecinka w ułamkach dziesiętnych i wykorzystuje wszelkie możliwe kombinacje, permutacje, wielokrotności, podziały i ułamki pewnych istotnych liczb (zawsze odnoszących się bardzo precyzyjnie do proporcji precesji równonocy).

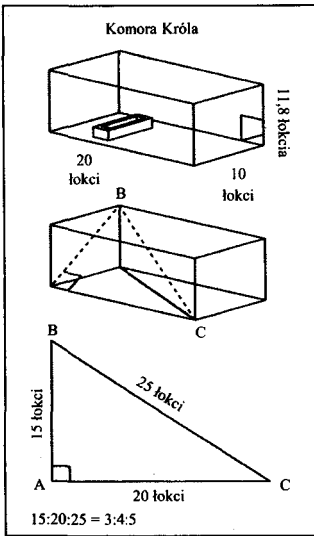
„Rządzącą” liczbą tego kodu jest 72. Często dodawano do niej 36, uzyskując wynik 108, zaś 108 można podzielić na 2 i otrzymać 54 – co z kolei można pomnożyć przez 10 i wyrazić jako 540 (albo 54 000, albo 540 000, albo 5 400 000 itd.). Bardzo znacząca jest też liczba 2160 (czyli liczba lat, jakiej wymaga przejście punktu wiosennego przez cały pas zodiaku). Można ją podzielić przez 10, uzyskując 216, albo pomnożyć przez 10 i wielokrotności tej liczby, otrzymując 216 000, 2 160 000 itd. Liczbę 216 często też mnożono przez 2, otrzymując 4320 – albo 43 200, albo 432 000, albo 4 320 000 i tak dalej.

Inne elementy

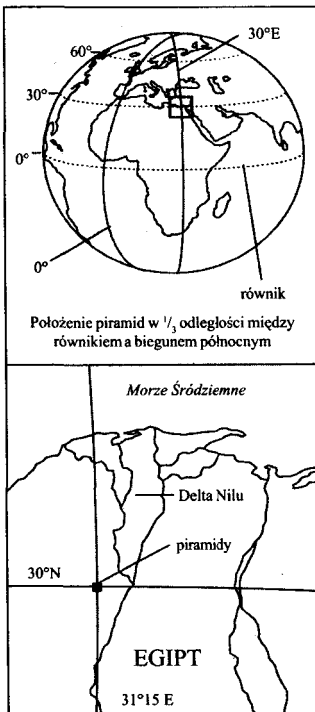
Dowody przedstawione przez de Santillanę i von Dechend dostarczają możliwego wyjaśnienia skali 1:43 200, w jakiej zbudowano Wielką Piramidę jako model Ziemi. Co więcej, jak można się spodziewać, jeżeli rzeczywiście są architektonicznym wyrazem „kodu precesyjnego”, budowle w Gizie zawierają wiele innych elementów precesyjnych, astronomicznych i geodezyjnych.

Na przykład liczbę 216 można znaleźć, bardzo przemyślnie zaszyfrowaną, w samym sercu Wielkiej Piramidy, w trójkącie utworzonym przez trzy podstawowe wymiary tak zwanej Komory Króla. To surowe, pozbawione jakichkolwiek inskrypcji pomieszczenie z czerwonego granitu, w którym nigdy nie znaleziono zwłok żadnego faraona, ma plan prostokąta o stosunku boków dokładnie 2:1, mierzącym 20 egipskich łokci królewskich długości i 10 łokci szerokości (10,46 m x 5,23 m). Jak pokazuje nasz diagram, komora ta „zawiera” także trójkąt prostokątny, którego krótszym bokiem (15 łokci) jest przekątna węższej ściany od dolnego południowo-zachodniego narożnika do górnego północno-zachodniego narożnika. Dłuższą przeciwprostokątną tego trójkąta (20 łokci) jest cała długość podłogi po południowej stronie komory, przeciwprostokątną zaś (25 łokci) – przekątna całej komory, łącząca górny północno-zachodni narożnik z dolnym południowo-wschodnim.

Długości boków wynoszące 15, 20 i 25 łokci można wyrazić jako proporcję 3:4:5 (ponieważ jeśli przypiszemy wartość 3 długości 15 łokci, to automatycznie 20 łokci



Trójkąt prostokątny zawarty w wymiarach Komory Króla w Wielkiej Piramidzie



Długość i szerokość geograficzna piramid – łączący w jednej trzeciej odległości między równikiem a biegunem północnym

będzie odpowiadało 4, a 25 łokci – 5). Wszystkie trójkąty prostokątne, których boki odpowiadają proporcji 3:4:5 nazywa się „pitagorejskimi” – od imienia Pitagorasa, greckiego filozofa, matematyka i nauczyciela religijnego z VI wieku p.n.e., który podobno jako pierwszy odkrył, że wszystkie takie trójkąty mają tę samą ciekawą właściwość. Otóż jeśli długość krótszego boku podniesioną do kwadratu (3 jednostki x 3 jednostki = 9 jednostek) dodamy do kwadratu długości dłuższego boku (4 jednostki x 4 jednostki = 16 jednostek), otrzymamy wartość równą długości przeciwprostokątnej podniesionej do drugiej potęgi (5 jednostek x 5 jednostek = 25 jednostek, czyli suma 9 + 16). Prawdziwa magia tego trójkąta ujawnia się jednak dopiero, jak zauważył islandzki matematyk Einar Palsson, gdy podniesiemy długości boków do trzeciej potęgi.

Otrzymujemy wówczas:

$$3 \times 3 \times 3 = 27$$

$$4 \times 4 \times 4 = 64$$

$$5 \times 5 \times 5 = 125$$

Suma 27 plus 64 plus 125 daje nam precesyjną liczbę 216 i naszym zdaniem nie znalazła się ona w wymiarach Komory Króla przypadkowo.

Podobnie wiele innych geodezyjnych i astronomicznych cech Wielkiej Piramidy wydaje się wynikiem celowych przemyślanych działań i obliczeń jej budowniczych, a nie dziełem przypadku. Na przykład piramidy leżą na 30 równoleżniku – na 30 stopniu szerokości geograficznej północnej – a zatem dokładnie w jednej trzeciej odległości między równikiem a biegunem północnym naszej planety. Z podobnie zadziwiająco precyzyjnie ich północne boki są zwrócone dokładnie ku biegunowi północnemu, południowe dokładnie na południe, wschodnie – na wschód, a zachodnie na zachód. Wielka Piramida została wręcz tak dokładnie zorientowana zgodnie z kierunkami geograficznymi, że jej oś południkowa jest odchylona od prawdziwej osi północ-południe zaledwie o 3/16 stopnia.

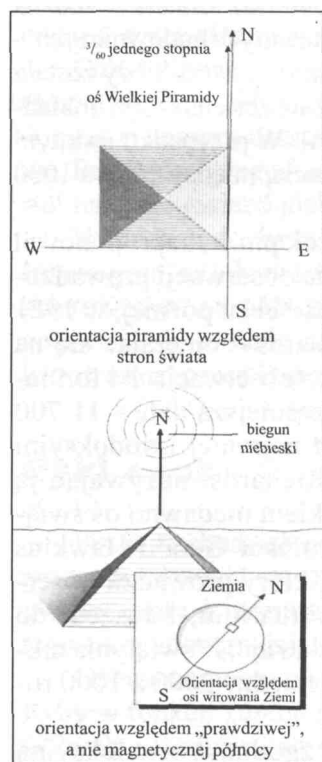
Warto także dodać, że nie mówimy tutaj o kierunkach kompasowych, związanych z magnetycznym biegunem północnym. „Prawdziwa oś północ-południe” oznacza geograficzne bieguny, północny i południowy, naszej planety – punkty, przez które przechodzi oś

wirowania Ziemi. Normalnie ustalenie prawdziwej północy polega na obserwacji gwiazd leżących w pobliżu północnego „bieguna niebieskiego” (czyli punktu na północnej półkuli nieba, obecnie wyznaczonego przez Gwiazdę Polarną, leżącego dokładnie na przedłużeniu osi Ziemi). Oprócz tego obserwacja gwiazd na południowej półkuli pozwala astronomom ustalić dokładnie oś północ-południe, ponieważ gwiazdy te leżą dokładnie na południe od obserwatora w czasie „kulminacji” – czyli wtedy, gdy znajdują się w najwyższym punkcie, jaki osiągają na niebie – każdej nocy na południku. Precyzja położenia i orientacji Wielkiej Piramidy każe przypuszczać, że przy jej planowaniu musiały być prowadzone obserwacje zarówno północnych, jak i południowych gwiazd. Ponadto nie ulega wątpliwości, że tak precyzyjne obserwacje mogli prowadzić wyłącznie doskonali astronomowie. Czy naprawdę nie mamy podstaw przypuszczać, że tacy specjaliści mogli wiedzieć o tajemniczym zjawisku precesji – i że umieli przewidzieć jej efekty?

Obserwatoria astronomiczne

Na granicy górnoegipskiego miasta Luksor, na wschodnim brzegu świętej rzeki Nil, 26 stopni na północ od równika ogromna centralna sala świątyni Amnana-Re w Karnaku wyznacza wąską, prostą jak strzała, długą na blisko kilometr oś, odchylającą się dokładnie 26 stopni na południe od wschodu i 26 stopni na północ od zachodu. Egipcjolodzy uważają, że to niezwykle dzieło architektury, wznoszone przez wielu faraonów w II tysiącleciu p.n.e., pełniło wyłącznie funkcje ceremonialne. A jednak, kiedy staliśmy na zachodnim krańcu tej osi i spoglądaliśmy na wschód przez kilka kolejnych świtów w okolicy dnia zimowego przesilenia w grudniu 1995 roku, zauważyliśmy, że co ranka punkt wschodu słońca coraz bardziej zbliżał się do osi, wzdłuż której patrzyliśmy. Na trzy tygodnie przed przesileniem dysk słoneczny był widoczny na osi sali dopiero wtedy, gdy znajdował się już na wysokości około 15 stopni nad horyzontem; jednak 21 grudnia, w najkrótszym dniu roku, wschodzące słońce pojawiało się niemal dokładnie na osi, „koronując” odległą ceremonialną bramę.

Zdaniem dziewiętnastowiecznego brytyjskiego astronoma sir J. Normana Lockyera nie jest to dziełem przypadku, gdyż wszystkie główne świątynie starożytnego Egiptu „niezależnie od tego, co powiedzielibyśmy o sprawowanych w nich kultach czy odprawianych ceremoniach, zostały ponad wszelką wątpliwość skonstruowane jako obserwatoria astronomiczne – pierwsze obserwatoria na świecie, o jakich wiemy”. W swoim klasycznym studium *The Dawn of Astronomy* (Świt astronomii) (1894) Lockyer

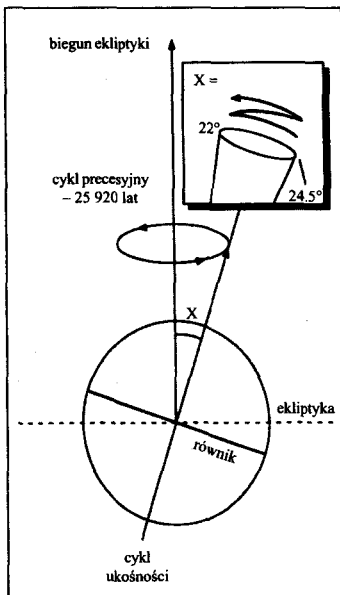


Orientacja Wielkiej Piramidy według stron świata wyznaczonych przez oś Ziemi

zwrócił szczególną uwagę na świątynię Amona-Re w Karnaku i stwierdził, że jej oś została celowo skierowana na punkty przesilen (punkt wschodu słońca w dniu zimowego przesilenia na południowym wschodzie i punkt zachodu słońca w dniu letniego przesilenia na północnym zachodzie) i dlatego „można powiedzieć, iż tysiące lat temu starożytni Egipcjanie doskonale znali przesilenia i (...) mniej lub bardziej dokładnie znali przebieg słońca w ciągu roku”.

Błysk w sanktuarium

Swoimi praktycznymi obserwacjami astronomicznymi Lockyer zasiał ziarno sporu, który miał trwać bardzo długo. Stało się tak, ponieważ całoroczna trasa Słońca, od punktu jego wzejścia najdalej na południe od wschodu w dniu zimowego przesilenia do punktu zajścia najdalej na północ od zachodu w dniu letniego przesilenia nie jest stała i niezmienna, lecz ulega powolnym, niemal niezauważalnym zmianom w bardzo długich okresach. Zmiany te, których nie należy mylić z astronomicznym cyklem precesji, odpowiadają rzeczywistym zmianom nachylenia osi Ziemi w stosunku do płaszczyzny jej orbity – zjawisko to jest nazywane „cyklem ukośności”, a jego pełen przebieg trwa niezmiernie długo, bo niemal 40 000 lat. Ponieważ zmiany te można matematycznie obliczyć, to – jeśli zaufamy dokładności starożytnych budowniczych – w oparciu o miarę kąta, o jaki odchyłona jest oś świątyni, da się ustalić, kiedy została ona zaprojektowana (to znaczy ustalić rok, w którym była ona zorientowana dokładnie na punkt wschodu i zachodu słońca w dniach przesilen). W przypadku świątyni w Karnaku możliwe są daty 11 700 p.n.e., 3700 p.n.e. i trzecia, między 2000 a 1000 rokiem p.n.e.



Cykl nachylenia osi ziemskiej

Tę drugą datę, 3700 rok p.n.e., zaproponował sam Lockyer na podstawie obserwacji prowadzonych w 1891 roku. Trzydzieści lat później, w 1921 roku, astronom F.S. Richards – opierając się na znacznie precyzyjniejszych obserwacjach i formułach – zaproponował wcześniejszą datę – 11 700 p.n.e. Odrzucili ją nawet najmniej ortodoksyjni badacze – a także sam Richards, nazywając ją „śmiesznie odległą”. Całkiem niedawno oś świątyni w Karnaku badał profesor Gerald Hawkins ze Smithsonian Institute, który prowadził obserwacje z kaplicy nad sanktuarium, i doszedł do wniosku, że orientacja wskazuje, iż świątynia musiała zostać zaplanowana między 2000 a 1000 rokiem p.n.e.

Data Hawkinsa jest zgodna z ortodoksyjną egiptologiczną chronologią, ale trud, jaki sobie zadał, by ją osiągnąć, prowadząc obserwację z poziomu znacznie wyższego niż poziom ziemi, musi

budzić sceptycyzm. Jak zauważył Norman Lockyer, ós Karnaku należy uznać za ogromny „instrument” – w pewien sposób podobny do teleskopu – mający za zadanie „skupienie światła i przeniesienie go (...) w głąb świątyni, do sanktuarium, tak aby raz w roku (...) światło przeszło bez przeszkód przez całą długość świątyni”. Lockyer podkreśla przy tym, że zjawisko to miało miejsce na poziomie ziemi „dokładnie w momencie wschodu słońca” i że jego efektem był „błysk” w sanktuarium, który byłby widoczny prawdopodobnie nawet „przez kilka minut”.

Zarówno teoria, jak i obserwacje są dość przekonujące. Ale jeśli Lockyer ma rację, to datą, na którą wskazuje cykl ukośności, jest rok 11 700 p.n.e., jak to obliczył w 1921 roku F.S. Richards.

Dendera i jej zodiaki

150 kilometrów na północ od Karnaku stoi ptolemejska świątynia w Dendera, poświęcona Hathor, bogini wiedzy i miłości, kojarzonej z nocnym niebem. Ta wspaniała budowla, wzniesiona w I wieku p.n.e., jest blisko trzykrotnie starsza od najstarszych gotyckich katedr. Zachowała się w zadziwiająco dobrym stanie, wraz ze startymi od częstego używania wewnętrznymi schodami, prowadzącymi w górę, przez ciemne, chłodne korytarze wewnątrz murów, na dach.

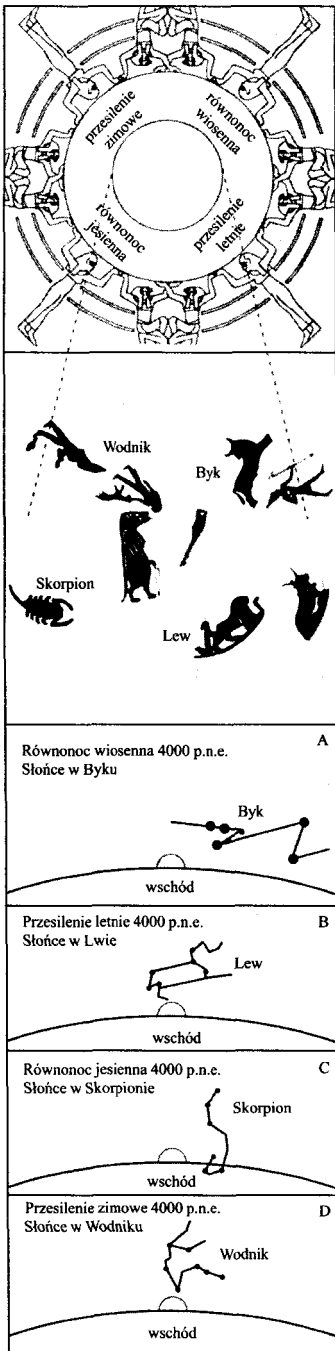
Cała świątynia jest pokryta polichromowanymi reliefami o żywych barwach, które przedstawiają całe symboliczne bogactwo figur astronomicznych i zawierają między innymi dobrze nam znane 12 znaków zodiaku i boga-gwiazdę: „Ozyrys, Pan Podwójnego (...), Orion, który kroczy po swoich Obydwu Krajach, który stoi na czele gwiazd nieba”.

Wchodząc do świątyni przez potężny westybul z 24 kolumnami, spojrzeliśmy w górę, na tak zwany kwadratowy zodiak z Dendera, z gwiazdozbiorem Lwa skierowanym na północ po zachodniej stronie sklepienia. W kaplicy na dachu pojawiają się te same zodiakalne figury, tym razem w kolistym układzie zaprojektowanym przez kogoś, kto dobrze znał zjawisko precesji.

Cykl epok

Punkt wschodu słońca w dniu wiosennej równonocy był tradycyjnie uważany przez starożytnych za „najważniejszy moment roku”, a charakter każdej astrologicznej epoki determinowała zodiakalna konstelacja, w której słońce wschodziło tego szczególnego dnia.

Obecnie żyjemy w „przededniu ery Wodnika”, kiedy to Wodnik ma zastąpić Ryby w funkcji „domu słońca” w dniu wiosennej równonocy. Oznacza to także, że kiedy już zacznie się nowa epoka, wschód słońca w dniu jesiennej równonocy (21 września) będzie miał miejsce w Lwie (obecnie w Pannie), w dniu przesilenia zimowego (21 grudnia) w Skorpionie (obecnie w Strzelcu), a w dniu letniego przesilenia (21 czerwca) w Byku (obecnie w Bliźniętach).



Zodiak z Dendera, przedstawiający konstelacje w kardynalnych punktach 4000 roku p.n.e.

Innymi słowy, każda kolejna era astronomiczna ma swoje własne, charakterystyczne koordynaty, na które składają się dwie pary zodiakalnych konstelacji, znajdujących się w opozycji do siebie w głównych momentach roku. Wszystkie razem tworzą zadziwiający kosmiczny mechanizm, rodzaj tańca wokół równonocy i przesileń, w którym Wodnik jest zawsze parą Lwa, Skorpion – Byka, Ryby – Panny, zaś Strzelec – Bliźnięt. Pozostałe cztery znaki (Baran-Waga i Koziorożec-Rak) również stanowią pary, tak że gdy mechanizm się przesuwa, przesuwa się wszystko.

Te bliźniacze pary konstelacji były głównym obiektem zainteresowania profesora Alexandra Gurshteina – który cofnął wiek zodiaku co najmniej do VI tysiąclecia p.n.e. W starożytnych mitach często były one personifikowane jako „strażnicy” lub „nosciciele” niebios, a na kolistym zodiaku z Dendera przedstawiono je jako kobiece postacie z uniesionymi w górę rękoma.

Co dziwne – chociaż świątynia w Dendera została zbudowana w I wieku p.n.e., na początku ery Ryb, pozycja owych postaci wcale nie odzwierciedla nieba ery Ryb. Nie przedstawia też – co ewentualnie można by zrozumieć – nieba poprzedniej ery, kiedy słońce w dniu wiosennej równonocy wschodziło w znaku Barana. Zodiak z Dendera przedstawia niebo w „konfiguracji Wodnika” – niebo, którego główne „noscicielki” stoją w parach pod konstelacjami Lwa-Wodnika i Byka-Skorpiona.

Symulacje komputerowe (patrz diagramy) wskazują, że taka konfiguracja była charakterystyczna dla epoki od mniej więcej 4380 do 2200 roku p.n.e., kiedy wiosennej równonocy patronował gwiazdozbiór Byka, zaś Lew wyznaczał letnie przesilenie. Wprawdzie w I wieku p.n.e. epoka ta była już zamierzchlą starożytnością, ale wiemy, że przez egipskich kapłanów Dendera była związana ze znacznie dawniejszymi czasami. Jedna z inskrypcji w świątyni informuje nas nawet, że pierwotne plany tej budowli pochodzą z „pierwotnej epoki”. Zostały one podobno znalezione „w starych tekstach spisanych na zwierzęcej skórze w czasach Towarzyszy Horusa”.

Edfu

Przez całe 3000 lat swojej spisanej historii starożytni Egipcjanie wyznawali pogląd, że żadne miejsce nie było święte, o ile nie zostało zbudowane na fundamentach wcześniejszego świętego miejsca. Tradycję tę doskonale wyraża wielka świątynia Horusa – słonecznego bóstwa, którego rodzicami byli bogowie gwiazd: Izyda (Syriusz) i Ozyrys (Orion) – stojąca na zachodnim brzegu Nilu w Edfu w Górnym Egipcie. W swej cudownie zachowanej formie, jaką możemy oglądać dzisiaj, świątynia ta nie jest bardzo stara, w każdym razie jak na egipskie standardy, ponieważ główną jej część zaczęto budować dopiero w 237 roku p.n.e., i kontynuowano z przerwami aż do 57 roku p.n.e. W każdym razie naukowcy doskonale wiedzą, że w Edfu są widoczne ślady znacznie wcześniejszej działalności budowlanej. Na przykład wewnętrzne i zewnętrzne mury otaczające świątynię pochodzą z czasów Starego Państwa (2575-2134 p.n.e.), a nieco późniejszy mur biegnący wokół zewnętrznego datuje się na Pierwszy Okres Przejściowy (2134-2040 p.n.e.). Znane są też szczątki innych konstrukcji z czasów Drugiego Okresu Przejściowego (1640-1532 p.n.e.) i Nowego Państwa (1550-1070 p.n.e.).

Krótko mówiąc, archeologia mówi nam, że Edfu, jako miejsce o znaczeniu sakralnym, było nieustannie rozbudowywane przez ponad 2000 lat – od co najmniej III tysiąclecia p.n.e. do przełomu er. Te dowody potwierdza niesłychana dokładność wielkiej „biblioteki” zapisanych informacji, która przetrwała do naszych czasów w postaci wielu metrów kwadratowych hieroglificznych inskrypcji na wapiennych murach samej świątyni. *Teksty Budowlane z Edfu* wielokrotnie nazywają świątynię kopią wcześniejszego, doskonałego oryginału oraz wspominają o różnych etapach budowy i przebudowy, poprzedzających obecną konstrukcję. Teksty te odbiegają od danych archeologicznych pod jednym względem – ram czasowych, które wykraczają poza znaną nam historię i cofają się do zapomnianej epoki, tysiące lat przed tym, jak pierwszy faraon pierwszej dynastii zasiadł na tronie Egiptu. Jak dowiodła dr Eve Reymond z uniwersytetu w Liverpoolu, Egipcjanie wierzyli, że:

(...) Kształt historycznej świątyni był zdeterminowany przez wcześniej istniejącą konstrukcję o mitycznym charakterze (...). Świątynia ta jest, w ścisłym sensie, ucieleśnieniem swojej poprzedniczki (...), „uczyniona na wzór tego, co było w jej planach z początku”.

Teksty nazywają sanktuarium historycznej świątyni prawdziwą boską Wielką Siedzibą Pierwszego Razu i wielokrotnie nawiązują do starożytnych ksiąg i pism, na których podobno opierali się budowniczowie, projektując świątynię. Dokumenty te, jak się wydaje, Egipcjanie otrzymali jako dziedzictwo legendarnej epoki, którą nazywali „Pierwszym Razem” (albo „epoką pierwotną”, „czasami Ozyrysa”, lub „czasami Horusa” itd.). Była to epoka, w zamierzchłej przeszłości, kiedy grupa boskich istot, niekiedy nazywanych „siedmioma mędrkami”, niekiedy „bogami-budowniczymi”, osiedliła się w Egipcie i założyła „święte wzgórza” w różnych miejscach wzdłuż Nilu. Wzgórza te miały służyć jako podstawa i wyznaczać

orientację zbudowanych w przyszłości świątyń. Co więcej, jak jasno wynika z tekstów w Edfu, rozwój tych miejsc miał doprowadzić ni mniej, ni więcej, tylko do „wskrzeszenia dawnego świata bogów” – świata, który został doszczętnie zniszczony. Dowiadujemy się też, że ta zaginiona kraina, „ojczyzna pierwotnych”, była „wyspą, którą częściowo pokrywały trzciny, stojącą w ciemności pośród pierwotnych wód (...)”. Możemy też przeczytać, że „stworzenie świata zaczęło się na tej wyspie” i że właśnie tam „zostały założone pierwsze domy bogów”. Jednak w pewnym momencie w czasie owej pierwotnej epoki ten błogosławiony „dawny świat” został zatopiony, nieoczekiwanie i całkowicie, przez wielką powódź, większość jego „boskich mieszkańców” utonęła, a „domy bogów” znalazły się pod wodą.

Zaświaty

Stwierdzenie, że świątynia – czy też dawny świat – może się odrodzić, dzisiaj brzmi dla nas dziwnie, ponieważ nasza cywilizacja zwykła myśleć o czasie jako o zjawisku liniowym, a nie cyklicznym. Lecz w starożytnym Egipcie wizerunek czasu jako odwiecznego węża, nieustannie połykającego własny ogon, warunkował wszelkie myśli o przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Dlatego też Egipcjanom nie było trudno uwierzyć, że każde życie, świadoma dusza, i każda charakterystyczna „epoka” Ziemi będzie bez końca powracać do istnienia. Co więcej, same świątynie również uważano za żywe istoty, pochodzące od wspólnego przodka – „świątyni, która nigdyś istniała – jak pisze Reymond – w zamierzchłej przeszłości predynastycznego Egiptu”. Dodaje też:

Tradycja Edfu, a prawdopodobnie także tradycje wielu innych świątyń, najwyraźniej uważały tę odległą w czasie świątynię za dzieło samych bogów, w którym dokonano się stworzenie Ziemi.

Zgodnie z cyklicznymi ramami czasowymi tekstów z Edfu ta „odległa w czasie świątynia”, o której wspomina Reymonds powinna być kopią jeszcze starszego archetypu. Z inskrypcji dowiadujemy się, że kiedy bogowie zaczęli ją budować, wzorowali się na „miejscu, istniejącym zanim świat został stworzony”. Miejsce to nazywano „Duat en-Ba”, czyli „zaświaty duszy”. Na jego położenie – na niebie, jak dowiedzimy w następnym rozdziale – wskazuje pewien dziwny szczegół dotyczący orientacji świątyni w Edfu, który dotarł do nas za pośrednictwem *Tekstów Budowlanych*. Interesująca nas inskrypcja głosi, że świątynia nie została zorientowana na punkt wschodu czy też zachodu słońca, lecz że jest zorientowana „od Oriona na południu do Wielkiej Niedźwiedzicy na północy”. Inna inskrypcja potwierdza obraz, jaki zaczął się nam już rysować, oznajmiając, że świątynię zbudowano zgodnie z planem, „który spadł z nieba”.

W Sali Podwójnej Prawdy

Na zachodnim brzegu Nilu, naprzeciwko Luksoru i Karnaku, znajduje się dziwna i piękna świątynia w Deir el-Medina – podobnie jak Edfu i Dendera powstała w ostatnich dniach wielkiej niegdyś cywilizacji starożytnego Egiptu. Poświęcona w III wieku p.n.e. Maat, egipskiej bogini kosmicznej równowagi, ma ściany pokryte hieroglificznymi tekstami wyrażającymi starożytne idee religijne i duchowe.

Główna oś świątyni przebiega wzdłuż linii południowy wschód – północny zachód. Przez bramę w południowo-wschodnim murze wchodzimy na dziedzińiec, zdominowany przez cztery bogato zdobione kolumny z roślinnymi kapitelami. Mijając je, docieramy do centralnej sali, na której końcu znajduje się troje drzwi prowadzących do trzech osobnych kaplic. Kaplica położona najdalej na południe, choć na pierwszy rzut oka wydaje się ciemna i niezbyt interesująca, zawiera pięknie rzeźbioną i niemal w całości zachowaną scenę psychostazy, czyli ważenia duszy (z greckiego *psyche* = dusza, czyli serce, i *stasis* = waga).

Poświęciliśmy nieco czasu, by dokładniej przyjrzeć się tej scenie, którą stanowi rozdział ze staroegipskiej *Księgi Umarłych*, przez samych Egipcjan nazywanej *Księgą Wyjścia w Dzień* – obszernego zbioru tekstów pogrzebowych, wielokrotnie kopiowanych we wszystkich okresach egipskiej historii. Księga ta zawierała wiadomości na temat „wolności – jaka jest dana formom duszy, które przeżyły śmierć – przychodzenia i odchodzenia stosownie do tego, czego pragną”.

Stojąc w drzwiach kaplicy, zwróciliśmy uwagę na ścianę po naszej lewej stronie, ozdobioną eleganckim reliefem przedstawiającym Ptolemeusza IV Filopatora (panującego w latach 221-205 p.n.e.), na którego rozkaz wzniesiono świątynię Maat. Władca wyobrażony jako dusza zmarłego, ubrany w sandały i prostą lnianą spódniczkę, jest w tej scenie wprowadzany do przestronnej sali, w której zasiada – w częściowo z mumifikowanej formie – Ozyrys, wielki bóg śmierci i zmartwychwstania, w astronomicznej religii starożytnych Egipcjan identyfikowany z wielką południową konstelacją Oriona.

Miejsce, do którego jest wprowadzany Ptolemeusz, czasem nazywano Salą Sądu Ozyrysa, czasem zaś Salą Podwójnej Maat, co można przetłumaczyć jako „Sala Podwójnej Prawdy” albo też „Sala Podwójnej Sprawiedliwości”. Nie jest to miejsce, do którego – zgodnie z wierzeniami Egipcjan – dusza udawała się bezpośrednio po śmierci. Mogli tam dotrzeć jedynie ci, którzy byli odpowiednio duchowo „wyposażeni” do podjęcia długiej i niebezpiecznej pośmiertnej podróży przez pierwszych 5 z 12 części Duat – czyli przez przerażający równoległy wymiar, mroczny i budzący grozę, pełen wrogów i straszydeł, według starożytnych Egipcjan oddzielający świat żywych od królestwa błogosławionych zmarłych. Jak czytelnik pewnie pamięta, to samo Duat, wówczas określane jako Duat en-Ba („zaświaty duszy”), dostarczyło wzoru dla zbudowania tajemniczej „pierwotnej świątyni”, wspomnianej w *Tekstach Budowlanych z Edfu*.

Ptolemeusz stoi w geście pozdrowienia, z lewą ręką zgiętą przy piersi, prawą zaś uniesioną. Po obu jego stronach stoją postacie Maat (stąd „Podwójna Prawda”), wysokiej i pięknej bogini, zmysłowej, o pełnych piersiach. Każda z nich nosi na głowie emblemat w postaci strusiego pióra (hieroglif oznaczający „prawdę”). Postać za Ptolemeuszem ma puste ręce i jakby wprowadzała go do sali; bogini stojąca przed królem trzyma w prawej ręce długą łaskę, zaś w lewej hieroglif *anch* – „krzyż” czy też „klucz” życia – symbol wieczności.

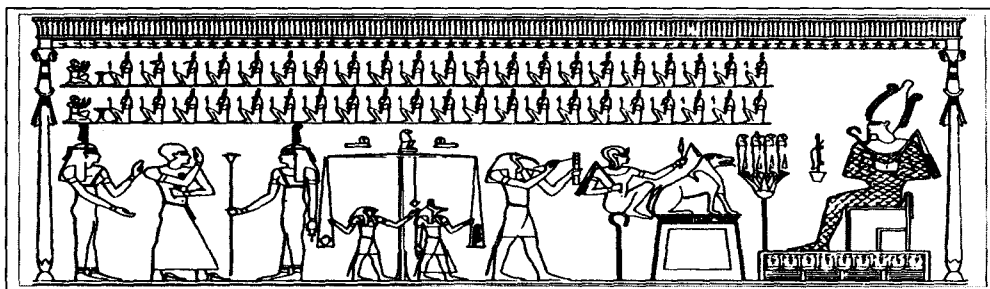
Z boku sali 42 obojętne postacie kucają w pozycji skryby pochylonego nad zwojem papyrusu, a każda z nich nosi na głowie pióro Maat. Jest to 42 sędziów umarłych, przed którymi zmarły musi oświadczyć, że nie popełnił żadnego z 42 grzechów – była to tak zwana „spowiedź negatywna”. Na przykład:

- nr 4: „Nie ukradłem”;
- nr 5: „Nie zabiłem mężczyzny ani kobiety”;
- nr 6: „Nie powiedziałem nieprawdy”;
- nr 19: „Nie zhańbiłem żony męża”;
- nr 38: „Nie zlorzeczyłem bogu”.

Po pomyślnym przejściu tego etapu sądu Ptolemeusz stanął przed szalami wielkiej wagi, między którymi można dostrzec wizerunki Anubisa, szakalogłowego przewodnika dusz i Horusa – sokołogłowego syna Ozyrysa. Na jednej z szal leży przedmiot w kształcie małej urny, symbolizujący serce zmarłego „uważane za siedzibę inteligencji, a tym samym sprawcę wszystkich czynów człowieka i jego osobowość”. Na drugiej szali umieszczone jest pióro Maat, symbolizujące... znowu Prawdę.

Od tego pojedynku serca z prawdą zależy wszystko.

W tym bowiem momencie zostanie wydany wyrok dający prawo do wiecznego życia duszy, która wyjdzie zwycięsko, lub skaże na zagładę duszę, która nie przejdzie próby pomyślnie. Dalej za wagą został przedstawiony sprawca unicestwienia duszy: potworna hybryda, po części krokodyl, lew i hipopotam, nazywany Imimut, „pożeraczem”, „zjadaczem umarłych”. Za nim zaś, po prawej stronie sceny, naszą uwagę przyciąga pełna majestatu zmumifikowana postać samego



Scena rażenia duszy, Deir el-Medina

gwiazdnego boga, Ozyrysa, zasiadającego na tronie sprawcy zmartwychwstania duszy.

Horus i Anubis bacznie przyglądają się szalom i przystępują do czynności ważenia. Tymczasem na prawo od wagi, między zmarłym a Immutem o krwiożerczej, wyszczerzonej paszczy, możemy dostrzec wysoką, ibisogłową postać Thota, „osobienie umysłu boga (...), wszechobejmującej mocy nieba i ziemi, (...) wynalazcę astronomii i astrologii, nauki o liczbach i matematyki, geometrii i pomiarów gruntu”. W archaicznych inskrypcjach określany tajemniczym przydomkiem „trzy razy wielki, wielki”, Thot był staroegipskim bogiem mądrości, „kronikarzem dusz”, którego Grecy – od czasów ptolemejskich – znali pod imieniem Hermesa Trismegistosa („Hermesa po Trzykroć Wielkiego”). W scenie sądu został on przedstawiony jako potężny mężczyzna odziany w krótką tunikę, z charakterystyczną ptasią maską na głowie. W lewej ręce trzyma paletkę pisarza, w prawej zaś cieniutkie trzciniowe pióro.

Serce i pióro równoważą się – tak, jak to powinno być, jeśli dusza ma zostać dopuszczona do pośmiertnego królestwa Ozyrysa.

Horus sprawdza wynik ważenia.

Anubis ogłasza werdykt.

Thot zapisuje...

Thot i Maat

Bóstwa Thot i Maat występowały w najstarszych zachowanych świętych tekstach ludzkości – w staroegipskich *Tekstach Piramid* z III tysiąclecia p.n.e. – i niezmiennie pełniły swoją doniosłą duchową i kosmiczną rolę przez całe 3000 lat historii Egiptu faraonów. W *Księdze Umarłych* zostały przedstawione, jak stoją u boku Atuma-Re, słonecznego boga, żeglującego po niebiańskim oceanie w swej „łodzi milionów lat” – jako odwieczne zasady kierujące ruchem wszechświata i zapewniające mu równowagę: „Thot (...), Pan (...), który sam siebie stworzył, którego nikt nie zrodził (...), ten, który liczy w niebie, zliczający gwiazdy, rachmistrz ziemi i tego, co jest w niej, mierniczy ziemi”. W innym miejscu czytamy: „Ziemia Manu [czyli Zachód] przyjęła cię [Re, boga Słońca] z satysfakcją, a bogini Maat obejmuje cię zarówno rankiem, jak i wieczorem (...), bóg Thot i bogini Maat spisali dla ciebie twoją dzienną trasę każdego dnia”.

Słowo *maat* oprócz „prawdy” ma też inne znaczenia – na przykład „to, co jest proste” oraz, w dosłownym i moralnym sensie, „prawdy, prawdziwy, oryginalny, sprawiedliwy, niezmienny, prosty” itd. Na przykład *chebeset maat* znaczy „prawdziwe lapis lazuli”, w odróżnieniu od niebieskiej emalii. *Szes maat* znaczy „nieprzerwanie i regularnie”. Człowiek dobry i uczciwy jest *maat*. A prawda, *maat*, „jest wielka i potężna, i nie została złamana od czasów Ozyrysa”. Nic dziwnego zatem, że w niektórych wersjach sceny ważenia serca bogini Maat, z rozłożonymi rękoma, przybiera formę samej wagi.

Pióro i serca, dwa obiekty ważne na szalach wagi, łącznie zawierają potężne symboliczne przesłanie. Pióro, jak już się wcześniej przekonaliśmy, jest symbolem samej bogini. Natomiast raczej nieprzypadkowo małe naczynie z dwoma uchwytnymi jest nie tylko hieroglifem oznaczającym serce, ale też determinatywem (znakiem określającym) słowa *tech*, „waga”. Taką etymologię – od *tech* przez *tehuti* – niektórzy naukowcy przypisują imieniu Thot i wydaje się, że sami Egipcjanie również tak uważali. Dodajmy na marginesie, że niebosiężne granitowe obeliski, jakie można zobaczyć w świątyniach wzdłuż Nilu, starożytni Egipcjanie nazywali *techen* – zdaniem Martiny D’Alton z nowojorskiego Metropolitan Museum of Art jest to „słowo niewiadomego pochodzenia”.

Jak zobaczymy w dalszych rozdziałach, obeliski odgrywały szczególną rolę w poszukiwaniu nieśmiertelności, jakie przez tysiąclecia prowadzili egipcjscy adeptci. Od najdawniejszych czasów poszukiwania te były nierozzerwalnie związane z Thotem, którego wola i siła miały – jak wiercono – utrzymywać w równowadze niebo i Ziemię. To właśnie dzięki swej biegłości w niebiańskiej mechanice – zauważył sir E. A. Wallis Budge – czynił on właściwy użytek z praw (*maat*), na których opierały się fundamenty i działanie wszechświata.

Po wyczerpującej analizie tekstów pogrzebowych ze wszystkich okresów egipskiej historii Budge zwrócił uwagę, że Thot jest niemal zawsze przedstawiany jako ten, który „posiada nieograniczoną władzę w zaświatowym królestwie Duat”. Właśnie do tej władzy nawiązuje w symboliczny sposób jego rola kronikarza w scenach sądu. Według „Księgi tego, co jest w Duat” (której liczne wyobrażenia zachowały się w grobach władców, poczynając od XVIII dynastii): „Odbywa się badanie słów, a on [Thot] pokonuje występki – ten, który ma sprawiedliwe serce; ten, który przynosi słowa na wagę – w boskim miejscu badania tajemnicy tajemnic duchów”.

Ale co właściwie znaczy „występek” i na czym naprawdę polega tajemnica, którą bada się w Sali Sądu Ozyrysa?

Księgi Thota

W scenie sądu chodzi o coś znacznie więcej niż tylko o moralność. Ten fakt nie ulega wątpliwości, ponieważ pytania dotyczące moralności zmarłego są zadawane na stosunkowo wczesnym etapie sądu nad duszą zmarłego. Na tym polega funkcja 42 elementów „spowiedzi negatywnej”. Wynika stąd, że „ważenie serca”

musi mieć zupełnie inne znaczenie – że musi polegać na mierzeniu jakiejś innej wartości czy cechy „prawdy”, do której człowiek miał okazję się przyczynić w trakcie swego życia. Możliwe, że stąd właśnie wzięta się „podwójna prawda” w nazwie sali – idea, że sala ta jest miejscem, w którym dusza musi zostać poddana sądowi na dwóch różnych poziomach. To tłumaczyłoby dlaczego, jak zauważył jeden z wybitnych naukowców:

testowanie duszy na wadze w Sali Ozyrysa nie jest nazwane sądzeniem czy też ważeniem „czynów” [czym z pewnością jest spowiedź negatywna], lecz „ważeniem słów”

To dziwne sformułowanie nabierze dodatkowego znaczenia, jeśli przypomniemy sobie, że Thot był uważany przez starożytnych Egipcjan za boga, który uczył „nie tylko słów mocy, ale także sposobu, w jaki należy je wypowiadać”. Znajomość tych „słów” była niezbędna – jak wierzono – jeśli zmarły miał ukończyć pomyślnie swą pośmiertną podróż przez wszystkie 12 części Duat:

Słów tych (...) trzeba się nauczyć od Thota, a bez znajomości ich i właściwego sposobu, w jaki powinny być wypowiedziane, zmarłemu nigdy nie uda się przejść przez Duat. Formuły Thota otwierały przed nim tajemne bramy i zapewniały mu niezbędne pożywienie, napoje i wyposażenie, odpędzały groźnych bogów i złe duchy i dawały mu moc niezbędną do poznania tajemnych czy też ukrytych imion potworów Duat oraz wypowiedzania ich w taki sposób, aby potwory te stały się jego przyjaciółmi i pomogły mu w jego podróży (...).

Wierzono, że *Księga Wyjścia w Dzień, Księga Umarłych* – „rodzaj bedekera dla transmutacji duszy” – była dziełem Thota i że niektóre jej rozdziały zostały napisane „jego własnymi palcami”. Oprócz tego przetrwały liczne fragmenty starożytnych tekstów, z których dowiadujemy się, że bóg mądrości był uważany także za autora pewnych innych „ksiąg” – ksiąg, które każdy, kto poszukiwał nieśmiertelności powinien się starać znaleźć jeszcze za życia: „jestem obdarzony chwałą, jestem obdarzony siłą, jestem wypełniony mocą, jestem zaopatrzony w księgi Thota i przyniosłem je, aby umożliwiły mi przejście (...)”.

Teksty te wskazują, że tylko ten, kto szukał i komu udało się znaleźć księgi Thota, może osiągnąć wieczność. „Jak długo mam żyć?” – pyta zmarły w niektórych wersjach sceny sądu. Jeśli wszystko przebiegało pomyślnie, to w czasie „ważenia słów” Thot odpowiadał, przyznając upragnioną nagrodę: „Jesteś na miliony lat, czas życia milionów lat (...)”.

W poszukiwaniu wiedzy

Według Klemensa Aleksandryjskiego („Stromata”, VI) były 42 księgi Thota – liczba ta w interesujący sposób odpowiada „pierwszej prawdzie”, „ważeniu

czynów” dokonywanemu za pomocą 42 wyznań „spowiedzi negatywnej”. Owe księgi „drugiej prawdy” – „ważenia słów” – miały być podobno podzielone na siedem kategorii, dotyczących między innymi kosmografii i geografii, budowy świątyń, historii świata, kultu bogów, problemów medycznych, tajemnego znaczenia hieroglifów, astronomii i astrologii, w tym „uporządkowania stałych gwiazd, pozycji Słońca, Księżyca i planet, koniunkcji i faz Słońca i Księżyca oraz pór, w jakich wschodzą gwiazdy”.

Legenda o księgach Thota przetrwała jeszcze do czasów chrześcijańskich – kojarzona z grecko-rzymskimi świątyniami, takimi jak Deir el-Medina, Dendera, Edfu i świątynia Izydy na wyspie File, gdzie starożytne egipskie hieroglify były używane i rozumiane aż do IV wieku n.e. Nie powinno nas zatem dziwić, że Klemens (150-215 n.e.) dobrze znał tę tradycję, która ponadto właśnie w tym mniej więcej czasie została odświeżona w formie pisanej w Aleksandrii. Pisma te, tak zwany *Corpus Hermeticum*, wielokrotnie nazywają Thota (przez Greków zwanego Hermesem Trismegistosem) „tym, który zdobył wiedzę o wszystkim”. Miał on być tym, który:

widział wszystkie rzeczy, a widząc, rozumiał, a rozumiejąc, miał moc zarówno ujawniania, jak i dawania wyjaśnienia. To bowiem, co wiedział, wyrył na kamieniu; ale choć wyrył to na kamieniu, ukrył następnie, zachowując ściśle milczenie, [tak] aby każda młodsza era kosmicznego czasu mogła tego poszukiwać (...).

Wygląda zatem na to, że od samego początku było przewidziane poszukiwanie tych kamiennych tablic czy też „ksiąg” Thota/Hermesa. *Corpus Hermeticum* nie pozostawia nam wręcz co do tego najmniejszych wątpliwości, mówiąc, iż bóg mądrości użył magii, aby najbardziej, jak to jest tylko możliwe, opóźnić moment odkrycia skarbów wiedzy:

Wy, święte księgi (...), które zostałyście namaszczone eliksirem niezniszczalności (...), nie odniesiecie żadnego uszczerbku przez całe wieki i będziecie niewidzialnymi i nieodkrytymi przez wszystkich ludzi, którzy będą chodzić tu i tam po równinach tego kraju, aż do czasu, kiedy Niebo, już stare, zrodzi organizmy godne was.

Walter Scott, który przełożył ten fragment na język angielski, zamieścił następujący przypis dotyczący określenia „organizmy”: „Dosłownie, rzeczy złożone; to znaczy ludzie złożeni z ciała i duszy. Po upływie wielu długich epok narodzią się ludzie godni przeczytania ksiąg Hermesa”.

Waż, który nie może umrzeć...

Pragnienie przeczytania tych ksiąg musiało sięgać bardzo daleko w głąb historii, ponieważ można je prześledzić aż do zamierzchłej historii starożytnego

Egiptu, na długo przed skompilowaniem *Corpus Hermeticum*. Na przykład papiirus z okresu ptolemejskiego zawiera opowieść o niejakim Setne Chamwaset, synu Ramzesa II (panującego w latach 1290-1224 p.n.e.), który „poszukiwał księgi spisanej przez samego Thota”. Setne dowiedział się w wyniku żmudnych poszukiwań, że księga ta – która miała podobno zawierać zaklęcie mogące zapewnić nieśmiertelność – leżała ukryta w starożytnym grobowcu na nekropolii memfickiej (ogromne cmentarzysko rozciągające się na długości 35 kilometrów na zachodnim brzegu Nilu, od Mejdum do Gizy):

Setne poszedł tam ze swym bratem i spędził trzy dni i trzy noce na poszukiwaniach tego grobu (...), trzeciego dnia go znaleźli. Setne wypowiedział nad nim pewne słowa i ziemia się otworzyła, i zeszli do miejsca, w którym była księga. Kiedy dwaj bracia weszli do grobowca, zobaczyli, że jest on jasno oświetlony światłem bijącym z księgi.

Inny papiirus, pochodzący z czasów Średniego Państwa (Papiirus Westcar, datowany na blisko 1650 rok p.n.e.), opowiada jeszcze starszą historię z czasów Chufu (panującego w latach 1551-2528 p.n.e.), domniemanego budowniczego Wielkiej Piramidy w Gizie. Papiirus opowiada o „budyńku inwentarza”, znajdującym się w świętym mieście Heliopolis (położonym 18 kilometrów na północny wschód od Gizy), w którym była przechowywana „skrzynka z krzemienia”, zawierająca tajemniczy przedmiot, na którego poszukiwaniach – jak się dowiadujemy – Chufu spędził długi czas. Z kontekstu wynika, że mógł to być jakiś rodzaj dokumentu, ponieważ była w nim zapisana „liczba tajemnych komnat w świątyni Thota”.

Przyjmuje się powszechnie, że papiirus Westcar opisuje rzeczywiste wydarzenia – lub w każdym razie nawiązuje do nich. Według profesora I. E. S. Edwardsa zawiera on „ziarno prawdy” i jest „z pewnością kopią wcześniejszego dokumentu”. Edwards dodaje też, że Heliopolis, gdzie miał się znajdować „budynek inwentarza”, było od niepamiętnych czasów ośrodkiem wiedzy astronomicznej i astrologicznej w Egipcie i że tamtejszy arcykapłan nosił tytuł „szefa astronomów”. Egip-tolog F. W. Green wyraził opinię, że „budynek inwentarza” w Heliopolis był rodzajem „sali map” lub być może „pracowni kartograficznej, gdzie sporządzano i przechowywano plany”. Podobnie sir Alan H. Gardner twierdził, że „interesujące nas pomieszczenie musiało być rodzajem archiwum” i że Chufu „poszukiwał informacji dotyczących tajemnych komnat pierwotnej świątyni Thota”.

Główny motyw opowiadania z papiirusu Westcar – jakiś wielki sekret Thota, ukryty gdzieś w skrzynce – powtarza się w innym tekście, który opowiada, że bóg mądrości złożył jedną ze swoich ksiąg „w żelaznej skrzynce pośrodku Nilu w Koptos” (starożytnym mieście leżącym niedaleko na północ od Luksoru):

Żelazna skrzynka jest w skrzynce z brązu, skrzynka z brązu jest w skrzynce z drewna palmowego, skrzynka z drewna palmowego jest w skrzynce z hebanu i kości słoniowej, skrzynka z hebanu i kości słoniowej jest w skrzynce ze

srebra, a skrzynka ze srebra jest w skrzynce złotej (...). Skrzynkę, w której jest ukryta księga, otacza kłębowisko węży i skorpionów, i wszelkiego rodzaju płazów, a dookoła owija się wąż, który nie może umrzeć (...).

Na koniec wreszcie spośród źródeł zawierających interesujące nas informacje można przytoczyć fragment *Tekstów Sarkofagów*, powstały około 1900 roku p.n.e., który opowiada o podróży duszy ku nieśmiertelności. „Otworzyłem skrzynię Thota – mówi zmarły – złamałem pieczęć (...) otworzyłem to, co zawierała skrzynia boga, wyjąłem dokumenty (...)”.

Trudno nie odnieść wrażenia, że wszystko to, co jest ważne w scenie sądu w czasie „ważenia słów”, ma jakiś związek ze zdobywaniem przez zmarłego wiedzy, takiej wiedzy, jaką można wykuć na kamiennych tablicach lub spisać w księgach i dokumentach.

Słowo

Podobnie jak wiele innych staroegipskich tekstów dotyczących śmierci i odrodzenia, *Teksty Sarkofagów* są przewodnikami prowadzącymi duszę w jej pośmiertnej podróży po mrocznej dolinie Duat – przerażającej wędrowce, której kulminacją jest scena sądu. Teksty te zostały tak właśnie nazwane, ponieważ wypisywano je wewnątrz sarkofagów, prawdopodobnie dlatego, by zmarłemu łatwiej było je odczytać. Najwcześniejsze z nich powstały w Pierwszym Okresie Przejściowym (2134-2040 p.n.e.), a największą popularność zdobyły za panowania XX dynastii (1991-1783 p.n.e.). W pierwszych rozdziałach czytamy:

Młody bóg [czyli zmarły, wchodzący do królestwa Ozyrysa po osiągnięciu nieśmiertelności] narodził się na pięknym Zachodzie, przybywszy tutaj z krainy żyjących; otrząsnął się z kurzu, który go pokrywał, napełnił swoje ciało magią, ugasił nią swe pragnienie (...), opanował Ziemię za pomocą tego, co wiedział.

W jednym z późniejszych rozdziałów występuje niemal identyczna formuła:

Spójrz, Twój Majestat przybył; zdobyłeś wszelką moc i nic nie pozostawiłeś za sobą (...). Wypełniłeś swoje ciało magią, ugasiłeś nią swe pragnienie (...), opanowałeś Ziemię za pomocą tego, co wiesz, tak jak ci, do których zszedłeś.

Jeszcze dalej możemy przeczytać o triumfie „zaopatrzonego ducha” i wtedy możemy zacząć snuć domysły na temat tego, w co ma on być „wyposażony”:

Przeszedłem ścieżkami Ozyrysa; one są w granicach nieba. Co się tyczy tego, kto zna to zaklęcie dla zejścia wśród nich, on sam jest bogiem, z orszaku Thota;

on zejdzie do każdego nieba, do jakiego zapagnie zstąpić. Ale co się tyczy tego, kto nie zna tego zaklęcia dla przejścia po tych drogach, ten, jako ten, który nie istnieje będzie poddany karze śmierci, która została zasądzona.

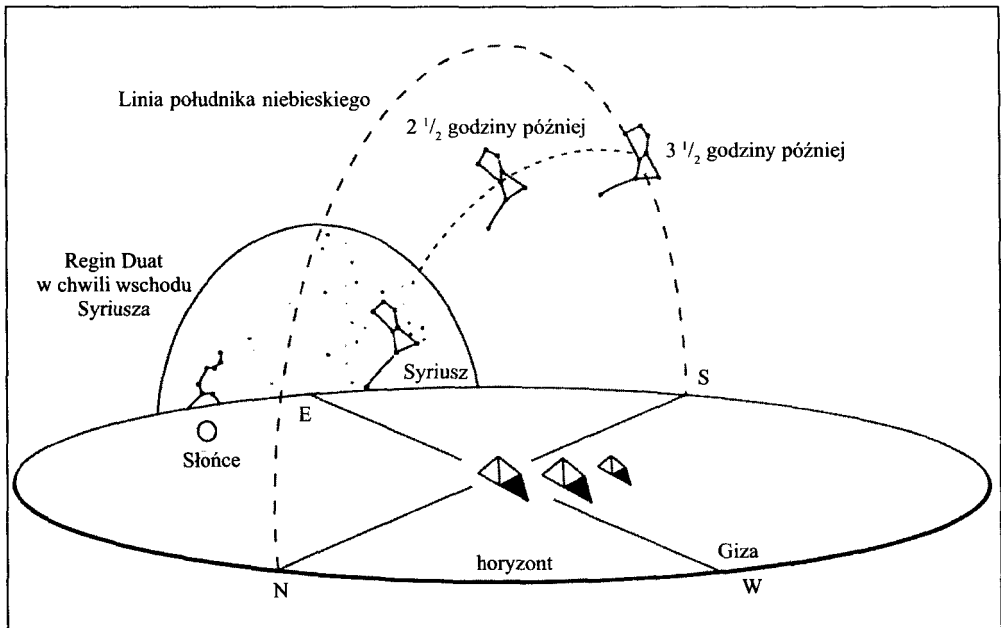
Niebiańskie współrzędne

Nie ulega wątpliwości, że zaopatrzony duch miał opanować krainę Duat za pomocą „tego, co wie”. Ale na czym właściwie miała polegać ta wiedza? Wzmianka w tekście o tym, że miała ona służyć „schodzeniu do dowolnego nieba”, wyraźnie wskazuje, że chodziło tu o astronomię. To z kolei zgadza się z tym, co mieliśmy okazję przeczytać o astronomicznych zainteresowaniach kapłanów z Heliopolis. Zupełnie innego sensu nabiera też pewna cecha Duat, do której niewielu współczesnych badaczy przywiązywało należyłą wagę: starożytni Egipcjanie wcale nie uważali krainy umarłych za krainę „podziemną”, jak to jest w tradycji judeochrześcijańskiej. Przeciwnie, jak już dawno zauważył dr R. O. Faulkner z British Museum, słuszniej jest określać ją mianem „świata równoległego”, ponieważ była ona „częścią widzialnego nieba”.

W gruncie rzeczy Duat ma ściśle określone współrzędne na niebie. Pierwszą systematyczną próbę ustalenia tych współrzędnych podjął w latach 40. XX wieku egiptolog Selim Hassan. Na podstawie drobiazgowych studiów nad ogromnym zespołem tekstów dotyczących śmierci i odrodzenia ustalił on, że starożytni Egipcjanie uważali, iż Duat było „zlokalizowane we wschodniej części nieba”, kiedy jasna gwiazda Syriusz – identyfikowana z boginią Izydą – i gwiazdy konstelacji Oriona – Ozyrysa – były tam widoczne tuż przed świtem. Wynika to jasno – jak twierdził – z fragmentów najstarszych tekstów, w których czytamy: „Orion został otoczony przez Duat, podczas gdy ten, który przebywa w horyzoncie, oczyszcza się”. Hassan dobrze rozumiał, że fragmenty takie jak ten musiały się opierać na obserwacjach astronomicznych:

kiedy Słońce wschodzi i oczyszcza się w horyzoncie, gwiazdy Oriona i Syriusz zostają otoczone przez Duat. Jest to rzeczywista obserwacja natury i naprawdę wydaje się, jakby gwiazdy były każdego ranka połykane przez narastającą jasność poranka. Być może determinatyw słowa Duat, gwiazda wpisana w okrąg, ilustruje tę ideę otaczania gwiazdy.

Zupełnie niedawno pisarzowi Robertowi Bauvalowi udało się ustalić czasową i przestrzenną lokalizację Duat jeszcze dokładniej, w oparciu o kluczową informację, którą przeoczył Hassan. Z powodu ruchu Ziemi po orbicie gwiazdne tło, na którym wschodzi Słońce każdego ranka, powoli zmienia się w ciągu roku solarnego. Znaczy to, że Słońce nie wschodzi na tle Oriona i Syriusza każdego poranka, lecz tylko w pewne konkretne dni (kiedy Słońce znajduje się w linii prostej między Ziemią a tymi gwiazdami). Co więcej, z powodu innego charakterystycznego ruchu Ziemi powolnej zmianie ulega też pora roku, w której następuje „połykanie” Oriona i Syriusza. Ruchem tym



Część nieba zwana Duat w dniu letniego przesilenia około 2500 roku p.n.e. oraz trajektoria Oriona aż do jego kulminacji na południku niebieskim

jest precesja, która „opóźnia” moment dotarcia Słońca do konkretnego gwiazdnego „adresu” z prędkością jednego stopnia na 72 lata.

Obliczenia ruchu precesyjnego dla okresu 2500-2300 p.n.e. – kiedy podobno zostały skompilowane najstarsze teksty pogrzebowe starożytnego Egiptu – wskazują, że w tamtej epoce Duat było „aktywne” (to znaczy Orion i Syriusz wschodziły tuż przed wschodem Słońca) tylko w okolicy letniego przesilenia – w najdłuższym dniu roku. Właśnie w tym czasie – i w żadnej innej porze roku – miały się otwierać bramy Duat przed zgromadzonymi duszami zmarłych. Przy jednej bramie znajdowała się konstelacja Lwa. Przy drugiej, oddzielonej od Lwa przez lśniąca rzekę Drogi Mlecznej, były Syriusz, Orion i gwiazdozbiór Byka. W 2500 roku p.n.e. ów święty portal na niebie otwierał się, jak wierzący, o świcie w dniu letniego przesilenia, ponieważ właśnie o tej porze roku Słońce wschodziło w tym miejscu. Dzisiaj, w wyniku zjawiska precesji, Słońce „połyka” Oriona i Syriusza w dniu jesiennej równonocy. W roku 10 500 p.n.e. zjawisko to miało miejsce o świcie w dniu wiosennej równonocy.

Czy jest możliwe, że wzmianka o „umiejętności schodzenia do dowolnego nieba” jest nawiązaniem do umiejętności dokonywania obliczeń precesyjnych – czyli zdolności wyobrażenia sobie wyglądu nieba w minionych i przyszłych epokach?

Czy właśnie taką umiejętność uważano za niezbędną do zrównoważenia pióra Maat na wadze sprawiedliwości i zatriumfowania nad nieistnieniem?

Oto jest słowo, które jest w ciemności. Co się tyczy każdego ducha, który je zna, on będzie żył wśród żyjących (...), nigdy nie zginie (...), nigdy nie umrze.

Zabobon czy nauka?

Idee te, niezaprzeczalnie potężne i wręcz niepokojące, są zawarte w staroegipskich tekstach dotyczących śmierci i odrodzenia. Dr Stephen Quirke, kustosz działu zabytków egipskich w British Museum, napisał, że należą one do:

(...) wiecznotrwałego świata (...), w którym chęć przetrwania wieczności osiąga największą samoświadomość. Wyrażają precyzyjną frazeologię, przez którą zmarły mógł zostać przekształcony w wiecznie odmładzającą się istotę. Dzisiaj nazywamy te starożytne teksty literaturą pogrzebową, lecz ten techniczny termin nie oddaje dokładnie ich istoty: teksty miały za zadanie przekształcenie zmarłego, uczynienie ludzi nieśmiertelnymi bogami.

Jak pisze Quirke: sami starożytni Egipcjanie często nazywali te teksty *sachu*.

(...) co oznacza recytacje mające przekształcić człowieka po śmierci w *ach*, „przekształconego ducha”. Jedyłą alternatywą było umrzeć i stać się *mut*, „martwym”. Te przeciwstawne pojęcia *ach* i *mut* można uznać w przybliżeniu za odpowiednik europejskiej opozycji błogosławiony – potępiony. Podobnie jak w europejskiej tradycji, raj jest kojarzony ze światłością, a samo słowo *ach* należy do grupy słów, w której na pierwszy plan wysuwa się idea światła i blasku, takich jak na przykład słowo „horizont”, po egipsku *achet*, siedziba światła. W obliczu takiej alternatywy Egipcjanie wykorzystywali wszelkie dostępne sposoby, aby zapewnić sobie wieczny blask.

Innymi słowy, chociaż Quirke rozpoznał wzniosły cel, jaki wyrażają wszystkie te teksty, jest przekonany, że Egipcjanie dążyli do niego, kierując się głównie względami psychologicznymi. Po prostu, jak twierdzi, Egipcjanie uważali alternatywę wobec wiecznego życia – nieistnienie, unicestwienie – za zbyt straszliwą, żeby ją brać pod uwagę, a tym samym stworzyli skomplikowany fantastyczny świat, do którego, jak sobie wyobrażali, ich dusze będą mogły wejść, i w którym, o ile ich dusze będą odpowiednio „zaopatrzone”, mogli mieć nadzieję na uzyskanie nieśmiertelności.

Współcześni egiptolodzy – podobnie jak Quirke – zazwyczaj uważają owe teksty za niewiele więcej niż tylko pobożne życzenia, „dziwne nagromadzenie zaklęć i czarów (...), wyraz najwcześniejszego buntu ludzkości przeciwko ciemności i ciszy, z której nikt nie wraca”. Niektórzy naukowcy posunęli się nawet do tego, by twierdzić, że:

Mimo swojego przywiązania do szczegółów w sprawach praktycznych Egipcjanie epoki piramid nigdy nie stworzyli jasnej i precyzyjnej koncepcji

życia po śmierci (...). Współczesny człowiek odnosi wrażenie, że ma do czynienia z ludźmi poszukującymi w zupełnej ciemności klucza do prawdy, a znajdując nie jeden, lecz kilka kluczy podobnych do wzoru zamka zachowują wszystkie z obawy, że mogliby wyrzucić ten właściwy.

Podobnie uważa dr Margaret Murray, pisząc, że „strach przed śmiercią bardzo wyraźnie rysuje się w tekstach religijnych Egipcjan (...). Wiedząc, że śmierć jest nieunikniona, [Egipcjanin] próbował przygotować się do niej przez znajomość magii, która pozwoliłaby mu wrócić do kraju i domu, które tak bardzo kochał (...)”.

Jednym z głównych założeń *Zwierciadła nieba* jest to, że nic nie jest tak proste i że święte pisma starożytnych Egipcjan zawierają niezwykle materiał o znaczeniu głębszym i bardziej mrocznym – a także o wiele starszy, niż dotąd sądzili naukowcy.

Tajemne kręgi

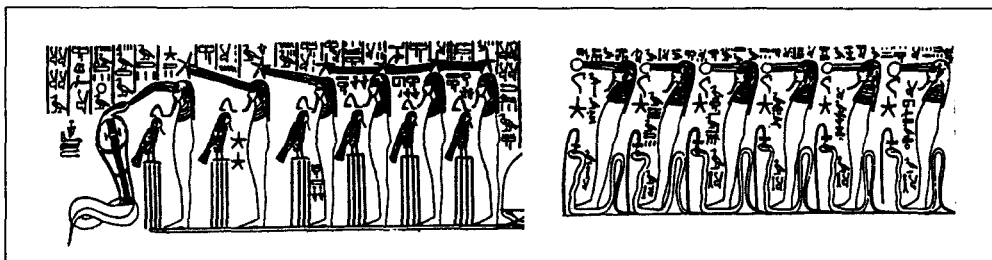
W *Tekstach Budowlanych z Edfu* czytamy, że są one zapisem „słów mędrców”, które znacznie wcześniej zostały spisane w księdze przez Thota, starożytnego egipskiego boga mądrości. Przekonaliśmy się już, że o tym samym zapewniają nas *Teksty Hermetyczne*, skompilowane w egipskim mieście Aleksandria w II i III wieku n.e. Tego samego dowiadujemy się ze wszystkich staroegipskich tekstów dotyczących śmierci i odrodzenia, między innymi z *Księgi Umarłych*, *Tekstów Piramid*, *Tekstów Sarkofagów*, *Księgi Bram* i *Księgi o tym, co jest w Duat*.

Teksty Piramid, najstarsze z tych tekstów, jakie dotrwały do naszych czasów, były tak stare już w 2300 roku p.n.e., kiedy to wypisano je na ścianach komór grobowych w piramidach V i VI dynastii w Sakkarze, że niektórzy pisarze nie byli w stanie ich zrozumieć. Co ciekawe, chociaż współcześni naukowcy zaprzeczają istnieniu jakiegokolwiek związku, zawierają one to samo przesłanie co *Teksty Hermetyczne* – że nieśmiertelność jest „drogocenną perłą”, którą można zdobyć tylko dzięki prawym myślom i prawym czynom, gdyż „dusze mogły w tym życiu mieć nadzieję na osiągnięcie wieczności w życiu, które nadejdzie”.

Co musimy zrobić, żeby mieć pewność, iż nie stracimy tej szansy?

Teksty Hermetyczne mówią nam, że „obowiązkiem człowieka jest nie godzić się ze swoim nędznym ludzkim stanem, lecz raczej – w sile kontemplacji rzeczy boskich – pogardzać i lekceważyć tę śmiertelną część, która została do niego przywiązana, ponieważ było to potrzebne, aby mógł troszczyć się i pielęgnować niższy świat”. W dokładnie taki sam sposób w *Tekstach Piramid* wtajemniczony stara się odwrócić od spraw ziemskich i skierować swój intelekt ku niebu: „Ziemia jest odrazą króla (...), król jest związany z niebem” – czytamy w jednym fragmencie. „Spraw, abym mógł zdobyć niebo i objąć w posiadanie horyzont” – prosi zmarły w innym. „Schody do nieba zostały dla mnie ustawione” – zapewnia w jeszcze innym – „abym mógł po nich wstąpić do nieba”.

Gdzie indziej w *Tekstach Piramid* możemy znaleźć czysto hermetyczne maksymy, takie jak: „Dusza jest związana z niebem, ciało jest związane z ziemią”. Często trafiamy też na takie jak to pouczenia skierowane do zmarłego: „Wstań, porusz swoją ziemią, otrząśnij z siebie kurz, podnieś się, abys mógł podróżować w towarzystwie duchów (...). Przejdź przez niebo (...). Uczyń swoją siedzibę wśród niezniszczalnych gwiazd”.



Scena zdobiąca drugą kaplicę Tutanchamona. Trudno dobitniej wyrazić związek między intelektem a astronomią oraz życiem po śmierci, w którego istnienie wierzyli Egipcjanie

Ponad wszelką wątpliwość podobny zbiór idei znajdujemy w znacznie późniejszym okresie egipskiej historii – na drugiej kaplicy młodego faraona XVIII dynastii Tutanchamona (panującego w latach 1333-1323 p.n.e.). Tutaj widzimy wyryty w złocie rząd ludzkich postaci patrzących w górę. Wiązka promieni łączy czoło każdej z nich z gwiazdą, czyli ciałem niebieskim. W scenie tej panuje atmosfera medytacji, skupienia, ciszy. Trudno sobie wyobrazić trafniejszą ilustrację dążenia wtajemniczonego do „wzniesienia się” – do rozmyślania nad tajemnicami kosmosu i zrozumienia jego najgłębszych sekretów: „Niebiańska brama do horyzontu jest otwarta przed tobą i bogowie cieszą się na spotkanie z tobą. Zabierają cię do nieba z twoją duszą (...)”.

Kopiowanie nieba

Wierzono, że zdolność „wstępowania do nieba”, innymi słowy odbywania wizjonerskich podróży wśród gwiazd na niebie, można było wzmocnić, jeśli zmarły umiał się pozbyć zainteresowań i „ograniczeń” materialnej egzystencji. Wierzono też, że kontemplacja ta stanie się pełniejsza, jeśli będzie prowadzona w otoczeniu, które uświadomi człowiekowi jego miejsce w kosmosie. Było to niezmiernie istotne, ponieważ w Egipcie, podobnie jak w Ameryce Środkowej „cały świat znajdujący się w dole” uważano za:

uporządkowany i wypełniony treścią przez rzeczy, które znajdują się na górze; bowiem rzeczy w dole nie mają mocy porządkowania świata na górze. Zatem słabsze tajemnice muszą ustąpić przed silniejszymi (...), system rzeczy na górze jest silniejszy niż rzeczy na dole (...) i nie ma na dole niczego, co by nie pochodziło z góry.

Teksty Hermetyczne wielokrotnie nazywają Egipt „obrazem niebios”, „świątynią całego świata”, a czasem „sanktuarium kosmosu” – wyjątkowym krajem, w którym „wszelkie poczynania sił rządzących i działających w niebie są przenoszone na ziemię w dole”. Podobnie z *Księgi o tym, co jest w Duat* dowiadujemy się, że jednym z najważniejszych wymagań stawianych poszukującym życia wiecznego było zbudowanie na ziemi doskonałych kopii „tajemnego kręgu Duat w ciele Nut [nieba]”:

Ktokolwiek uczyni dokładną kopię tych form i pozna ją, będzie duchem dobrze zaopatrzonym, zarówno na niebie, jak i na ziemi, niezawodnie, regularnie i wiecznie.

„Ktokolwiek uczyni kopię tego i pozna ją na ziemi, ona będzie działać jako jego magiczny obrońca zarówno na niebie, jak i na ziemi”.

Czy nie wynika stąd jasno, że ludzie myślący w ten sposób byli wręcz zmuszeni do wyrażania swoich idei nie tylko w tekstach, ale i w architekturze? O tym, jak mogli to robić, informują nas *Teksty Budowlane z Edfu*, gdzie czytamy, że kiedy Thot przybył na miejsce budowy pierwszej mitycznej świątyni – której późniejszą kopią jest historyczna świątynia w Edfu – wypowiedział następujące słowa:

Sprawię, że jej długość będzie dobra, jej szerokość będzie doskonała, wszystkie jej wymiary będą zgodne z normą, wszystkie jej sanktuaria będą w miejscach, w których powinny być, a jej sale będą przypominały niebo.

Zdaniem naukowców jest bardzo możliwe, że owa tajemnicza budowla „przymiatająca niebo” niegdyś rzeczywiście istniała. Według dr Eve Reymond, jest niemal pewne, że znajdowała się ona „w pobliżu Memfis, które Egipcjanie uważali za miejsce narodzin egipskiej świątyni”.

Nowe odkrycia

Memfis (po egipsku zwane Mennefer, co znaczy „trwały i piękny”) było pierwszą historyczną stolicą starożytnego Egiptu – wiek tego miasta sięga co najmniej 3000 roku p.n.e. Jego ruiny leżą mniej więcej 24 kilometry na południe od Kairu, w pobliżu współczesnej wioski Mit Rahina – zostało ich jednak niewiele i są niezbyt interesujące. Znacznie bardziej interesujące i bardziej imponujące są ogromne ruiny tak zwanej nekropolii memfickiej, leżącej na zachód od samego Memfis. To wielkie cmentarzysko, leżące znacznie powyżej poziomu Nilu i sięgające daleko w pustynię, rozciąga się z północy na południe na długości 35 kilometrów. Oprócz setek szybów grobowych i gigantycznych mastab obejmuje ono szereg miejsc, w których stoją piramidy: na przykład Abu Rawasz, Zawijat al-Arjan, Abu Sir, Sakkara i Dahsur. Wszyscy jednak się zgodzą, że najbardziej godne uwagi monumenty nekropolii memfickiej znajdują się w Gizie, zaledwie 10 kilometrów na południe od Kairu – trzy wielkie piramidy i Wielki Sfinks. Czy możliwe,

że położona tak blisko Memfis Giza – wraz z pobliskim Heliopolis (gdzie, jak się wkrótce przekonamy, znajdowała się wielka kapłańska akademie) – stanowiły „predynastyczny ośrodek religijny, o którym wspominała dr Reymond? Mówiąc ściślej, czy jest możliwe, że wielkie piramidy i Sfinks w Gizie w pewien sposób „naśladowały niebo” – tak jak pierwotna mityczna świątynia, o której tak często wspominają *Teksty Budowlane z Edfu*?

Niezwykłe odkrycia naukowe dokonane w Gizie w latach 90. jeszcze bardziej pogłębiły aurę tajemniczości, jaka otacza te budowle, dowodząc, że istotnie odzwierciedlają one niebiański plan i są niezmiernie stare. Odkrycia te zwróciły powszechną uwagę i zostały zrelacjonowane w trzech bestsellerach (*Piramidy – brama do gwiazd*, *Ślady palców bogów*, *Strażnik tajemnic*). Opisywano je też w wielu gazetach i magazynach oraz w telewizyjnych serialach dokumentalnych oglądanych przez miliony widzów. Czytelnikom, którzy jeszcze nie zdążyli dowiedzieć się o tych odkryciach, przedstawimy krótkie streszczenie tego, co obecnie wiemy.

1. Geologia Sfinksa

Dzięki pracom egiptologa Johna Anthony’ego Westa i Roberta Schocha, profesora geologii w Boston University, wiemy, że istnieją solidne naukowe argumenty przeciwko obecnie przyjmowanemu datowaniu egipskiego Wielkiego Sfinksa. Nie będziemy tutaj powtarzać dowodów – obszernie omówionych gdzie indziej – które podważają ortodoksyjną egiptologiczną teorię przypisującą ten monument faraonowi IV dynastii imieniem Chafre (panującemu w latach 2520-2494 p.n.e.). Wystarczy powiedzieć, jak przynajmniej jeden z seniorów egiptologii miał odwagę przyznać, że „nie istnieje ani jedna starożytna inskrypcja, która przypisywałaby Sfinksa królowi Chafre”.

Innymi słowy, monument ten jest całkowicie anonimową bryłą kamienia. Został on w całości wykuty w macierzystej skale płaskowyżu Giza, chociaż później (zarówno w starożytności, jak i współcześnie) naprawiano go wielokrotnie, uzupełniając ubytki blokami kamienia. Jako kamienny monolit nie nadaje się do datowania metodą radiowęglową, która pozwala określać wiek jedynie materii organicznej. Nie znamy żadnej starożytnej inskrypcji dotyczącej Sfinksa, nie ma też żadnej metody, która pozwoliłaby ustalić, kiedy dokładnie ten posąg został wykuty. Teoretycznie mogło to nastąpić w jakimkolwiek momencie po tym, jak dziesiątki milionów lat temu osady na dnach dawnych oceanów utworzyły wapień płaskowyżu Giza.

Badania profesora Schocha pomagają zawęzić obszar poszukiwań, ustalając minimalny wiek Sfinksa. Lecz odkrycia Schocha budzą ogromne kontrowersje, ponieważ wynika z nich, że Sfinks jest niezmiernie stary – liczy 7000 lat lub nawet więcej, czyli musiał powstać w okresie predynastycznym, co najmniej 2500 lat wcześniej, niż sądzą egiptolodzy. Bostoński profesor geologii jest jednak nieprzejednany:

Powtarzано mi wielokrotnie, że ludy Egiptu, o ile nam wiadomo, nie miały ani odpowiedniej technologii, ani organizacji społecznej, by móc wykuć w skałę ciało Sfinksa w czasach predynastycznych (...). Nie jest to jednak problem

mój jako geologa. Nie staram się zrzucić z siebie kłopotu, ale naprawdę do archeologów i egiptologów należy ustalenie, kto go wykuł. Jeśli moje odkrycia są sprzeczne z teorią na temat powstania cywilizacji, to może nadszedł czas, aby zrewidowali swoje poglądy. Nie twierdzę, że Sfinksa zbudowali mieszkańcy Atlantydy, ludzie z Marsa czy kosmici. Pozwalam się tylko prowadzić nauce, która mówi mi, że Sfinks powstał znacznie wcześniej, niż dotychczas sądzono.

Schoch, światowy ekspert w dziedzinie wietrzenia wapienia, opiera swoje wnioski na drobiazgowych badaniach śladów erozji na korpusie Sfinksa. Jest przekonany (a setki innych geologów podzielają jego opinię), że ów wielki posąg musiał powstać znacznie wcześniej niż 2500 lat p.n.e. Sądzi tak, ponieważ posąg nosi wyraźne ślady erozji spowodowanej przez deszcze – głębokie pionowe szczeliny i faliste poziome zagłębienia, które mogły powstać wyłącznie za sprawą trwających przez tysiące lat silnych opadów deszczu – deszczu, który musiał padać na Sfinksa, kiedy ten był już wykuty.

Problem polega na tym, że około 2500 roku p.n.e. klimat Egiptu był równie suchy jak dzisiaj, a roczna suma opadów nie przekraczała dwóch centymetrów. Paleoklimatolodzy jednak potrafią bardzo dokładnie określić, kiedy w Egipcie padały deszcze. Ich zdaniem ostatnią epoką, kiedy na wschodniej Saharze padały dostatecznie silne deszcze, by spowodować charakterystyczną erozję Sfinksa, był okres między 7000 a 5000 rokiem p.n.e.

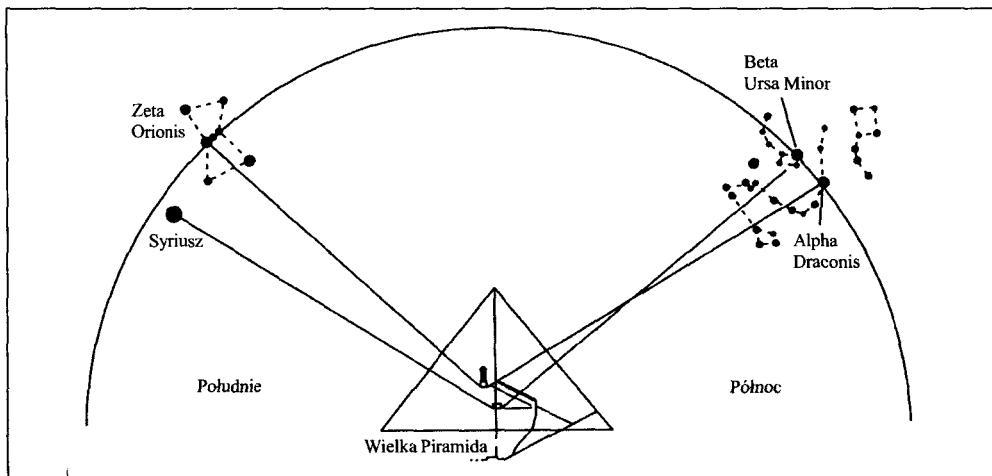
Właśnie na podstawie tych ustaleń, wybierając najpóźniejszą i najbardziej konserwatywną datę, profesor Schoch ustalił minimalny wiek Sfinksa na 7000 lat. Z drugiej strony jego kolega John Anthony West uważa, że posąg musi być znacznie starszy (czego nie wykluczają badania nad śladami erozji). Powiedział nam:

Jestem przekonany, że cała ta zagadka jest w jakiś sposób związana z tymi legendarnymi cywilizacjami, o których mówią wszystkie cywilizacje świata. Wiecie – że były wielkie katastrofy, że kilku ludzi je przeżyło i potem wędrowali po ziemi i że trochę ich wiedzy przetrwało tu, trochę tam (...). Mam wrażenie, że Sfinks jest z tym wszystkim związany. Jeśli ktoś chciałby się ze mną założyć, to powiedziałbym, że pochodzi sprzed końca ostatniej epoki lodowcowej i że powstał dawniej niż 10 000 lat p.n.e., a być może nawet dawniej niż 15 000 lat p.n.e. Jestem przekonany – a właściwie więcej niż przekonany – że jest właśnie tak stary.

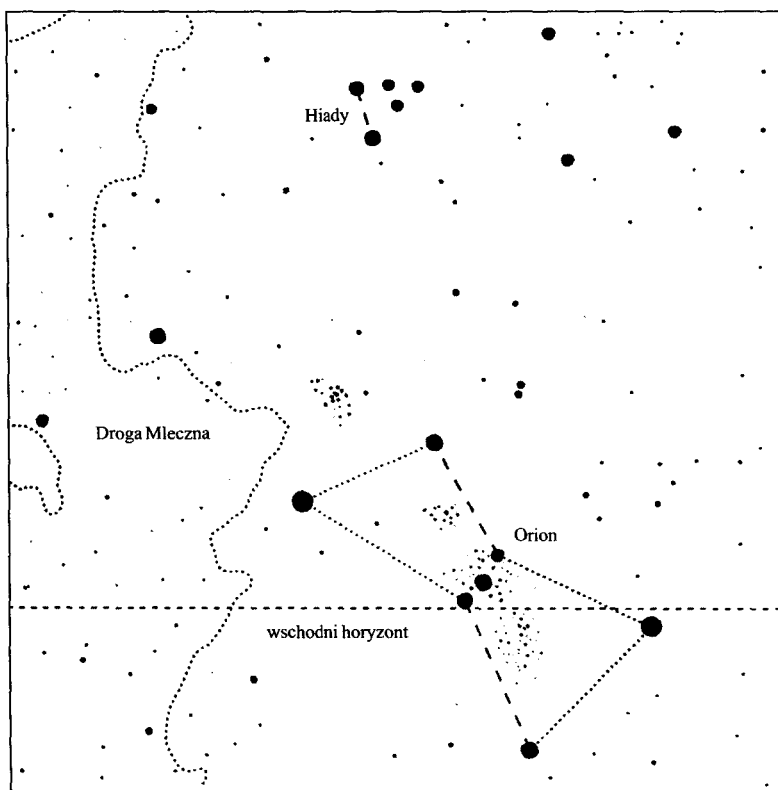
2. Astronomia Piramid i Sfinksa

Badania geologiczne stawiają na głowie ortodoksyjną egiptologiczną teorię, sytuując powstanie Sfinksa w przedziale czasowym między 15 000 lat p.n.e., jeśli John West ma rację, a 5000 lat p.n.e., jeśli opowiemy się za sugestią Roberta Schocha. Studia astronomiczne prowadzone przez Roberta Bauvala wyposażyły badaczy w niezbędną dodatkową technikę, dzięki której można ustalić prawdziwą datę powstania budowli w Gizie.

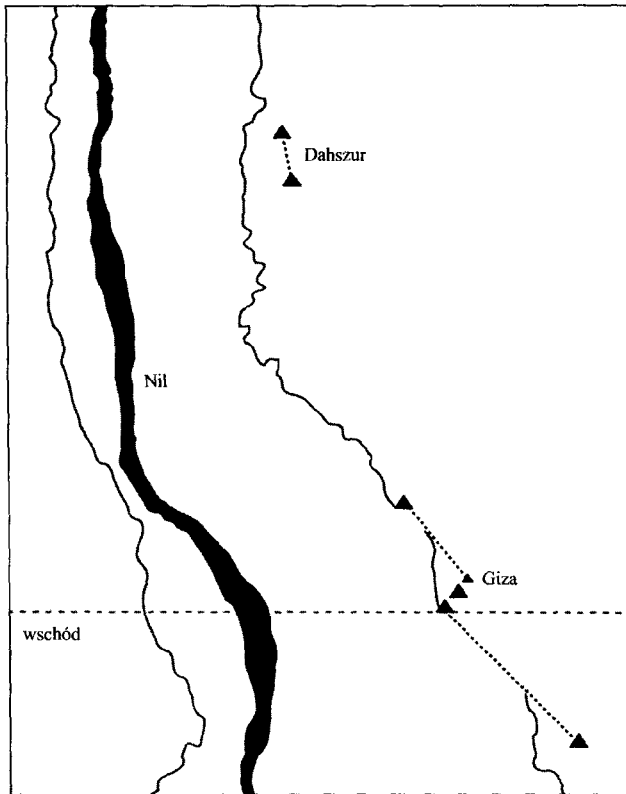
Pierwszym przełomem było opublikowanie książki *Piramidy – brama do gwiazd*, w której Bauval dowodził, że cztery wąskie tak zwane szyby wentylacyjne



Orientacja czterech „gwiazdnych szybów” Wielkiej Piramidy około 2500 roku p.n.e.



Konstelacja Oriona



Układ piramid w Gizie oddaje pozycje gwiazd Oriona około 10 500 roku p.n.e., zaś Nil jest odpowiednikiem Mlecznej Drogi. Warto zwrócić uwagę na korelację piramid w Dahsur i Hiad.

Wielkiej Piramidy (jakie nie występują w żadnej innej budowli) powinno się raczej nazywać „szybami gwiazdnymi”, ponieważ zostały one zorientowane, około 2500 roku p.n.e., na cztery ważne gwiazdy, którym starożytni Egipcjanie przypisywali wielkie znaczenie. Szyby te są „południkowe”, to znaczy dwa z nich są skierowane dokładnie na północ, a dwa na południe, i były wycelowane na punkty nocnego przejścia tych gwiazd przez północny i południowy południk nieba. Około 2500 p.n.e. gwiazdami wskazywanymi przez północne szyby były: Kochab (Beta Ursa Minor) w konstelacji Małego Wozu i Thuban (Alpha Draconis) w konstelacji Smoka – zwanej Smokiem lub Wężem. W tym samym okresie południowe szyby celowały w Syriusza (jasną gwiazdę w konstelacji Małego Psa, którą starożytni Egipcjanie uważali za gwiazdny odpowiednik bogini Izdydy) i Al Nitak (Zeta Orionis), najjaśniejszą z trzech gwiazd pasa Oriona – którego, jak już widzieliśmy, „starożytni Egipcjanie identyfikowali z Ozyrysem, bogiem zmartwychwstania i odrodzenia, który według legendy miał przynieść cywilizację do doliny Nilu w odległej epoce zwanej »Sep Tepi«, »Pierwszym Razem«”.

Studia Bauvala nad orientacją gwiazdnych szybów były kontynuacją wcześniejszych badań prowadzonych przez egipskiego architekta Alexandra Badawy'ego i amerykańskiej specjalistki od astronomii, Virginii Trimble. Badania Bauvala same w sobie nie podważały ortodoksyjnego datowania piramid na połowę III tysiąclecia p.n.e., jednak autor nie poprzestał na tym i zwrócił uwagę na dziwny układ trzech wielkich piramid na ziemi – jego teoria „korelacji Oriona” stanowiła przełom w studiach nad starożytnym Egiptem:

Patrząc z góry [na płaskowyż Giza, można zobaczyć, że Wielka Piramida i druga piramida leżą w jednej linii, poprowadzonej przez przekątne podstaw tych budowli (...). Trzecia piramida jest nieco odsunięta na wschód od tej linii. Powstały w ten sposób układ naśladuje niebo, gdzie trzy gwiazdy pasa Oriona również leżą na „załamanej” przekątnej. Dwie pierwsze gwiazdy (Al Nitak i Al Nilam) leżą w jednej linii jak dwie piramidy, lecz trzecia gwiazda (Mintaka) jest nieco przesunięta na wschód od linii utworzonej przez dwie pozostałe.

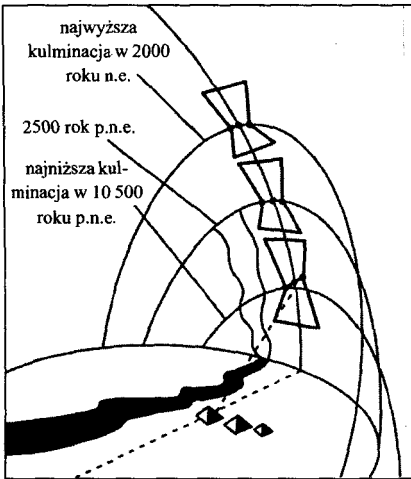
Zbieżność ta, kiedy zdamy sobie sprawę z jej istnienia, jest oczywista i wyraźnie widoczna. Dodatkowego potwierdzenia jej symbolicznego znaczenia (...) dostarcza Droga Mleczna, którą starożytni Egipcjanie uważali za rodzaj niebiańskiego Nilu i którą w archaicznych tekstach pogrzebowych nazywano Krętą Rzeką. Na sklepieniu niebieskim gwiazdy pasa Oriona leżą na zachód od Mlecznej Drogi, jakby patrząc z góry na jej brzeg; na ziemi piramidy stoją wysoko nad zachodnim brzegiem Nilu.

W obliczu takiej symetrii i tak złożonego splotu architektonicznych i religijnych idei trudno oprzeć się wrażeniu, że piramidy w Gizie stanowiły udaną próbę zbudowania na ziemi pasa Oriona.

Pomijając wszystko inne, starożytni Egipcjanie uważali gwiazdozbiór Oriona za niebiański wizerunek Ozyrysa, pana Duat. Czy zatem nie wydaje się przekonująca teoria, iż piramidy miały stanowić wizerunek nieba, że miały swoim układem naśladować układ gwiazd pasa Oriona/Ozyrysa? Może właśnie o to chodzi we fragmencie *Tekstów Sarkofagów*, gdzie czytamy: „Jestem budowniczym i posiadłem wiedzę (...). Jestem podobny do Ozyrysa (...). Jestem wizerunkiem Ozyrysa”.

Ale wizerunkiem Ozyrysa w jakiej epoce? Ponieważ Ozyrys był Orionem, Bauval doszedł do wniosku, że odpowiedź na to pytanie można znaleźć w gwiazdach – a konkretnie w powolnych zmianach pozycji gwiazd na skutek precesji osi ziemskiej.

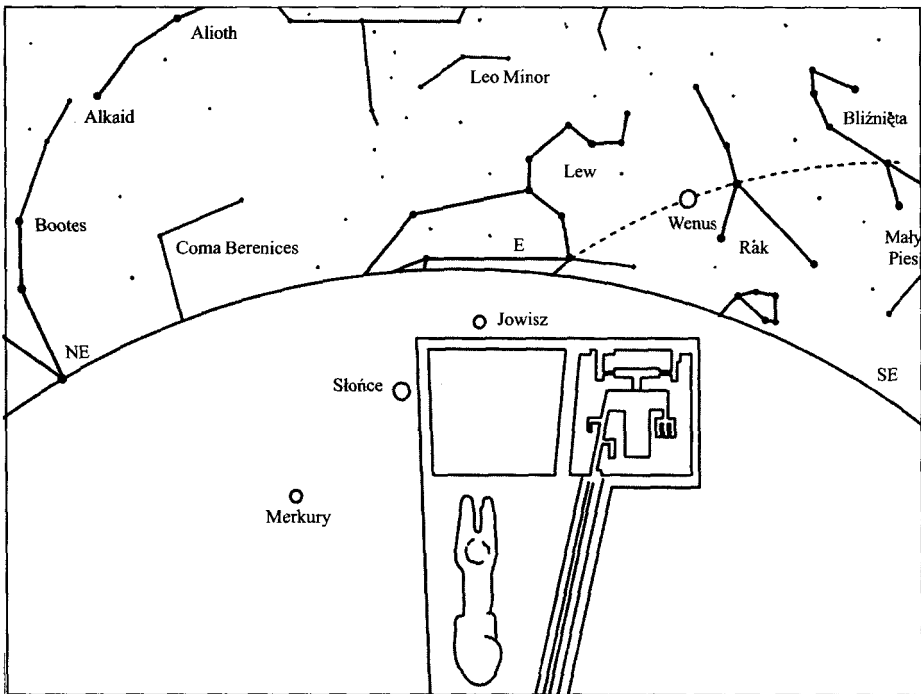
Wiele astronomicznych programów komputerowych, takich jak Skyglobe czy Redshift pozwala badaczom tworzyć symulacje wpływu precesji na wszystkie gwiazdy i oglądać te gwiazdy z dowolnego punktu na kuli ziemskiej. Bauval odkrył, że trzy gwiazdy pasa Oriona oglądane z Gizy wydają się w czasie cyklu precesyjnego przesuwają w górę i w dół południka niebieskiego – poruszając się przez 13 000 lat „w górę” (to znaczy zwiększając swoją wysokość nad horyzontem w momencie przejścia przez południk) i 13 000 lat „w dół” (zmniejszając wysokość nad horyzontem w momencie przejścia przez południk). Najniższy punkt w tym



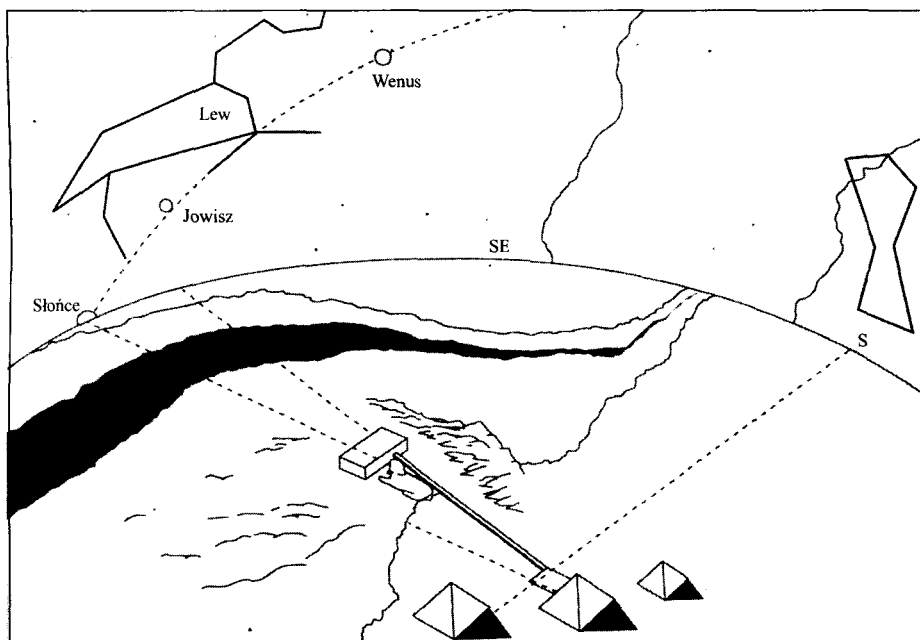
Wschód i kulminacja Oriona na przestrzeni dziejów. Położenie gwiazd w 10 500 roku p.n.e. wyznacza początek, czyli „pierwszy raz” cyklu, odzwierciedlony w układzie trzech piramid w Gizie.

cyklu Orion osiągnął ostatnio około 10 500 roku p.n.e., zaś najwyższy punkt osiągnie między 2000 a 2500 rokiem n.e.

Bauval zauważył także, że cykl precesyjny ma wpływ nie tylko na wysokość Oriona nad horyzontem: również jego pozycja w stosunku do południka niebieskiego ulega nieustannym zmianom; gwiazdy przesuwają się – tak wolno, że niemal



Sfinks patrzy na wschód, gdzie na horyzoncie leży konstelacja Lwa; godzina przed świtem, wiosenna równonoc 10 500 roku p.n.e.



Sfinks zorientowany na Lwa, piramidy w układzie gwiazd pasa Oriona;
wiosenna równonoc 10 500 roku p.n.e.

niezauważalnie – w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara. Używając programu Skyglobe, aby „cofnąć gwiazdy” i porównać to, co widać na niebie, z układem trzech piramid w Gizie, na Ziemi, Bauval odkrył, że istnieje tylko jedna epoka, w której obrazy nieba i ziemi dokładnie do siebie pasują. Był to okres około 10 500 roku p.n.e., najniższy punkt, czyli początek – a zatem „pierwszy raz” – obecnego precesyjnego cyklu konstelacji Oriona. To właśnie wówczas, i tylko wtedy, układ piramid na Ziemi był dokładnym odbiciem układu trzech gwiazd pasa Oriona.

Oczywiście może być dziełem przypadku, że korelacja Oriona – wprawdzie wyraźna i oczywista we wszystkich epokach – była naprawdę pełna i doskonała w czasie astronomicznego „pierwszego razu”, około 10 500 roku p.n.e. Ale wówczas trzeba uznać za dzieło przypadku również to, że Ozyrys/Orion jest wielokrotnie nazywany w egipskich tekstach religijnych bogiem „pierwszego razu”.

Podobnie może być przypadkiem (ale czy nie za dużo tych przypadków?) to, że druga korelacja nieba z ziemią w Gizie miała miejsce dokładnie w tej samej epoce. Korelacja ta, opisana w *Strażniku tajemnic*, obejmuje Sfinksa, który jest z niewiarygodną precyzją zorientowany na wschód – w kierunku wschodu Słońca w dniu wiosennej równonocy, godzinę przed świtem w tamtej epoce. Wówczas wzdłuż horyzontu, w miejscu, w którym wkrótce miało wzejść Słońce, leżał rozciągnięty gwiazdozbiór Lwa. Znaczy to, że Sfinks o ciele lwa patrzył tego ranka dokładnie na jedyną na niebie konstelację, którą można by uznać za jego gwiazdny odpowiednik.

Wrażenie tożsamości nieba z ziemią pogłębiało się jeszcze bardziej godzinę później. Z komputerowych symulacji wynika, że kiedy Lew wzniósł się nieco wyżej, dokładnie w tym samym momencie, gdy na wschodzie, dokładnie w miejscu, w które patrzy Sfinks, pojawiał się nad horyzontem szczyt tarczy słonecznej, trzy gwiazdy pasa Oriona znajdowały się na południu, przechodząc przez kulminacyjny punkt na południku niebieskim, w układzie identycznym, jak trzy piramidy w Gizie:

Pytanie sprowadza się do tego: czy jest dziełem przypadku, czy też może czymś więcej, że na nekropolii w Gizie, jaka przetrwała do naszych czasów z zamierzchłej starożytności, dominuje ogromny związek z równonocą posąg lwa na wschodnim „horyzoncie”, a na południku są rozmieszczone trzy gigantyczne piramidy w charakterystycznym układzie trzech gwiazd pasa Oriona z okresu około 10 500 roku p.n.e.? I czy również tylko przypadkowo wszystkie budowle tego zadziwiającego astronomicznego parku tematycznego współpracują ze sobą – naszym tryby ogromnego mechanizmu zegarowego – wskazując ten sam czas?

Oczywiście naszym zdaniem nie może tu być mowy o przypadku. Zarówno Lew, jak i Orion były gwiazdozbiorami, którym Egipcjanie przypisywali ogromne znaczenie, stojąc u bram regionu nieba zwanego Duat, przez który dusze zmarłych musiały przejść jeśli – jak wierzono – miały osiągnąć nieśmiertelność. Wydaje się nam zatem, że ludzie, którym religijni nauczyciele polecieli zbudować na ziemi „dokładne kopie tajemnych kręgów Duat”, raczej nie mogli nie zauważyć związku między posągiem lwa i piramidami „na dole” a gwiazdozbiorami Lwa i Oriona „w górze”.

Jedną z nierozwiązanych zagadek jest tak odległa data, przypisana przez astronomię monumentom w Gizie – data 10 500 p.n.e., tak doskonale współgrająca z geologią Sfinksa. Czy to może być tylko przypadek? A może powinniśmy w końcu przyjąć do wiadomości, że konstrukcje te naprawdę zostały zbudowane około 10 500 roku p.n.e.? Albo może budowano je etapami, w ciągu tysięcy lat, ale według planu opartego na obserwacjach nieba spisanych w roku 10 500 p.n.e.? A może ich budownicy nie potrzebowali takich zapisów? Może umieli oni obliczać precesję równie dokładnie, jak współczesne komputery? Może – na co wydaje się wskazywać tak wiele starożytnych tekstów – byli to adepci, którzy „znali zaklęcia dla zstępowania do każdego nieba, do jakiego zechcą zstąpić” i którzy spoglądali w niebo, wypatrując „drogi” pozwalającej duszy zatriumfować nad „karą śmierci”?

Tajemniczy nauczyciele z niebios

Ludzie dysponujący wiedzą o precesji, porównując układ poziomy trzech piramid w Gizie z układem trzech gwiazd pasa Oriona na niebie, zwracają uwagę na zamierzoną epokę w połowie XI tysiąclecia p.n.e.

Cztery szyby gwiazdne Wielkiej Piramidy wydają się opowiadać jeszcze inną historię. Trudno nam uwierzyć, że budowniczowie tak precyzyjnych wskaźników mogli nie zdawać sobie sprawy z tego, że kąty nachylenia szybów mogą posłużyć do ustalenia epoki – a wręcz konkretnej daty, kiedy zostały one dokładnie „wycelowane” w cztery gwiazdy: Kochab, Thuban, Syriusza i Zeta Orionis. Jak się już przekonaliśmy, datą tą jest nie 10 500, lecz 2500 rok p.n.e. Zupełnie jakby te budowle – naśladujące układ gwiazd z wcześniejszej epoki, a równocześnie za pomocą ukośnych szybów wskazujące na te same gwiazdy w epoce późniejszej – miały na celu zwrócenie uwagi na powolne, długotrwałe zmiany powodowane przez zjawisko precesji. Jeśli przypomnimy sobie starożytne teksty dotyczące śmierci i odrodzenia, w których czytamy, że podstawową cechą „zaopatrzonego ducha” była umiejętność „zstępowania do dowolnego nieba”, wydaje się, że można by zadać pytanie, czy przypadkiem piramidy nie miały być w zamyśle swoich budowniczych ogromnymi laboratoriami, mającymi na celu przygotowanie ludzkiej duszy do nieśmiertelności przez „zaopatrzenie” jej w ezoteryczną wiedzę o cyklach gwiazd?

Dodatkowe światło na tę kwestię rzuca pewien fragment z *Tekstów Piramid*, który może być nawiązaniem do samej Wielkiej Piramidy – budowli o płaskim szczycie, ponieważ jej wierzchołek i kilka najwyższych warstw kamienia zagięły:

O Góro, która nie jest ostra, bramo niebios (...), ujmij króla za rękę i zabierz króla do nieba, aby nie umarł na ziemi wśród ludzi.

Pod pewnymi względami ta teoria nie budzi kontrowersji. Egypciolodzy są zgodni co do tego, że piramidy były „narzędziami do osiągnięcia nieśmiertelności”,

mającymi za zadanie wysłanie dusz pogrzebanych w nich faraonów bezpośrednio do nieba. Nie biorą jednak pod uwagę możliwości, że Wielka Piramida mogła być w takim właśnie celu używana przez faraonów, którzy nie zostali w niej pogrzebani. Na taką możliwość wskazuje przytoczony wyżej tekst, wypisany wewnątrz komory grobowej faraona V dynastii, Unisa, który władał Egiptem niemal 200 lat po tym, jak Wielka Piramida miała zostać zamknięta jako grobowiec władcy IV dynastii, Chufu.

Tajemnicze i niewytłumaczalne

Egiptolodzy uważają „staropaństwową obsesję na tle osiągnięcia nieśmiertelności w niebie” – i przekonanie, że piramidy odgrywały w tym istotną rolę – za niewiele znaczącą, „dziecinną” formę magii sympatycznej, wywołaną „naiwnym” pragnieniem wiecznego życia. Taki pogląd całkowicie zgadza się z powszechnie przyjmowaną teorią historyczną o głupocie starożytnych. Zwolennicy tej teorii zupełnie poważnie twierdzą, że piramidy w Gizie, łącznie ważące około 15 000 000 ton, zostały zbudowane jako „grobowce i tylko grobowce” przez faraonów opętanych megalomańskim pragnieniem utrwalenia na wieczność swojego ego.

Taka interpretacja jest możliwa. A jednak w przypadku piramid w Gizie istnieje bardzo mało dowodów na jej poparcie. Ich rzekome „komory grobowe” były puste już kiedy zostały po raz pierwszy otwarte przez arabskich awanturników w IX wieku n.e. i nigdy nie znaleziono w nich żadnych śladów pochówku. Ponadto nie zawierają inskrypcji – ani jednego słowa – które pozwoliłyby ustalić, kiedy zostały zbudowane i jakim celom służyły. Zatem twierdzenia egiptologów, że są to grobowce faraonów IV dynastii o imionach Chufu, Chafre i Menkaure, zbudowane w ciągu 80 lat między 2551 a 2472 rokiem p.n.e., nie można uznać za potwierdzony fakt, a jedynie za teorię.

Na szczęście takie teorie nie są jedynymi wskazówkami, jakimi dysponujemy na temat prawdziwej natury rytuałów odprawianych niegdyś w tych budowlach i wokół nich. Znacznie bardziej wiarygodna jest wielka ilość informacji zawartych w starożytnych egipskich tekstach dotyczących śmierci i odrodzenia. Najstarszymi, jakie zachowały się do naszych czasów, są – jak już wiemy – *Teksty Piramid*, nazwane tak, ponieważ zostały wykute na ścianach komór grobowych piramid V i VI dynastii w Sakkarze, między XXIV a XXII wiekiem p.n.e.

Gdzie i kiedy naprawdę powstały te teksty?

Data powstania inskrypcji nie ulega wątpliwości, lecz jak sami naukowcy przyznają, *Teksty Piramid* zawierają mnóstwo elementów wskazujących, iż już w czasach V dynastii były starożytne. Zawierają też niepodważalne dowody na to, że zostały skopiowane z wcześniejszych dokumentów źródłowych, które nie zachowały się do naszych czasów. Jak napisał egiptolog James Henry Breasted, zawierają one:

(...) wielką liczbę archaicznych słów, które wiodły długie i aktywne życie w świecie obecnie zupełnie zaginionym i zapomnianym. Posiwałe ze starości

pojawiają się niepewnie nad naszym najdawniejszym horyzontem na krótką chwilę, ledwie widoczne w tych starożytnych tekstach, po czym nikną na zawsze. Odkrywają przed nami zaginiony świat myśli i języka, ostatnią z niezliczonych epok, przez które musiał przejść prehistoryczny człowiek, zanim w końcu pojawił się w naszym polu widzenia, wchodząc w epokę historyczną.

Czy nie wydaje się tajemnicze i niemal niewytłumaczalne, że w takim momencie, kiedy prehistoryczny człowiek po raz pierwszy „pojawił się w naszym polu widzenia”, w Egipcie istniała już zorganizowana struktura dysponująca środkami i zasobami ludzkimi pozwalającymi: 1) zbudować gigantyczne i naukowo zorientowane budowle na nekropolii memfickiej, włączając w to Wielkiego Sfinksa i piramidy w Gizie (niezależnie od tego, jaka naprawdę była ich funkcja); 2) stworzyć ideologię tak złożoną i zaawansowaną jak tą, którą wyrażają *Teksty Piramid*?

Egiptolodzy uznali, że taka struktura istniała, nie widząc w tym jednak nic tajemniczego ani nic wymagającego wyjaśnienia. Nazwali ją predynastyczną religijną akademią w Heliopolis i stwierdzili, że „cały rytuał egipskiej świątyni jest pochodzenia heliopolitańskiego”.

Jakim celom miał służyć ten „rytuał”? Jakie idee mógł obejmować? I dlaczego idee te dotyczyły piramid i gwiazd, miejsca wschodu słońca, boskich królów i poszukiwania nieśmiertelności?

Wcielenie Atuma

Starożytne Heliopolis jest obecnie całkowicie przykryte przez Matariję, przedmieście po wschodniej stronie Kairu. Z dawnej chwały miasta nie pozostało do dzisiaj nic poza jednym obeliskiem, ustawionym przez faraona XII dynastii, Senusereta I (1971-1926 p.n.e.). Wszystko, co archeologia wie na pewno o tym miejscu, to fakt, że musiało ono być już bardzo stare w czasach Senusereta – a wręcz rozkwitało „już w połowie III tysiąclecia p.n.e., i niewątpliwie było znacznie starsze”. Profesor I. E. S. Edwards twierdzi, że już w czasach predynastycznych Heliopolis było „najważniejszym miastem w Egipcie”. Peter Tompkins nazywa je „stolicą predynastycznego państwa”. Sir J. Norman Lockyer, brytyjski astronom, obliczył, że musiało ono być założone na długo „przed 4000 rokiem p.n.e.”. Zaś grecki podróżnik Diodor Sycylijski, który odwiedził je w I wieku p.n.e., dowiedział się od mieszkańców miasta, że uważają je za „starsze niż jakiegokolwiek inne miasto w Egipcie”.

Dzieje Heliopolis mieszczą się na pograniczu mitu i historii. Nie sposób ich opowiedzieć, nie wspominając o Nunu i prapagórku, o ptaku Benu i kamieniu Benben.

Najstarsze zachowane wersje tej legendy, znane nam oczywiście za pośrednictwem *Tekstów Piramid*, rozpoczynają się w epoce „pierwszego razu”, złotym wieku, który naukowcy uważają za mityczny, a który miał trwać, zanim zaczęła się historia, „zanim powstał gniew (...), zanim powstała walka (...), zanim powstał zamęt”.

„Pierwszy raz” nosi taką właśnie nazwę, ponieważ jest początkiem obecnej rzeczywistości, obecnej inkarnacji ziemi – pierwszym tyknięciem kosmicznego zegara, który wyznacza rytm naszej egzystencji. O tak doniosłych sprawach teksty Egipcjan bardzo często mówią w sposób niejasny i zagadkowy; a jednak mimo to – jakby patrząc przez welon – możemy czasem dostrzec przyprawiające o zawrót głowy otchłanie innych potencjalnych „rzeczywistości” kryjące się dookoła i pozwalające zinterpretować naszą własną – każda z nich jest ideą zrodzoną w głowie Boga i oczekującą na zmaterializowanie się jako świat kształtów.

Dowiadujemy się, że przed pierwszym tyknięciem „pierwszego razu” Atum, bóg istniejący przed wszystkimi innymi bogami, „kompletny”, ojciec wszystkiego, leżał w bezruchu w wodach pierwotnej pustki – „nieskończoności, nicości, nieokreśloności i mroku” – którą starożytni Egipcjanie nazywali Nunu. Choć nieruchomy, bóg był wypełniony magią, nasycony mocą „tworzenia swoich własnych form”, zdolny realizować nieskończone możliwości tworzenia i przekształcania. Samotny, nagi, zawieszony w mrocznym oceanie, otoczony nieistnieniem, sam nie przestawał istnieć. Jak to opisują teksty, „posiadał swoje członki”, obejmując pełną kontrolę nad potęgą swej własnej woli, siłą intelektu, mądrością swoich niezliczonych egzystencji.

W z góry określonym momencie poruszył się i popłynął przez zawiesziste wody Nunu, wysyłając przed siebie zakłęcie tworzenia, nadając kształt i fakturę widmowym formom swojej wyobraźni, sprawiając, że coś wyłoniło się z niczego.

Triumfalne wyłonienie się istnienia z nieistnienia było aktem boskiej magii, dla którego opisanie egipskie teksty religijne używały trzech paralelnych i wzajemnie ze sobą powiązanych symboli. Jednym był prapagórek – pierwszy skrawek ziemi, jaki wyłonił się z wód praocceanu Nunu; drugim był święty kamień Benben, zaś trzecim – ptak Benu. Wszystkie te trzy symbole były według Egipcjan zgrupowane w Heliopolis, w jednym świątynnym okręgu, zwanym Hut Benben, czyli „Świątynią Benben”, czasem też określanym mianem „Domu Feniksa”.

Wzgórze i kamień

Starożytni Egipcjanie nazywali Heliopolis „innu” – „filar” i uważali je za pierwszą część świata ziemi, jaki wyłonił się z praocceanu. Wynika to jednoznacznie z tekstu opisującego Atuma przed stworzeniem świata – czasu, kiedy, jak wspomina bóg: „byłem samotny wśród wody, w stanie bezruchu, zanim stworzyłem miejsce, w którym można stanąć albo usiąść, zanim zostało stworzone Heliopolis, abym mógł być w nim”.

Bóg zmaterializował się jako prapagórek: „O Atumie – czytamy w rozdziale 600 *Tekstów Piramid* – kiedy zacząłeś istnieć, powstałeś jako Wysokie Wzgórze, załśniłeś jako kamień Benben w Świątyni Feniksa”.

W miejscu, które Egipcjanie uważali za oryginalny prapagórek, w samym geograficznym środku Heliopolis, znajdował się podwyższony obszar zwany „Wysokim Piaskiem”. Jednak nie to miejsce było uważane za pierwszy skrawek

ładu stworzony przez Atuma. Tym był kamień Benben, „kamień, który spadł z nieba” – niektórzy naukowcy sugerowali, że mógł to być meteoryt – powstały z kropli nasienia Atuma, która spadła do praoceanu Nunu. Jak zauważył Henri Frankfort, ów tajemniczy obiekt musiał się niegdyś rzeczywiście znajdować w Heliopolis, zamknięty na „Wysokim Piasku” w „Domu Feniksa”, przy czym z *Księgi o tym, co jest w Duat* dowiadujemy się, że mógł tam być oglądany przez wtajemniczonych, lecz nie mieli do niego dostępu inni ludzie:

To są ci, którzy znajdują się na zewnątrz Hut Benben (...). Oni widzą Re [boga Słońca] swoimi oczami i mają dostęp do jego świętych wizerunków (...). Chronię moje ukryte rzeczy, które są w Hut Benben.

Oryginalny kamień Benben, mający podobno zawierać „sekrety Duat”, zaginął jeszcze w starożytności i nikt dzisiaj nie potrafi powiedzieć, gdzie mógłby się znajdować. Dysponujemy jednak wielką liczbą źródeł pisanych, malowideł i reliefów, które nie pozostawiają cienia wątpliwości, że był to obiekt o kształcie piramidy, „różnie przedstawiany” – jak twierdzą naukowcy – „jako przedmiot zaokrąglony, piramidion lub o kształcie schodkowym”. W *Tekstach Piramid*, jak zauważył Frankfort, jego determinatyw przedstawia spiczasty, nieco stożkowy kształt, który dla potrzeb architektury przybrał stylizowaną formę małej piramidki, piramidionu; pokryty złotą folią był uniesiony wysoko na szczycie masztu lub obelisku.

Kamień Benben był wzorem, a także dał nazwę, jaką starożytni Egipcjanie określali zwieńczenia (piramidiony) wszystkich piramid i wierzchołki (ale tylko wierzchołki) obelisków. W Heliopolis pierwszym obeliskiem był megalityczny filar Innu, od którego miasto otrzymało swoją egipską nazwę, stojący na dziedzińcu Hut Benben – świątyni, która niemal na pewno nie była zadaszona. Zdaniem Frankforta ów pionowo ustawiony kamienny filar, zwieńczony piramidionem Benben – „kroplą nasienia Atuma” – wygląda jak pierwotny „faliczny symbolem Heliopol, miasta słupów”.

Za taką interpretacją przemawia też fakt, że w języku starożytnych Egipcjan rdzeń *bn* i jego reduplikacja *bnbn* były „związane z różnego rodzaju wpływaniem, między innymi o charakterze seksualnym (...)”. We fragmencie opisującym stworzenie Benben czytamy, że Atum jest bogiem, który „zrodził [*bnn*] miejsce [*bw*] w pierwotnym oceanie, kiedy nasienie [*bnn.t*] wypłynęło [*bnbn*] po raz pierwszy [czyli na początku obecnego świata] (...), wypłynęło [*bnbn*] pod nim jak zazwyczaj, w swoim imieniu »nasienie« [*bnn.t*].

Lot Feniksa

Tak więc Benben miał związek z seksualnością, z reprodukcją, z całkiem dosłownym fizycznym znaczeniem. Czym wobec tego był mityczny ptak Benu, którego nazwa również wywodzi się z rdzenia *bnn*?

Benu, pierwowzór późniejszego greckiego Feniksa, był jeszcze jednym wcieleniem Atuma, tym razem w postaci szarej czapli, która podobno miała się pojawić w chwili stworzenia i przysiąść na szczycie filara stojącego na prapagórku. Należy zwrócić uwagę, że – jak zauważył egiptolog R. T. Rundle Clark – wyłonienie się prapagórka i pojawienie ptaka Benu nie były uważane za następujące po sobie wydarzenia, lecz raczej „akty równoległe, dwa aspekty doniosłego momentu stworzenia”.

Teksty opisują ten moment jako zwycięstwo światła i ducha nad ciemnością i śmiercią, jako „tchnienie życia, które wyłoniło się z gardła ptaka Benu, w którym Atum pojawił się wśród pierwotnej nicości”. Rundle Clark tak opisuje tę scenę:

Można sobie wyobrazić żerdź wyłaniającą się z otchłani. Na niej siada szara czapla, herold wszystkich rzeczy, które się staną. Otwiera dziób i przerywa ciszę pierwotnej nocy okrzykiem życia i przeznaczenia.

To wcielenie Atuma, zrodzony sam przez siebie i nieśmiertelny Benu, przekracza granicę między duchem a materią, symbolizując wieczną transmigrację duszy. Wszyscy wtajemniczeni w świątyniach Egiptu starali się osiągnąć to, co reprezentował sobą Benu. Mieli wręcz nadzieję na to, że sami – metaforycznie – staną się nim. „Ja jestem ptakiem Benu” – oznajmia zmarły we fragmencie *Księgi Umarłych* – „i wyjdę znowu na ziemię”.

Wydaje się oczywiste, że u podłoża takich dążeń musiała leżeć wysoko rozwinięta doktryna reinkarnacji (na co istotnie można znaleźć wiele dowodów w egipskich tekstach).

Niemiecki filozof Hegel w mało znanym eseju poświęconym Feniksowi zauważył, że w takiej doktrynie:

Duch – pochłaniając otoczkę swej egzystencji – nie tylko przechodzi w kolejną powłokę i odmłodzony powstaje z popiołów swej poprzedniej formy; wyłania się jako wywyższony, pełen chwały, czystszy duch. Z pewnością prowadzi wojnę sam ze sobą – pochłania swoje własne istnienie. Ale zniszczenie przekształca jego egzystencję w nową formę, a każda kolejna faza staje się materiałem, dzięki któremu wznosi się na wyższy stopień.

Towarzysze Horusa

„Kiedy przesłanie nadchodzi z nieba” – czytamy w staroegipskim papirusie z Lejdy – „słysząc je w Heliopolis”. Ale kto miał je usłyszeć?

Ze źródeł historycznych wynika, że na służbie Świątyni Benben w Heliopolis równocześnie było zatrudnionych aż 12 000 kapłanów i że tajemniczy obiekt o kształcie piramidy nazywano czasem „kamieniem, który spadł z nieba”. W *Księdze Umarłych* czytamy: „Oto gwiazdziste niebo jest w Heliopolis”. Arcykapłan z Heliopolis nosił, jak już wiemy, tytuł „szefa astronomów”. Z Heliopolis kojarzone są

monumenty takie jak wielkie piramidy i Sfinks, mające precyzyjną astronomiczną orientację.

Mimo tak oczywistych wskazówek egjiptolodzy uparcie twierdzą, że kapłani z Heliopolis byli „na wpół dzicy” i że ich religii nie tworzyło nic ponad prymitywne zabobony przybrane w rodzaj magicznego „kultu” nieba. Natomiast z drugiej strony słyszymy nieliczne głosy, głoszące, że „świątynia w Heliopolis, chociaż niewtajemniczonym prezentowano ją jako miejsce kultu religijnego, w rzeczywistości była obserwatorium astronomicznym, zaprojektowanym i wyposażonym przez naukowców do celów naukowych”.

Złożone i wyrafinowane cechy astronomiczne piramid i Wielkiego Sfinksa w Gizie, leżących tak blisko Heliopolis, o których wiadomo, że były pod kontrolą heliopolitańskich kapłanów, przemawiają za teorią obserwatorium. Nie widzimy jednak żadnego powodu, by zgodzić się z opinią tych, którzy twierdzą, że religia była tylko rodzajem „przykrywkii” dla praktykowanej tam „tajnej nauki”. Przeciwnie, naszym zdaniem jest możliwe, że tym, czego naprawdę poszukiwali naukowcy z Gizy/Heliopolis, używając rygorystycznych metod badawczych, obejmujących również astronomię, lecz nie ograniczających się do niej, był cel czysto religijny i duchowy – ni mniej, ni więcej, tylko „odnowienie” i przekształcenie, niczym Feniks, ludzkiej duszy.

Jeśli możemy wierzyć starożytnym tekstom, to owe poszukiwania życia po śmierci dotarły do Egiptu w zamierzchłych czasach „pierwszego razu” – tysiące lat przed pierwszą dynastią faraonów. Od samego początku były one kojarzone z tajemniczą grupą półboskich istot zwanych „Szemesu Hor” – „Towarzyszami Horusa”. Emblematem tych istot, upamiętnionych w tradycji jako „założyciele Heliopolis” oraz jako „nauczyciele z niebios”, był sokołogłowy bóg Horus, boskie dziecko Ozyrysa i Izydy, których gwiazdowymi odpowiednikami były Orion i Syriusz.

Horusa kojarzono z wieloma rzeczami, przede wszystkim ze Słońcem. W tym aspekcie połączył się w Heliopolis z Atumem, tworząc synkretyczną formę boga Słońca Re, przedstawianego jako człowiek z głową sokoła, zwieńczoną dyskiem słonecznym i kobrą (czyli ureuszem). W późniejszych czasach właśnie kult Atuma i Horusa w formie Re – Słońca – sprawił, że Grecy nadali miastu Innu nazwę Heliopolis, co znaczy „Miasto Słońca”.

Historia Horusa jest historią zmartwychwstania Ozyrysa. Jest to historia o drodze wtajemniczonego poza granice śmierci, aby „zebrać swoje kości” i triumfalnie powrócić do życia. Opowiada o tym, jak bóg Ozyrys rządził w Egipcie, w czasach „pierwszego razu”, królestwem założonym zgodnie z regułami kosmicznej sprawiedliwości. Zamordowany w kwiecie wieku przez zawiśniętego brata Seta – który według legendy miał 72 współników – Ozyrys został na krótki czas przywrócony do życia dzięki czarom swej siostry Izydy, która, przybrawszy postać kani, przysiadła na jego fallusie i przyjęła jego nasienie. W ten sposób poczęła Horusa, a ten po osiągnięciu dojrzałości zemścił się na Secie, pokonał go i odzyskał ziemskie królestwo swojego ojca. W magiczny sposób jego czyny przywróciły również duchowe życie w niebiosach Ozyrysowi, który

zmarłychwstał jako władca Duat i odtąd przez całą wieczność czuwał nad sądzeniem dusz zmarłych.

Ten archetypiczny mit, pod wieloma względami przypominający związane z Quetzalcoatlem tradycje środkowoamerykańskie, stanowił podstawę władzy faraonów, boskich królów starożytnego Egiptu. Każdy z nich za życia był nazywany „królem Horusem”, lecz miał nadzieję po śmierci wstąpić do niebios i połączyć się z Ozyrysem – a wręcz dosłownie stać się Ozyrysem. Innymi słowy każdy faraon za życia identyfikował się z bogiem Horusem, a po śmierci z bogiem Ozyrysem – a równocześnie (choć dla współczesnego umysłu może się to wydawać niezrozumiałe) z Re, bogiem Słońca, o którym *Teksty Piramid* mówią: „Horus sprawił, że ty zamknąłeś w swoich objęciach wszystkich bogów”.

Można przypuszczać, że takich właśnie doktryn nauczała grupa nazywana „Towarzyszami Horusa”, rezydująca w Heliopolis, mieście kamienia Benben, żerdzi ptaka Benu – pierwszej sakralnej domenie starożytnego Egiptu, gdzie zdaniem naukowców musiały zostać skompilowane najstarsze zachowane wersje *Tekstów Piramid*.

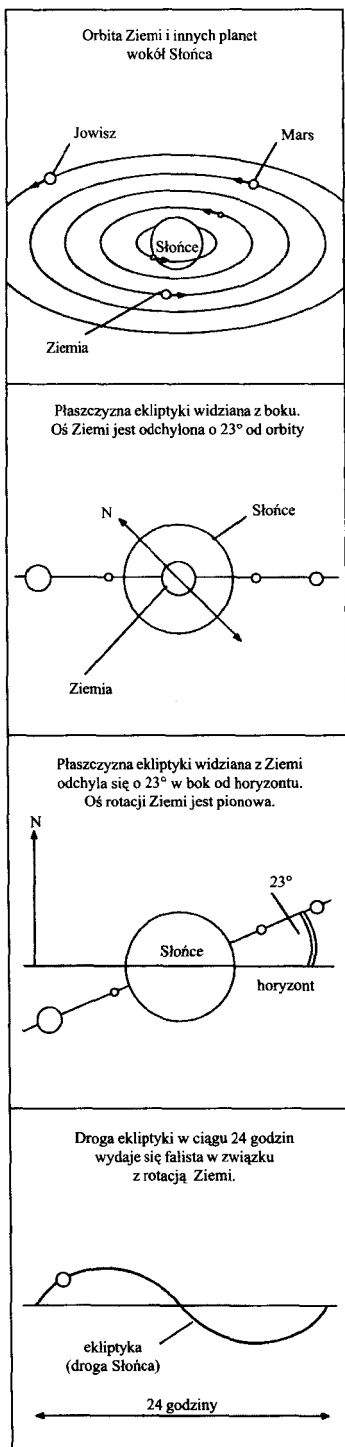
„Towarzysze Horusa”, identyczni pod każdym względem oprócz nazwy z „mędrcami” i „bogami budowniczymi”, o których mówią *Teksty Budowlane z Edfu*, mieli według mitów przynieść ze sobą „wiedzę o boskich początkach” Egiptu i o boskim przeznaczeniu tego kraju, „który niegdyś był święty i w którym bogowie, w nagrodę za jego pobożność, raczyli przebywać na ziemi”.

Oprócz tego niedawno ustalono, że słowo „Szemesu” – „Towarzysze” – wchodzące w skład określenia „Szemesu Hor” należy rozumieć nie tyle jako „kompani”, czy „uczniowie”, lecz dosłownie oznacza „śledzący Horusa” w ścisłym znaczeniu ci, którzy idą drogą Horusa – drogą Horusa, nazywaną też „drogą Słońca” lub „drogą Re”. Być może właśnie z powodu tego, że słynęli ze znajomości konkretnej „drogi” na niebie i tego, że byli nauczycielami mogącymi przekazać tę wiedzę innym, *Teksty Piramid* pouczają wtajemniczonych: „Towarzysze Horusa oczyszczą cię, wypowiedzą dla ciebie zaklęcie Tego, który wstępuje”.

Droga odrodzenia

Współcześni astronomowie często mówią o „drodze Re”, nazywając ją „drogą Słońca” lub – bardziej technicznie – „ekliptyką”. Definiuje się ją jako „przedłużenie do sfery niebieskiej płaszczyzny obiegu Ziemi wokół Słońca (...). Dla obserwatora znajdującego się na Ziemi krąg ten wyznacza ruch Słońca po niebie w ciągu roku w stosunku do tła gwiazd”. *Penguin Dictionary of Astronomy* dodaje jeszcze:

Z punktu widzenia obserwatora na Ziemi ruch obiegowy Ziemi wokół Słońca wygląda, jakby Słońce poruszało się wokół Ziemi w ciągu roku. Droga Słońca na sferze niebieskiej wyznacza płaszczyznę ekliptyki i często na mapach nieba jest zaznaczana jako ekliptyka.



Ekliptyka

Innymi słowy istnieje, uznana i nazwana przez naukę, prawdziwa „droga Słońca” – kolista trasa wśród gwiazd, której cykl zamyka się w ciągu 365 i jednej czwartej dnia, czyli w czasie jednego roku solarnego. Zatem niedawno zaczęto rozważać możliwość, iż „Szemesu Hor”, nazywając samych siebie „śledzącymi drogi Re”, dali nam wskazówkę na temat swoich własnych zainteresowań – długofalowego śledzenia zjawisk mających miejsce wzdłuż ekliptyki. Tacy kapłani-astronomowie – jeśli starannie przechowywaliby zapisy swoich obserwacji z długich odcinków czasu – bez wątpienia zauważyliby efekty precesji, a zwłaszcza powolny ruch obrotowy 12 konstelacji zodiakalnych, na których tle wschodzi Słońce w dniu wiosennej równonocy.

Do sakralnej siły tego wielkiego kosmicznego cyklu jako symbolu odrodzenia i odnowy po długich okresach pozornej śmierci, a co za tym idzie, życia po śmierci, wielokrotnie nawiązują różne starożytne teksty. W *Hermetica* czytamy:

Upływ ziemskiego czasu wyznaczają zmieniające się stany atmosfery i zmiany ciepła i zimna; natomiast upływ czasu niebiańskiego wyznacza powrót ciał niebieskich do ich poprzednich pozycji w ich periodycznym ruchu obrotowym. Kosmos jest tym, w czym zawiera się czas; to właśnie za sprawą postępu i ruchu czasu utrzymuje się w kosmosie życie. Upływ czasu jest regulowany stałymi zasadami; a czas w swoim wyznaczonym biegu odnawia wszystkie rzeczy w kosmosie dzięki odmianie.

Nieco dalej w tym samym tekście czytamy: „Bóg zawiera się sam w sobie i sam z siebie pochodzi (...), porusza się nie w czasie, lecz w wieczności (...). Do wieczności wraca wszelki upływ czasu i z wieczności wszelki upływ czasu bierze swój początek”.

Na koniec dowiadujemy się, że bóg i kosmos zawierają „Kosmos, który jest niepojęty dla zmysłów. Ten widzialny kosmos [to znaczy materialny wszechświat, który widzimy wokół siebie] został stworzony na obraz tamtego innego kosmosu i stanowi kopię wieczności”.

Potężna hermetyczna idea głosząca, że materialne, ziemskie rzeczy są kopią niebiańskich oryginałów, ma wyraźny związek ze staroegipskim przekonaniem, iż świątynia powinna „naśladować niebo”. Oprócz tego w obu przypadkach, dokładnie tak samo jak w meksykańskim mieście piramid Teotihuacan, dzieło tworzenia „podobieństwa” – naśladowania na ziemi układów, cykli i tajemnic kosmosu – było najwyraźniej rozumiane jako całkowicie poważne i inteligentne dążenie do uczynienia ludzi bogami.

Część trzecia

Kambodża

Rozdział 7

Smok

Wiara w to, że ziemia jest „wizerunkiem nieba”, na którym zbudowano kosmiczne świątynie z „salami przypominającymi niebo”, nie ogranicza się do starożytnego Egiptu i starożytnego Meksyku. Ta sama idea była mocno zakorzeniona w południowo-wschodniej Azji, w kambodżańskich hinduistycznych i buddyjskich miastach Angkor Wat i Angkor Thom, tysiąc lat po upadku cywilizacji farańskiego Egiptu.

Historycy nie biorą pod uwagę istnienia żadnych związków i uparcie twierdzą, że ani Egipt, ani Meksyk nie wywarły żadnego wpływu – bezpośrednio czy też pośrednio – na świątynie w Angkorze. Jak napisał francuski archeolog George Coedes, świątynie te należy rozumieć wyłącznie jako wytwór „hinduskiej cywilizacji zaszczeplonej w Indochinach (...). Kiedy spojrzymy poza zewnętrzne formy, poszukując tego, co stanowiło inspirację, znajdziemy indyjską ideę”.

To prawda, że świątynie Angkor Wat i Angkor Thom są oryginalnymi dziełami sztuki i mają własne charakterystyczne cechy, ale prawdą jest również, że są one pod wieloma względami wyraźnie „zindianizowane”. To prawda, że teksty religijne w Angkor sporządzano wyłącznie w sanskrycie, klasycznym języku religijnym subkontynentu indyjskiego – podczas gdy rodzimy język khmerski był używany tylko do celów świeckich. I prawdą jest też, że hinduizm (ze szczególnym naciskiem na kult Wisznu i Śiwy) oraz buddyzm szkoły Mahajana wywarły oczywisty i niezaprzeczalny wpływ na sakralną architekturę i symbolikę Angkoru.

A jednak istnieje poważny problem. Po prostu – jak uczciwie przyznają sami naukowcy – „nie wiadomo dotąd zupełnie nic o prehistorii Indochin”. Ponieważ właśnie z mroków owej „prehistorii” wynurzają się ku nam, bez żadnego uprzedzenia, świątynie Angkoru, może nie powinniśmy tak stanowczo wypowiadać się na temat wpływów, które je ukształtowały.

Siedemdziesiąt dwa stopnie na wschód: Bóg Horus żyje

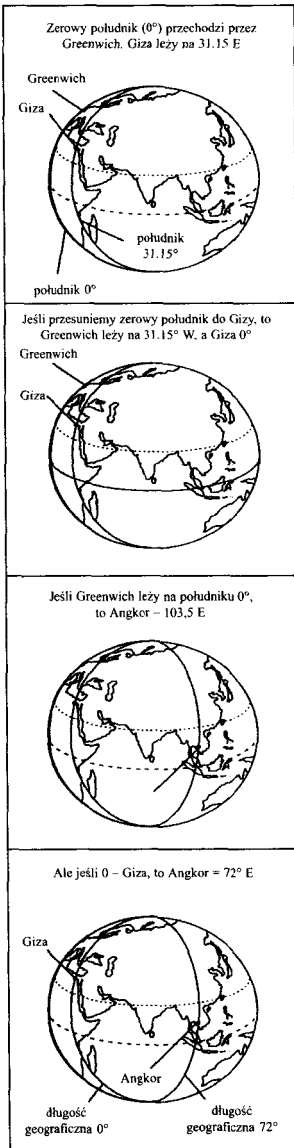
Nazwa Angkor, chociaż rzekomo jest zniekształceniem sanskryckiego słowa „nagara” – miasto, ma bardzo precyzyjne znaczenie w starożytnym języku egipskim: „Bóg Horus żyje”. Inne możliwe tłumaczenia

słów „Anch-Hor” to „Oby żył Horus”, „Horus żyje”, albo „Niech żyje Horus”.

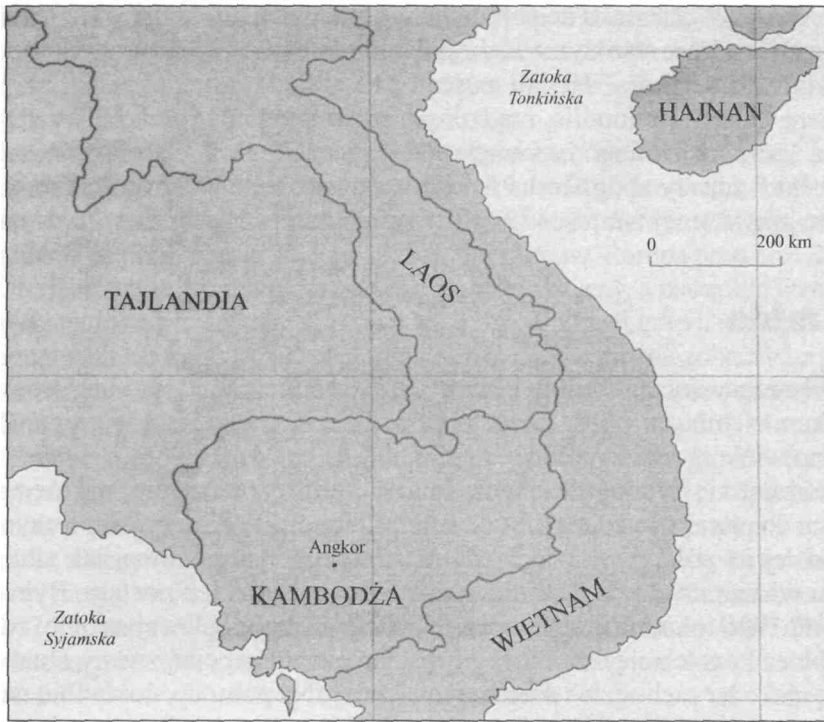
W egipskiej tradycji towarzysze Horusa, legendarni założyciele świętego miasta Heliopolis są przedstawiani jako strażnicy doniosłej astronomicznej gnozy. Naukowcy zawsze odrzucali tę ich cechę jako element mityczny. A jednak nie ulega wątpliwości, że budowle i teksty hieroglificzne związane z Heliopolis – wielkie piramidy w Gizie, Wielki Sfinks, *Teksty Piramid* – przekazują treści astronomiczne. Przede wszystkim te kluczowe budowle i inskrypcje zawierają precyzyjne naukowe obserwacje precesji równonocy, zachodzącej w tempie jednego stopnia na 72 lata. Możliwe, że na podstawie tej liczby został stworzony cały system geodezyjny, wyrażający się stosunkiem wymiarów Wielkiej Piramidy do wymiarów Ziemi – wynoszącym, jak pamiętamy z części drugiej, 1:43 000, czyli 600 razy 72.

Żaden z historyków nie potrafi dokładnie powiedzieć, kiedy i gdzie została przyjęta matematyczna i geodezyjna konwencja dzielenia sfer i kół na 360 stopni. Jednak zgodnie z tą konwencją współcześni geografowie i kartografowie dzielą naszą planetę na 360 stopni długości geograficznej (pionowych segmentów przebiegających od bieguna do bieguna), z których każdy, na równiku, ma szerokość około 112 kilometrów. Od niepamiętnych czasów podobną konwencję przyjęli także astronomowie w odniesieniu do „sfery niebieskiej”, Słońca, Księżyca, planet i gwiazd. Oczywiście bardzo wygodne jest to, że 360-stopniową sferę można łatwo dzielić na wiele różnych części: na przykład na dwie półsfery liczące po 180 stopni, cztery ćwiartki po 90 stopni itd. Równie łatwo można ją też podzielić na pięć części, z których każda liczy dokładnie 72 stopnie.

Dzisiaj na każdym szkolnym globusie możemy zobaczyć, nałożoną przez kartografów na Ziemię, siatkę pionowych linii wyznaczających długość i poziomych,



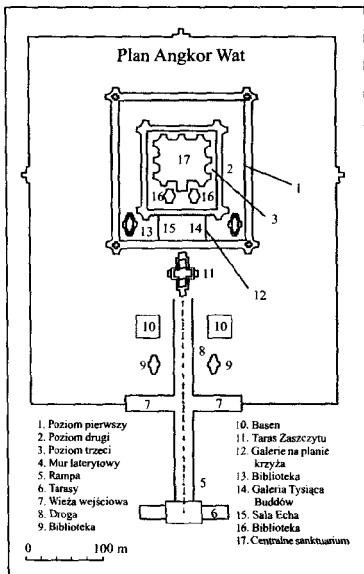
Przesunięcie zerowego południka z Greenwich do Gizy ujawnia ślady starożytnej siatki kartograficznej



które wyznaczają szerokość geograficzną. Na półkuli północnej łatwo obliczymy szerokość geograficzną, mierząc kąt, pod jakim jest widoczna nad horyzontem Gwiazda Polarna (znane są też inne równie proste techniki). Ale żadna z historycznych cywilizacji nie potrafiła dokładnie mierzyć długości geograficznej aż do XVIII wieku, kiedy wynaleziono precyzyjne morskie chronometry.

Nie miejsce tu na rozważanie wniosków płynących z wielkiej liczby starych map, narysowanych przed XVIII wiekiem (a opartych na jeszcze starszych źródłach), oddających niemal doskonale długości geograficzne. Jak dowiedziono gdzie indziej, takie mapy mogą być spuścizną po morskich podróżnikach z odległej prehistorii – zaginionej, zaawansowanej cywilizacji, w której ponad 12 000 lat temu zmierzono ziemski glob i nałożono na niego siatkę współrzędnych.

Położenie linii długości geograficznej w obecnie używanej siatce jest sprawą polityczną. Dlatego dopiero w XIX wieku przyjęto konwencję, iż pierwsza linia tej siatki – zero stopni długości geograficznej, tak zwany południk zerowy – wyznacza Królewskie Obserwatorium Astronomiczne



Plan Angkor Wat

w Greenwich. W stosunku do południka w Greenwich piramidy w Gizie leżą 31,20 stopnia na wschód, starożytne Heliopolis leży również 31,20 stopnia na wschód, zaś świątynie Angkor – 103,50 stopnia na wschód. Odległość między świętym okręgiem Giza – Heliopolis, rządzonym przez mędrców podążających astronomiczną „ścieżką Horusa”, a świętym okręgiem Angkor – którego nazwa, jako „Anch-hor” znaczy „bóg Horus żyje” – sprowadza się zatem w zaokrągleniu do geodezyjnie istotnej wartości 72 (103 stopnie minus 31 stopni = 72 stopnie).

Piramida

Były czasy w ciągu kilku minionych dziesięcioleci, kiedy Angkor wydawał się jądrem ciemności – leży bowiem w środku ciemnego lasu, w kraju, gdzie popełniono wiele złych czynów.

Zbliżając się do świątyń od południa, minęliśmy ossuarium, w którym na sięgającym do piersi stosie leżą czaszki ofiar Czerwonych Khmerów, po czym jechaliśmy dalej na północ, prawie 5 kilometrów po podziurawionej jak sito drodze, czasem widząc na skraju lasu niewyraźne zarysy ludzkich postaci. Była połowa listopada 1996 roku, na godzinę przed świtem. Po naszej lewej stronie, zdominowany przez konstelację Oriona, region nieba przez Egipcjan zwany Duat znajdował się nisko na zachodzie i wkrótce miał zejść. Na północy, dokładnie na wprost nas, wschodził smok czy też wąż gwiazdozbioru Smoka. Po prawej stronie, na wschodzie, niebo wydawało się napięte pod naporem słońca, jeszcze skrytego za horyzontem.

Nagle droga ostro skręciła w lewo, ograniczona od zachodu przez szeroką fosę, która otaczała imponującą czworoboczną wyspę. Na wyspie, za pasem poly-skującej wody, ponad potężnym murem, mogliśmy dostrzec odległą sylwetkę potężnej piramidy zwieńczonej pięcioma wyniosłymi wieżami.

Zespołem budowli, do którego dotarliśmy, był Angkor Wat, jedna z największych kamiennych konstrukcji, jakie kiedykolwiek wzniesiono. Stanowi ona jedynie część rozległego fantastycznego archipelagu grobowców, świątyń i wielkich geometrycznych miast, rozpościerającego się na obszarze blisko 300 kilometrów kwadratowych na zalewowych równinach nad Mekongiem.

Z poziomu ziemi trudno zauważyć, jak budowle Angkoru są położone względem siebie. Ale jeśli w wyobraźni spojrzymy na nie z góry – jak postaramy się to zrobić w dalszej części rozdziału – zaczniemy odnosić wrażenie, że patrzymy na składniki jakiegoś wielkiego planu.

Angkor Wat składa się z szeregu pięciu koncentrycznych czworokątnych okręgów. Ich krótsze boki są z wielką dokładnością zorientowane według linii północ-południe i nawet według współczesnych pomiarów nie wykazują „żadnego odchylenia”. Dłuższe boki są z równie wielką precyzją ustawione na osi celowo „odchylonej o 0,75 stopnia na południe od wschodu i na północ od zachodu”. Pierwszym, najbardziej zewnętrznym z tych pięciu prostokątów jest fosa. Mierzona wzdłuż zewnętrznej krawędzi, ma ona 1300 metrów długości z północy na

południe i 1500 metrów ze wschodu na zachód. Brzegi tego szerokiego na 190 metrów rowu są wyłożone dokładnie dopasowanymi blokami czerwonego piaskowca, ułożonymi tak precyzyjnie, że na całym obwodzie liczącym 5,6 kilometra błąd nie przekracza jednego centymetra.

Główne wejście do Angkor Wat znajduje się na zachodnim boku, gdzie megalityczna rampa, długa na 347 metrów i szeroka na 9,4 metra, prowadzi dokładnie na wschód przez fosę i masywną kamienną bramę w obręb murów drugiego z pięciu prostokątów. Ten drugi obszar mierzy 1025 x 800 metrów. Rampa prowadzi dalej na wschód, mija trawniki, pomocnicze budynki i wielkie baseny, a następnie wznosi się na podwyższenie na planie krzyża, prowadzące do najniższej galerii samej świątyni. Jest to trzeci z pięciu koncentrycznych prostokątów, jakie można zobaczyć z powietrza – i znowu możemy podziwiać dokładność budowniczych, ponieważ na przykład mury północny i południowy są dokładnie takiej samej długości – 202,14 metra.

Wspinając się do czwartego prostokąta, na czwarty poziom gigantycznej centralnej piramidy Angkoru, widzimy cały czas tę samą precyzję. Mur północny i południowy mierzy odpowiednio 114,24 i 114,22 metra. W piątym i ostatnim prostokącie, na najwyższym poziomie piramidy – wznoszącym się 65 metrów nad poziomem rampy wejściowej – północny mur ma długość 47,75 metra, zaś południowy 47,79 metra. Według studium opublikowanego w czasopiśmie „Science” tak nieznaczne różnice, „mniejsze niż 0,01 procent” stanowią dowód „zadziwiającego stopnia precyzji” starożytnych budowniczych.

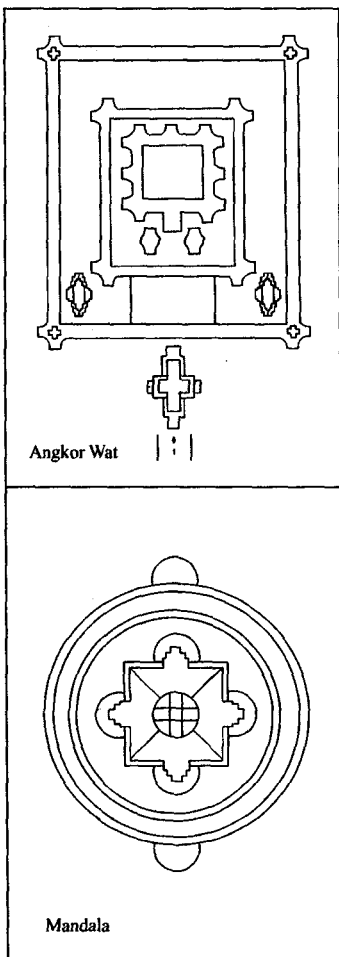
Mandale umysłu

Wyobraźmy sobie, że lecimy w powietrzu, unosząc się dokładnie nad fantastycznie rzeźbioną centralną wieżą Angkor Wat – szczytem oszałamiającej góry-piramidy, ozdobionej gotyckimi wieżyczkami, strzelającej w górę z okręgu świętej geometrii.

Akademiccy specjaliści zorientują się, że mamy tu do czynienia z układem mandali – nie namalowanym jak zazwyczaj na papierze czy tkaninie, ani usypanym z kolorowego piasku, lecz wykonanym z kamienia i wody, dziełem sztuki i nauki: z „symbolicznym diagramem używanym przy odprawianiu religijnych rytuałów jako narzędzie medytacji”. Mandala, najczęściej używana przez buddyjskich mnichów, jest:

odzwierciedleniem wszechświata, poświęconym obszarem, który służy jako (...) punkt skupienia sił wszechświata. Człowiek, mentalnie „wchodząc” w mandalę i „kierując się” w stronę jej centrum, jest przez analogię prowadzony przez kosmiczne procesy dezintegracji i reintegracji.

Zatem fizyczne mandale – czy to malowane na papierze, czy zbudowane z kamienia, reprezentując, „kopiując” i symbolizując wszechświat, nazywano „wygodnym sposobem tworzenia prawdziwych mandal w umysłach ludzi”. W buddyjskich praktykach religijnych mandale są instrumentem inicjacyjnym mającym na celu



Angkor Wat

Mandala

Angkor Wat jako mandala

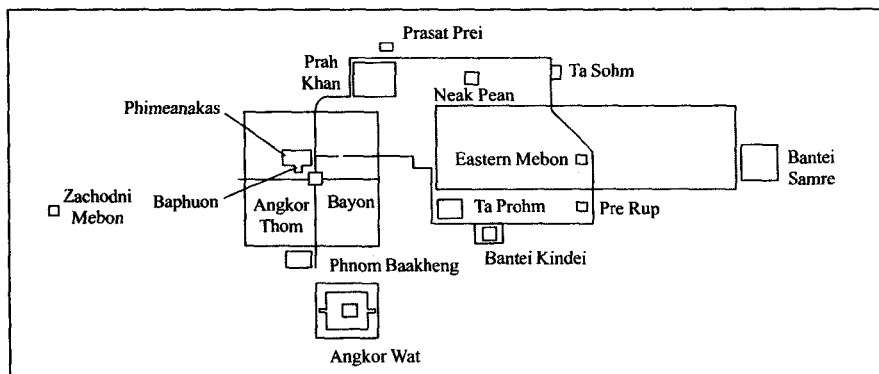
wywołanie pewnych procesów umysłowych, które mogą pomóc neoficie na drodze wiodącej ku gnozie – ku stanowi „oświecenia”, „zrozumienia” czy też „przebudzenia”, są instrumentem, który pomoże mu osiągnąć „znajomość prawdy”.

Wyobraźmy sobie, że lecimy dalej nad Angkor Wat, kierujemy się ku zachodniej stronie okręgu, mijamy fosę i spoglądamy dokładnie na północ.

Pod nami, w odległości zaledwie dwóch kilometrów, lecz wypełniając całe pole widzenia, gdyż ma prawie 5 kilometrów długości, widzimy południowy bok kolejnej wielkiej fosy. W obrębie tej fosy znajduje się kwadratowa wyspa, otoczona 12-metrowej wysokości murem – również na planie kwadratu, którego wszystkie cztery boki mają dokładnie identyczną długość – 4 kilometry, co daje obwód długości 16 kilometrów. W murze umieszczono pięć bram, do których prowadzi pięć ramp, obrzeżonych rzędami potężnych kamiennych posągów trzymających ciało wielkiego węża Naga, mitycznej kapturowej kobry również wykutej w kamieniu.

Czy ten geometryczny okrąg, podzielony przez wodę i kamień, choć w znacznie większej skali niż Angkor Wat, jest również mandalą mającą pobudzać „mandale umysłu”?

Jego nazwa brzmi Angkor Thom, co znaczy Angkor „Wielkie” (zaś Angkor Wat znaczy Angkor „Świątynia”). Zawiera on trzy wielkie, niezależne świątynie – Phimeanakas, Baphuon i Bayon – którym przyjrzymy się dokładnie w następnych rozdziałach. Każda z tych budowli ma formę piramidy;



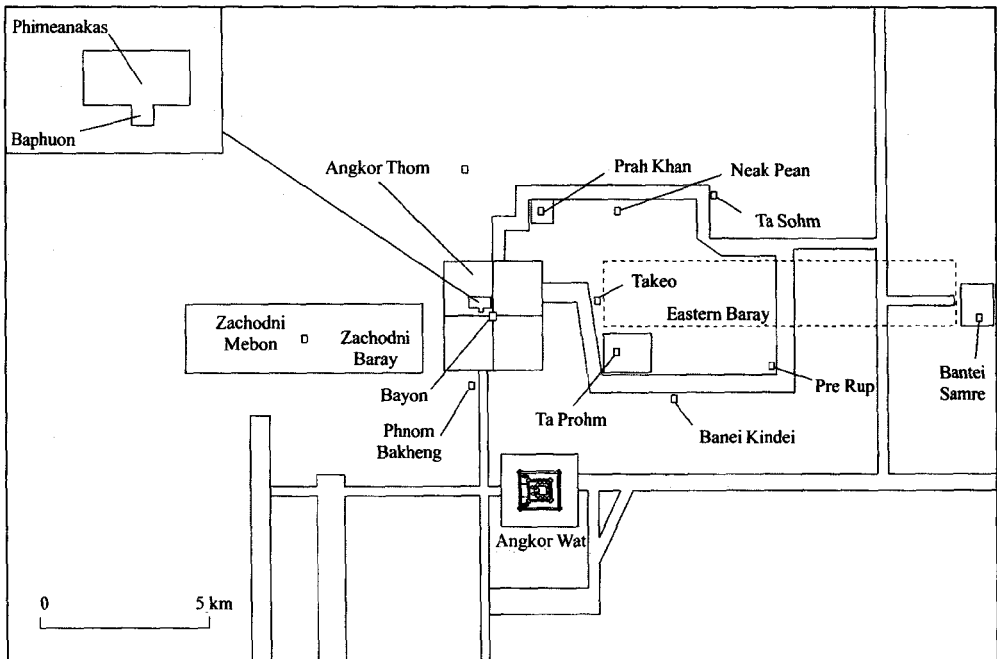
Plan Angkoru

Phimeanakas („Pałac Niebios”) leży na północny zachód od centrum okręgu, zaś Baphuon („Wieża z Brązu”), znajduje się 200 metrów na południe od niego. Trzecia świątynia, Bayon („Ojciec Yantry”) została z iście naukową precyzją umieszczona w samym geometrycznym środku założenia Angkor Thom.

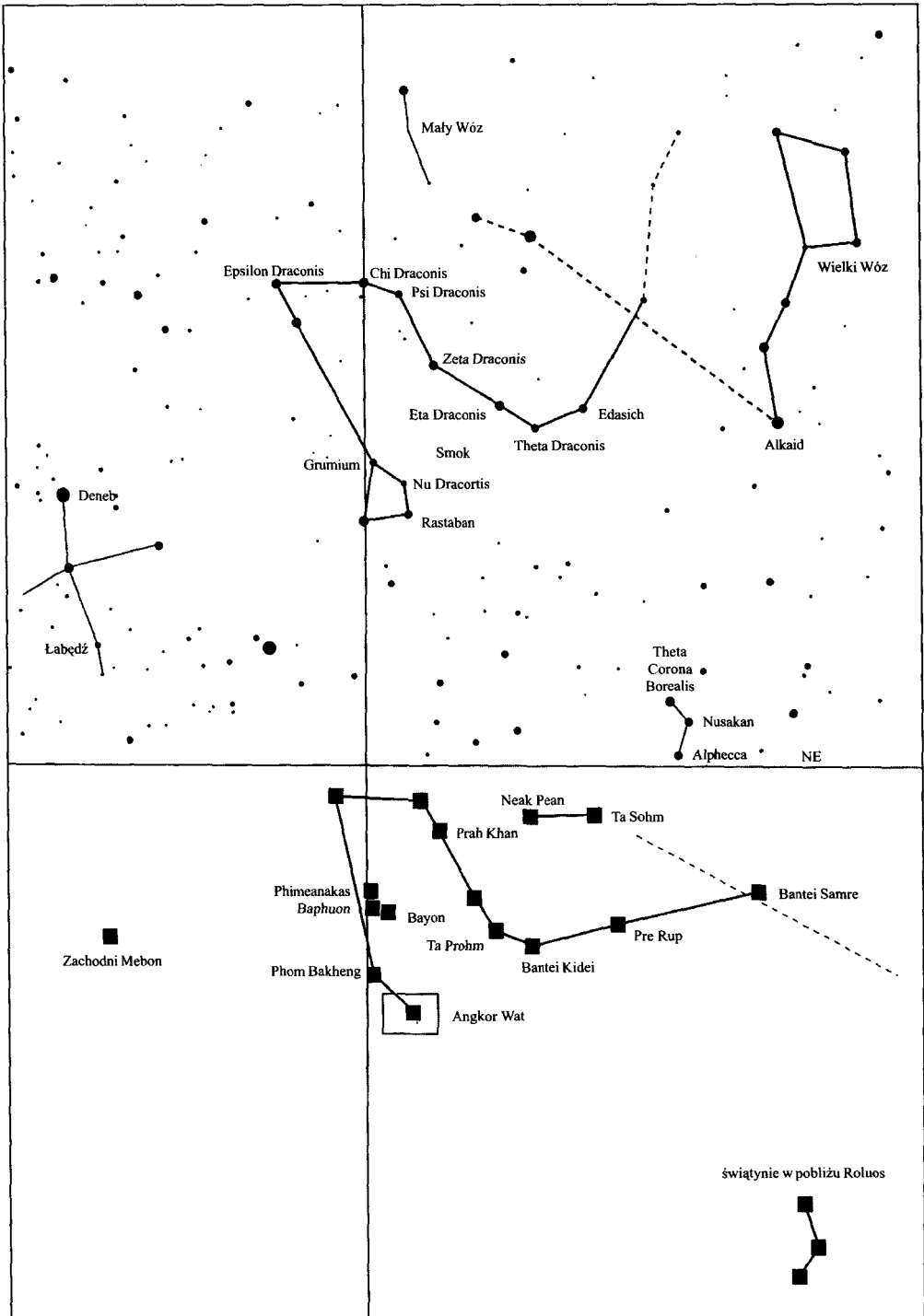
Bayon, zadziwiająca, oszałamiająca, ogromna i surrealistyczna, zwieńczona jest lasem wież, które niemal skrywają jej piramidalny kształt. Jednak nazwa tej świątyni mówi wiele – ponieważ „yantra” jest specyficzną formą mandali, która „stanowi zaawansowany cel medytacji”. Podobnie jak w przypadku Angkor Wat, powszechnie przyjmuje się, że przynajmniej w jednej ze swych funkcji Bayon i jej otoczenie, jakkolwiek dziwne i niezrozumiałe mogą się wydawać na pierwszy rzut oka, musiały być symbolicznymi diagramami wszechświata, do których wtajemniczony wkraczał, aby wzbogacić swego ducha w jakiś rodzaj ezoterycznej, „kosmicznej” wiedzy.

Korelacja Angkor – Smok

Wznieśmy się teraz w wyobraźni jeszcze wyżej w górę, abyśmy mogli objąć wzrokiem całą świętą domenę, zajmującą powierzchnię prawie 300 kilometrów kwadratowych. Wielki prostokąt Angkor Wat i czterokrotnie większy kwadrat Angkor Thom leżą po zachodniej stronie rozciągającego się pod nami krajobrazu. W pasie rozciągającym się 25 kilometrów na wschód i 15 kilometrów na północ,



Angkor z lotu ptaka



Korelacja Angkor – Smok

ukryte w dżungli, lecz widoczne z naszej perspektywy, leżą ruiny wielu innych świątyń, wzniesionych przez tych samych khmerskich królów-bogów, którzy zbudowali mniejsze monumenty. Świątynie te – mniejsze i większe – powtarzają w swoich geometrycznych planach klasyczny układ mandali lub yantry.

Czy coś je łączy? A może wręcz cała grupa budowli tworzyła wielką mandalę? Mandalę w ogromnej skali, naśladującą jakiś ogromny element kosmosu?

W jednej z zachowanych triumfalnych inskrypcji Jayavarmana VII, khmerskiego króla, który w XII wieku n.e. zbudował Angkor Thom i Bayon, znajduje się zagadkowy fragment. Inskrypcja ta zdobi stelę odkopaną na terenie pałacu królewskiego i stwierdza bez żadnego wstępu, kontekstu czy wyjaśnienia, że „Kraj Kambu” (czyli Kambodża) jest „podobny do nieba”.

Każdemu, kto zna starożytny egipski dualizm niebo-ziemia, po przeczytaniu tego dziwnego, lecz stanowczego stwierdzenia automatycznie nasuwa się pytanie: czy może to być nawiązanie do praktyki budowania na ziemi architektonicznych „zminiaturyzowanych modeli” czy też „kopi” konkretnych gwiazd lub konstelacji nieba?

W 1996 roku John Grigsby, 25-letni doktorant pracujący dla nas nad skompiłowaniem bazy danych dotyczącej Angkoru, dokonał błyskotliwego i oryginalnego odkrycia. Dokładnie tak, jak wielkie piramidy w Gizie naśladują gwiazdy pasa południowej konstelacji Oriona, tak główne monumenty Angkoru naśladują sinusoidalną linię wyznaczaną przez gwiazdy północnego gwiazdozbioru Smoka.

Nie ulega wątpliwości, że taki związek istnieje: zależność między głównymi gwiazdami Smoka, a co najmniej 15 głównymi świątyniami-piramidami Angkoru jest zbyt bliska, by jej nie zauważyć (porównaj diagram). Co więcej, zależność ta obejmuje także kilka sąsiednich gwiazdozbiorów w tym samym regionie nieba. Wątpliwości może budzić jedynie to, czy tak złożone i szczegółowe podobieństwo jest wyłącznie dziełem przypadku, czy też stanowi wynik celowego działania. Ale, jak zauważył Grigsby:

Jeśli to jest przypadek, to przypadek zadziwiający. Nie tylko gwiazdy Smoka znajdują się nad świątyniami Angkoru w chwili, gdy oba plany są zorientowane na północ. Również odległości między gwiazdami mniej więcej odpowiadają odległościom między świątyniami – a odpowiadają dokładnie, jeśli weźmiemy pod uwagę, że mamy do czynienia z rezultatem skomplikowanego procesu. Ówczesni ludzie nie dysponowali szczegółowymi fotografiami konstelacji, a jedynie ręcznie sporządzanymi mapami. Trzeba się liczyć z możliwością popełnienia błędu przez człowieka przy wykonywaniu mapy gwiazdozbioru, a następnie przy przenoszeniu mapy na obszar zajmujący powierzchnię setek kilometrów kwadratowych, bez możliwości kontrolowania postępu prac z lotu ptaka.

Biorąc to wszystko pod uwagę, wydaje się wysoce prawdopodobne, że gwiazdy konstelacji Smoka stanowiły rzeczywiście wzorzec dla planu Angkoru. Wydaje się wręcz, że nie tylko przedstawiono gwiazdy Smoka, ale również sąsiednie gwiazdy Alkaid i Kochab, które tworzą na niebie prostą linię z gwiazdami Thuban – co dziwnym „przypadkiem” ma miejsce również na ziemi – oraz Deneb w konstelacji Łabędzia, której odpowiednik znajdujemy w świątyni w Zachodnim

Mebon. Ponadto świątynie były budowane przez 250 lat i mamy dowody na to, że wówczas wykorzystano na nowo starsze miejsca, takie jak Bayon, Baphuon i Phimeanakas. Możliwe jest zatem, że położenie świątyń zostało zaplanowane już na samym początku przedsięwzięcia.

Ale kiedy dokładnie rozpoczęło się to przedsięwzięcie?

Poszukując odpowiedzi na to pytanie trafimy na ślad niezwyklej tajemnicy.

1150 rok n.e.

Zaczęliśmy od ustalonej przez Grigsby’ego korelacji Angkor – Smok i tego samego programu komputerowego Skyglobe, który pomógł nam ustalić astronomiczny wzorzec trzech wielkich piramid i Sfinksa w Gizie. Główną zaletą programu jest to, że oblicza on wpływ precesji na położenie gwiazd i tworzy dokładne symulacje pozwalające badaczom oglądać niebo tak, jak wyglądało ono z dowolnego punktu na powierzchni ziemi w wybranej epoce – z dokładnością do danego miesiąca, dnia, godziny i minuty.

Grigsby nie zastanawiał się nad tym, w jakim okresie mogła mieć miejsce ustalona przez niego korelacja, po prostu odnotował, że jest ona oczywista i wyraźna we wszystkich epokach. Wydaje się nam jednak, że jeśli ta korelacja miała jakieś znaczenie, to powinno być możliwe dokładniejsze jej datowanie. Sądziliśmy, że jeśli rzeczywiście układ świątyń na ziemi jest przemyślaną architektoniczną „kopią” gwiazd Smoka, to obliczenia precesyjne mogą pozwolić dokładnie ustalić, jakie konkretnie niebo naśladują świątynie – innymi słowy, niebo z jakiej epoki.

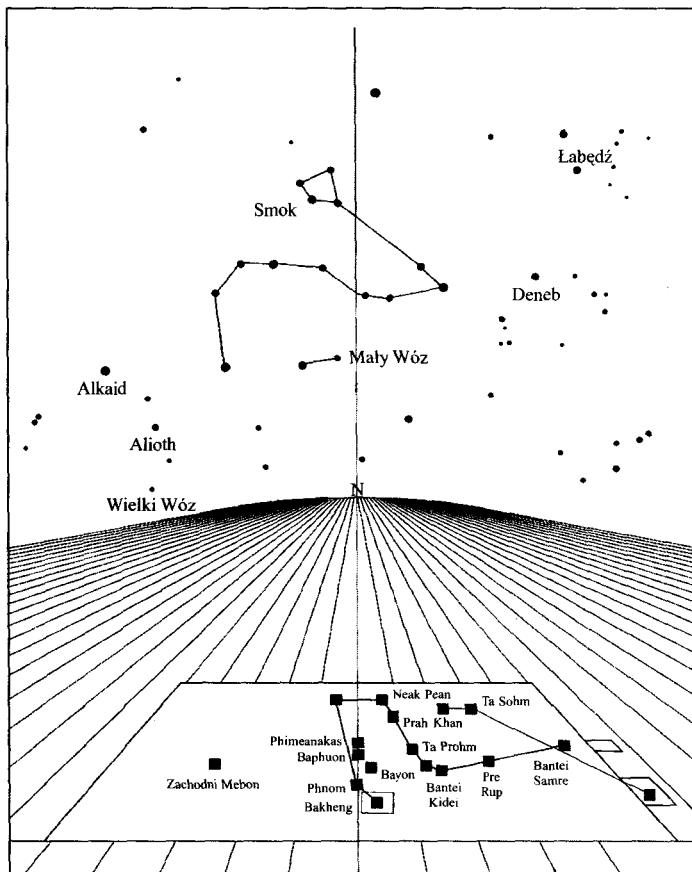
Niepodważalne archeologiczne i tekstowe źródła dowodzą, że świątynie Angkoru zostały zbudowane przez znanych khmerskich monarchów, z których większość rządziła w ciągu czterech wieków między 802 a 1220 rokiem n.e. Dlatego przypuszczaliśmy, że jeśli korelacja ta była celowa, a nie przypadkowa, to powinno się okazać, że świątynie były wzorowane na niebie z okresu tamtych właśnie czterech wieków. A ponieważ zmiany precesyjne w tak krótkim okresie są niemal niezauważalne, można przyjąć, że praktycznie nie zmieniło się ono przez 400 lat.

Wybraliśmy na początek naszych poszukiwań zbieżności między układem świątyń w Angkorze a obrazem gwiazd konstelacji Smoka na niebie – datę 1150 n.e. Był to rok śmierci Suryavarmana II, „protegowanego Słońca”, khmerskiego króla-boga, który wznosił Angkor Wat jako swą świątynię grobową. A ponieważ Angkor Wat jest niewątpliwie największą i najbardziej skomplikowaną samodzielną budowlą w całym zespole Angkoru, wręcz główną budowlą, postanowiliśmy zwrócić szczególną uwagę na jej dokładną orientację wschód-zachód. Taka orientacja nadaje całej budowli charakter „równonocowy” (w takim samym znaczeniu, jak i Sfinks jest „równonocowy” – czyli że w pewien sposób zapowiada dokładnie punkt wschodu i zachodu słońca w dniu wiosennej równonocy). Częścią tego planu jest celowe przesunięcie osi Angkor Wat o 0,75 stopnia na południe od

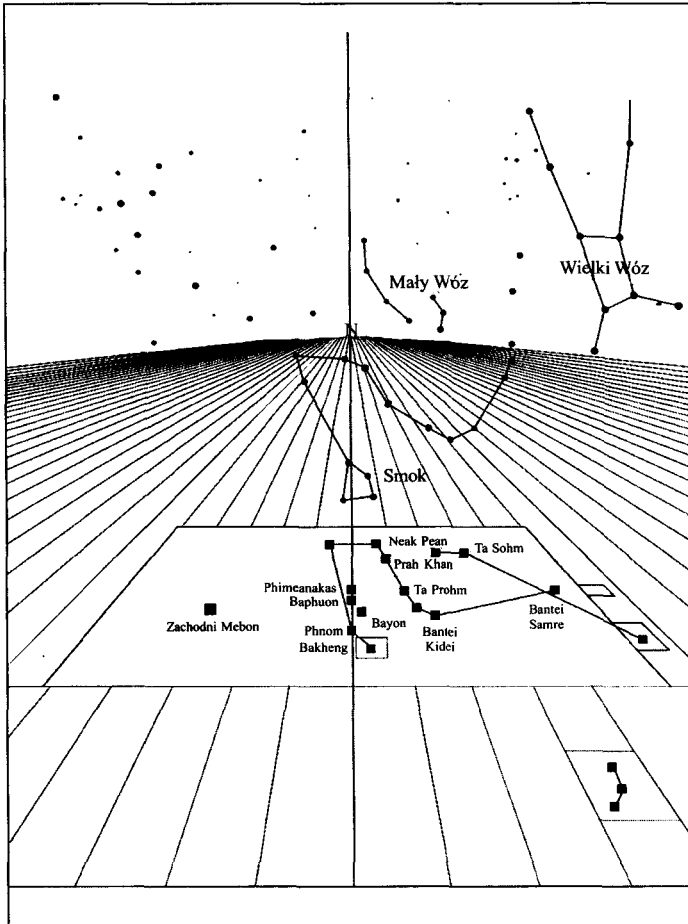
wschodu i 0,75 stopnia na północ od zachodu, mające dać obserwatorowi w Angkorze „trzydniowe ostrzeżenie” o zbliżaniu się równonocy. Ten efekt został trafnie opisany w magazynie „Science”:

W dniu wiosennej równonocy obserwator stojący na południowej krawędzi pierwszego występu rampy (tuż przed zachodnią bramą wejściową) może zobaczyć słońce wschodzące dokładnie nad środkową wieżą Angkor Wat. Trzy dni później wschodzące słońce będzie widoczne dokładnie nad środkową wieżą ze środka rampy, tuż przed zachodnią bramą wejściową (...). Dokładna obserwacja słońca w dniu wiosennej równonocy jest bardzo ważna.

Znając wyniki tej analizy, doszliśmy do wniosku, że najodpowiedniejszą datą do oglądania nieba nad Angkorem będzie świt dnia wiosennej równonocy w 1150 roku n.e. Pomyśleliśmy, że takie doświadczenie będzie dobrym sprawdzianem



„Zły układ, zły czas” – widok z Angkoru na północ o wschodzie słońca w dniu wiosennej równonocy 1150 roku n.e. Konstelacja Smoka jest w najwyższej kulminacji i widać ją wyraźnie, lecz jej układ nie odpowiada układowi świątyń



„Dobry układ, zły czas” – widok z Angkoru na północ w dniu wiosennej równonocy 1150 roku n.e.
 Konstelacja Smoka jest w dolnej kulminacji i we właściwym układzie,
 jest niewidoczna, poniżej horyzontu.

„korelacji Angkor – Smok”. Jeśli właśnie w tym niezwykle istotnym momencie taki związek istniał, potwierdziłoby się przypuszczenie Grigsby’ego, że „musi być czymś znacznie więcej niż przypadkiem, że tak wiele elementów Angkoru ma swoje odpowiedniki w konstelacji Smoka”. Z drugiej strony, jeśli takiej korelacji nie będzie w czasie wiosennej równonocy 1150 roku n.e., to teoria celowego planu stanie się mniej prawdopodobna.

Smok jest gwiazdozbiorem północnym, okołopolarnym, na dużej wysokości. Dlatego też w ciągu nocy nie przemieszcza się znacznie na wschód czy zachód, lecz wydaje się powoli obracać wokół północnego bieguna nieba. Oczywiście jest zatem, że aby widzieć Smoka, obserwator musi patrzeć na północ. A co za tym idzie, jeśli świątynie w Angkorze mają być naziemną kopią konstelacji Smoka, to również je należy oglądać, patrząc na północ. Aby zauważyć interesującą nas

korelację, obserwator powinien zatem stać o świcie na południe od Angkoru i spojrzeć dokładnie na północ, widząc (oczywiście w wyobraźni) wielkie geometryczne mury i świątynie na ziemi, zaś na północnym niebie, dokładnie nad swoją głową, konstelację Smoka rozciągniętą na południku niebieskim. Oczywiście w tym wypadku wyobraźnię powinna wspomagać rzetelna wiedza, jaką dysponuje doświadczony astronom, o położeniu gwiazd i o tym czy są one widoczne w południe, o północy, o świcie i o zmierzchu. Innymi słowy, chociaż światło wschodzącego słońca „połyka” wszystkie gwiazdy na niebie co najmniej na pół godziny przed właściwym świtem, założyliśmy, że astronomom dysponującym wiedzą pozwalającą na tak precyzyjne zaplanowanie Angkor Wat obliczenie dokładnego położenia gwiazd w dowolnej porze dnia nie powinno sprawić więcej trudności niż współczesnym astronomom.

Program Skyglobe cofnął nas do roku 1150 n.e., do dnia wiosennej równonocy, o godzinie 6.23 rano, kiedy tarcza słoneczna do połowy wynurzyła się zza horyzontu dokładnie na wschodzie. Tam też, na południku niebieskim, w punkcie swej nocnej podróży zwanym przez astronomów „górną kulminacją” znajdował się Smok – lecz wyglądał nie całkiem tak, jak się spodziewaliśmy. Kiedy porównaliśmy jego układ z ogromnym wzorem utworzonym na ziemi przez świątynie Angkoru, ku naszemu zaskoczeniu okazało się, że gwiazdozbiór jest ustawiony „do góry nogami” (zobacz diagram), czyli odwrócony o 180 stopni.

Ustawiliśmy Skyglobe, aby pokazał cały 24-godzinny cykl nieba, poszukując momentu, w którym Smok był ustawiony w tę samą stronę co świątynie. Moment ten miał miejsce dokładnie 12 godzin później, o godzinie 18.23, w punkcie „dolnej kulminacji” gwiazdozbioru.

A zatem ciągle nie mogliśmy znaleźć korelacji. Wprawdzie o 18.23 Smok był w prawidłowej pozycji, ale też był schowany nisko za horyzontem, całkowicie nieobecny na niebiańskiej scenie.

Pragnąc dać korelacji jeszcze jedną szansę, obejrzeliliśmy cały rok 1150 n.e., a następnie całą epokę między IX a XIII wiekiem n.e., aby sprawdzić, czy kiedykolwiek Smok w swej dolnej kulminacji był widoczny nad horyzontem.

Okazało się, ku naszemu zaskoczeniu, że taka sytuacja nigdy się nie zdarzyła. A przyczyna była prosta: w XII wieku n.e. konstelacja ta znajdowała się tak nisko, że dolne kulminacje zawsze miały miejsce poniżej linii horyzontu.

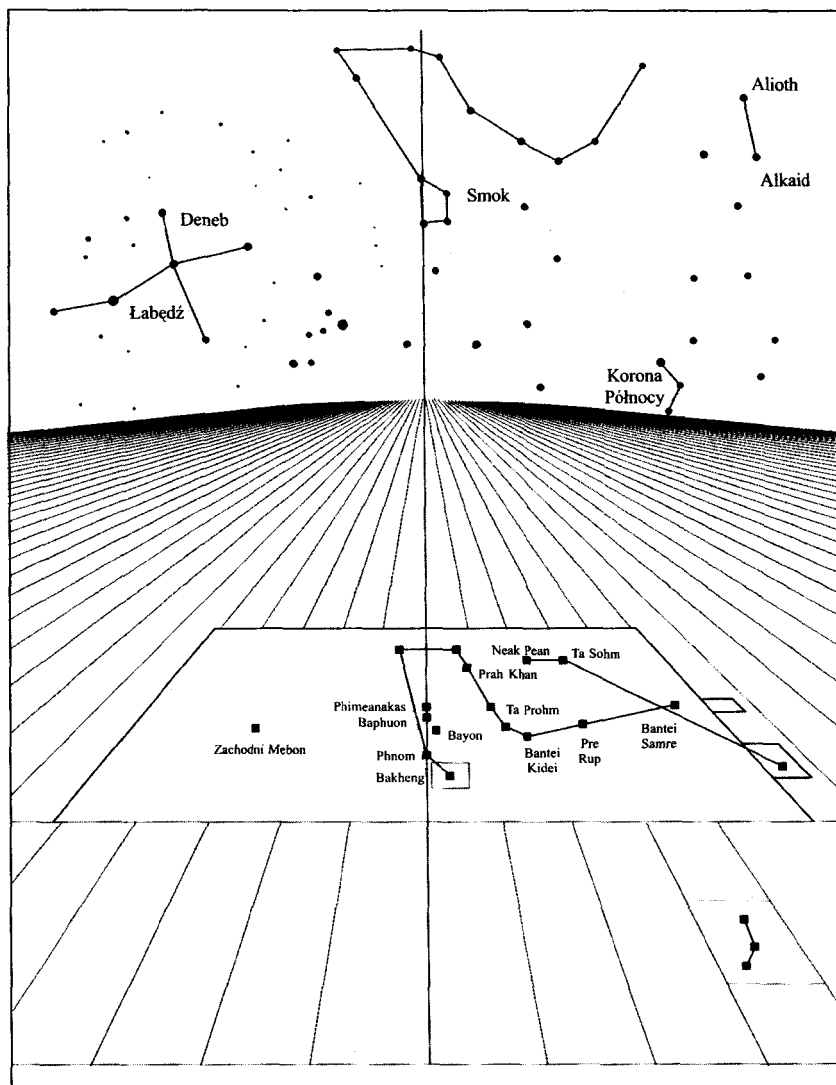
10 500 rok p.n.e.

Innymi słowy, w okresie, kiedy – jak wiemy – zostały zbudowane świątynie Angkoru, nigdy, przynajmniej w dniach wiosennej równonocy, nie zdarzyło się, żeby cały gwiazdozbiór Smoka w swej dolnej kulminacji był widoczny nad północnym horyzontem.

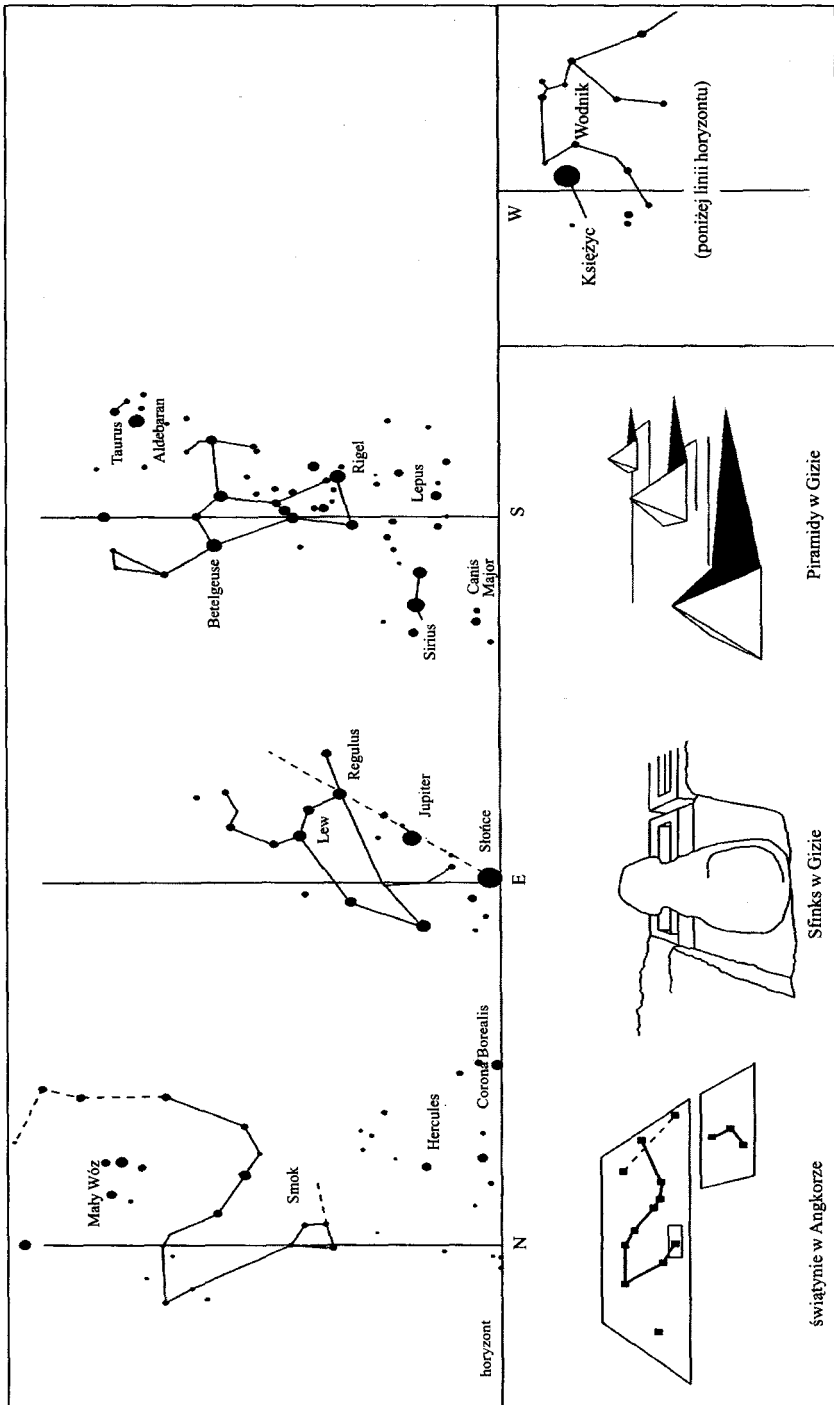
Początkowo chcieliśmy przyjąć to za dowód, że korelacja jest najprawdopodobniej czysto przypadkowa. Przypadkowa czy nie, trudno nam było jednak zignorować fakt, że świątynie uparcie i dokładnie naśladowały układ głównych gwiazd

Smoka w najniższej kulminacji. Nie uległo też wątpliwości, że wszystkie te gwiazdy były widoczne i to dokładnie na południku niebieskim – nad Angkorem o świcie w dniu wiosennej równonocy w 1150 roku n.e. Problem w tym, że były wówczas w górnej kulminacji, a zatem „do góry nogami”.

Jak poważny jest to problem? I czy rzeczywiście jest to argument wskazujący, że korelacja jest tylko dziełem przypadku? I czy to swoją drogą nie dziwne, że wszystkie ważne gwiazdy i świątynie są widoczne, ale wzorzec na niebie jest odwrócony dokładnie o 180 stopni w stosunku do naziemnego modelu?



„Dobry układ, dobry czas” – widok z Angkoru na północ w dniu wiosennej równonocy 10 500 roku p.n.e. Konstelacja Smoka jest w dolnej kulminacji, we właściwym układzie i widać ją wyraźnie nad horyzontem



Położenie konstelacji w kardynalnych punktach oraz ich ziemskie odpowiedniki w chwili wschodu słońca w dniu wiosennej równonocy 10 500 roku p.n.e.

Precesja jest mechanizmem powodującym „obracanie” nieba – bardzo powoli w ciągu trwającego 25 920 lat cyklu – i równie powolne zmiany wysokości, na jakiej gwiazdy przechodzą przez południk niebieski. Czy dzięki symulacjom komputerowym udałoby się ustalić, kiedy Smok znajdował się na większej wysokości, a zatem był widoczny nad horyzontem (a nie poniżej) w układzie odpowiadającym świątyniom?

Przypomnieliśmy sobie budowle w Gizie – gdzie korelacje niebo-ziemia były niedoskonałe w roku 2500 p.n.e., kiedy to podobno zostały zbudowane piramidy i Sfinks, ale symulacje komputerowe dowiodły, że obrazy nieba i ziemi pasowały do siebie dokładnie w dniu wiosennej równonocy 10 500 roku p.n.e. Przypomnieliśmy sobie także, że piramidy i Sfinks sprawiają wrażenie celowo zaprojektowanych, niczym mandale umysłu, aby pobudzać kontemplację i zrozumienie doniosłych zmian na niebie, do jakich prowadzi długi cykl precesyjny. Przypomnieliśmy sobie, że cykl ten przebiega w tempie jednego stopnia na 72 lata. I zdaliśmy sobie sprawę, że Angkor leży 72 stopnie na wschód od Gizy, gdzie znajdują się piramidy i Sfinks.

Co prawda nie istnieją żadne archeologiczne dowody na to, by w Angkorze prowadzono jakąkolwiek działalność architektoniczną w 10 500 roku p.n.e. – ani nawet żadne ślady osadnictwa ludzkiego – ale postanowiliśmy spojrzeć na obraz nieba w tamtej odległej epoce. A ponieważ wschód słońca w dniu wiosennej równonocy 10 500 roku p.n.e. był momentem, kiedy w Gizie diagram niebo-ziemia „zaskakiwał” na swoje miejsce, poleciliśmy komputerowi, aby stworzył symulację obrazu nieba nad Angkorem o wschodzie słońca w dniu wiosennej równonocy 10 500 roku p.n.e.

Tak jak się tego spodziewaliśmy, Orion znajdował się dokładnie na południu, na południku niebieskim, tak samo jak to miało miejsce w Gizie (jedyna różnica polegała na zmianie perspektywy spowodowanej przez niższą szerokość geograficzną Angkoru – 13 stopni i 26 minut szerokości północnej, podczas gdy Giza leży na 30 stopniu i 3 minutach szerokości północnej).

Czego się również spodziewaliśmy, Lew znadował się dokładnie na wschodzie, nad wschodzącym słońcem, tak samo jak to było w Gizie. I tym razem jedyną różnicą było lekkie pochylenie konstelacji, wynikające z innej szerokości geograficznej.

Następnie poleciliśmy komputerowi spojrzeć na północ, ale ponieważ w Egipcie nigdy nie przywiązywaliśmy większej uwagi do północnej części nieba, nie spodziewaliśmy się zobaczyć nic konkretnego. Z jakimż zdziwieniem ujrzelśmy zatem, że w chwili wschodu słońca w dniu wiosennej równonocy 10 500 roku p.n.e. konstelacja Smoka znajdowała się dokładnie na północy, pośrodku tej części nieba, przecinając południk niebieski w takim samym układzie, jaki powtarzają na ziemi główne świątynie Angkoru.

A zatem, podobnie jak w Gizie, istnieje tu prawdziwa korelacja nieba i ziemi, odpowiadająca konkretnemu momentowi cyklu precesyjnego. I tak samo jak w Gizie korelacja ta sprawdza się w pełni w bardzo odległej epoce. Co ciekawe, w obu miejscach chodzi nie tylko o ten sam rok, ale wręcz o dokładnie ten sam moment. Warto też zwrócić uwagę, że świątynie w Angkorze nie naśladują jakiejś

przypadkowej konstelacji ani żadnej z konstelacji z Gizy – Oriona lub Lwa, które wyznaczały dwa główne kierunki nieba, wschód i południe w dniu wiosennej równonocy 10 500 roku p.n.e.; są natomiast modelem sinusoidalnej, węzowej linii Smoka, który w tym samym momencie wyznaczał trzeci kierunek, północ.

W Gizie mamy „świątynie Oriona” w postaci trzech piramid wyglądających jak Orion w 10 500 roku p.n.e. oraz „świątynie Lwa” w postaci Sfinksa o ciele lwa i sąsiadujących z nim konstrukcji. Jeśli istnieje jakiegoś rodzaju ukryty związek między Angkorem a Gizą, to czy należy się dziwić, że i Angkor zawiera tajemny „diagram” rozciągający się na powierzchni wielu kilometrów kwadratowych, przedstawiający konstelację Smoka, „Starego Węża”, takiego, jakim widziano go w 10 500 roku p.n.e.?

Wzburzanie Morza Mleka

Cienie spowijają zachodnie wejście do Angkor Wat przed świtem, kiedy słońce jeszcze skrywa się na wschodzie, za ogromnym masywem świątyni. Ale nawet mimo panującego mroku trudno nie zauważyć obecności węży Naga, których wijące się kamienne ciała i wzniesione, wydęte kaptury tworzą balustrady obrzeżające rampę. Ten sam motyw kobry powtarza się w różnych formach niezliczoną ilość razy – co sprawia wrażenie, jakby całe Angkor Wat było poświęcone kultowi węży. Każdy narożnik każdego dachu zdobi wizerunek siedmiogłowego węża. Jak zobaczymy wkrótce, ta „obsesja na punkcie Nagi” znalazła też pełen dramatyzmu wyraz na balustradach Angkor Thom i w wielu innych świątyniach, leżących daleko na północy i na wschodzie.

W buddyjskich świętych tekstach możemy przeczytać, że Takasaka, jeden z legendarnych królów węży Naga mógł niczym smok „siać zniszczenie ognistym tchnieniem ze swoich nozdrzy”. Przy tym wcale nie jest to jedyny starożytny tekst, w którym ulegają przemieszeniu cechy węży i smoków – i taka sama sytuacja dotyczy również nieba, a zwłaszcza gwiazdozbioru Smoka. Jego grecka nazwa znaczy „smok”, ale przez całą historię i niemal we wszystkich kulturach uważano go za rodzaj kosmicznego węża – pewne starożytne tablice astronomiczne nazywały go „Pytonem” lub „Wężem”, często „Starym Wężem”; identyfikowano go z wężem, którego Minerwa odebrała gigantom i rzuciła w niebo; Persowie widzieli w nim „węża pożerającego ludzi”, i tak dalej.

Inna sprawa – o czym nie należy zapominać – że konstelacja Smoka rzeczywiście wygląda jak rozdrażniona kobra z wydętym kapturem.

Wiedząc o tym, trudno nie dojść do wniosku, że w świątyniach Angkoru przyjęto taki właśnie wizerunek kobry jako trafny symbol gwiazdozbioru Smoka. I wydaje się zupełnie prawidłowe i słuszne, że świątynie te, tak obficie zdobione wizerunkami różnych form węży Naga, samym swoim układem na powierzchni ziemi naśladowały wielką, wijącą się kobrę.

Starożytny wąż

W indyjskiej mitologii węże Naga są nadnaturalnymi istotami, królami-kobrami, które panują na ziemi, lecz zaliczają się do bogów. Zazwyczaj przedstawiano je jako piękne węże o pięciu lub siedmiu głowach (choć mogło być ich także mniej albo więcej) i uważano, że mogą zmieniać kształt i pojawiać się w postaci ludzi lub dziwnych, cudownych hybryd – człowieka od pasa w górę, niżej zaś węża.

Najstarsze wzmianki o węzach Naga można znaleźć w *Rigwedzie*, najdawniejszym znanym obecnie zbiorze indyjskich tekstów religijnych. Wielokrotnie pojawiają się w klasycznych tekstach, takich jak *Mahabharata*, *Ramajana* i puranach, a także zajmują ważne miejsce w literaturze buddyjskiej.

Ponieważ wiek wielu tych tekstów jest niepewny i stanowi przedmiot zażartych dyskusji, nie musimy bez zastrzeżeń przyjmować powszechnie panującej wśród naukowców opinii, iż *Rigweda* nie mogła powstać wcześniej niż około 1500 roku p.n.e. Wybitni indyjscy naukowcy, wśród nich zwłaszcza Lockamanya Bal Gangadhar Tilak, historyk religii Georg Feuerstein, specjalista od sanskrytu Subhash Kak i wedyjski nauczyciel David Frawley są przedstawicielami nieortodoksyjnego punktu widzenia i sugerują, że teksty te mogły powstać znacznie wcześniej:

Wedy (...) wydają się najlepszą kroniką starożytnych technik duchowych ludzkości. Zawierają ponadczasową mądrość, mantryczny szyfr, dzięki któremu mądrość rasy ludzkiej była przekazywana z jednej ery świata do następnej, przez ile tysiącleci – możemy jedynie snuć domysły. Ludy wedyjskie zamieszkiwały Indie prawdopodobnie już około 6000 lat p.n.e., a nawet wcześniej (...). Sama *Rigweda* dotyczy epok znacznie wcześniejszych i zawiera wiedzę o długich cyklach kosmicznego czasu.

Podobnie – chociaż zachodni uczeni uważają, że *Ramajana* powstała około 300 roku p.n.e. – indyjska tradycja (nazywająca *Ramajanę* „Adikvaya”, czyli „Pierwotnym Poematem”) zapewnia, że opisuje ona wydarzenia, które rozgrywały się 870 tysięcy lat temu i że została spisana „krótko po tej dacie”, a późniejsze wersje są jedynie kopiami.

Zatem, jak widać, magiczne węże Naga pojawiają się przed nami w dość niepewnym kontekście. Charakter tych istot – skłonnych zarówno do okazywania równie wielkiej łaskawości, jak i niegodziwości – jest niejednoznaczny i nieprzewidywalny, jak siły przyrody. Są one ponadwymiarowe, przekraczają granice nieba i ziemi, czasu i przestrzeni, tego i innego świata. I chociaż pojawiają się – a niekiedy zawierają małżeństwa – w materialnym świecie ziemi i ludzi, nigdy nie ulegało wątpliwości, że w istocie są ucieleśnieniem sił niebiańskich i kosmicznych.

Sesza

Pierwszym wężem jest siedmiogłowy Sesza (co znaczy „Trwanie” lub „Pozostałość”), nazywany też Ananta („Nieskończoność”). Starożytne indyjskie teksty

religijne mówią nam, że w jego splotach, zanurzonych głęboko w oceanie bezkresnej nicości, która poprzedzała stworzenie naszego świata, leżał pogrążony we śnie Wisznu („Boskie samoistnienie”), śniąc o zbliżającym się akcie stworzenia. Tę „drzemkę” poprzedzoną okresem uśpiania należy rozumieć jako stan:

(...) w którym witalność boga powoli dojrzewa, aby rozwinąć się w pełni w innym świecie. Owe przeplatające się stany odpoczynku i aktywności, chociaż każdy z nich trwa tysiące lub miliony wieków, są regularne i pewne jak organiczny rytm – Indie myślą o nich jak o wdechach i wydechach boga.

Podobnie jak Atum wynurzający się triumfalnie z wód praocceanu – tworzący z nicości prapagórek, kamień Benben i Feniksa – najwyższy bóg indyjskiej mitologii powołał świat do istnienia dzięki sile swej woli, „pojawiając się z niepoohamowaną siłą twórczą, rozpędzający ciemności”. I podobnie jak to było w przypadku Atuma, nasienie Wisznu wpada do kosmicznych wód. W tradycji egipskiej nasienie boga przybrało postać kamienia Benben (lśniącego, połyskliwego piramidionu z kamienia lub żelaza – być może nawet żelaznego meteorytu – o którym mówiono, że spadł z nieba). Podobnie w tekstach indyjskich czytamy, że najwyższy bóg:

(...) pragnąc stworzyć ze swego ciała istoty różnego rodzaju, najpierw za sprawą myśli powołał do istnienia wody i umieścił w nich swoje nasienie. Nasienie boga stało się złotym jajem, blaskiem dorównującym słońcu; w owym jaju on sam narodził się jako ojciec całego świata.

Być może to przypadek, że egipska nazwa żelaza – *bia*, co znaczy „boski metal”, dosłownie „metal z nieba” – brzmi niemal identycznie, jak sanskryckie słowo oznaczające „nasienie”: *bija*. Żelazo *bia* było używane przez starożytnych Egipcjan w rytuałach mających zapewnić adeptom „życie przez miliony lat” dzięki „odejściu duszy do gwiazd”. To samo – ucieczka duszy od „zawsze straszliwych i nieustannie zmieniających się cykli narodzin i śmierci, którym podlegają stworzone istoty” – było ostatecznym celem wszystkich religijnych rytuałów, medytacji i pism w starożytnych Indiach.

Najwyższym bogiem Indii, „Samoistniejącym” jest Wisznu, a jednak nie tylko Wisznu. Natura tego bóstwa jest znacznie bardziej złożona. Według tekstu *Padama Purana*:

Na początku aktu stworzenia wielki Wisznu, pragnąc stworzyć cały świat, stał się potrójny: Twórca, Zachowujący i Niszczyciel. Aby stworzyć ten świat, Najwyższy Duch zrodził z prawej strony swego ciała siebie samego jako Brahme. Następnie, aby zachować świat, zrodził z lewej strony Wisznu; a aby zniszczyć świat, zrodził ze środka swego ciała wiecznego Śiwę. Niektórzy czczą Brahme, inni Wisznu, jeszcze inni Śiwę; ale Wisznu, jeden, choć potrójny, tworzy, zachowuje i niszczy; dlatego niech pobożni nie czynią różnicy między tymi trzema.

Śiwa, trzeci partner w hinduistycznej trójcy, ma swój charakterystyczny emblemat w postaci *lingi*. Jest to wykuty w kamieniu falliczny symbol, niekiedy przybierający postać penisa, niekiedy stożka, czasem zaś pionowego filara. Ponieważ *Śiwalinga* jest związana ze „złotym jajem” Wisznu, utworzonym z boskiego nasienia – o którym również mówiono, że „spadło z nieba” – trudno oprzeć się skojarzeniu z Innu, megalitycznym filarem z Heliopolis, na którego szczycie spoczywał piramidalny Benben, także mający związek z „nasieniem”, „rodzeniem” i odnawianiem.

Wydarzenie, które miało miejsce w Heliopolis według *Tekstów Piramid*, było początkiem nowego cyklu, nowej epoki, nowym epizodem stworzenia. I to samo nastąpiło po wyłonieniu się z „ciemności” Wisznu/Brahmy/Śiwy – przebudził się najwyższy bóg, który wprowadził w ruch nasz obecny wszechświat.

W indyjskich pismach czytamy: „świat istniał w formie Ciemności, niepoznawalnej, pozbawionej jakichkolwiek wyraźnych cech, nieprzeniknionej dla rozumu, niepoznawalnej (...)”. Pośród owej ciemności zawieszona w wodach czasoprzestrzeni „Najwyższy Bóg spał na łonie węża”.

Dlaczego węża tego nazywa się Sesza, co znaczy „Pozostałość”? Według francuskiego orientalisty Alaina Danielou:

Kiedy świat jest niszczone, nie może całkowicie przestać istnieć. Musi pozostać, w subtelnej formie, ślad wszystkiego, co było i co będzie, aby świat mógł powstać na nowo. Właśnie tę pozostałość zniszczonych światów ucieleśnia wąż pływający w bezkresnym oceanie, tworzący łożo, na którym spoczywa śpiący Wisznu.

Według Danielou Sesza symbolizuje cykle czasu. W *Wisznu Purana* czytamy, że kiedy Sesza ziewa, „sprawia, że drży cała ziemia ze swoimi oceanami i lasami (...). Pod koniec każdego kosmicznego okresu zionie on palącym ogniem zniszczenia, który pochłania cały świat”.

Tak więc węże Naga, które w Angkorze możemy zobaczyć wszędzie dookoła, są związane ze śmiercią i narodzinami kolejnych epok wszechświata oraz z wieczną regeneracją czasu.

Vasuki

Główna galeria Angkor Wat rozciąga się wokół całej świątyni na pierwszym poziomie. Ma 2,5 metra szerokości i kolebkowe sklepienie wsparte na delikatnych filarach, które nie odcinają dopływu światła. Jej północny i południowy mur mierzy 202,14 metra długości, zaś wschodni i zachodni 187 metrów. Ściany te są dekorowane reliefami płaskimi, ujętymi w osiem paneli o 2-metrowej wysokości, z których cztery mają 49 metrów, zaś pozostałe blisko 100 metrów długości, co w sumie daje około 1200 metrów kwadratowych dekorowanej powierzchni.

W południowym skrzydle wschodniej strony galerii znajduje się 49-metrowy panel przedstawiający, ze wspaniałymi szczegółami, słynną scenę z hinduistycznej

mitologii, w której kluczową rolę odgrywa wąż Naga. Scena ta jest nazywana „Wzburzeniem Morza Mleka”, a wężem jest pięciogłowy król Vasuki.

Weszliśmy do galerii od południowej strony; naszą uwagę zwróciła panująca tam klaszorna cisza. Patrząc na galerię ku północy, mieliśmy wrażenie, jakby ciągnęła się w nieskończoność, naprzemiennymi plamami chłodnego, mrocznego cienia i gorącego, jasnego słonecznego światła. W powietrzu unosiły się obłoki kurzu. Scena przedstawiona w reliefie jest zbyt duża, by objąć ją jednym spojrzeniem. Trzeba ją oglądać fragment po fragmencie, idąc wzdłuż galerii.

Historia zaczyna się na południowym krańcu galerii, gdzie można zobaczyć pięć głów kobry o wydętych kapturach – króla Vasuki – którą mocno obejmuje ramionami wysokiej rangi *asura*, czyli demon. Tytanicznej postury asura mocno opiera stopy na ziemi i z całą siłą ciągnie do tyłu głowę Vasuki. Pomagają mu w tym dwaj inni gigantyczni asurowie oraz 89 niższej rangi i skromniejszej postury. Ciągną oni ciało króla Vasuki niczym drużyna biorąca udział w przeciąganiu liny.

Pośrodku reliefowego panelu węzowe ciało Vasuki owija się wokół masywnego wzgórza o stromych zboczach – góry Mandera, jednego z najważniejszych elementów w indyjskiej sakralnej geografii. Według hinduistycznego systemu idei, który należy rozumieć symbolicznie, a nie dosłownie, wszechświat składa się z:

siedmiu wysp-kontynentów otoczonych przez siedem mórz. Jambu-dwipa (świat) jest wewnętrzną wyspą; pośrodku niej wznosi się na 84 000 mil nad ziemią złota góra Meru (...). Meru otaczają cztery inne góry, każda z nich o wysokości 10 000 mil. Jedną z nich jest Mandera.

W powietrzu obok góry Mandera zawieszona jest postać Wisznu, trzymająca ciało Vasuki dwiema z czterech rąk. Wydaje się, jakby Wisznu kontrolował czy też kierował ruchami węża. Poniżej postaci Wisznu podstawa góry wspiera się na skorupie gigantycznego żółwia o imieniu Kurma, który sam był awatarem, czyli manifestacją Wisznu. Szczyt góry stabilizuje dewa, czyli półbóg, również uważany za manifestację Wisznu.

Po północnej stronie góry Mandera znajduje się druga drużyna przeciągających linę, dowodzona przez trzech symetrycznie rozstawionych wzdłuż ciała Vasuki gigantycznych bogów, którym pomaga osiemdziesięciu pięciu mniejszych dewów. Na północnym krańcu sceny możemy dostrzec wznoszący się w niebo niczym bicz ogon króla Vasuki, mocno trzymany przez trzeciego boga, który został tu przedstawiony z głową małpy.

Przeciąganie ciała Vasuki zostało pokazane w środkowym z trzech rejestrów dekoracji, jakie tworzą panel. W wyższym rejestrze wyobrażono królestwo niebios wypełnione tańczącymi apsarami – zmysłowymi nimfami, mającymi dar latania, których wizerunki w różnych formach pojawiają się we wszystkich świątyniach Angkoru. W dolnym rejestrze, wydającym się opierać na ciele węża podobnego do Vasuki przedstawiono wodną krainę, wielki ocean pełen ryb, krokodyli i innych stworzeń żyjących w głębinach. Z niewiarygodnym realizmem oddano wizerunki zwierząt, pchanych przez silny prąd ku podstawie góry Mandera, która jest obraca-

na – to w jedną, to w drugą stronę – przez przeciwne „drużyny” dewów i asurów. Przy podstawie góry wodne stwory są stłaczane i cięte na kawałki przez potężny wir tej kosmicznej maślnicy, której oś stanowi skorupa żółwiowej inkarnacji Wisznu.

Eliksir nieśmiertelności

Każdy pielgrzym poszukujący mądrości, który przybywał do wielkiego inicjacyjnego ośrodka w Angkorze w XI lub XII wieku n.e., doskonale znał mitologiczny sens przedstawionych tam scen. Opowieść tę można znaleźć w *Ramajanie*, *Mahabharacie* i w wielu puranach. Dowiadujemy się, że: „pod koniec każdej epoki bóstwa i demony jednoczą się, by wzburzyć kosmiczny ocean, pragnąc zdobyć eliksir nieśmiertelności (*amrita*) ukryty w głębinach”. Osiągają ten cel, obalając górę Mandera (według niektórych tekstów pomaga im w tym Sesza):

Bogowie przynieśli górę Mandera do oceanu i ustawili ją na grzbiecie Kurmy, króla żółwi. Wokół góry owinęli węża (...), asurowie chwycili jego głowę, a bogowie jego ogon. W wyniku tarcia wywołanego przeciąganiem z paszczy węża uniosły się kłęby pary, które stały się chmurami naładowanymi błyskawicami i spuściły na zmęczonych orzeźwiający deszcz. Wybuchł ogień i ogarnął górę (...).

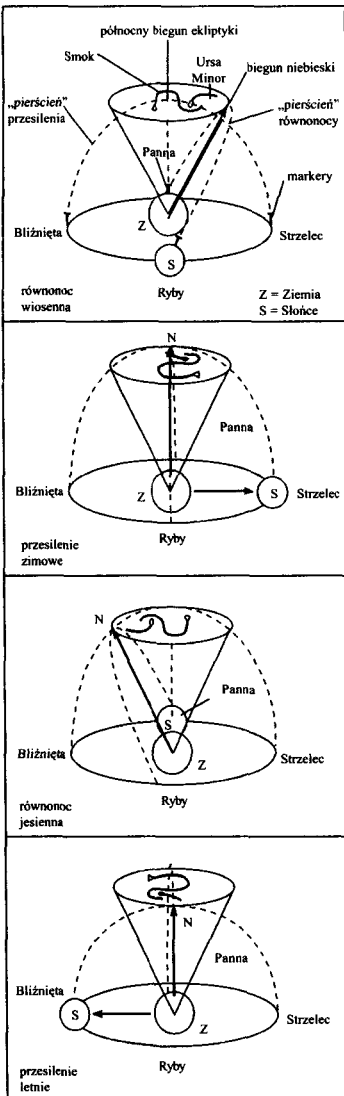
Teksty mówią, że Vasuki poważnie ucierpiał w wyniku tej ciężkiej pracy i w końcu wydzielił z siebie strumień jadu, który „spłynął na ziemię i utworzył wielką rzekę, grożącą zniszczeniem bogom, demonom, ludziom i zwierzętom. Przerażeni wezwali Śiwę, a Wisznu przyłączył się do błagań. Śiwa usłyszał ich i wypił truciznę, aby uchronić świat przed zniszczeniem”.

Nieustannie, nieprzerwanie wzburzana spieniona masa tego, co czasami bywa nazywane „Morzem Mleka” (lub „Mlecznym Oceanem”) wytworzyła w końcu „masło pachnące żywicami i sokami (...). Wreszcie księżyc wyłonił się z oceanu; wtedy pojawiły się apsary, które stały się nimfami w niebiosach”. W ślad za nimi udała się bogini Lakszmi, małżonka Wisznu, jadąca na białym koniu swego męża, oraz lśniący klejnot Wisznu, noszony przez boga na piersi.

„Potem nadszedł Dhanwantari, lekarz bogów, niosąc złoty puchar wypełniony *amritą* (...). Demony natychmiast pochwyciły naczynie, lecz zanim zdążyły wypić jego bezcenną zawartość i zdobyć nieśmiertelność, interweniował Wisznu. Przybrawszy piękną postać Mohini, czarodziejki iluzji, zbliżył się do tłumu demonów. Wygląd Mohini tak ich oczarował, że chętnie oddali jej puchar. Mohini natychmiast dała nektar bogom, którzy wypili go i tym samym zapewnili sobie wieczne życie”.

Wskazówki kosmologiczne

Co chcieli powiedzieć budowniczo wie Angkoru, kiedy postanowili wyrazić ten niezwykły mit w formie rzeźby?



Od położenia północnego bieguna nieba zależy rozmieszczenie czterech „markerów” roku – konstelacji, na których tle słońce wschodzi w kardynalnych punktach roku. W obecnej epoce, z biegunem w pobliżu Małego Wozu, „markera- mi” są Ryby (wiosenna równonoc), Strzelec (zimowe przesilenie), Panna (jesienna równonoc) i Bliźnięta (letnie przesilenie)

Przez większą część ostatniego stulecia naukowcy przykładali niewielką uwagę do takich pytań, uważając reliefy Angkoru – jak na przykład wybitny francuski archeolog, George Coedes – jedynie za wyraz zabobonów: „Nietrudno zauważyć, że wzburzenie morza przez obracanie góry symbolizuje magiczną czynność, mającą zapewnić narodowi zwycięstwo i dobrobyt”. Może i tak. A jednak sam Coedes przyznaje, iż jedyna interpretacja „gór” Mandera i Meru, jaką można przedstawić, ma charakter kosmologiczny, a ponadto:

Angkor Wat z jego murami i fosami, z centralnym sanktuarium, bramami, piramidalnymi świątyniami i mostami o węzowych balustradach, a także inne skomplikowane budowle, takie jak Neak Pean czy Bayon, są w gruncie rzeczy oddanymi w kamieniu wielkimi mitami hinduistycznej kosmologii. Celem tego systemu było odtworzenie na ziemi modelu całego niebiańskiego królestwa lub jego części, w ten sposób zapewniając ścisłą harmonię między obu światami, bez której ludzkość nie mogłaby prosperować.

Coedes dowodzi, że khmerscy królowie-bogowie dosłownie i bezpośrednio uważali piramidy, które budowali, i wieże świątyn za ziemskie kopie góry Meru: „Formą architektoniczną wybraną dla tego najświętszego monumentu [centralnej świątyni] (...) była góra w kształcie piramidy (...). Czasami piramidę wieńczyło pięć wież, naśladowujących górę Meru, która miała podobno pięć szczytów”.

Coedes wie nawet, że khmerski monarcha z XI wieku, Udayadityavarman II pozostawił inskrybowaną stelę obok swojej najważniejszej piramidy, tak zwanej Bayon. Tekst zapisany na steli mówi o tym, że władca stworzył tę budowlę, ponieważ „uważał, że środek wszechświata wyznacza góra Meru i pomyślał, że stosownym byłoby mieć Meru pośrodku swojej stolicy”.

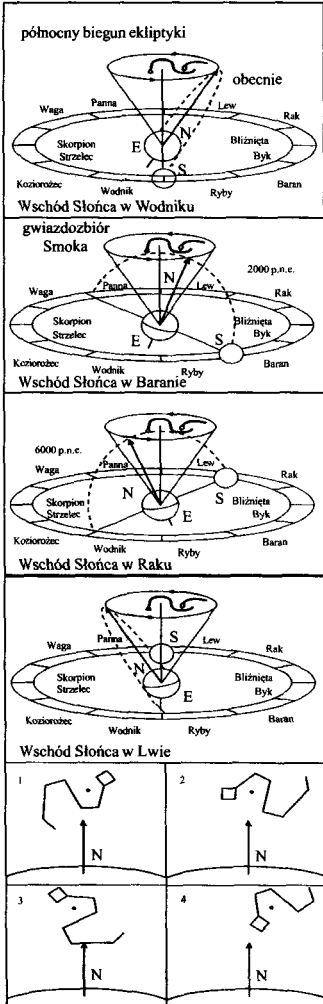
Co zaskakujące, ani Coedes, ani żaden inny archeolog czy orientalista pracujący w Angkorze – chociaż zdawali sobie sprawę z kosmologicznego charakteru „gór” – nigdy nie odważyli się wykonać następnego logicznego kroku i zastanowić się, czy obracanie góry Mandera nie mogło być rozumiane jako pewien rodzaj działania kosmologicznego.

Niebiańska maszyna

Istnieje kosmologiczny proces, który pasuje do tego schematu: powolne, cykliczne chybotanie osi ziemskiej, które powoduje zmianę położenia wszystkich gwiazd na niebie i zmienia „rządzącą” konstelację, na której tle widoczne jest wschodzące słońce w dniu wiosennej równonocy. Jak dowodzą Giorgio de Santillana i Hertha von Dechend w swoim przełomowym studium *Hamlet's Mill*, to właśnie o tym procesie opowiada cała rodzina mitów, które przetrwały do naszych czasów z zamierzchłej starożytności. Twierdzą oni, że opowieść o wzburzeniu Morza Mleka jest jednym z takich właśnie mitów.

Wielki wkład książki *Hamlet's Mill* w naukę polega na przytoczeniu przekonujących niezbitych dowodów na to, że na długo przed rzekomymi początkami historycznej ludzkiej cywilizacji w Egipcie, Sumerze, Chinach, Indiach i Ameryce ludzie, którzy musieli być wysoce cywilizowani, rozumieli zjawisko precesji i mówili o nim precyzyjnie technicznym językiem. Metaforyka stosowana przez tych jak dotąd niezidentyfikowanych starożytnych astronomów „zamienia jasną kopułę sfery niebieskiej w ogromną i skomplikowaną maszynę. Mechanizm ten obraca się nieprzerwanie i bez końca niczym koło młyńskie, jak wir, jak żarna”.

Osi tego mechanizmu nie należy sobie wyobrażać w postaci „prostego, pionowego wspornika”. Przeciwnie, symbole przedstawiają ją jako oś otoczoną przez dwie pętle czyli „kolury”, przecinające się na północnym biegunie nieba. Jedna pętla łączy punkty równonocy na orbicie ziemskiej (to znaczy gwiazdne tło, na którym słońce wschodzi 21 marca i 21 września). Druga pętla łączy punkty przesilenia – „adres” słońca na tle gwiazd 21 czerwca i 21 grudnia. Ponieważ precesja powoduje przesunięcie osi polarnej, wynika stąd, że muszą się przemieszczać także związane z nią pętle, „wielkie kręgi, które przesuwają się wraz z nią po niebie” – kolury, równonocny i przesileniowy. To właśnie dlatego „uważa się, że te ramy stanowią jedność z osią”. Taki obraz zatem wyjaśnia zjawisko precesji równonocy jako część odwiecznego, powolnego cyklu obrotowego wzdłuż ekliptyki – pozornej drogi Słońca – i równie wolnego



Wynikająca z precesji zmiana położenia północnego bieguna nieba w stosunku do północnego bieguna ekliptyki „przesuwa” konstelacje, na których tle wschodzi słońce w dniu wiosennej równonocy. Diagram u dołu pokazuje położenie bieguna w stosunku do Smoka w każdej z tych epok.

ruchu obrotowego czterech konstelacji, które są „domami” słońca w czterech kluczowych momentach roku. W takim razie oś i pętle („nosiciele nieba”, jak się je czasem nazywa) są:

(...) systemem współrzędnych na sferze niebieskiej i reprezentują układ odniesienia dla ery świata. Ponieważ oś polarna i kolury tworzą niewidzialną jedność, cały układ odniesienia staje się bezużyteczny, jeśli pozbawimy go jednego elementu. Kiedy tak się stanie, nowa Gwiazda Polarna z odpowiednimi kolorami musi zastąpić całe urządzenie.

To właśnie te przesuwające się tryby niebios, jak twierdzą de Santillana i von Dechend, symbolizuje Angkor Wat – moment przejścia z jednej astrologicznej ery w drugą. Oto co się dzieje. Oto przy czym współpracują dewowie i asurowie, kiedy przeciągają ciało Vasuki wokół osi góry Mandera i wzbudzają Morze Mleka. Wynika stąd, że reliefy, podobnie jak same świątynie, niekoniecznie należy rozumieć jako jedynie „magiczne operacje” mające zapewnić krajowi dobrobyt. Mogą być także jeszcze jedną formą mandali, czy też yantry, mającą za zadanie skupienie uwagi wtajemniczonego adepta na kosmicznych tajemnicach – w tym przypadku na tajemnicy cyklu precesyjnego.

Ale dlaczego miałyby to być komuś potrzebne?

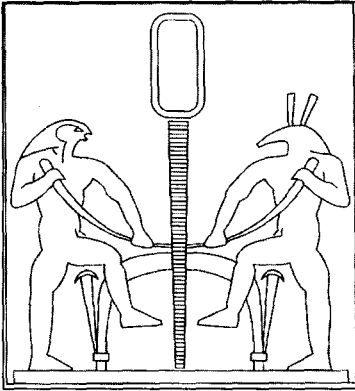
Czy może z tego powodu, że „wzbudzanie Morza Mleka”, według de Santillany i von Dechend stanowiące alegorię zjawiska precesji, uważano za związane w jakiś sposób z poszukiwaniem wiecznego życia? Pomijając wszystko inne, owocem wzbudzania morza był przecież podobno nektar nieśmiertelności.

Tu przypomniata nam się egipska wiara w to, że przez „zdobycie” czy też „wstąpienie” do nieba (czyli uzyskanie dostępu do wszystkich jego sekretów) i przez wiedzę o precesji (wiedzę o tym, „jak zstąpić do dowolnego nieba”) wtajemniczony mógł liczyć na zdobycie nieśmiertelności swej duszy. Być może, wśród niezliczonych rzesz pielgrzymów przybywających do Angkoru w ciągu wieków byli tacy, którzy dążyli do tego samego celu i którzy szli tą samą drogą wiedzy?

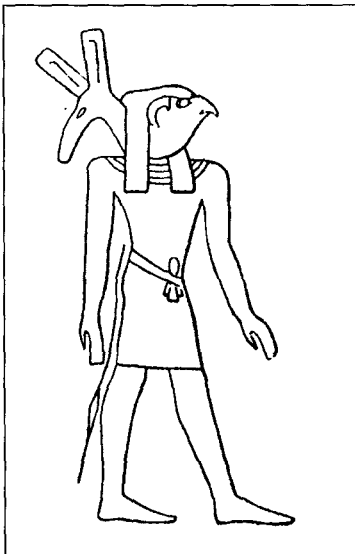
Egipskie refleksje

Asurowie i dewowie z Angkoru mają w Egipcie swój odpowiednik w postaci „konkurencyjnych” bogów Horusa i Setha, którzy po śmierci Ozyrysa walczyli przez 80 lat, aż została ustanowiona nowa era świata. Wprawdzie zazwyczaj byli oni przedstawiani jako zaciekli wrogowie, ale istnieje wiele staroegipskich reliefów przedstawiających Horusa i Setha we współpracy. Podobnie jak asurowie i dewowie ciągnęli za dwa końce liny owiniętej wokół wielkiej osi i w ten sposób wprawiali ją w ruch obrotowy.

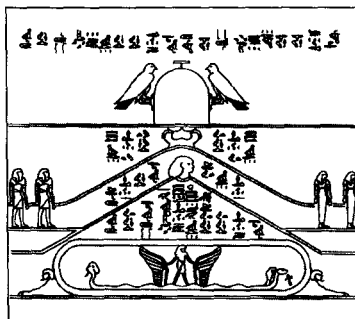
Przesłanie tej sceny jest pod każdym względem identyczne z przesłaniem sceny wzbudzania Morza Mleka, która również przedstawia zjednoczenie przeciwstawnych sił. Przesłanie to wskazuje, że wszechświat wymaga polaryzacji, że wszystko



Horus i Seth obracający wiertło



Horus i Seth połączeni w jedną istotę o dwóch głowach



Królestwo Sokarisa

musi mieć swój równy i przeciwstawny odpowiednik i że tylko dzięki twórczemu współdziałaniu tych przeciwieństw mogą powstać nowe rzeczywistości.

Inne reliefy przedstawiają Horusa i Seta połączonych w jedną postać o dwóch głowach, ale znacznie ważniejsza jest intrygująca scena z V rozdziału *Księgi o tym, co jest w zaświatach*, w której występuje wiele elementów identycznych z tymi, które znamy ze „wzburzenia Morza Mleka”.

Duat składa się z 12 części, czyli godzin; w każdej z nich dusza odbywająca swą pośmiertną podróż jest poddawana kolejnym próbom. Wiele z tych testów symbolizuje gigantyczna kobra o wydętej gardzieli, przełca się w groźnej pozycji, oraz płujące ogniem węże, często o wielu głowach, jak Nagowie, czasem pokryte piórami i zaopatrzone w pierzaste skrzydła.

W czwartej i piątej godzinie pielgrzymująca dusza jest nazywana „ukrytym wędrowcem na drodze świętego kraju, którego tajemne rzeczy są ukryte”, a jego celem jest odkrycie owych tajemnych i ukrytych rzeczy: „ukrytej rzeczy, która jest na tej świętej drodze”, „tajemnych korytarzy, które prowadzą do komory Ahet”, „wizerunku, który jest ukryty i którego nie można zobaczyć ani pojąć”.

Podobnie jak relief przedstawiający wzburzenie Morza Mleka, cała okolica wyobrażona w czwartej i piątej godzinie Duat (określana wspólnym mianem „królestwa Sokarisa”), jest podzielona na trzy odrębne, równoległe rejestry, które w kilku miejscach się łączą. W egipskiej scenie pojawia się dominujący wizerunek węża, podobnie jak w Angkorze; dolny rejestr piątej godziny wypełnia woda, tworząca rodzaj oceanu, bardzo podobnego do Morza Mleka z Angkoru. Co najciekawsze, w samym sercu egipskiej sceny możemy dostrzec następujące elementy:

1. Wzgórze – czy też górę o kształcie piramidy, porównywalną z górą Mandera – z którego wyłania się głowa bóstwa.
2. Linę owiniętą wokół wzgórza, podobnie jak ciało Vasuki wokół góry Mandera.

3. Rzędy ciągnących linię postaci po obu stronach wzgórza, podobnych do dewów i asurów z Angkoru.
4. Znajdujący się nad wzgórzem cylindryczny obiekt o zaokrąglonym szczycie, zwieńczony hieroglifem oznaczającym „ciemność” lub „niebo”, lub „mroczne niebo”; na tym obiekcie siedzą dwa czarne ptaki. Ptaki te są szczególnie interesujące, ponieważ w starożytnym języku egipskim znak przedstawiający dwa ptaki siedzące naprzeciwko siebie był „standardowym hieroglifem dla wyznaczania południków i równoleżników”. Oprócz tego historyk nauki Livio Catullo Stecchini dowiódł przekonująco, że sam cylindryczny obiekt jest omfalosem, „wyznacznikiem geodezyjnie istotnych punktów”, które były dobrze znane w świecie starożytnym – jak na przykład w świątynnej wyroczni w Delfach, gdzie do dzisiaj można zobaczyć stojący na swoim miejscu omfalos. Delficki omfalos ma kształt stożka z zaokrąglonym szczytem, podobnie jak omfalos egipski, a rzeźbiarz ozdobił swego rodzaju dekoracyjną siatką.
5. Gigantycznego trzygłowego węża, nazywanego „wielkim bogiem”, znajdującego się wewnątrz owalu, porównywalnego z królami Naga, którzy również byli bogami.
6. Na grzbiecie węża sokołogłowego Sokarisa, „boga orientacji”, którego „zadaniem jest chronić swoją własną formę”; Sokaris, niczym Wisznu kierujący ruchem Vasuki, w obu rękach trzyma pierzaste skrzydła węża.

Najbardziej zastanawiającą cechą piątej godziny Duat jest to, że opisujące ją teksty zawierają liczne wskazówki i nawiązania do trzech wielkich piramid i Sfinksa z Gizy. Szanowany egiptolog Selim Hassan posunął się wręcz do stwierdzenia, że piąta godzina „ma swój geograficzny odpowiednik w postaci nekropoli w Gizie”. Podobnie Mark Lehner, obecnie associate professor w Oriental Institute uniwersytetu w Chicago, przyznaje, że „kuszące” jest uznanie lwich sfinksów, które strzegą tajemniczego owalu Sokarisa za:

przedstawienie Sfinksa w Gizie (...), obecność omfalosa w piątej [godzinie] stanowi dodatkowe poparcie dla sugestii, że użyta tu symbolika dotyczy nekropoli w Gizie, ponieważ Wielka Piramida jest zlokalizowana z niewiarygodną dokładnością na 30 równoleżniku i głównym południku Egiptu. Jest też zorientowana dokładnie na północ.

Świątynie w Angkorze prezentują obsesyjną wręcz dokładność w orientacji na północ, południe, wschód i zachód – co mogli osiągnąć jedynie architekci i miernicy dysponujący zaawansowaną wiedzą astronomiczną i geodezyjną. Wiemy, że ludzie dysponujący taką wiedzą wzniesli piramidy i Sfinksa w Gizie, i wiemy, że Gizę od Angkoru dzieli geodezyjnie znaczący dystans 72 stopni długości geograficznej. Dlatego wydaje się, że mamy podstawy, by zastanawiać się, czy dziwne podobieństwa między piątą godziną Duat a wzburzaniem Morza Mleka mogą wskazywać na istnienie niezidentyfikowanych dotąd związków między Egiptem a Angkorem. Tajemnego

związku, który przekracza ogromne odległości w czasie i przestrzeni, dostosowuje się do różnych kontekstów kulturalnych, lecz wywodzi się z tych samych korzeni.

Triumf nad śmiercią

W Księdze o tym, co jest w zaświatach pielgrzymująca dusza musi rozwiązać zagadki piątej godziny i pojąć jej ukryte znaczenia, jeśli ma dotrzeć do następnego etapu podróży, szóstej godziny, „miejsca ciała Ozyrysa (...), tych domów, które są ukryte i które zawierają wizerunki Ozyrysa”.

W wielu wersjach ksiąg zaświatowych, jak widzieliśmy w części drugiej, szósta godzina Duat jest miejscem, gdzie rozgrywa się scena sądu, kiedy to w obecności Ozyrysa, boga zmarłych, pana zmartwychwstania i odrodzenia, rozstrzyga się los duszy zmarłego. W reliefach Angkor Wat, w galerii przylegającej bezpośrednio do wzburzenia Morza Mleka, odpowiednikiem Ozyrysa jest indyjski bóg śmierci Jama, który również czuwa nad sądem duszy zmarłych.

Egipski i khmerski bóg, podobnie jak sceny, w których zostali oni przedstawieni, są tak dalece do siebie podobni, że wydaje się mało prawdopodobne tłumaczenie tych zbieżności jedynie przypadkiem. Podobnie jak Ozyrys, Jama jest „śmiertelnikiem, który umarł [Ozyrys został zamordowany] i odnalazł drogę do innego świata, został przewodnikiem tych, którzy tracą życie”. Podobnie jak Ozyrys, często przedstawiany jest jako postać o zielonym ciele. W jego obecności, podobnie jak Ozyrysa, są wazone czyny, świadomość i wiedza zmarłego. I podobnie jak Ozyrysowi, Jamie pomaga w sądzie wiele innych istot, zwłaszcza Dharma, bóg sprawiedliwości, obowiązków i uniwersalnego prawa, który zasiada po jego prawicy i ogłasza wyrok sądu, oraz Chitragupta, „kronikarz dusz”, który „zna czyny popełnione przez każdą osobę” i który musi zapisywać wyrok sądu. Jeśli wyrok sądu był niepomyślny, „potępionego chwytają słudzy Jamy i wrzucają głowę do przodu do królestwa piekieł”.

Każdy, kto zna egipskie teksty, natychmiast dostrzeże podobieństwa między Dharumą a boginią Maat, między Chitraguptą a Thotem, a nawet między sługami Jamy a demoniczną hybrydą imieniem Imimut, „pożeraczem zmarłych”, w którego piekielną paszczę byli wrzucani ci, których dusze nie przeszły pomyślnie „ważenia słów”.

Z jakiegoś powodu dążenie do triumfalnego przejścia ważenia słów jako całkowicie usprawiedliwiony duch – dążenie, które egipcyscy faraonowie dzielili z boskimi królami khmerów – uważano za odzwierciedlenie wielkich kosmicznych cykli „wiecznego powrotu” i być może wymagało ono nawet od wtajemniczonego matematycznej i astronomicznej wiedzy dotyczącej tych cykli. Raz za razem powraca ta sama myśl – że tylko podążając prostą i wąską drogą wiedzy – wręcz „obejmując niebo” – wtajemniczony może się zabezpieczyć przed negatywnym wynikiem strasznego sądu nad zmarłymi.

Mamy mocne podstawy, by wierzyć, że właśnie w tym celu – triumfu nad śmiercią – zostały zbudowane świątynie w Angkorze, podobnie jak piramidy w Gizie.

Na jednej ze swoich licznych inskrybowanych stel Jayavarman VII, budowniczy Angkor Thom i Bayon, mówi nam wyraźnie, co miał na celu, tworząc te gigantyczne „dobre dzieła”. Celem tym, jak twierdzi, było obdarzenie ludzi „ambrozją pozwalającą im zdobyć nieśmiertelność”, a tym samym „ocalenie wszystkich tych, którzy walczą w oceanie istnienia”. Na innej steli Jayavarman prosi bogów, aby wynagrodzili jego wielkie przedsięwzięcie budowlane, pozwalając mu przejść swobodnie „z istnienia do istnienia”.

Brzmi to jak słowa monarchy, który miał na myśli dokładnie to, co mówił, i uważał wzniesione przez siebie świątynie za przyrzady wtajemniczające w naukę o nieśmiertelności.

Mistrzowska gra

Opuszczając galerie i „zamkniętą, nieprzystępną ciemność” Angkor Wat, znaleźliśmy się w końcu z powrotem na rampie. Wiodła ona przez rozległe zielone ogrody, obok wielkich połyskujących w słońcu sadzawek do zachodniej bramy, gdzie czekał na nas kierowca.

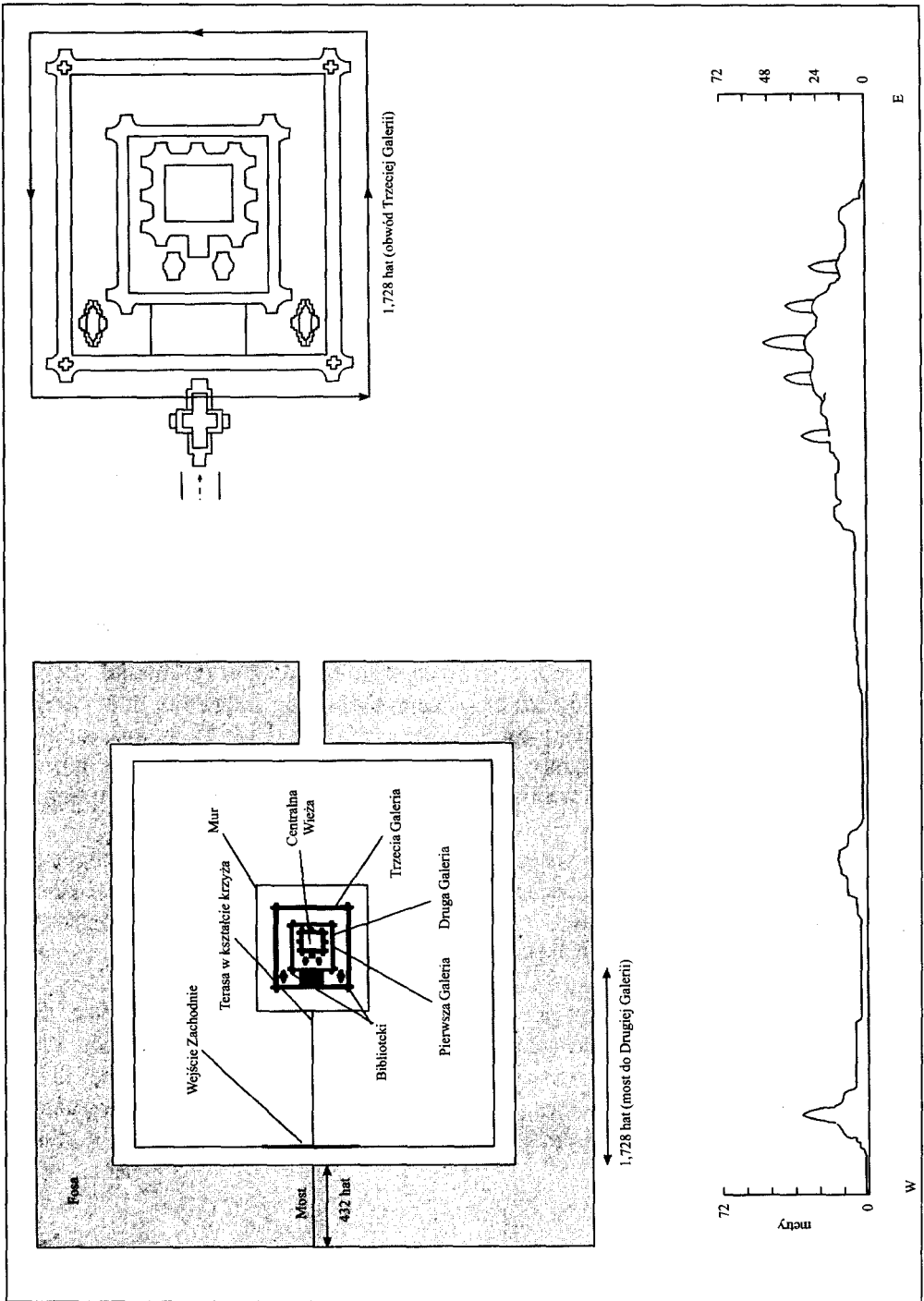
Szczegółowe studium Angkor Wat, opublikowane w magazynie „Science” w lipcu 1976 roku, ujawniło, że nawet z rampą wiąże się kosmiczna symbolika i liczby nawiązujące do cykli czasu. Po ustaleniu, że podstawową jednostką miary użytą w Angkorze była khmerska miara „hat” (odpowiadająca 0,43545 metra), autorzy studium dowiedli, iż długość rampy mierzona na osi została najprawdopodobniej tak dobrana, by symbolizować wielkie „epoki świata” hinduistycznej kosmologii:

Okresy te rozpoczyna krita-juga, czyli „złoty wiek” ludzkości, po którym następują treta-juga, dawpara-juga i kalija-juga, przy czym ta ostatnia jest czasem ostatecznego upadku człowieka. Trwają one odpowiednio: 1 728 000 lat, 1 296 000 lat, 846 000 lat i 432 000 lat.

Zatem nie może być dziełem przypadku fakt, iż główne części rampy (patrz diagram) mają długości wynoszące w bardzo niewielkim przybliżeniu 1728 hat, 1296 hat, 846 hat i 432 hat – czyli odpowiadają długości każdej z jug podzielonej przez tysiąc. „Sugerujemy – kończą autorzy – że upływ czasu został numerycznie wyrażony przez długości odcinków odpowiadających jugom na osi wschód-zachód”.

Cykle epok

Hindusi wierzą, że ci spośród nas, którzy obecnie zamieszkują ziemię, żyją w nieszczęśliwym i niespokojnym okresie kalijugi – ostatniej i najbardziej dekadentycznej z „epok ludzkości” w obecnym Kalpa, czyli cyklu stworzenia. Według



Precesyjne wymiary Angkoru w jednostkach „hat”

indyjskich obliczeń astronomicznych i kalendarzowych kalijuga zaczęła się w 3100 roku p.n.e. – data ta jest niemal co do roku zbieżna z obliczonym przez Majów początkiem Piątego Słońca. Jak czytelnik pewnie pamięta, Piąte Słońce, podobnie jak kalijuga, jest epoką, w której żyjemy. Kalendarz Majów podaje nie tylko datę jej początku, ale także mówi, kiedy się skończy wielkim, globalnym kataklizmem – 23 grudnia 2012 roku n.e.

Wszystkie liczby w indyjskim schemacie epok świata – 432 000 (lub 432), 864 000 (lub 864), 1 296 000 (lub 1296) i 1 728 000 (lub 1728) mają jedną wspólną cechę. Należą do sekwencji opartej na liczbie 72, która jest ważną jednostką w kalendarzu Majów i ściśle wiąże się z precesją równonocy (72 lata trwa przesunięcie o jeden stopień pozycji słońca na tle „stałych” gwiazd w dniu wiosennej równonocy). Jeśli podzielimy 432 lat na rampie w Angkorze przez 72 otrzymamy wynik 6. Jeśli podzielimy przez 72 długość kolejnego odcinka rampy – 864 lat – otrzymamy 12. Dzielać 1296 lat przez 72, otrzymujemy 18, a dzieląc przez 72 najdłuższy wymiar – 1728 lat – otrzymujemy 24.

I tak epoki Krita, Treta, Davpara i Kali, podzielone przez tysiąc w architektonicznej skali Angkor, a następnie przez „rządzącą” liczbę 72, można sprowadzić do prostej matematycznej sekwencji 24 – 18 – 12 – 6.

Czy tak spójny „dobry porządek” może być jedynie dziełem przypadku? Czy nie warto rozważyć możliwości, iż cały schemat epok świata został zaplanowany z myślą o cyklu precesyjnym? Wiele wskazuje, że tak właśnie mogło być.

Jedną z najważniejszych ram czasowych w schemacie indyjskich epok świata jest „Manvantara” (okres Manu), o którym napisano, że „około 71 systemów czterech jug upływa w czasie każdej Manvantary”. Ta zadziwiająco nieprecyzyjna liczba „około 71” stanowi wyjątek od ogólnej reguły rządzącej indyjską kosmologią. Ale może to być wyjątek potwierdzający regułę. Współcześni astronomowie obliczyli, że jeden stopień ruchu precesyjnego jest pokonywany w ciągu dokładnie 71,6 roku, czyli nieco mniej niż 72 lat, które występują w większości starożytnych mitów. Ponieważ mity są opowiadaniem, na potrzeby narracji używa się w nich najczęściej liczb całkowitych (na przykład trudno sobie wyobrazić, by Seth miał 71,6 współnika w spisku przeciwko Ozyrysowi). Możliwe, że właśnie z tego powodu Sethowi przypisano 72 współników, zaś w Indiach liczbę 71,6 zaokrąglono do „około 71”.

Na związek z precesją może wskazywać także cykliczny charakter jug, przypominających pod tym względem ery zodiakalne i nieskończone powroty „wielkiego roku”. Jest to system, w którym wszystko, również upływ czasu, wraca do punktu wyjścia i rozpoczyna się na nowo. „Pierwszy raz” starożytnych Egipcjan był takim właśnie „nowym początkiem”. Podobnie narodziny Piątego Słońca w Meksyku. Podobnie także moment stworzenia świata opisywany w indyjskiej tradycji, gdzie najwyższy bóg Wisnu/Brahma/Śiwa budzi się z tysiącletniego snu wśród splotów niebiańskiego węża Sesza i powołuje do istnienia obecny porządek wszechświata. We wszystkich przypadkach jest mowa o tym, że istniały już wcześniejsze światy – które zostały zniszczone – i że również nasz wszechświat czeka podobny los, a po nim nastąpią kolejne światy i one także będą unicestwione.

Według *Mahabharaty* nasz wszechświat i wszystkie żyjące w nim stworzenia podlegają nieustannym przemianom, przechodząc najpierw etap tworzenia – uważanego za dzieło Brahmy – potem epokę utrwalania (czym zajmuje się Wisznu), na koniec etap zniszczenia przez Śiwę. Jednak „kiedy wszechświat się rozplynie, całe stworzenie zostaje odnowione i cykl czterech epok zaczyna się na nowo od kritażygi (...)”.

Jeździec na białym koniu

Kritażyga, która rozpoczęła obecną Kalpę (epokę stworzenia), jest opisywana jako okres:

(...) w którym prawość jest wieczna. W czasie tej najwspanialszej z jug wszystko zostało uczynione i nic już nie pozostało do zrobienia (...). [Nie było] żadnego schorzenia ani upośledzenia narządów zmysłów wynikających z wpływu wieku (...), żadnych złych zamiarów (...), nie było nienawiści, okrucieństwa, strachu, niegodziwości, zazdrości ani zawiści (...).

Czytając te opisy, automatycznie przypomniał nam się o idei Sep Tepi („pierwszego razu”) w staroegipskiej kosmologii, czasu „który się narodził”, jak możemy przeczytać w *Tekstach Piramid*: „zanim zaczął istnieć gniew; który narodził się, zanim zaczął istnieć zamęt; który narodził się, zanim zaczęła istnieć wojna; która narodziła się, zanim zaczął istnieć niepokój”.

Dharma, bóg sprawiedliwości i obowiązku – bezpośredni odpowiednik egipskiej bogini Maat – miał według hinduskiej tradycji „chodzić na czterech nogach” w okresie kritażygi. W kolejnej epoce, tretażygi, „mniej szczęśliwym wieku, kiedy zabrakło cnót”, liczba symbolicznych nóg Dharmy została zredukowana do trzech. W dawparajuga Dharma miał już dwie nogi, a „kłamstwa i walki było mnóstwo (...). Umysł zmniejszył się, Prawda upadła i pojawiły się żądza, choroba i niegodziwości (...), była to epoka upadku za sprawą dominacji grzechu (...). Jednakże wielu kroczyło drogą prawości”. W kalijuga – naszej epoce – kiedy bezradny Dharma stoi na jednej nodze, tylko nieliczni idą drogą prawości:

Pozostała tylko czwarta część cnót. Świat jest chory; wszystkie stworzenia ulegają degeneracji; ludzie zwracają się ku niegodziwości (...). Są nieszczęśliwi, ponieważ nie zasłużyli na szczęście. Ich cnoty upadły, jedzą żarłocznie, nie czyniąc rozróżnienia, żyją w miastach pełnych złodziei (...). Są uciskani przez swoich królów i przez kłęski przyrodnicze, głód i wojny.

Dlatego mówi się, że „w kalijuga będzie panował upadek, aż ludzka rasa zbliży się na skraj unicestwienia”.

Przepowiedziane też zostało, kto będzie sprawcą owej apokalipsy. Będzie nim Kalki, „Wypełniający”. Według *Bhagawata Purana*: „w półmroku tej epoki, kiedy

wszyscy królowie będą złodziejami, Pan Wszechświata narodzi się jako Kalki”. Przybędzie, „jadąc na białym koniu i dzierżąc miecz lśniący niczym kometa”. Ukaże złoczyńców i wynagrodzi cnotliwych: „następnie zniszczy świat. Później, z ruin ziemi, powstanie nowy świat”.

Awatarowie

Jadący na białym koniu Kalki jest awatarem – manifestacją w materialnym świecie – wielkiego boga Wisznu. „Zachowującego” i „Podtrzymującego”, który utrzymuje stworzony świat w stanie porządku. Jako taki jest przedstawiany w hinduistycznej tradycji jako ostatni z linii zbawców i przewodników ludzkości, który przybył ratować dobro i prawdę w czasach mroku.

Wielu inkarnacjom Wisznu towarzyszyły *pralaja* – czyli kataklizmy – a zwłaszcza niszczące świat potopy. Teksty mówią nam, że jego cel był za każdym razem taki sam: ocalić jakąś część mądrości zgromadzonej przez cywilizacje sprzed potopu i przekazać ją jako dziedzictwo dla przyszłej ludzkości.

Na przykład aby uratować Manu Satyavrata, założyciela współczesnej ludzkości, Wisznu miał się podobno wcielić w postać gigantycznej ryby. Zanim nadszedł potop, bóg polecił Manu zbudować wielki statek i „załadować na niego po parze z każdego żyjącego gatunku i nasiona wszystkich roślin, a następnie samemu wejść na pokład”. Kiedy wody się podniosły, Wisznu przez wiele dni i nocy holował arkę Manu, aż w końcu osiadła ona na zboczu wielkiej góry.

Innym razem, kiedy cała powierzchnia ziemi również znalazła się pod wodą, Wisznu wcielił się w odyńca, „rzucił się w wodę i zabił demona, który rzucił ziemię na dno morza. Następnie uratował ziemię i sprawił, że znowu unosiła się na wodach oceanu”. Kiedy indziej, jak pamiętamy, pod koniec epoki świata przybrał postać żółwia i odegrał ważną rolę we wzburzaniu Morza Mleka.

Wisznu wcielał się także w postaci: „człowieka-lwa”, wrywającego wnętrzości demona, okrutnie gnębiącego ziemię; karła, „który siedł nad wszechświatem i w trzech miejscach postawił nogę”; herosa Ramy, który w zamierzczłych czasach zapoczątkował złoty wiek sprawiedliwości i szczęśliwości oraz Kriszny, który „narodził się, aby nauczać religii miłości na początku Epoki Walki (czyli tak zwanej kalijuga, epoki, w której żyjemy)”.

„We wszystkich kluczowych momentach historii świata” – podsumowuje orientalista Alain Danielou – Wisznu „pojawia się jako wyjątkowa postać kierująca ewolucją i przeznaczeniem różnych porządków wszechświata, gatunków i form życia”:

Kiedy zdarza się, że te formy wiedzy, które są niezbędne, aby człowiek wypełnił swoje duchowe przeznaczenie, są dla niego niedostępne, a tym samym ludzkie życie traci sens, obowiązkiem Wisznu jest uczynić tę wiedzę na powrót dostępną (...). Zatem dla każdego cyklu jest nowa inkarnacja, aby dostosować objawienie do konkretnych warunków świata.

W Indiach reinkarnowany Mesjasz przychodzi jako Rama, później jako Kriszna, a w końcu, w dniach ostatnich, nadejdzie jako Kalki, „Wypełniający”. Tę samą postać możemy też znaleźć w Meksyku pod imieniem Quetzalcoatl, dawnego i przyszedłego króla, oraz w Brytanii jako króla Artura. Pojawia się też w Egipcie, występując od początków okresu dynastycznego w postaci boga-człowieka, Ozyrysa – „Kroczącego Daleko”, Pana Wszechświata, który umiera, lecz wiecznie będzie się odradzać. „Ozyrys – napisał R.T. Rundle Clark – zbawia cię, kiedy jesteś źle traktowany. Jest, jak to nazywali Egipcjanie, *neb tem* – uniwersalnym panem – ludzkim, lecz tajemniczym, cierpiącym, i władczym”. W mitach i tekstach religijnych to właśnie on jest „tajemniczym głosem”, który niegdyś i teraz „przemawia władczo, żądając, aby rzeczy były naprawione, kiedy porządek świata będzie zagrożony (...)”.

To, co Rundle Clark nazywa „interwencją bóstwa w obecny świat”, nie różni się znacząco od działań podejmowanych przez awatarów Wisznu. Podobnie, zarówno egipska, jak i indyjska tradycja podkreślają, że cel takich interwencji jest szlachetny: „W celu chronienia ziemi, kapłanów, bogów, świętych, Pisma, praworządności i dobrobytu Pan przybiera postać cielesną”.

Quetzalcoatl odgrywa identyczną, życiodajną rolę w Meksyku, czuwając nad złotym wiekiem i dając swoim adeptom kwiat nieśmiertelności.

Riszi

Czy ludzkie życie ma jakikolwiek cel? A może nie ma żadnego celu? Czy ma jakieś znaczenie? A może jest pozbawione znaczenia? Czy jest wspaniałe? A może tylko śmieszne?

Według riszi – „mędrców” starożytnych Indii – nasze życie ma znaczenie i ma bardzo konkretny cel. Nazywają oni ten cel „realizacją” lub „oświeceniem” – zdolnością duszy, zmaterializowanej tylko czasowo w ludzkim ciele, do zrozumienia prawdziwej natury swej własnej egzystencji.

To, co akceptujemy bez zastrzeżeń jako „rzeczywistość”, riszi nazywają „światem formy”. Twierdzą, iż odkryli, że świat ten w rzeczywistości wcale nie jest rzeczywisty, lecz stanowi tylko rodzaj podstępnej gry w wirtualnej rzeczywistości, w której wszyscy bierzemy udział, że jest skomplikowaną i sprytną iluzją, mogącą zmylić nawet najbardziej gruntowne empiryczne badania – zbiorową halucynacją o niewiarygodnej głębi i sile, mającą na celu odciążenie dusz z prostej i wąskiej drogi przebudzenia, prowadzącej do wiecznego życia. Co musi się wydać zaskakujące każdemu, kto studiował tajemnice starożytnego Meksyku, nazywają tę iluzję „maja” i nauczają technik pozwalających ją pokonać. Takie techniki, składające się na „naukę o realizacji”, obejmują proste poszukiwania duchowej wiedzy, medytację, kontemplację, koncentrację umysłu przez studiowanie mandali i jantr oraz prawidłowe wypełnianie rytuałów.

Jak czytelnik zapewne pamięta, również w Meksyku życie pojmowano nie jako rzeczywistość, lecz jedynie sen, z którego dusza budzi się w chwili śmierci. Podobnie w rzekomo nie mających żadnego związku z Meksykiem *Tekstach*

Hermetycznych, skompilowanych w egipskiej Aleksandrii około II wieku n.e., czytamy, że „wszystkie rzeczy na ziemi są nierzeczywiste (...). Iluzja jest rzeczą stworzoną dzięki działaniom Rzeczywistości”.

Teksty Hermetyczne uczą, że adept musi wytrwale starać się pokonać materialne złudzenie, iż jego dusza nie przeżyje fizycznej śmierci i gorliwie „ćwiczyć swą duszę w tym życiu, aby kiedy wejdzie do innego świata, gdzie wolno jej będzie oglądać Boga, nie zgubiła drogi prowadzącej do niego (...)”. Ponieważ takie ćwiczenia uważano za sprawę o pierwszorzędym znaczeniu dla duszy, *Teksty Hermetyczne* ubolewają także nad faktem, że cykle czasu doprowadzą do upadku i zrujną ziemię egipską – „tę ziemię, która niegdyś była święta, ziemię, która miłowała bogów i w której, w nagrodę za jej pobożność, bogowie postanowili przebywać na ziemi, ziemię, która była nauczycielem ludzkości”.

O Egipcie, Egipcie, z twojej religii nic nie pozostanie prócz pustych opowieści, w które twoje własne dzieci z czasem przestaną wierzyć; nic nie pozostanie prócz wrytych słów i tylko kamienie będą mówić o twojej pobożności. A w tym dniu ludzie będą zmęczeni życiem i przestaną uważać wszechświat za godny pełnego czci podziwu i uwielbienia. Ciemność będzie preferowana nad światło, śmierć będzie uważana za korzystniejszą niż życie [i] nikt już nie będzie wznosił oczu ku niebu (...). A co się tyczy duszy i wiary w to, że jest ona nieśmiertelna w swej naturze lub może mieć nadzieję na osiągnięcie nieśmiertelności (...), wszystko to będą wyszydzać i będą nawet przekonywać samych siebie, że jest to fałszem (...).

I wszystko to, jak jasno wynika z *Tekstów Hermetycznych*, jest nierozzerwalnie związane z cyklami czasu, zdążającymi po spiralnej drodze ku temu, co indyjscy mędrcy nazywają pralają na końcu świata, kiedy zło zapanuje i podpory nieba będą musiały zostać zdruzgotane przez obroty kosmicznego młyna:

I tak bogowie oddalą się od ludzkości – żałosna rzecz! – i tylko złe anioły pozostaną, które przemieszają się z ludźmi i popchną siłą biednych nieszczęśników do wszelkiego rodzaju bezlitosnych zbrodni, do wojen i grabieży, do oszustw i wszelkich rzeczy wrogich naturze duszy. Wówczas ziemia nie będzie już dłużej niewzruszona (...), niebiosy nie będą wspierać gwiazd na ich orbitach i gwiazdy zaprzestaną swego stałego ruchu po niebie (...). W ten sposób świat dojdzie do starości. Nie będzie już żadnej religii; wszystkie rzeczy pogrążą się w chaosie i wszelkie dobro zniknie.

Ale kiedy wszystko się wydarzy (...), wówczas (...) Bóg (...) spojrzy na to, co się stało, i powstrzyma chaos, cofając swoją wolę (...). Oczyści on świat ze zła, obmyje go powodzią, wypali go najgorętszym ogniem, wypędzi z niego wojnę i zarazę. W ten sposób przywróci swój świat do jego pierwotnej postaci, tak że kosmos znowu zostanie uznany za godny uwielbienia i pełnego czci podziwu (...).

Takie są nowe narodziny kosmosu, jest to tworzenie na nowo wszystkich rzeczy dobrych, święte i budzące zachwyt odnowienie całej natury; dzieje się tak z upływem czasu dzięki wiecznej woli Boga (...).

Podobnie jak nauczyciele hermetyzmu, indyjscy riszi również wierzyli, że w przeszłości były – i będą w przyszłości – długie epoki mroku i zniszczenia, takie jak obecna kalijuga. W epokach tych ludzkość daje się zwieść ułudzie maji i pograża się na tysiące lat w głupocie, wojnie i chciwości. W takich czasach Wisznu nie tylko pojawia się jako awatar niosący światu objawienie, ale również wywiera potężny wpływ przez wiele „częściowych inkarnacji”, które „podtrzymują, uzupełniają i interpretują objawienie. Są to głównie wizjonerzy i mędrcy (...)”.

Była też inna droga do zbawienia, zawsze dostępna dla tych, którzy naprawdę jej poszukiwali: starożytne święte pisma zwane Wedami, najstarszy zbiór indyjskich tekstów religijnych.

W Indiach wierzy się, że Wedy – nazwane tak od sanskryckiego słowa *veda*, oznaczającego „wiedzę” lub „mądrość” – przekazują nauki pochodzące z zamierzchłej starożytności, znacznie starsze niż zachowane do dzisiaj najstarsze odpisy. Uważa się wręcz, że Wedy były w tradycji ustnej „przekazywane wiernie przez specjalne rodziny w obrębie bramińskiej społeczności Indii” przez tysiące lat, zanim zostały spisane w postaci „ksiąg”, które przetrwały do naszych czasów. Co więcej, nawet te ustnie przekazywane Wedy uważano nie za oryginalne nauki, lecz raczej za ponowny przekaz, po ostatniej pralaj, jeszcze wcześniejszych nauk. Dzieło to miało podjąć siedmiu riszi, którzy przeżyli kataklizm i których pragnieniem było „na początku nowej ery” zabezpieczyć „wiedzę odziedziczoną jako święte dziedzictwo po praojcach z poprzedniej epoki”.

Podobne tradycje istnieją w Egipcie, zapisane w *Tekstach Budowlanych z Edfu*, również mówiących o wiedzy siedmiu mądrych ludzi – „Siedmiu Mędrców” – i o tym, że została ona przyniesiona do doliny Nilu w czasach „pierwszego razu” jako duchowy bodziec mający odtworzyć dawny świat bogów:

Starożytny świat, po tym jak był stworzony, został zniszczony i jako martwy świat stał się podstawą nowego okresu stworzenia, który na początku był odtworzeniem i zmartwychwstaniem tego, co istniało w przeszłości.

Według *Tekstów z Edfu* przyjęta w tym celu przez Siedmiu Mędrców metoda polegała na budowaniu świątych „wzgórz” – za ich pomocą określili plany i projekty, które miały być stosowane we wszystkich późniejszych świątyniach na ziemi egipskiej. Świątynie te, wznoszone z salami „przypominającymi niebo”, uważano za żyjące istoty, które mogą umierać i odradzać się, i znowu umierać i odradzać się, a wszystkie wywodzą się od wspólnego przodka – „świątyni, która niegdyś istniała w zamierzchłej przeszłości predynastycznego Egiptu”. Widzieliśmy już, że tę „świątynię-przodka” uważano za swego rodzaju „kopię” konkretnej części nieba. Dusza zaopatrzona w wiedzę o tym mogła mieć nadzieję na osiągnięcie życia trwającego miliony lat – i na to, że będzie „dobrze zaopatrzona zarówno w niebie, jak i na ziemi, niezawodnie, regularnie i wiecznie”.

Tajemny związek?

Wykopaliska archeologiczne udowodniły, że świątynia Horusa w Edfu oraz wszystkie inne ważniejsze świątynie i piramidy starożytnego Egiptu zostały zbudowane w miejscach uważanych za w pewien sposób „bosko uświęcone”. Wiadomo także, że wiele z tych miejsc było nieustannie używanych i wielokrotnie przebudowywanych przez tysiące lat.

We wszystkich ważniejszych świątyniach Angkoru również widać podobne ślady wznoszenia ich na wcześniejszych budowlach, które z kolei mogły powstać w miejscu jeszcze starszych konstrukcji. Jeśli nie jest to wyłącznie dziełem przypadku, to nie można także wykluczyć, że niezwykle związek między węzowymi świątyniami w Angkorze a gwiazdami i węzową konstelacją Smoka w takim układzie, jaki można było oglądać w dniu wiosennej równonocy 10 500 roku p.n.e., może być wynikiem rzeczywiście istniejącego planu i oryginalnych „wzgórz” stworzonych w Kambodży w tamtych zamierzczłych czasach.

Ta hipoteza nie jest sprzeczna z niekwestionowanymi historycznymi dowodami na to, że świątynie w swojej obecnej formie zostały zbudowane między IX a XIII wiekiem przez dobrze znanych khmerskich monarchów. Musimy tylko przyjąć do wiadomości potwierdzony już fakt, że miejsca, w których stoją świątynie, uważano za święte, na długo zanim wzniesiono same budowle. Czy możliwe jest zatem, że uważano je za święte i znano ich położenie, zgodne ze „starożytnym planem” nie przez setki, ale przez tysiące lat?

Nieznaczna modyfikacja tej hipotezy pozwala założyć, że plan wcale nie musiał zostać fizycznie wyznaczony w 10 500 roku p.n.e. Jest to coś, czego równie trudno dowieść, jak obalić. Możliwe, że układ świątyń dało się wyznaczyć bez „prapagórków”, którymi mogli się kierować budowniczy. Wystarczyła dokładna mapa konstelacji Smoka na południku niebieskim w dniu wiosennej równonocy w 10 500 roku p.n.e. Jeśli taka mapa nieba istniała i była przekazywana z pokolenia na pokolenie – zaszyfrowana w rytuale, w mitach albo w postaci rzeczywistego schematu czy planu – to, przynajmniej teoretycznie, mógł zostać przeniesiony na Ziemię prawie 12 000 lat później.

Kolejna modyfikacja czyni tę hipotezę jeszcze bardziej wyrafinowaną, zakładając, że nie musiały istnieć nie tylko „prapagórki”, ale nawet mapa czy plan sporządzony w tamtej zamierzczłej epoce. Wystarczy założyć, że budowniczy Angkoru po mistrzowsku opanowali wiedzę astronomiczną – co, jak już wiemy, jest prawdą. W gruncie rzeczy nie trzeba wiele wysiłku, by sobie wyobrazić, że tak wspaniali budowniczy – którzy z zadziwiającą precyzją zorientowali dokładnie na północ Wielką Piramidę i zakodowali naukowe astronomiczne obserwacje w niemal każdym jej ważniejszym wymiarze i linii – wiedzieli wszystko o zjawisku precesji i jego astronomicznych efektach.

Jeśli dysponowali taką wiedzą, jeśli umieli obliczać efekty precesji, to nie ulega wątpliwości, że potrafili wyobrazić sobie położenie gwiazd na niebie w minionych epokach – starożytni Egipcjanie nazywali taki proces myślowy „scho-dzeniem do dowolnego nieba”. Następnie takie „mandale umysłu” mogły być

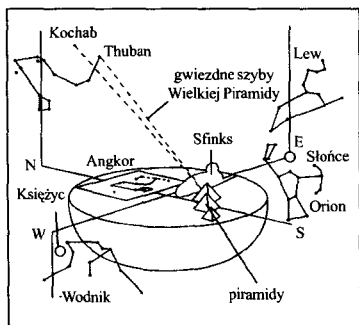
kopiuwane na ziemi w postaci wielkich i trwałych dzieł architektury, stojących jeszcze długo po śmierci budowniczych i mających niezwykłą właściwość stymulowania umysłu każdego, kto się z nimi styka przez nadchodzące wieki i tysiąclecia.

Tak więc jeśli idzie o Angkor, to podstawowe pytania dotyczą nie tyle bezwzględnych dat zbudowania tej czy innej świątyni, czy nawet budowli, na których zostały wzniesione, lecz raczej:

1. Dlaczego plan całego Angkoru jest tak silnie i blisko związany z układem gwiazd właśnie w części nieba wokół konstelacji Smoka, tak jak wyglądała ona w 10 500 roku p.n.e.?
2. Jak możemy wyjaśnić fakt, że na dokładnie tę samą datę wskazują trzy wielkie piramidy i Sfinks w Gizie – budowle, które podobno nie mają żadnego związku ze świątyniami Angkoru?
3. Czy nie jest zadziwiające, że wszystkie trzy grupy budowli stosują tę samą astronomiczno-architektoniczną technikę, by zwrócić uwagę na tę samą datę, to znaczy naśladują jedną z ważnych konstelacji, które były widoczne w głównych punktach nieba w dniu wiosennej równonocy 10 500 roku p.n.e. (Smok na północy w przypadku Angkoru, Lew na wschodzie w przypadku Wielkiego Sfinksa i Orion na południu w przypadku piramid)?
4. Czy może to być jakiś rodzaj tajemnego związku?

Mistrzowie gry

Wewnątrz egipskiej Wielkiej Piramidy znajdują się cztery wąskie ukośne szyby, z których dwa są skierowane na północ, a dwa na południe. Wspomnieliśmy już, że owe szyby zostały wycelowane na konkretne gwiazdy w 2500 roku p.n.e.: południowe szyby wskazywały gwiazdy Syriusz i Al Nitak (najniższą z trzech gwiazd pasa Oriona), zaś północne – Kochab i Thuban.



Trójwymiarowe przedstawienie położenia konstelacji w kardynalnych punktach i ich ziemskie odpowiedniki (bez zachowania skali) o wschodzie słońca w dniu wiosennej równonocy 10 500 roku p.n.e.

Gwiazda Thuban należy do „ogona” Smoka i ma swój odpowiednik, albo „kopię”, na ziemi wśród świątyni Angkoru. Jest nią świątynia Bentei Samre. Kochab należy do sąsiedniego gwiazdozbioru Małego Wozu. Jednak i ona została skopiuwana w Angkorze w postaci pobliskiej świątyni Ta Sohm.

Zatem okazuje się, że obie gwiazdy wskazywane przez północne szyby Wielkiej Piramidy zostały wyobrażone na ziemi w postaci ważnych świątyni na terenie Angkoru. Możliwe, że jest to kolejny „przypadek”. A jednak prowadząc nasze badania, co chwila odnosiliśmy nieodparte wrażenie, że natykamy się na fragmenty jakiejś dziwnej,

tajemniczej i starożytnej gry – gry na kosmiczną skalę, trwającej od tysięcy lat i rozgrywanej się w czterech podstawowych wymiarach:

Pierwszy wymiar: „w górze” – gwiazdy na niebie;

Drugi wymiar: „na dole” – budowle na ziemi, rozproszone po całym świecie niczym kawałki gigantycznej układanki, połączone ze sobą tajemniczymi astronomicznymi wskazówkami;

Trzeci wymiar: „czas” – odmierzany powolnym cyklem precesji, stanowiący najważniejszą metodę ukrycia przed niewtajemniczonymi astronomicznymi wskazówkami zawartych w budowlach;

Czwarty wymiar: „duch” – cel całego planu, poszukiwanie nieśmiertelności.

Gra – o ile rzeczywiście jest to gra – sprawia wrażenie wspaniałego zamkniętego systemu, złożonego z przepłatających się, wzajemnie od siebie uzależnionych i nawiązujących do siebie elementów, który zdradza cechy inteligentnego i dokładnie przemyślanego planu. I tak trzy piramidy w Gizie nie tylko swym układem na ziemi naśladują układ gwiazd pasa Oriona, ale również jedna z nich, Wielka Piramida, jest zaopatrzona w wąski szyb wycelowany na południe, w swój gwiazdny odpowiednik w pasie Oriona – i dwa szyby wycelowane na północ, w gwiazdy Kochab i Thuban. Te gwiazdy z kolei zostały wyobrażone na ziemi w postaci dwóch świątyń na terenie Angkoru, gdzie znajduje się wielki zespół budowli przedstawiający konstelację Smoka i kilka ważniejszych gwiazd w jej pobliżu.

Kiedy dodamy wymiar czasu, gracz może wejść na kolejny etap gry i odkryć że układy niebo-ziemia dla Angkoru i Smoka z jednej strony diagramu, a dla Gizy i Oriona z drugiej, pokrywają się dokładnie tylko w dniu wiosennej równonocy 10 500 roku p.n.e.. Gracz zauważa następnie, że dokładnie w tym samym momencie nad wschodnim horyzontem pojawiała się konstelacja Lwa – w tym miejscu, w które wpatruje się Wielki Sfinks o ciele lwa. Gra nabiera głębi, kiedy dodamy do niej mity o Ozyrysie/Orionie, wspaniałe legendy o lwich bogach i boginiach zawarte w kulturalnej spuściźnie egipskich świątyń – zawsze połączonych z cyklami czasu – oraz cudowne legendy o węzach Naga, wpisane w kulturalne dziedzictwo świątyń Angkoru, również związanych z wielkimi cyklami czasu oraz tworzeniem i niszczeniem epok świata.

Co jednak najbardziej tajemnicze, mity wskazują na szereg dalszych, odnoszących się do jeszcze wyższego poziomu gry – poziomu ducha, powiązań między problemem wielkich „epok świata”, który mogą w pełni zrozumieć jedynie ludzie znający dobrze zjawisko precesji, a mroczną, lecz fundamentalną kwestią nieśmiertelności ludzkiej duszy. To, jak patetycznie ujmują indyjskie teksty, jest „wielka tajemnica tego, co przychodzi po śmierci, [które] nawet dawni bogowie nie znali (...), rzecz trudna do poznania”.

Czy możemy znaleźć lepszych kandydatów na mistrzów gry, w której stawką jest nieśmiertelność, niż Towarzysze Horusa, Szemesu Hor, znający magię, liczący gwiazdy – którzy według starożytnych tekstów przybyli do Egiptu w czasach „pierwszego razu”? W języku egipskim Anch-Hor naprawdę znaczy „bóg Horus żyje”. A zatem jeśli poszukujemy jakiegoś tajemnego związku między świątyniami

Smoka w Angkorze a budowlami w Gizie, to z pewnością musimy zwrócić uwagę na to, że mit o Horusie, tradycja definiująca tożsamość Towarzyszy Horusa, zawiera „niepodważalne nawiązanie” do gwiazd konstelacji Smoka, jak czytamy w *Catalogue of Star Names* Richarda Hinkleya Allena.

W tej wielkiej grze związki między świątyniami a gwiazdami są ukryte za pomocą zmian wywoływanych przez precesję i mogą je odczytać tylko ci, którzy umieją „schodzić do dowolnego nieba”. Tacy adepci dobrze wiedzą, że precesyjny cykl przebiega w powolnym i miarowym tempie jednego stopnia na 72 lata i z pewnością zwróca uwagę na świątynie w kształcie Smoka, które dzieli od monumentalnych wizerunków Lwa i Oriona w Gizie dokładnie 72 stopni długości geograficznej.

Lecz w wymiarze czasu nadal jest wiele niewiadomych: rok 10 500 p.n.e. jest astronomiczną datą, na którą wskazuje układ piramid i Sfinksa na ziemi, zaś orientacja szczybów Wielkiej Piramidy wskazuje na rok 2500 p.n.e. (i datę tę potwierdzają odkryte w wyniku wykopalisk archeologicznych niezaprzeczalne ślady działalności budowlanej w Gizie w tym okresie). Rok 10 500 p.n.e. jest astronomiczną datą, na którą wskazuje układ na ziemi węzowych świątyń Angkoru, zaś rok 1150 n.e. jest datą ukończenia budowy Angkor Wat, a niezbite dowody archeologiczne potwierdzają, że cały kompleks świątyń musiał powstać w ciągu nieco ponad czterech wieków, między 802 a 1220 rokiem n.e.

Jakie wielkie wspólne źródło wiedzy i jaka wspólna duchowa idea, pochodzące z jakiego tajemnego nurtu, miały dostatecznie ogromny zasięg i były wystarczająco starożytne, a zarazem na tyle trwałe, by wywrzeć głęboki wpływ na kulturę Egiptu około 2500 roku p.n.e., a 3500 lat później na kulturę Khmerów w Kambodży między IX a XIII wiekiem n.e.?

I dlaczego w obydwu przypadkach budowle wskazują na dokładnie ten sam odległy moment astronomicznego czasu – odpowiadający 10 500 rokowi p.n.e. według współczesnego kalendarza?

Wykluczyć niemożliwe

Jechaliśmy na północ od zachodniej bramy Angkor Wat około półtora kilometra, aż dotarliśmy do znajdującego się po naszej lewej stronie sztucznego wzgórza o kształcie piramidy, zwanego Phnom Bakheng, wysokiego na 67 metrów, wzniesionego na naturalnym skalnym występie. Dokładnie w ten sam sposób, chociaż w znacznie większej skali, na szczycie naturalnego wypiętrzenia skalnego podłoża została zbudowana egipska Wielka Piramida.

Weszliśmy na Phnom Bakheng od wschodniej strony, gdzie w ciągu wieków deszcz, wiatr i działalność człowieka zatarły kontury pierwotnej piramidy i świętego wzgórza. Droga pod górę była stroma i trudna, mokre i śliskie laterytowe skały nie dawały pewnego oparcia dla stóp. Na szczycie znajdowała się kamienna świątynia w formie piramidy schodkowej lub ziguratu, wysoka na 13 metrów, o bokach długości 76 metrów, wznosząca się pięcioma stopniami ku centralnemu sanktuarium.

Wspięliśmy się po schodach wschodniej strony podstawy. Podobnie jak schody na północy, południu i zachodzie, i te były strome, nachylone pod ostrym kątem nieco ponad 70 stopni. Niezależnie od tego, czy – jak przypuszczaliśmy – po dokładnym zmierzeniu okazałoby się, że kąt ten wynosi 72 stopnie, nie ulega wątpliwości, że centralne sanktuarium Phnom Bakheng otacza dokładnie 108 wież. Liczba 108, jedna z najświętszych liczb w hinduskiej i buddyjskiej kosmologii, jest sumą 72 i 36 (czyli 72 i połowa z 72). Jako taka stanowi jeden z głównych elementów w sekwencji liczb związanych z precesją osi ziemskiej, która powoduje pozorną zmianę położenia gwiazd w wielkim cyklu trwającym 25 920 lat, w tempie jednego stopnia na 72 lata. Być może właśnie na związek z tym cyklem wskazuje dość tajemnicza i niejasna inskrypcja znaleziona na terenie Phnom Bakheng i jak dotąd nie doceniana przez archeologów. Inskrypcja została napisana przez budowniczego Phnom Bakheng, króla Yasovarmana I (panującego w latach 889-900 n.e.) i głosi, że zadaniem świątyni było symbolizowanie „w kamieniu niebiańskich ruchów gwiazd”.

Ze szczytu Phnom Bakheng roztaczał się wokół oszałamiający widok; daleko na północnym wschodzie były widoczne wzgórza Kulen ze świątynią Phnom Kulen, nieco bliżej w tym samym kierunku wzgórze Phnom Bok ze znajdującą się na szczycie świątynią i wreszcie świątynia i wzgórze Phnom Krom, w jednej linii z poprzednimi, lecz na południowy zachód od nas.

Ukryty w dżungli na północy znajdował się niewidoczny z naszego miejsca wielki kompleks Angkor Thom. Na wschodzie ponad drzewami widzieliśmy przypominający bajkowy pałac Angkor Wat. Mogliśmy dostrzec otaczające jego główne sanktuarium i piramidę wszystkie cztery wieże, reprezentujące cztery góry (z których jedną była Mendera). Otaczały one najważniejszy szczyt hinduskiej kosmologii – górę Meru.

Najbardziej charakterystyczną cechą Angkor Wat jest długa oś wschód-zachód, łącząca tę świątynię nierozzerwalnie ze wschodem i zachodem słońca w dniach równonocy. Ponadto świątynia ta jest przemyślnie „zakotwiczona” w niebie i na ziemi przez cztery inne kluczowe astronomiczne momenty roku. Jak czytamy w magazynie „Science”:

Warto zauważyć, że zachodnia brama wejściowa do Angkor Wat ma dwie orientacje przesileniowe. Te dwie orientacje [w połączeniu ze wspomnianą wcześniej orientacją równonocną] oznaczają, że cały rok solarny został podzielony na cztery główne części przez linie obserwacji z wnętrza samego Angkor Wat. Obserwator stojący w tym punkcie [przy zachodniej bramie] widzi słońce wschodzące nad Phnom Bok [w odległości 17,4 km na północny wschód] w dniu letniego przesilenia (...). Zachodnia brama wejściowa ma też orientację na dzień zimowego przesilenia, kiedy słońce wschodzi nad świątynią Prasat Kuk Bangro, w odległości 5,5 km na południowym wschodzie.

Podobny związek między niebem a ziemią uzyskano w Gizie za pomocą Wielkiego Sfinksa i trzech wielkich piramid. Podczas gdy Sfinks jest zorientowany dokładnie na wschód, na punkt wschodu słońca w dniach równonocy, rampy pierwszej i drugiej piramidy (odchylone odpowiednio o 14 stopni na północ i 14 stopni na południe od linii wschód-zachód) wskazują punkt wschodu słońca dokładnie na miesiąc przed i po nim letnim przesileniem w przypadku północnej rampy, oraz miesiąc przed i po nim zimowym przesileniem w przypadku rampy południowej.

Tajemnicze początki

Początki kompleksu budowli w Gizie otacza tajemnica, lecz nie ulega wątpliwości, że najważniejsze działania miały tam miejsce około 2500 roku p.n.e. i że boscy królowie starożytnego Egiptu – a zwłaszcza trzej faraonowie czwartej dynastii, noszący imiona Chufu, Chafre i Menkaure, byli ściśle z tymi działaniami związani.

Podobnie jest w przypadku Angkoru, którego początki skrywa tajemnica, ale nie ulega wątpliwości, że najważniejsze działania miały tam miejsce między

IX a XIII wiekiem n.e. i że khmerscy dewarażowie (słowo to oznacza „boskich królów”), tacy jak Jayavarman I, Yasovarman I, Suryavarman II i Jayavarman VII, byli ściśle z tymi działaniami związani.

Historycy są wręcz w stanie podać dokładną datę rozpoczęcia wielkich prac budowlanych w Angkorze. Na podstawie wielkiej liczby źródeł archeologicznych i tekstowych mogą nam powiedzieć bez większych wątpliwości, że zaczęły się one w 802 roku n.e. na rozkaz Jayavarmana II, który jako pierwszy odprawił zagadkową, bezprecedensową i jak dotąd niewyjaśnioną ceremonię inicjacyjną, po czym ogłosił się „panem wszechświata”. Naukowcy przyznają też, że bardzo niewiele wiadomo o wiekach poprzedzających panowanie Jayavarmana i że przed IX wiekiem zbudowano niewiele kamiennych świątyń w ogóle – a żadnej o tak precyzyjnej orientacji. Tym samym nie ma żadnych dowodów na to, iż wzniesienie świątyń Angkoru poprzedzał jakikolwiek proces ewolucji w architekturze.

Tajemnicę stanowi też pochodzenie samego Jayavarmana – historycy do dzisiaj spierają się, czy był on spokrewniony, czy też nie, z poprzednio panującą dynastią („cioteczny praprawnuk w żeńskiej linii” itd.) Nie ulega natomiast wątpliwości, że późniejsze inskrypcje przedstawiają go jako potomka „doskonale czystej rasy królów” – podobnym epitetem określano często w starożytnym Egipcie Towarzyszy Horusa, uważanych za „wyższe istoty, które zrodziły rasę faraonów”. Dowiadujemy się także, że Jayavarman został królem, aby „zbawić” swój lud. Również ten zwrot należy do języka, jaki był używany w odrodzeniowym kulcie Ozyrysa.

Oczywiście, nie może być mowy o żadnych bezpośrednich wpływach. Kiedy Angkor zaczął pełnić swoją funkcję, kult Ozyrysa był już od dawna martwy. Ostatnie ślady cywilizacji dawnego Egiptu, jakie przetrwały do końca rzymskiej okupacji w 395 roku n.e., zanikły zupełnie na skutek działalności chrześcijan, a następnie po przejściu Egipcjan na islam około 650 roku n.e. – czyli ponad 150 lat przed wstąpieniem Jayavarmana II na tron w odległej Kambodży.

Fakt, że bezpośrednie oddziaływanie jest nieprawdopodobne, nie wyklucza możliwości istnienia jakiegoś rodzaju pośrednich, „podziemnych” związków między gwiazdnymi świątyniami i piramidami Angkoru a gwiazdnymi świątyniami i piramidami w Gizie. Oczywiście, zastanawiamy się, czy te same związki nie mogły obejmować również Meksyku. I nie jesteśmy osamotnieni w tych przypuszczeniach. Już w 1955 roku wybitny znawca kultury Majów, Michael D. Coe, zwrócił uwagę na „wiele zagadkowych podobieństw” między kulturą khmerską a klasycznymi Majami.

Jak możemy wytłumaczyć te liczne i zadziwiające zbieżności? Jednym z możliwych wyjaśnień pozostaje przypadek – chociaż statystycznie rzecz biorąc, przy tak licznych, przeplatających się i spójnych zależnościach jest to równie mało prawdopodobne jak bezpośrednie oddziaływanie. Innym wyjaśnieniem, jak sugerowaliśmy na końcu poprzedniego rozdziału, mógłby być nie zidentyfikowany dotąd „trzeci czynnik”, wywierający potężny wpływ bardzo dyskretnie, potajemnie i od bardzo dawna – być może długowieczna i kierująca się wzniosłymi motywami grupa, która swoim adeptom w starożytnym Egipcie przedstawiała się jako

Towarzysze Horusa. Również to wyjaśnienie wydaje się bardzo nieprawdopodobne. A jednak, jak przypomniał Watsonowi Sherlock Holmes w *Znaku czterech*: „kiedy już wyeliminujesz niemożliwe, to, co pozostanie, jakkolwiek byłoby nieprawdopodobne, musi być prawdą”.

Zmiana stolicy

W jaki sposób Jayavarman II został królem Kambodży – i dlaczego został właśnie „boskim królem”?

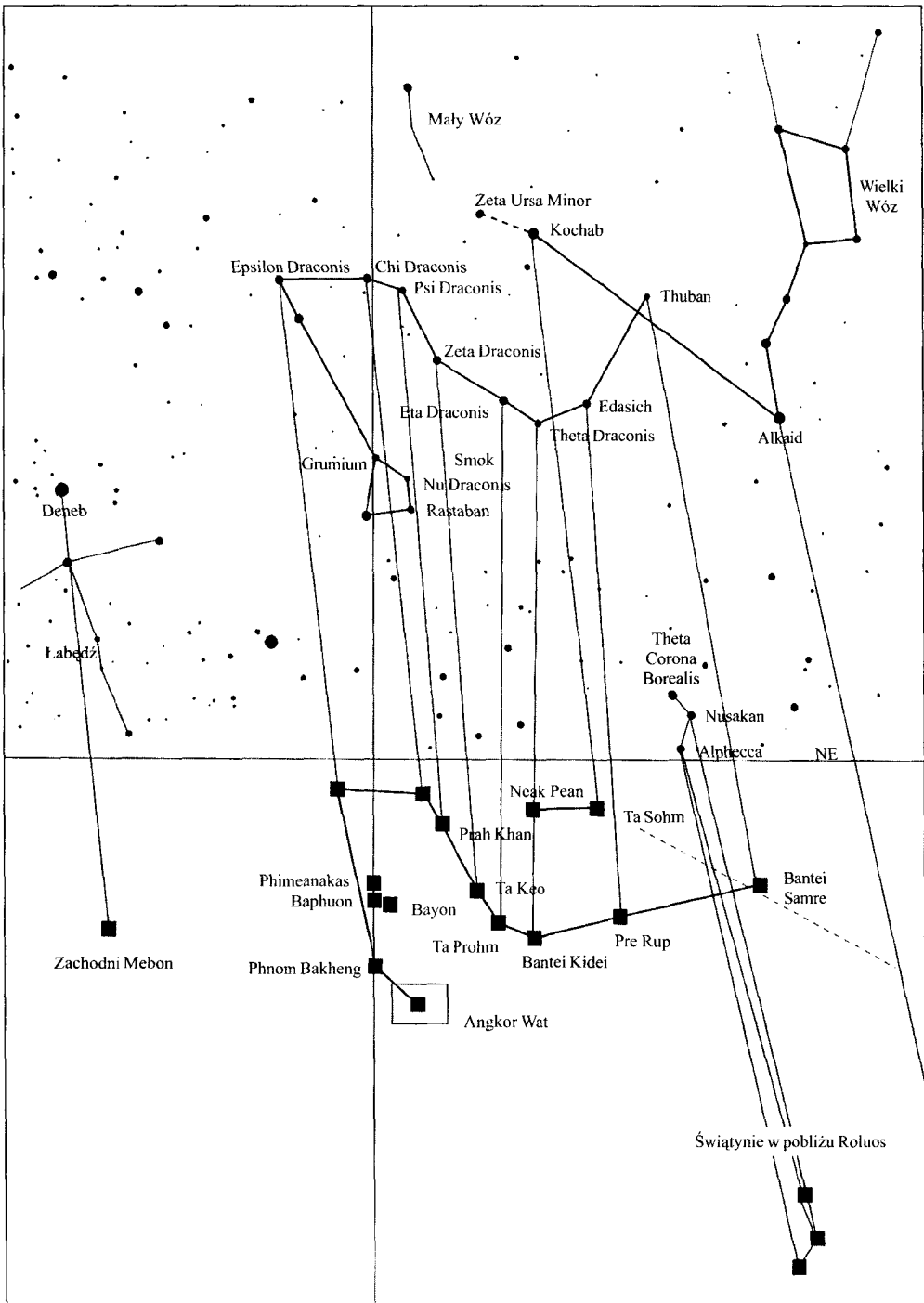
Wszystkie inskrypcje mówią nam, że ta wyjątkowa postać przybyła z za morza w łodzi, spędziwszy wcześniej wiele lat w odległym kraju na dworze monarchy nazywanego „Królem Gór”. Nie wiadomo zupełnie nic na temat tego, czym się tam zajmował, a chociaż przypuszczano, że owym odległym krajem mogła być Jawa, kwestia ta budzi wiele wątpliwości. Jayavarman w 800 roku n.e. dotarł do brzegów Kambodży, którą zastał pogrążoną w głębokiej i mrocznej anarchii, niebezpieczną i opanowaną przez bezprawie. Według George’a Coedesa: „młody książę musiał najpierw odzyskać kraj, zanim mógł zgłosić swe pretensje do tronu”.

Jayavarman założył swą pierwszą stolicę w mieście – już wtedy starożytnym – które inskrypcje określają mianem Indrapura. Dokładne położenie tego miasta nie jest znane, ale wydaje się, że był to zarówno ośrodek nauki, jak i miejsce o wielkim znaczeniu religijnym. Tam król dobrowolnie oddał się pod opiekę duchowego nauczyciela imieniem Sivakaivalaya, w inskrypcjach nazywanego „wielkim bramińskim uczonym”, człowieka, który miał „towarzyszyć mu na każdym kroku”, jak pisze Coedes, i „który miał zostać pierwszym odprawiającym rytuały kapłanem nowego kultu, kultu boskiego króla”.

Od samego początku Jayavarman postępował jak człowiek mający do spełnienia misję, zdecydowany osiągnąć konkretne cele w określonym czasie. I od samego początku cele te były związane z terenem Angkoru, odległym od Gizy o 72 stopnie długości geograficznej.

Opuszczając Indrapurę po pobycie, który nie mógł trwać dłużej niż kilka miesięcy, Jayavarman i Sivakaivalaya wyruszyli ze swymi armiami najpierw na północ, na równiny, gdzie obecnie stoją świątynie Angkoru. Tam założyli miasto o dzwicznej nazwie Hariharalaya, w miejscu oznaczanym na współczesnych mapach jako Roluos.

Czy jest wyłącznie dziełem przypadku, że trzy świątynie Roluos, dwie z nich słynne i jedna mało znana, tworzą na ziemi układ naśladujący pozycje trzech gwiazd Korony Północnej (porównaj diagram)? Konstelacja ta, znajdująca się w pobliżu Smoka, w wyniku precesji nie była widoczna z Angkorze w X i XI wieku, kiedy budowano świątynie w Roluos, lecz widziano ją tuż nad horyzontem o świcie w dniu wiosennej równonocy 10 500 roku p.n.e., gdy Smok zbliżał się do południka niebieskiego. Można by to uznać za przypadek, gdyby nie fakt, że między IX a XIII wiekiem n.e. stopniowo budowano kolejne świątynie, naśladując układ



Świątynie w Angkorze odzwierciedlające gwiazdy Smoka i pobliskich konstelacji o wschodzie słońca w dniu wiosennej równonocy 10 500 roku p.n.e.

gwiazd konstelacji Smoka na południku niebieskim dokładnie w tym samym momencie 10 500 roku p.n.e. – i nie tylko Smoka, ale również części innych gwiazdozbiorów w tym samym regionie nieba, jak na przykład gwiazdy Zeta Ursa Minor i Kochab w Małym Wozie, Alkaid w Wielkim Wozie i Deneb w gwiazdozbiore Łabędzia. Całe to przedsięwzięcie sprawia wrażenie dokładnie przemyślanego planu, stopniowo realizowanego wielkiego projektu, wykorzystującego tam, gdzie to było możliwe, elementy ukształtowania terenu, obejmującego astronomiczne orientacje i posługującego się symbolami węży i mitami mówiącymi o węzach w celu podkreślenia związków z gwiazdozbiorem Smoka.

Wtajemniczony i góry

Opuściwszy Hariharalaya, Jayavarman zbudował nową stolicę w miejscu zwanym Amarendrapura, według archeologów położonym na zachód od późniejszego Angkor Thom. Następnie ruszył dalej, tym razem 40 kilometrów na wschód, w stronę wyżyny Kulen, gdzie założył miasto Mahendraparavata na Phnom Kulen, zadrzewionym piaskowcowym wzgórzem wznoszącym się nad równiną Angkoru.

To, co zdarzyło się później, jest nadzwyczaj dziwne. Według królewskich inskrypcji: „Jego Królewska Mość wyruszył panować w Mahendraparavata”. Mędrzec Sivakaivalaya udał się razem z nim. Później zaprosili pewnego bramina, jeszcze bardziej uczonego niż Sivakaivalaya, mędrca „biegłego w magii”, który „przybył stworzyć rytuał (...), aby tylko jeden król panował w całym kraju. Bramin wyrecytował teksty od początku do końca, przekazał je Sivakaivalaya i poczył go, jak odprawiać rytuał dla boskiego króla”.

Kambodżańscy braminie byli niezwykle mądrymi ludźmi, którzy, według archeologa Bernarda Grosliera wywodzili się z indyjskich osadników lub studiowali w Indiach. Mędrzy ci:

Posiadali święte księgi, które tylko oni mogli interpretować, układali inskrypcje i gwarantowali dokładność obliczeń astronomicznych. Zdarzało się wręcz czasami, że ci godni zaufania kapłani oligarchowie przejmowali władzę z rąk zbyt słabego lub młodego króla (...). Aż do wygaśnięcia dynastii z Angkoru jej władcy otaczali się tymi braminami.

Trudno uniknąć tutaj porównania z oligarchią egipskich kapłanów-astronomów z Heliopolis i ich zakulisową rolą jako tych, którzy przekazywali z pokolenia na pokolenie wiedzę o boskim pochodzeniu dynastii faraonów i o prawdziwym celu, dla którego wypełnienia powstała cywilizacja starożytnego Egiptu. Również oni, jak wiemy, brali udział w namaszczeniu i wtajemniczeniu monarchów. Również oni od czasu do czasu mogli sprawować świecką władzę i również oni układali inskrypcje i obserwowali niebo...

Najważniejszym symbolem Heliopolis było falliczne połączenie oryginalnego filara Innu i piramidalnego szczytu kamienia Benben. Dokładnie ta sama

symbolika dominowała w rytuale intronizacyjnym boskich królów w kulturze khmerskiej. Jak napisał George Coedes w swoim dogłębnym studium na temat Angkoru:

„Esencja królewskości „lub, jak nazywają to niektóre teksty”, esencja jeststwa” króla miała spoczywać w lindze, [falicznym] symbolu twórczej mocy Śiwy, ukrytej w piramidzie w centrum królewskiego miasta, które z kolei było usytuowane na osi świata. Powszechnie uważano, że ta cudowna linga, rodzaj magicznej ochrony królestwa, pochodzi od Śiwy, który za pośrednictwem braminów przekazał ją pierwszemu królowi dynastii. Unia między królem a bogiem została zawarta na szczycie świętego wzgórza, naturalnego bądź sztucznego (...) [Stosownie do tego] Jayavarman II miał na szczycie wzgórza otrzymać od bramina cudowną lingę, w której od tego czasu rezydowała królewska władza khmerskich władców. Właśnie dlatego przenieśli się oni do Phnom Kulen (...)

Dawno ustalony plan

Jednak Jayavarman nie pozostał długo na wyżynach Kulen. Po przejściu inicjacji, jak mówią inskrypcje, „król wrócił, by znowu rządzić w Hariharalaya”, zabierając ze sobą świętą lingę, „cudowny” falliczny obelisk, który następnie został umieszczony w najświętszej nowej świątyni-piramidzie.

Ten przypominający kamień Benben obiekt na szczycie wielkiej centralnej piramidy, był określany nazwą „Kamrateng Jagat”, co znaczy „Pan Wszechświata”. Tego samego tytułu często używano także w odniesieniu do samych boskich królów. Był on przenoszony z jednej świątyni do drugiej w czasie trwania długiego programu budowlanego w Angkorze, a przez pewien czas przebywał nawet w centralnym sanktuarium w Phnom Bakheng, otoczony przez 108 wież, wśród których i my staliśmy, patrząc w dół na równiny Angkoru.

Warto prześledzić trasę wędrówek Jayavarmana w ciągu pół wieku między jego przybyciem do Kambodży około 800 roku n.e. a śmiercią około 850 roku n.e. Oto jak przebiegały te podróże. Po przybyciu do Indrapury, jak napisał George Coedes: „krążąc nad krajem niczym drapieżny ptak, przeniósł się z Hariharalaya do Amarendrapura, do Phnom Kulen, zataczając krąg wokół przyszłego Angkoru”. Wreszcie wrócił do Hariharalaya, kończąc tym samym wędrówkę.

Według ortodoksyjnych naukowców w czasie tych podróży pierwszy boski król Khmerów:

(...)wydaje się, że poszukiwał miejsca dla swojej przyszłej stolicy, dostatecznie blisko wielkiego jeziora, by zapewnić stałe dostawy ryb, lecz równocześnie poza zasięgiem corocznych powodzi, w pobliżu kamieniołomów piaskowca w Phnom Kulen i równocześnie niedaleko przełęczy dających dostęp na płaskowyż Korat i do doliny Menam.

Naszym zdaniem Jayavarman niekoniecznie musiał kierować się tak prozaicznymi względami. Wydaje się wątpliwe, czy w ogóle obchodził go problem dostaw ryb. Wydaje nam się równie prawdopodobne, że ten czcigodny boski król, za radą swoich braminów – tajemniczej grupy kapłanów-astronomów – krążąc wokół Angkoru, prowadził poszukiwania geodezyjne i astronomiczne. Możliwe, że próbował dostrzec zarysy świętych wzgórz, zatartych z biegiem czasu, które w zamierzonych epokach mogły być wzniesione na równinie. Być może, powoli poznając teren, ustalał i odnotowywał jego wymiary, potwierdzając jego położenie w stosunku do innych ważnych miejsc (takich jak Giza?), być może nawet na nowo określając orientacje, które poznał ze starych dokumentów, ze „starożytnych opisów” przekazywanych od niepamiętnych czasów z pokolenia na pokolenie.

Właściwie wydaje się, że nie tylko Jayavarman II, ale również wielu innych khmerskich boskich królów, którzy poszli w jego ślady – a byli to monarchowie wielkością i klasą dorównujący największym z egipskich faraonów – wypełniali plan, wznosząc kolejne świątynie w Angkorze, posługiwali się dawno ustalonymi parametrami.

Ale ustalonymi przez kogo, kiedy dokładnie i w jakim celu?

Opuściliśmy ruiny na szczycie Phnom Bakheng, schodząc w dół góry-piramidy na poziom otaczającej ją równiny. Przed nami dokładnie na północ pas drogi prowadził między drzewami ku południowemu wejściu do Angkor Thom, ogromnego kompleksu świątyń grobowych i piramid, który sprawia wrażenie, jakby stał w samym bijącym sercu tego niewiarygodnego obszaru sakralnego, pełnego ukrytych znaczeń – równie gigantycznego i równie tajemniczego jak nekropola w Gizie.

Skomplikowane podobieństwa

Przypuszczenie, że musi istnieć jakiś rodzaj tajemnego związku między Angkorem a starożytnym Egiptem, nie jest nowe. Przeciwnie, właściwie każdego podróżnika, który dotarł do Kambodży w ciągu ostatniego stulecia, uderzała niezwykła i zarazem nieuchwytna „egipskość” Angkoru, fakt, że niektóre z gigantycznych rzeźb przypominają twarze Sfinksa lub kolosów z Abu Simbel, że wszędzie dookoła stoją piramidy, a skala przedsięwzięcia dorównuje skali wielkich piramid w Gizie.

Tego rodzaju porównania, chociaż częste, zwykle przedstawia się czytelnikowi jako „wrażenia” nie mające żadnej wartości naukowej. Nigdy nie badano ich poważnie, ponieważ naukowcy są pewni, że kultura khmerska nie może być w żaden sposób „powiązana” z kulturą starożytnego Egiptu. Wszystkie takie podobieństwa uznaje się za dzieło przypadku i jako takie – chociaż ciekawe – nie warte poważnego zainteresowania.

Stanowisko takie podpowiada zdrowy rozsądek; zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę ogromną odległość dzielącą Egipt i Kambodżę oraz naukowo potwierdzony fakt, iż kultura starożytnego Egiptu była od dawna martwa, kiedy zaczął powstawać Angkor. Naszym jednak zdaniem ilość i skala owych zbieżności są tak wielkie, że „czystego przypadku” nie można już dłużej uważać za bezpieczne ich wyjaśnienie.

Na przykład w Kambodży istnieje stara legenda mówiąca, że piramidy i świątynie Angkoru zbudował Visvakarma, architekt bogów, który miał nauczyć ludzi sztuki architektury. Imhotep, według tradycji twórca formy piramidy w starożytnym Egipcie, był uważany za „wynalazcę sztuki budowania z obrabianego kamienia”, a później został bogiem.

Wiemy już, że zarówno w Egipcie, jak i w Angkorze otaczano czcią węże. W obu przypadkach jako archetyp wybrano kobrę i w obu mogła ona być przedstawiana jako postać pół ludzka, pół wężowa lub jako wąż. Również w obu przypadkach najczęściej przedstawiano ją wyprężoną, z rozdętym kapturem (taką formę na przykład faraon nosił na czole w postaci ureusza).

I w Egipcie, i w Kambodży wąż mógł być mieszkańcem ziemi lub nieba – równie często przebywając na ziemi (lub nawet pod ziemią), co wędrować po niebiosach. Tę dwoistość dobrze wyraża *Księga o tym, co jest w Duat*, zaś indyjska *Jajurweda* mówi o „wężach, które poruszają się po ziemi i które są w niebie”.

Zarówno w Egipcie, jak i w Kambodży węże były często stosowanym symbolem wiecznego życia oraz cykli wszechświata. Według aleksandryjskiego pisarza z V wieku, Horapollona: „Kiedy Egipcjanie chcą przedstawić wszechświat, rysują węża pokrytego różnej wielkości cętkami pożerającego swój własny ogon, przy czym cętki symbolizują gwiazdy wszechświata”. Również na małej złotej kaplicy Tutanchamona został przedstawiony ułożony w okrąg wąż „uroboros”, mający symbolizować moce zmartwychwstania i odnowy:

Wierzono, że regeneracja boga słońca następowała każdej nocy wewnątrz jego ciała. Podczas gdy uroboros wyrażał nieskończoną długość wszechświata, inny wąż o imieniu „Metui” służył do wyrażenia nieskończoności czasu.

To przypomniało nam o wielkim wężu Sesza („Pozostałość”), zwanym też Ananta („Nieskończoność”) owijającym się wokół wszechświata. I przypomnieliśmy sobie, że do dzisiejszego dnia Śiwalinga, indyjski i khmerski odpowiednik egipskiego Benbena, często jest przedstawiany z owijającym się wokół niego wężem.

Duchowe ciało

Starożytni Egipcjanie głęboko wierzyli, że dusze zmarłych faraonów wstępują do nieba: „O Królu, ty jesteś tą wielką gwiazdą, towarzyszem Oriona, który wędruje po niebie wraz z Orionem, który przemierza Duat z Ozyrysem”.

Dokładnie tak samo w Kambodży wierzono, że kiedy umierał boski król Angkoru, jego dusza „szła do nieba”. Według khmerskich legend po tym, jak Visvakarma zbudował Angkor Wat, „bogowie oddalili się do krainy wiecznej szczęśliwości i spoglądali w dół z niebios”. Podobnie jak to było w przypadku świątyni Horusa w Edfu w Górnym Egipcie, również Angkor Wat uważano za „kopię”

wcześniejszej świątyni, która z kolei była kopią kosmicznego oryginału, „[której plany] zostały narysowane przez samych bogów z Nieba Tushita”.

Według religijnych doktryn starożytnych Egipcjan przez najeżone niebezpieczeństwami Duat mogły pomyślnie przejść jedynie „zaopatrzone” duchy, które wykorzystały swoje materialne życie jako okazję do zdobycia i doskonalenia tajemnej wiedzy o cyklach niebios oraz praktykowania samodyscypliny i kontemplacji. Właśnie o nich *Teksty Piramid* mówią, że „zdobędą niebo i wezmą w posiadanie horyzont”. To właśnie oni, po wielokrotnym odradzaniu się, mogą mieć nadzieję na osiągnięcie praktycznej nieśmiertelności – „życia przez miliony lat”.

Boscy królowie Khmerów również starali się osiągnąć nieśmiertelność przez zdobycie wiedzy o kosmicznych cyklach. Właśnie dlatego postanowili zaszyfrować minuty, godziny i dni precesyjnego „wielkiego roku” w tak wielu wymiarach budowli Angkoru, czyniąc z tych ogromnych konstrukcji szkoły inicjacyjne, przekazujące sekrety, które można poznać tylko przez pilne poszukiwania.

Historycy, mówiąc o starożytnym Egipcie i Kambodży, zazwyczaj popełniają tę samą pomyłkę, zakładając, że ponieważ dzieła architektury są ogromne i ambitne, to królami, którzy je wznieśli, musiała kierować megalomania. W pewnym sensie ciekawe jest to, że dokładnie ten sam zarzut – megalomani – wielokrotnie wysuwano przeciwko faraonom i khmerskim monarchom, ponieważ w ten sposób przekonujemy się, że naukowcy są jednomyślni przynajmniej w odniesieniu do jednej zbieżności między tymi dwiema kulturami. Ale musi się wydać dziwne, że nauka nie brała pod uwagę żadnych innych wyjaśnień przyczyny podjęcia i w Egipcie, i w Kambodży tak monumentalnego programu budowlanego. A zwłaszcza nikomu nie przyszło do głowy, że budowniczo wie piramid i Sfinksa, Angkor Wat i Angkor Thom mogli kierować się nie egoizmem i chęcią rozświetlenia własnej osoby, lecz raczej rodzajem altruizmu – być może nawet pragnieniem wprowadzenia całej ludzkości w gnostyczny system oświecenia, który sami praktykowali.

A przecież taka możliwość zasługuje na to, by ją poważnie rozważyć. Pomijając wszystko inne, w egipskich wielkich piramidach nie ma żadnej inskrypcji, łączącej je z faraonami, którzy rzekomo mieli je zbudować – trudno uznać to za przejaw megalomanii! W Angkorze natomiast jest mnóstwo inskrypcji, ale żadna z nich nie potwierdza teorii o chęci uwiecznienia władcy. Jak przekonaliśmy się wcześniej, Jayavarman VII, który panował w latach 1181-1219 n.e., oznajmił wprost na jednej ze stel, że jego ambitny program budowlany został podjęty „z głębokiej sympatii dla dobra świata”, aby „obdarzyć ludzi ambrozją pozwalającą im zdobyć nieśmiertelność (...). Abyśmy za sprawą tych dobrych dzieł mógł ocalić wszystkich tych, którzy toczą walkę w oceanie egzystencji”.

Inny monarcha, król Rajendravarman, należący do najskromniejszych, powiedział, że zbudował swoje świątynie z „umiłowania dharmy” (czyli „prawa”, „sprawiedliwości”, „równowagi”, „porządku” i tak dalej), co jest koncepcją bardzo bliską starożytnej egipskiej idei maat, kosmicznej sprawiedliwości. „Ta prośba” – dodaje dość enigmatycznie, mając na myśli swój program budowlany – „służy nieśmiertelności, którą powinno się próbować osiągnąć”.

Delikatna i pełna wdzięku świątynia Neak Pean, ze swoimi wyspami i stawami, została zbudowana przez Jayavarmana VII, mającego nadzieję, że będzie ona służyć jako łódź, w której dusze na nią przybyłe będą mogły „przeprawić się przez ocean egzystencji”.

W inskrypcji na steli z innej świątyni-piramidy w Angkorze król ostatecznie wysłał łódź życia na ratunek samemu sobie:

Obym mógł za sprawą tego dobrego dzieła przechodzić z istnienia do istnienia. Niech ci, którzy chronią to moje dzieło, ich rodziny, przyjaciele i obcy zostaną zabrani do siedziby bogów; niech w każdym wcieleniu będzie im dane radosne zadowolenie (...).

W piramidach piątej i szóstej dynastii w Sakkarze w Egipcie, zaledwie 10 kilometrów na południe od Gizy, znajdują się niezwykle podobne teksty pochodzące co najmniej z XXIII wieku p.n.e., związane z wielką szkołą religijną w Heliopolis. Tutaj najwyższy bóg Atum, staroegipski odpowiednik Wisznu/Brahmy/Śiwy jest wzywany, aby położył ręce „na królu, na tej budowie i na tej piramidzie (...), aby istota króla mogła w niej trwać na wieczność” i aby „chronił tę jego budowlę przed wszystkimi bogami i przed wszystkimi zmarłymi i nie dopuścił, żeby kiedykolwiek wyznaczono jej coś złego”.

Kilka linijek dalej w tym samym fragmencie czytamy, że zmarły faraon jest w jakiś tajemniczy sposób identyfikowany ze swoją piramidą i z bogiem Ozyrysem, zupełnie jakby człowiek i kamień połączyli się w jedno duchowe ciało – ciało pełne chwały, w którym „ten król jest Ozyrysem, ta piramida króla jest Ozyrysem, ta jego budowla jest Ozyrysem”.

Te nadzwyczaj dziwne idee sprawiają wrażenie w pełni dojrzałych i ukształtowanych już na samym początku starożytnej egipskiej cywilizacji, czyli prawie 5000 lat temu. Ale jeszcze dziwniejszy jest fakt, że dokładnie te same idee zaskakująco pojawiły się mniej więcej 4000 lat później w odległej Kambodży. Według Paula Musa i George’a Coedesa grobowa piramida-świątynia w Angkorze była uważana „nie tyle za schronienie dla zmarłego, ile za rodzaj nowego architektonicznego ciała zastępującego doczesne szczątki zmarłego »kosmicznego człowieka«, gdzie jego magiczna dusza będzie dalej żyła”.

Żywe wizerunki

Niezwykła koncepcja piramidy jako nowego ciała dla zmarłego została wypracowana przez boskich władców starożytnego Egiptu i Kambodży i w obu tych krajach rozszerzono ją tak, aby objąć funkcje i kult posągów.

W pogrzebowych rytuałach Angkoru posąg zmarłego króla nazywano jego „ciałem chwały” i wierzono, że ożywia go duchowa istota monarchy – „magiczna projekcja przeznaczenia króla na przyszłość”. Podobnie w starożytnym Egipcie posagom przypisywano wielkie znaczenie jako nośnikom energii życiowej

zmarłego – która oczywiście mogła je ożywiać. W obu kulturach posągi nazywano „żywymi wizerunkami” (szesep anch).

Pod takimi powierzchownymi podobieństwami kryją się znacznie głębsze i bardziej złożone poziomy zależności. Na przykład zarówno w Egipcie, jak i w Angkorze wierzono, że musi zostać odprawiony specjalny rytuał, aby doszło do tego, że posąg „ożyje”.

W Angkorze rytuał ten nazywano „otwarcie oczu” i polegał on na puryfikacji, okadzaniu i namaszczeniu, przy których używa się wielu różnych instrumentów. Rytuał kończy symboliczne „otwarcie” oczu posągu przez nakłucie ich żelazną igłą. Dopiero od tego momentu posąg uważano za „obdarzony istotą życiową, boską esencją zmarłego króla (...), służący jako pomost między tym światem a królestwem nieśmiertelnych”.

W starożytnym Egipcie odprawiano podobny rytuał, aby ożywić posągi. Tam nazywano go „otwarcie ust i oczu”. Obejmował on puryfikację, okadzanie i namaszczenie posągu przy użyciu wielu różnych instrumentów, z których część wykonana była z żelaza meteorytowego, część z kamienia. Rytuał kończyło dotknięcie – „otwarcie” – ust posągu przyrządem zwanym pesesz kaf. Często również obu oczu „dotykano specjalnymi instrumentami”. Od tego momentu posąg ożywał i mógł funkcjonować jako „rama” dla nieśmiertelności duszy, równie bezpieczna „jak było ciało przez krótki czas doczesnej egzystencji”.

Czy możliwe, że egipskie i kambodżańskie rytuały ożywiania posągów były aż tak dalece podobne – a nawet nazywały się tak samo – jeśli nie istniałby między nimi jakiś związek? Przynajmniej, że jakkolwiek forma bezpośrednich powiązań jest niemożliwa i należy ją wykluczyć z naszych dociekań. Ale jeśli również „przypadek” jest niemożliwy, to cóż nam zostaje?

Cechy duszy

Starożytne egipskie koncepcje duszy, które – podobnie jak wiele innych zjawisk – były w pełni rozwinięte i ukształtowane już na samym początku okresu historycznego, zdradzają zadziwiająco wyrafinowany system idei, dzielący nieśmiertelną istotę człowieka na co najmniej cztery główne manifestacje lub byty. Były to mianowicie:

1. Ka – „bliźniak”, anioł stróż i duch opiekuńczy zmarłego, który był „niezależny od człowieka i mógł pójść i zamieszkać w dowolnym jego posągu”. Według Jamesa Henry’ego Breasteda ka „było rodzajem wyższego geniusza mającego konkretne zadanie kierowania losami człowieka w zaświatach, gdzie każdy Egipcjanin, umierając, znajdował oczekujące na niego ka”.
2. Ba – „dusza serca”, była „w pewien sposób związana z ka”, lecz istniała jako osoba, obdarzona mocami, które umożliwiały jej „przetrwanie i przeżycie w zaświatach”. Charakterystyczną cechą ba była zdolność nieskrępowanego poruszania się. Ba często przedstawiano w staroegipskiej sztuce

- jako jaskółkę w locie lub jaskółkę o głowie człowieka – „metaforę wolności nie podlegającej żadnym ograniczeniom”, jak to ujął egiptolog Stephen Quirke.
3. Ib, czyli serce, było ściśle związane z duszą. Według sir E. A. Wallisa Budge'a: „Zachowanie serca zmarłego uważano za niezmiernie ważne, a w czasie Sądu było ono jedyną częścią ciała wyznaczoną do dokładnego zbadania; tutaj jednak serce uważano za ośrodek życia duchowego i intelektualnego (...)”.
 4. „Usprawiedliwiony” w czasie Sądu, najwyższy etap ewolucji duszy, stawał się sahu, czyli ciałem duchowym, w którym przebywał ach, czyli przekształcony duch „eteryczna istota, która nie mogła umrzeć w żadnych okolicznościach” i tym samym była obdarzona „życiem na miliony lat”. W starożytnym języku egipskim słowo ach (wchodzące między innymi w skład słowa achet, „horyzont”) zawsze obejmowało ideę „światła”, „jasności”, „lśnienia”, „blasku”.

Naszym zdaniem jest bardzo prawdopodobne, że boscy królowie Angkoru mieli na myśli koncepcje bardzo podobne do sahy i ach, kiedy oznajmiali, że pragną po śmierci „być odziani w boskie ciało, które rozjaśni ich duchową chwałę”.

Celem adepta szkół mądrości w starożytnym Egipcie było przygotowanie samego siebie do wiecznego życia jako lśniący i przekształcony ach. Ale każdy wiedział, że zanim może nastąpić to ostateczne uduchowienie, musi umrzeć, przebyć straszliwe pułapki Duat i pomyślnie przejść proces ważenia serca – „ważenie słów” w Sali Sądu Ozyrysa. W tym celu, jak przekonaliśmy się w części drugiej, oczekiwano od niego znacznie więcej niż tylko moralnego i szlachetnego postępowania – koniecznego, lecz nie wystarczającego – które mogło zmarłemu zapewnić moralne i szlachetne odrodzenie, lecz nie transfigurację jego ducha. Wydaje się, że do osiągnięcia tego celu niezbędna była wiedza, wiedza czysta, wiedza kosmiczna, ponieważ – z powodów, które nigdzie nie zostały w pełni wyjaśnione – uważano, że tylko ona prowadziła na drogę ku oświeceniu.

Czy mogła to być ta sama „wysoka ścieżka najwyższego oświecenia”, którą z tak głębokim oddaniem podążał Jayavarman VII – „wyjątkowa doktryna pozwalająca bez przeszkód osiągnąć zrozumienie rzeczywistości (...), prawo, czczone przez nieśmiertelnych w trzech światach”?

Poczucie gnostycznego poszukiwania nieśmiertelności, tak wyraźne i dominujące w przypadku staroegipskich tekstów, pojawia się raz za razem również w kontakcie z kambodżańskimi inskrypcjami. Możemy na przykład przeczytać, że żona Jayavarmana Jayarajadevi „podążała czcigodną ścieżką mędrca”, zaś jej starsza siostra „swoją wiedzą przewyższyła mądrość filozofów” i była szczególnie wychwalana za udzielenie „kobietom, które wielce pożywały nauki (...), łask króla, niczym wspaniałego nektaru, w postaci wiedzy”.

Jak już wcześniej mogliśmy się przekonać, Khmerzy uważali, że wiedza, która była tak wysoko ceniona w Angkorze i którą monarchowie starali się zaszyfrować w wymiarach i symbolice wielkich świątyń, ma zdolność ratowania dusz

z „oceanu egzystencji”. Siła takiej wiedzy – którą można zdobyć jedynie w drodze gorliwych poszukiwań – polegała na możliwości rozwiewania mai, przerażającej iluzji „rzeczywistości” materialnego świata. A zatem starożytni Egipcjanie, tak samo jak khmerscy królowie, wierzyli, że świętym obowiązkiem każdej myślącej i czującej istoty jest poszukiwanie sensu i przeniknięcie głębi tajemnic własnej egzystencji. W czasie tych poszukiwań niektórzy ludzie odkryją fundamentalną prawdę, która głosi, że: „Kiedy wszystkie pragnienia przebywające w sercu zostaną odrzucone, śmiertelnik staje się nieśmiertelnym (...). Kiedy wszystkie węzły w sercu zostaną rozwiązane, staje się on nieśmiertelną Istotą (...)”.

A więc dokładnie tak samo jak w starożytnym Egipcie, khmerscy monarchowie uważali spirytualizację duszy za proces oświecenia – stopniowego odzierania kolejnych warstw iluzji, aż do momentu całkowitego odsłonięcia mechanizmu wszechświata, kiedy adept zdobywał pełną i doskonałą wiedzę.

Most tęczy

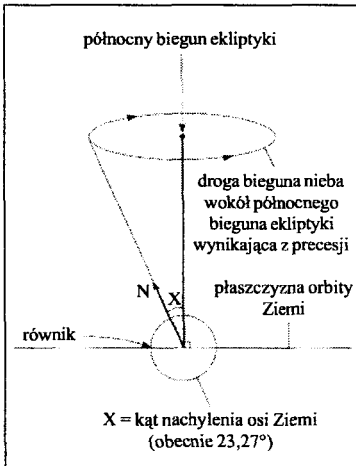
Dotarliśmy do przerzuczonego nad szeroką, pokrytą grubą warstwą glonów fosą mostu, prowadzącego do południowej bramy wejściowej Angkor Thom. Przed nami 108 tytanicznych postaci – tworzących balustrady w dwóch rzędach po 54 figury – oddawało się przeciąganiu liny, używając do tego celu węża Naga.

W starożytności most ten przyrównywano do tęczy, uważanej za pomost między światem bogów i światem ludzi. Mówiono, że ci, którzy po nim przeszli, wkroczyli przez bramę do królestwa niebian, gdzie spoczywał ukryty wielki sekret.

Martwy punkt na niebie

Niczym złote runo Argonautów strzeżone przez smoka, tajemnica niebios spoczywa ukryta wśród zwojów Smoka. Miejsca tego, dokładnie określonego w otchłani kosmosu, niemal nie sposób wykryć za życia jednego ani nawet kilku pokoleń. Współcześni astronomowie nazywają je „północnym biegunem ekliptyki”. Nie jest on identyczny z oddalonym o 23,5 stopnia „północnym biegunem nieba” – przedłużeniem osi wirowania Ziemi, która, co wie każde dziecko, jest odchylona od pionu o 23,5 stopnia.

Wyobraźmy sobie niezwykle długi ołówek wbity w połuniowy biegun Ziemi, wychodzący przez biegun północny i sięgający daleko w kosmos. „Północny biegun nieba” jest śladem, jaki ów ołówek pozostawiłby na sklepieniu północnej części nieba. W naszych czasach znajduje się on w pobliżu gwiazdy, którą nazywamy „polarną”. Ale w wyniku precesyjnego chybotania osi ziemskiej nasz ołówek nie zawsze zostawiłby ślad w tym samym miejscu. W ciągu całego, trwającego 25 920 lat, cyklu zakreśliłby on wielkie koło na sklepieniu niebieskim, mijając niektóre gwiazdy blisko, inne w większej odległości.



Położenie północnego bieguna ekliptyki pośrodku okręgu, jaki zakreśla północny biegun nieba

„Północny biegun ekliptyki” jest nieruchomym punktem pośrodku tego koła, biegunem, wokół którego wiruje nawet biegun nieba. Ten punkt, znajdujący się w przestrzeni w nieskończonej odległości dokładnie nad środkiem płaszczyzny orbitalnej Ziemi, można w pewnym sensie nazwać biegunem bogów. Możliwe, że właśnie ten punkt mieli na myśli starożytni Egipcjanie, kiedy mówili o „wielkim miejscu cumowania” na niebie. Jego

położenie jest niezmiennie – zawsze znajduje się w samym sercu konstelacji Smoka, za rozdętym kapturem kobry, między gwiazdami Grumium i Chi Draconis.

Warto się zatem zastanowić, czy ów „martwy punkt” na niebie ma swój odpowiednik na ziemi, wśród „smoczych” świątyń Angkoru.

Model precesji

Szliśmy powoli przez przerzucony nad pokrytą glonami fosą most, prowadzący do południowej bramy wejściowej Angkor Thom. Po obu stronach mogliśmy podziwiać równoległe rzędy liczące po 54 dewów i asurów, odchylonych do tyłu, z naprężonymi mięśniami, przeciągających ciało węża i w ten sposób symbolicznie „wzburzających Morze Mleka”.

Scena ta przekazuje dokładnie te same idee i te same mity co reliefy w południowo-wschodniej galerii Angkor Wat. A jednak trójwymiarowe przedstawienie wywiera znacznie większe wrażenie i znacznie silniej skłania do rozmyślań. Pielgrzymi znający opowieść o Mlecznym Oceanie natychmiast zaczynają się zastanawiać, gdzie też w tym architektonicznym kompleksie może się znajdować odpowiednik góry Mandera – niebiańskiego szczytu, wokół którego przeciągali „linę” bogowie i demony. Wtajemniczonym, umiejącym „schodzić do dowolnego nieba” liczba posągów mogła przywieść na myśl tajemniczy cykl precesyjny przebiegający w tempie jednego stopnia na 72 lata (72 plus 36 – czyli 72 i połowa z 72 – wynosi 108, co podzielone na dwie równe „drużyny” daje 54).

Pielgrzym gotowy odbyć 16-kilometrową wędrowkę wokół Angkor Thom odkryje, że południowa brama jest tylko jedną z pięciu i że wszystkie bramy zbudowano według tego samego projektu. Tworzą je wysokie, wąskie sklepienia wspornikowe; każdą z bram wieńczy cztery gigantyczne, pełne spokoju, kamienne twarze (które w 1861 roku francuski podróżnik Henri Mouhot intuicyjnie nazwał „wielkimi twarzami w egipskim stylu”). Twarze te są bardzo dokładnie zorientowane zgodnie z czterema głównymi kierunkami świata. We wschodnim murze Angkor Thom znajdują się dwie bramy, zaś w pozostałych murach, zachodnim, północnym i południowym po jednej. Do każdej z bram prowadzi most i każdy z nich, podobnie jak ten, po którym właśnie przeszliśmy, obrzeżają dwa równoległe rzędy liczące 54 postacie dewów i asurów – „108 na każdej drodze (...), w sumie 540 posągów” – a zatem znowu liczba związana z cyklem precesyjnym. Dlatego między innymi Giorgio de Santillana i Hertha von Dechend doszli do wniosku w książce *Hamlet's Mill*, że cały Angkor Thom jest kolosalnym modelem cyklu precesyjnego.

Oświeceni

W przeciwieństwie do Angkor Wat, poświęconego hinduskiemu bogu Wisznu, Angkor Thom jest budowlą buddyjską. Gigantyczne twarze wieńczące każdą

z bram nie przedstawiają bogów hinduskiego panteonu, lecz Bodhisattwę w Kamboży znanego pod imieniem Lokesvara, którego buddyści w innych częściach świata nazywają Avalokitesvara, „Panem, który patrzy we wszystkich kierunkach”. Uważa się, że rysy pełnych powagi, pogrążonych w medytacji twarzy, które wyrażają zarówno męską siłę, jak i dziwną, niepokojącą kobiecość, były wzorowane na portrecie boskiego króla Jayavarmana VII (panującego w latach 1181-1219 n.e.), budowniczego Angkor Thom. Naukowcy są zgodni co do tego, że Jayavarman identyfikował się z Lokesvarą: „Był on gorliwym wyznawcą buddyzmu, który praktykował w jego aktywnej formie Mahajana, a Bodhisattwa Avalokitesvara, »Miłosierny«, Pan Świata, stał się za jego panowania najpopularniejszą czczoną postacią”.

Koncepcja Bodhisattwy jest centralną ideą buddyzmu Mahajana („Większego Wozu”). Sedno nauk tej szkoły stanowi doktryna nieustannej ewolucji duszy, poprzez niezliczone tysiące odrodzeń, aż w końcu stanie się możliwe uwolnienie od nędznego kręgu materialnej egzystencji:

- Bhante Nagasena – powiedział król – czy jest ktoś, kto umarł i nie narodził się w innym istnieniu?
- Niektórzy rodzą się w innej egzystencji – powiedział starszy – a niektórzy nie rodzą się w innej egzystencji.
- Kto narodził się w innej egzystencji, a kto się w innej egzystencji nie narodził?
- Wasza wysokość, ten, kto ciągle jest niedoskonały, rodzi się w innej egzystencji; ten, kto pozbył się niedoskonałości, nie rodzi się w innej egzystencji.
- A czy ty, bhante, odrodzisz się w kolejnej egzystencji?
- Wasza wysokość, jeśli będzie we mnie jakiegokolwiek przywiązanie, odrodzę się w innej egzystencji; jeśli nie będzie we mnie żadnych przywiązań, nie odrodzę się w innej egzystencji.

Tym, czego człowiek powinien się pozbyć, jest przywiązanie do „iluzorycznego miasta samsary”. Jest to świat materialnych form, w które dusza musi się wielokrotnie wcielać aż do chwili gdy przez świadome samodoskonalenie i pozbywanie się uzależnień osiągnie samadhi, „pełne samoopanowanie (...), najwyższy stan duchowej koncentracji, do jakiego może dojść człowiek, będąc ciągle przywiązany do swego ciała (...), podstawowy i pierwszy warunek uwolnienia się od cyklu odrodzeń”.

Jednak nawet osiągnąwszy ten etap doskonałości, nie wszystkie dusze mogą dojść do nirwany. Według buddyzmu Mahajana są istoty, bodhisattwowie, które z altruizmu i miłości do innych istot ludzkich rezygnują z możliwości transfiguracji i poddają się wielokrotnym reinkarnacjom w materialnym świecie, gdzie działają jako nauczyciele i przewodnicy, ucząc innych, jak uwolnić się z „oceanu egzystencji”.

Bodhisattwa jest przyszłym buddą. Sidhartha, ostatni z buddów, który – jak się uważa – żył około VI wieku p.n.e., był zatem bodhisattwą, zanim osiągnął oświecenie (budda nie jest imieniem, lecz tytułem oznaczającym „Przebudzony”

lub „Oświecony”). Bodhisattwowie mogą się wcielać, nie zostając buddami, zwłaszcza po to, by pomagać ludziom, kiedy tego najbardziej potrzebują:

Zakłada się, że muszą upłynąć tysiące lat między pojawieniem się kolejnych ziemskich buddów. Aby w tych długich okresach ludzie nie pozostali całkowicie osamotnieni i pozbawieni pomocy i wsparcia w swoim dążeniu do zachowania czystej doktryny, wyobrażono sobie niebiańskich bodhisattwów.

Istnieją wprawdzie różnice, ale także zadziwiające podobieństwa między tymi „niebiańskimi bodhisattwami” – takimi jak „współczujący i miłosierny” Avalokitesvara – a hinduistyczną koncepcją awatarów Wisznu. W obu przypadkach w pełni samoświadoma istota, nieśmiertelna i „zaopatrzona”, postanawia przybrać fizyczną formę wśród ludzi, aby wesprzeć ich w chwili jakiegoś wielkiego duchowego i fizycznego kryzysu. O tym, jak nieznaczące są to różnice, może świadczyć fakt, iż Hindusi uważają samego Buddę za jednego z awatarów Wisznu. Co więcej, zarówno hinduizm, jak i buddyzm wierzy w jeszcze jedno wcielenie – nazywane Kalki w przypadku hinduistów, zaś Maitreja przez buddystów – które oczyści świat z wszelkiego zła i zacznie na nowo głosić czyste nauki starożytnych.

Gwiezdna kopulacja

Angkor Thom jest wielkim sakralnym okręgiem obejmującym wiele budowli, wśród których trzy są najważniejsze: Phimenakas, Baphuon i Bayon.

Phimenakas – „Pałac Niebios” – został zbudowany przez króla Suryavarmna I (panującego w latach 1002-1050 n.e.). Jest to wysoka schodkowa piramida o czworokątnej podstawie mierzącej 35 x 28 metrów, z wyglądu przypominająca piramidy Majów.

Wspięliśmy się na tę budowlę po stromych, lecz zupełnie dobrze zachowanych zachodnich schodach ku sanktuarium znajdującemu się na szczycie. Legenda głosi, że w sanktuarium tym, otwartym ku niebu, miało niegdyś miejsce niezwykłe, intymne spotkanie między królem a wężem Naga.

Legendę tę spisał Chou Ta-Kuan, emisariusz chińskiego cesarza, pod koniec XIII wieku. Chou pisze, że w Phimenakas było „wiele cudownych rzeczy, lecz strzeżono ich tak ściśle, że nie miałem szansy ich zobaczyć”. Następnie opisuje sanktuarium:

(...) złota wieża, na której szczyt król wstępuje każdej nocy. Ludzie wierzą, że w tej wieży mieszka geniusz, mający postać węża o dziewięciu głowach, który jest panem całego królestwa. Każdej nocy geniusz ten pojawia się w postaci kobiety, z którą władca spółkuje. Nawet żony króla nie mają tam wstępu. O drugiej straży król wychodzi stamtąd i może już swobodnie sypiać ze swoimi żonami i konkubinami.

Tę dziwną opowieść często przytacza się jako przykład prymitywnych zabobonów i przesądów. Ale kiedy przypomnimy sobie, że krótsza oś Phimenakas leży dokładnie na osi północ-południe – niczym we współczesnych obserwatoriach – przychodzi nam do głowy inna możliwość. Być może „kopulacja” króla z „wężem” jest metaforą astronomicznych obserwacji węzowej konstelacji Smoka?

Pomijając wszystko inne, wiemy z dziennika podróży Chou Ta-Kuana, że w Angkorze było wielu „ludzi, którzy rozumieli astronomię i umieli obliczać zaćmienia Słońca i Księżycy”. Z innego źródła dowiadujemy się, że astronomię nazywano w Angkorze „świętą nauką”. Jeszcze inne mówi nam, że zniszczenie astronomicznych manuskryptów było uważane za wielką zbrodnię, „karaną wiecznym potępieniem”. Nietrudno zatem zrozumieć, dlaczego Smok mógł być nazywany „Panem całego królestwa” – zwłaszcza że układ gwiazd tej konstelacji stanowił, jak się wydaje, wzorzec dla układu świątyń. Ponadto wysoka wieża, taka jak Phimenakas, zorientowana południkowo, to znaczy zgodnie z linią północ-południe dzielącą niebo na dwie części dokładnie nad głową obserwatora, stanowiłaby doskonałe miejsce, z którego król-astronom mógł oglądać północną konstelację, taką jak Smok (nawet dzisiaj większość obserwacji astronomicznych prowadzi się w odniesieniu do południka niebieskiego).

Legendy opowiadają też o twórcach pierwszej cywilizacji Kambodży, półbogach Kaundinya i Kambu, żyjących w mitycznych czasach, zanim zaczęła się historia. Przybyli oni, jak się dowiadujemy, osobno, w łodziach zza morza. Kiedy Kaundinya po raz pierwszy stanął na suchym lądzie, został zaatakowany przez piękną węzową księżniczkę, którą pokonał i później poślubił. Również historia Kambu kończy się jego małżeństwem z córką króla węży: „Kambu poślubił ją i założył królestwo w dolinie rzeki. Jego lud nazywano Kambudża, czyli dziećmi Kambu. Z czasem nazwa ta zmieniła się w Kambodża”.

Zatem od samego początku, w pewnym sensie, „ziemia” w Angkorze, reprezentowana przez świątynie i boskiego króla była alegorycznie „zaślubiona” z regionem nieba, w którym znajduje się węzowa konstelacja Smoka.

Czy można uznać za dzieło przypadku, że system idei, koncentrujący się na innej konstelacji, lecz poza tym pod wszystkimi względami identyczny, rozkwitł w Egipcie co najmniej od czasów Starego Państwa?

Pewne pojęcie o tym systemie daje nam 366. rozdział *Tekstów Piramid*, w którym jest mowa o tym, że faraon identyfikuje się z gwiazdozbiorem Orio-na, gwiazdnym odpowiednikiem boga Ozyrysa, i spółkuje z gwiazdą Sothis (czyli Syriuszem), gwiazdnym wcieleniem jego nieśmiertelnej siostry, bogini Izydy: „Twoja siostra Izyda przychodzi do ciebie, radując się z twojej miłości. Umieściłeś ją na swoim fallusie i twoje nasienie wpłynęło w nią, która była gotowa jako Sothis”.

W książce *Piramidy – brama do gwiazd* Robert Bauval przedstawia przekonujące dowody na to, że królowie Starego Państwa brali udział w symbolicznym odtworzeniu tej sceny wewnątrz Wielkiej Piramidy. Dowodzi on wręcz, że południowy szyb tak zwanej Komory Królowej, wycelowany w punkt przejścia Syriusza

przez południk niebieski w roku 2500 p.n.e., mógł zostać specjalnie zaprojektowany, by odegrać ważną rolę w takiej „gwiazdnej kopulacji”.

Naszym zdaniem to, co działo się w pomieszczeniu na szczycie piramidy Phimenakas w Angkor Thom, nie różniło się znacznie od egipskiego rytuału – również tutaj miała miejsce „kopulacja” boskiego króla z figurą astronomiczną, tym razem nie z Syriuszem, lecz z konstelacją kosmicznego węża – Smokiem.

Taka symbolika niekoniecznie musiała oznaczać jakiś rodzaj dziwaczного i nieprawdopodobnego fizycznego kontaktu człowieka z gwiazdami, w co naiwnie wierzyli łatwowierni prostaczkowie. Równie możliwe jest, że symbole te miały – przynajmniej dla wtajemniczonych adeptów, jeśli nie dla mas – wyrażać wspólnotę idei między niebem a ziemią. Dzięki takim regularnym spotkaniom wtajemniczony mógł mieć nadzieję na wzniesienie swego umysłu do tak wysokiego poziomu, żeby w końcu móc dumnie oświadczyć: „Obejmuję w posiadanie niebo, jego podpory i jego gwiazdy (...), jestem wężem o wielu zwojach; jestem pisarzem księgi boga, który wypowieda to, co jest, i sprawia, że powstaje to, czego nie ma”.

Jak w górze, tak na dole

Opuszczając Phimenakas, ruszyliśmy na południe, do Baphuon, góry-piramidy króla Udayadityavarmana II (panującego w latach 1050-1066 n.e.). Budowla ta ma prostokątną podstawę o wymiarach 120 x 90 metrów i wznosi się na wysokość 50 metrów. Wywarła ona wielkie wrażenie na Chou Ta-Kuanie, który opisał ją jako „Wieżę z Brązu (...), prawdziwie oszałamiający widok, z ponad dziesięcioma pomieszczeniami u podstawy”.

Rdzeń piramidy stanowi wysokie sztuczne wzgórze z ubitej ziemi, na którego szczycie stała niegdyś świątynia z sanktuarium mieszczącym Śiwalingę. I znowu nasunęło nam się nieodparte skojarzenie z „wysokim piaskiem” w Heliopolis – wzgórzem Atuma ze stojącą na nim świątynią Benben, zawierającą obelisk Benben.

Baphuon zawaliło się jeszcze w starożytności, ponieważ:

pozostawiono zbyt mało czasu na to, by ziemia zdążyła osiąść przed założeniem fundamentów. Sprowadzono potężne, ciężkie bloki kamienia i budowa przebiegała z wielkim pośpiechem. Przez kilka lat wszystko szło dobrze (...). Potem zaczęły się pojawiać złowróżbne pęknięcia. Budowli nie dało się podeprzeć stęplami. Ogromny ciężar przyspieszył jej koniec.

Mimo tej katastrofy rdzeń budowli zachował swoją charakterystyczną piramidalną formę, którą nadano mu, kształtując pierwotną „małą replikę góry Meru”. I wierzono – jak tłumaczy francuski orientalista George Coedes – że podobnie jak góra Meru, Baphuon ma „podziemną część, która sięga tak daleko w głąb ziemi, jak wysoko w niebo wznosi się widoczna część”.

Porównajmy teraz ten opis ze słowami rzymskiego podróżnika Aeliusa Aristidesa, który odwiedził Egipt w II wieku n.e.:

Z podziwem patrzyliśmy na szczyty piramid, nie wiedząc jednak, że równa, lecz przeciwna ich część znajduje się pod ziemią. Mówię to, co usłyszałem od kapłanów.

Wydaje się zatem, że w Angkorze i w Gizie mówiono o piramidach to samo – iż fundamenty tych budowli sięgają w ziemię równie głęboko, jak wysoko wznoszą się ich części naziemne – albo nawet, że każda piramida stoi na „równej i przeciwnej” odwróconej piramidzie, ukrytej pod ziemią.

Czy można zatem uznać, że tak podobne idee rozwinęły się „niezależnie i spontanicznie”, w obu tych oddalonych od siebie ośrodkach starożytnych kultur?

W studium poświęconym mitom Giorgio de Santillana i Hertha von Dechend doszli do wniosku, że „zespół niecodziennych wyobrażeń” występujących w rzekomo niezwiązanych ze sobą kulturach powinien budzić co najmniej ciekawość. „Wprawdzie zbiór mitów i baśni jest ogromny – dowodzą – lecz istnieją morfologiczne elementy, wskazujące, że nie mamy tu do czynienia jedynie z fantazją”.

Siedemdziesiąt dwa

Wielu podróżników i naukowców, którzy badali Angkor, zdawało sobie sprawę, że monumenty te wyrażają swego rodzaju symbolikę liczb i że pewne liczby często się powtarzają. Jednak zanim de Santillana i von Dechend złamali „szyfr precesyjny”, nikt nie miał pojęcia, co mogą znaczyć te liczby. Jeśli nawet nie ignorowano ich całkowicie, to traktowano jako:

dowód obsesji na tle magii liczb i uwieczniania w artystycznych formach pierwotnych zabobonów. Można odnieść wrażenie, że według Khmerów, skoro dobrą rzeczą było wzniesienie jednego posągu Wisznu, to 50 razy lepiej było wnieść ich 50 (...).

Oczywiście, posągów tych nie byłoby 50, lecz 54 (albo 72, albo 108, albo 216 itd.) – co można by uznać za nic nie znaczący szczegół, gdyby nie liczbowy kod, za którego pomocą starożytni wyrażali kosmiczny cykl precesji.

Niestety jednak, nawet dzisiaj naukowcy nie w pełni doceniają zaskakujące odkrycia zaprezentowane w książce *Hamlet's Mill*. W konsekwencji poza naukowymi artykułami rzadko zwraca się uwagę nawet na oczywiste i trudne do przecoczenia precesyjne cechy budowli Angkoru.

Dlatego też nie możemy obwiniać Wilbura E. Garreta, redaktora drobiazgowo dokładnego magazynu „National Geographic”, że nie zwrócił uwagi na znaczenie statystyk pojawiających się wielokrotnie w specjalnym raporcie o Angkorze, opublikowanym w maju 1982 roku. Jednak, jak sam zauważył we wstępie do tego raportu, istnieją „72 kamienne i ceglane świątynie i budowle Angkoru”.

Fakt, że 72 budowle stoją w miejscu, gdzie wielokrotnie wykorzystywano inne liczby precesyjnej sekwencji, takie jak 54 i 108, (i które dodatkowo dzielą od

Gizy 72 stopnie długości geograficznej) wskazuje, naszym zdaniem, na istnienie pewnego przemyślanego planu. Ponadto, jeśli taki plan rzeczywiście istniał, to musiał być wcielany w życie od samego początku do końca okresu budowy świątyń Angkoru. Zaczął się on nagle za panowania Jayavarmana II w 802 roku n.e. i równie gwałtownie zakończył wraz ze śmiercią Jayavarmana VII w 1219 roku.

Mistrzowski plan

W swojej pod każdym innym względem doskonałej książce, opublikowanej w 1963 roku, polski naukowiec Mirosław Krasa twierdził, że „sto lat po ich odkryciu tajemnica świątyń Angkoru przestała istnieć”. Z tym stwierdzeniem chętnie zgadza się większość akademickich autorytetów i prawdą jest, że wiele wiemy o samych świątyniach i ich budowniczych. A jednak wiele nadzwyczaj istotnych i mogłoby się wydawać, oczywistych części zagadki nie zostało do końca rozwiązanych. Na przykład:

1. Dlaczego zespół sakralnych budowli Angkoru zaczęto tak nagle budować w IX wieku n.e.
2. Dlaczego był on rozbudowywany tak metodycznie i tak ogromnym nakładem kosztów przez blisko 420 lat.
3. Dlaczego ten bezprecedensowy i gwałtowny rozkwit architektury świątynnej skalą i jakością przekraczającej wszystko, co kiedykolwiek zbudowano w Indiach, nastąpił akurat na dalekiej prowincji rolniczej Kambodży.
4. I wreszcie: dlaczego po śmierci Jayavarmana VII w XIII wieku nagle zaprzestano budowy nowych świątyń w Angkorze i nigdy nie podjęto jej na nowo, mimo iż samo miejsce było zamieszkane co najmniej do XVI wieku.

Koncepcja, że władcy Angkoru wcielali w życie zapożyczony plan, który z jakiegoś powodu byli zobowiązani ukończyć w określonym czasie, daje przekonującą odpowiedź na wszystkie te pytania. Istnienie podobnego planu w Gizie w połowie III tysiąclecia p.n.e. wyjaśnia także zagadkę nagłego pojawienia się w Egipcie trzech wielkich piramid i podobnych, mniejszych budowli zawierających *Teksty Piramid*. Doniosłe osiągnięcia kulturalne czwartej, piątej i szóstej dynastii nie miały precedensu ani nie były kontynuowane. I podobnie jak piramidy, świątynie, reliefy i inskrypcje Angkoru, powstały w ciągu mniej więcej 420 lat (między 2575 a 2152 rokiem p.n.e.)

Jayavarman II mógł przynieść ze sobą ów plan, kiedy przybył do Kambodży „zza morza” w 800 roku n.e. A może otrzymał go od uczonego bramina „biegłego w magii”, który wtajemniczył go w kult boskiego króla w 802 roku? Możemy tylko snuć przypuszczenia. Jego 40-letnie „okrażanie” Angkoru oraz postępowanie kolejnych monarchów odpowiadają wypełnianiu planu. Wydaje się wręcz, że każdy z khmerskich władców przyczyniał się do jego wcielania w życie tak, jak pozwalały mu na to finanse; niektórzy dodawali tylko świątynie w tym lub innym miejscu, inni – jak Suryavarman II i Jayavarman VII – wznosili całe kompleksy architekto-

niczne w stosunkowo krótkim czasie. Ponadto niewielu z tych władców mogło się cieszyć pokojem: większość z nich musiała bronić granic przed wojskami barbarzyńskich najeźdźców, równocześnie uparcie i systematycznie dążąc do pokrycia doliny Mekongu z góry zaprojektowanym dywanem 72 świątyń, dzięki którym kraj Kambu zasłużył na nadawane mu w inskrypcjach miano „podobnego do nieba”.

Dla dobra ludzkości

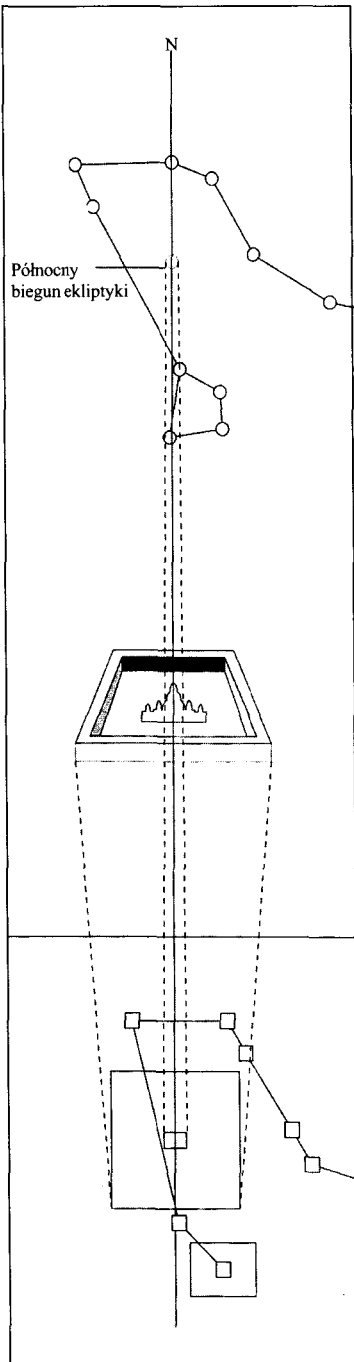
Życie i dzieła Jayavarmana VII warte są dokładniejszego zbadania. Przez całe 38 lat panowania postępował jak człowiek, któremu bardzo się spieszy. Nie tylko kończył ogromny mur otaczający Angkor Thom, ale również świątynie Ta Prohm, Bantei Kidei, Neak Pean, Ta Sohm, Srah Srang, tak zwaną Terasę Słoni i Terasę Trędownatego Króla (obie w obrębie Angkor Thom), Krol Kro, Prah Palilay, Prasat Suor Prat, Prah Khan i wreszcie Bayon.

Naturalnie wszyscy naukowcy uważają, że Jayavarman był megalomanem i że do podjęcia tego gargantuicznego przedsięwzięcia budowlanego popchnął go tylko syreni śpiew własnego przerośniętego ego: „niewzruszona siła woli na służbie manii”, jak napisał jeden z krytyków. Ale kiedy spojrzymy na jego budowle, odkryjemy, że znacznie więcej z nich, niż można by się spodziewać, gdyby to było dziełem przypadku, pasuje do schematu głównych gwiazd konstelacji Smoka. Oprócz tego kilka innych świątyń odzwierciedla ważne gwiazdy sąsiedniej konstelacji Małego Wozu – wszystkie w pozycjach, jakie zajmowały w dniu wiosennej równonocy 10 500 roku p.n.e.

Mówiąc dokładnie, budowlami Jayavarmana VII, które przyczyniły się bezpośrednio do powstania tego, co wygląda na ambitną i wielką mapę nieba, były: Angkor Thom, Ta Prohm (zbudowana w 1186 roku n.e.), Bantei Kidei (uważana za najwcześniejszą z jego świątyń), Neak Pean, Ta Sohm, Srah Srang, Prah Khan (1191 rok n.e.) i najpóźniejsza ze wszystkich, spektakularny i dziwaczny Bayon, gotowy dopiero na krótko przed śmiercią władcy w 1219 roku.

Możliwe, że wszystko to jest dziełem przypadku i współcześni naukowcy mają zupełną rację, twierdząc, że ten przyspieszony program budowlany był tylko wyrazem megalomanii, polegającym na przypadkowym wznoszeniu świątyń to tu, to tam: „prawdziwa orgia budowania, krótki, lecz intensywny okres niemal szalonej twórczości architektonicznej”. Ale z inskrypcji Jayavarmana, które cytowaliśmy już w poprzednim rozdziale, wcale nie wyłania się obraz szaleńca czy egocentryka. Przeciwnie, władca stwierdza wprost, że jego świątynie były częścią wielkiego planu, mającego na celu obdarzenie „ambrozją nieśmiertelności” „wszystkich tych, którzy toczą walkę w oceanie egzystencji”. Wiemy również, że uważał on budowle Angkoru za instrumenty przydatne w tych poszukiwaniach dzięki swojej funkcji „mandali umysłu”.

Dlatego nie należy ignorować możliwości, iż ten wyjątkowy monarcha mógł dla dobra ludzkości wziąć na siebie zadanie ukończenia za panowania jednego władcy świętej „mandali” konstelacji Smoka, którą odziedziczył po boskich królach, swoich



Bayon w Angkor Thom jako odpowiednik na ziemi północnego bieguna ekliptyki

przodkach. Ci z kolei otrzymali plany mandali z nieznanego źródła na początku panowania Jayavarmana II.

Dysponujemy pewnymi wskazówkami na temat natury tego źródła. Czytelnik zapewne pamięta, że inskrypcje dotyczące panowania Jayavarmana II mówią o istnieniu grupy uczonych ludzi – „mędrców”, „braminów”, „kapłanów-astronomów”, „tajemniczych nauczycieli z nieba” – którzy umieli odprawiać ceremonie inicjacyjne i mogli koronować władców. Jeśli celem całego programu budowlanego w Angkorze było wypełnienie z góry ustalonego przez takie zakulisowe bractwo planu i jeśli Jayavarman VII, „pełen głębokiej sympatii dla dobra świata”, rzeczywiście zbudował we właściwych miejscach świątynie, których brakowało do ukończenia niniejszego planu, to otrzymalibyśmy wyjaśnienie „tajemnicy”, dlaczego program budowlany został tak gwałtownie przerwany po jego śmierci. Po prostu po ukończeniu diagramu nieba nie było już potrzeby budowania dalszych świątyń.

„Ta nieskończenie tajemnicza świątynia...”

Kiedy mapę nieba z 10 500 roku p.n.e. przynieśmy na ziemię, to mur obwodowy Angkor Thom okaże się świętym okręgiem zakreślonym wokół piersi lub serca węzowej konstelacji Smoka. Dokładnie w geometrycznym środku tego okręgu, gdzie przekątne przecinają się w samym „sercu”, wznosi się zapierająca dech w piersiach budowla zwana Bayon – uważana za największe dokonanie architektoniczne Jayavarmana VII.

Czy można uznać za dzieło przypadku, że w ogólnym niebiańskim planie świątyń „serce” Smoka, wyznaczone przez Bayon, pokrywa się niemal dokładnie z północnym biegunem ekliptyki? Czytelnik zapewne pamięta, że jest to punkt na niebie, wokół którego w wyniku zjawiska precesji obraca się północny biegun nieba, z prędkością pół stopnia przez 36 lat, trzech czwartych stopnia w cią-

gu 54 lat, jednego stopnia w ciągu 72 lat i 30 stopni w ciągu 2160 lat. Najbardziej rzucającym się w oczy i charakterystycznym elementem Bayon – przysadzistej, schodkowej piramidy wzniesionej na starszej, dotąd nie zbadanej konstrukcji – są wieńczące ją 54 kamienne wieże. Każdą z nich, podobnie jak bramy wejściowe Angkor Thom, zdobią cztery gigantyczne rzeźbione twarze Lokesvary („w egipskim stylu”) precyzyjnie zorientowane według stron świata – w sumie 216 twarzy. Według Jeana Boisselliera, byłego kustosza Muzeum Narodowego w Phnom Penh, twarzom tym nadano „typowy wyraz buddysty w »aktywnym stanie umysłu«, który teksty religijne nazywają »brahmavira«, »rzeczami, które podobają się Brahmie«, »subtelnym stanem«, kierującym umysł ku miłosierdziu, współczuciu, radości i spokojowi”.

Francuski podróżnik Pierre Loti, który odwiedził Angkor w porze deszczowej 1901 roku, napisał o Bayon:

Musimy sobie torować drogę kijami przez nieprzebyte gąszcz ociekających wodą pnączy i zarośli, aby dotrzeć do tej świątyni. Las otacza ją ciasno ze wszystkich stron, pochłania i miażdży; zniszczenia dopełniają olbrzymie drzewa figowe, które zapuściły korzenie wszędzie, nawet na samych szczytach wież, służących im jako piedestały (...).

Mój kambodżański przewodnik nalega, abyśmy szli dalej. Nie mamy na wozach latarni, jak mi tłumaczył, i dlatego musimy wrócić przed godziną tygrysa. Niech więc będzie. Ruszamy w drogę. Ale jeszcze wrócimy do tej nieskończonej tajemniczej świątyni.

Zanim jednak odejdę, spoglądam w górę, na piętrzące się nade mną wieże, zatopione w zieleni; i nagle poczułem dreszcz trudnego do sprecyzowania strachu, kiedy dostrzegłem w górze ogromny, nieruchomy uśmiech; i natychmiast zauważam kolejny uśmiech, na innej ścianie, potem trzeci, piąty i dziesiąty. Pojawiają się wszędzie i zdają sobie sprawę, że ze wszystkich stron obserwują mnie wieże o czterech twarzach. Zupełnie o tym zapomniałem, chociaż ostrzegano mnie przed nimi. Te maski zawieszane w powietrzu na tyle przerastają ludzkie proporcje, że musi minąć chwila czy dwie, zanim człowiek je zrozumie. Uśmiechają się pod wielkimi płaskimi nosami, mają na wpeł przymknięte powieki i nieodgadniony nastrój (...).

W 1914 roku francuski dyplomata i pisarz Paul Claudel odwiedził Angkor i opisał go w swoim dzienniku jako „jedno z najbardziej przeklętych, najbardziej przesiąkniętych złem miejsc, jakie znam (...), wróciłem stamtąd chory (...)”. Lecz Claudel, który zmarł w 1955 roku, był człowiekiem o wyjątkowo sztywnych poglądach na kwestie duchowe, niezłomnie wierzącym, że dogmaty Kościoła katolickiego i bezwarunkowa wiara w Chrystusa są jedynymi drogami do zbawienia. Być może więc tym, co naprawdę przyprawiło go o cierpienie w tej niezwyklej mrocznej świątyni i co uznał za złą aurę, było w rzeczywistości intuicyjne zrozumienie, że oto stoi w obliczu znacznie większej mocy duchowej, niż jest w stanie pojąć.

Bayon zawsze miało służyć transformacji – co do tego nie ma wątpliwości, zwłaszcza jeśli zdamy sobie sprawę, że jego nazwa pochodzi od słów „Pa yantra”,

co znaczy „ojciec” lub „mistrz” yantry. To sanskryckie słowo oznaczające dosłownie „instrument” określa rodzaj mandali: „diagram używany jako pomoc przy medytacji (...), części składowe yantry prowadzą wiernego przez kolejne stopnie prowadzące do Oświecenia (...)”.

Naszym zdaniem tymi, którzy w pełni rozumieli budowę Angkoru, nie byli „wierni”, lecz „adepti”, wtajemniczeni w zaginiony system kosmicznej wiedzy, którzy przybywali do Bayon w poszukiwaniu rozwiązania ostatniej tajemnicy. Dzięki pilnym studiom mogli już wcześniej zdobyć umiejętność „schodzenia do dowolnego nieba” – to znaczy dokonywać precesyjnych obliczeń pozwalających im wyobrazić sobie położenie ważnych gwiazd w minionych epokach.

Mogli oni też już znacznie wcześniej zdać sobie sprawę, że układ głównych budowli Angkoru miał zwrócić ich uwagę na region nieba wokół północnego bieguna nieba – jak widzieliśmy w poprzednich rozdziałach, ku gwiazdom konstelacji Łabędzia, Małego Wozu, Wielkiego Wozu, Korony Północy i Smoka... zwłaszcza Smoka. Aby dowiedzieć się tego, adepci musieli się cofnąć, dokładnie tak, jak my to uczyniliśmy, do dnia wiosennej równonocy roku 10 500 p.n.e. (choć oczywiście mogli stosować inny system liczenia lat). Wtedy widzieli, że obserwator patrzący na północ w momencie wschodu słońca dostrzegłby, iż układ gwiazd Smoka na południku niebieskim i układ świątyń na ziemi dokładnie sobie odpowiadają.

„Cofając” w wyobraźni gwiazdy, adepci z pewnością odkryliby to, co bez trudu możemy dzisiaj obejrzeć na ekranach komputerów: powolny, cykliczny ruch obrotowy północnego bieguna nieba wokół „serca” konstelacji Smoka, czyli północnego bieguna ekliptyki. To właśnie owo „serce”, abstrakcyjny punkt w przestrzeni kosmicznej, ma swój ziemski odpowiednik w Angkorze w postaci wielkiej piramidy Bayon – budowli wznoszącej się trzema tarasami nad kwadratową podstawą o bokach długości 80 metrów ku niezwyklejmu okrągłemu centralnemu sanktuarium na wysokości 45 metrów nad poziomem ziemi.

Coedes słusznie nazywa Bayon „mystycznym sercem imperium Khmerów”, zaś Bernard Groslier określa je jako „omfalos („pepek”) kamiennego kosmosu Angkoru”. Jak zauważył John Audric, plotka głosi, że dawno temu ukryto w Bayon jakiś wielki skarb.

Tym skarbem wcale nie musi być złoto i klejnoty.

Równie dobrze może nim być wiedza – eliksir, którego poszukują wszyscy wtajemniczeni, we wszystkich krajach i wszystkich epokach, jeśli chcą zdobyć nieśmiertelność...

Niebiańscy strażnicy czasu

Starożytni Egipcjanie nie przedstawiali gwiazdozbioru Smoka jako smoka ani węża, lecz jako innego wodnego gada: krokodyla, którego z jakiegoś powodu połączono z fragmentami hipopotama i lwa. W rezultacie powstało synkretyczne astronomiczne bóstwo, często nazywane Tauret, wspomniane już

w *Tekstach Piramid*, które często pojawia się w *Księdze Umarłych* i które zajmuje ważne miejsce w słynnym „okrągłym zodiaku” ze świątyni w Dendera w Górnym Egipcie.

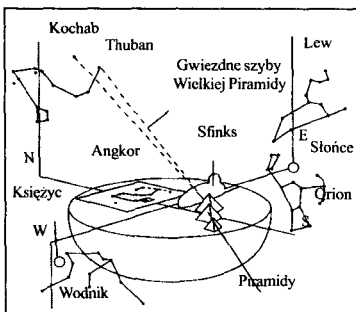
W tej myląco prostej mapie nieba, o której szerzej pisaliśmy w rozdziale 3, szczególnie interesujące jest to, że nie tylko umieszcza ona Smoka prawidłowo w stosunku do innych konstelacji, takich jak Mały Wóz (który Egipcjanie nazywali „Szakalem”) i Wielki Wóz („Udziec”), lecz także, według francuskiego matematyka R.A. Schwallera de Lubicza „pokazuje biegun ekliptyki, znajdujący się na piersi hipopotama, czyli konstelacji Smoka”. Schwaller de Lubicz wskazuje, że mitologiczne postacie z zodiaku w Dendera nie tworzą jednego kręgu, jak można by się spodziewać, lecz „są ułożone w dwóch kręgach, z których jeden otacza północny biegun ekliptyki, zaś drugi – północny biegun nieba” w niezwykłym spiralnym układzie. W ten sposób, jak twierdzi Schwaller de Lubicz, zodiak wyraża wiedzę o tym, co dzieje się na niebie, kiedy północny biegun nieba powoli okrąża biegun ekliptyki.

Wielu uczonych zwróciło uwagę, że krokodylo-hipopotamio-lwia postać Tauret przypomina Imimuta, straszliwego „Pożeracza zmarłych”, asystującego przy ważeniu serca w Sali Sądu Ozyrysa. Ta hybryda, jak napisał dr Stephen Quirke, kurator działu zabytków egipskich British Museum, składa się z fragmentów „trzech drapieżnych zwierząt, które bywały przedstawiane w sformalizowanej sztuce egipskiej: ma głowę krokodyla, przednią część lwa i tylną część hipopotama”.

A zatem monstrum występujące w scenie sądu pod każdym względem jest Smokiem, symbolizującym – dokładnie tak samo jak Ozyrys symbolizuje odrodzenie i zmartwychwstanie – unicestwienie duszy. Ale jest w nim dziwna dwuznaczność, podobna do tej, jaką możemy znaleźć w starożytnych indyjskich tekstach mówiących o węzach Naga – które czasem bywają niebezpieczne, a czasem łaskawe. I tak Smok w postaci Imimuta był uważany przez starożytnych Egipcjan za drapieżnego i bezlitosnego niszczyciela, zaś Smok w postaci Tauret stał się łagodnym przewodnikiem i obrońcą dusz oraz patronem porodów. Ten pozytywny aspekt Smoka zaznaczał się tak wyraźnie, że Egipcjanie często umieszczali w grobowcach amulety Tauret, aby „czuwały nad odrodzeniem zmarłego w [ozyriańskim] królestwie zmarłych”.

Wrażenie istnienia subtelnych powiązań między Orionem-Ozyrysem a Smokiem-Imimutem-Tauret wzmacniają dodatkowo egipskie legendy mówiące o tym, że krokodyl przypląnął do Ozyrysa (utopionego przez Seta) w Nilu i zaniósł jego ciało „na swoim grzbiecie na ląd”.

W niektórych wersjach sam Ozyrys jest tajemniczo nazywany „wielkim Smokiem” leżącym na piasku, zaś w innych, bardziej zbliżonych



Konstelacje w kardynalnych punktach i ich ziemskie odpowiedniki o wschodzie słońca w dniu wiosennej równonocy 10 500 roku p.n.e.

do symboliki Angkoru, czytamy, że bóg przekształcił się w węża, kiedy wszedł do zaświatów. Z *Księgi Umarłych* dowiadujemy się wręcz, że Ozyrys, jako Pan Duat, rezyduje w pałacu, którego ściany są „żywymi kobraми”.

Takie idee dokładnie pasują do obrazu nieba w dniu wiosennej równonocy 10 500 roku p.n.e. – nieba, które ma w sobie coś z dziwnego, heraldycznego wizerunku:

- W momencie wschodu słońca, jeśli spojrzymy dokładnie na zachód, nasz komputer pokaże, że Wodnik właśnie wszedł, a w ślad za nim wkrótce pojawią się Ryby.
- Dokładnie na wschodzie nad horyzontem pojawia się Lew, jakby był pchany w górę przez znajdujące się pod nim Słońce.
- Dokładnie na południu, na południku niebieskim, stoi gigantyczna postać Oriona-Ozyrysa, w Indiach nazywanego Kal-Purush, „Człowiekiem Czasu”, który w starożytnej egipskiej *Księdze Umarłych* oświadcza: „Ja jestem czasem i Ozyrysem. Ja uczyniłem moje transformacje na podobieństwo wielu węży”.
- Dokładnie na północy, na południku naprzeciwko Oriona, wije się niebiański wąż – lub hipopotam, lub krokodyl – konstelacja Smoka, tajemny strażnik północnego bieguna ekliptyki.

Nietrudno zrozumieć, dlaczego starożytni, obserwując konstelacje Oriona i Smoka, ich zachowanie i funkcje, doszli do wniosku, że są one ze sobą powiązane. Naukowe astronomiczne obserwacje dowiodły wręcz, że istotnie są one ze sobą powiązane przez kosmiczny cykl precesji, poruszając się w górę i w dół niczym wahadło samego czasu. Komputerowe symulacje pokazują, że na przestrzeni tysięcy lat, w miarę jak wysokość Oriona na południowym południku nieba rośnie, wysokość Smoka na północy maleje. Kiedy Smok znajduje się w najniższym punkcie cyklu, Orion osiąga punkt najwyższy. Wówczas zaczyna się odwrotna część cyklu – Orion zaczyna się obniżać, a Smok – wznosić. Ten ruch w górę trwa prawie 13 000 lat i tak samo długo trwa ruch w dół. I tak na zmianę – 13 000 lat w górę, potem 13 000 lat w dół – bez końca i wiecznie.

Co szczególnie interesujące, diagramy nieba w Angkorze i w Gizie przedstawiają najwyższy punkt w trajektorii Smoka i najniższy punkt Oriona – innymi słowy, koniec jednej połowy cyklu precesyjnego i początek kolejnej. Miało to miejsce ostatni raz, jak wiemy, około roku 10 500 p.n.e.; w tamtej epoce o świcie w dniu wiosennej równonocy północny biegun ekliptyki znajdował się dokładnie na północ od północnego bieguna nieba, a układ gwiazd na niebie został przyjęty jako wzorzec dla układu budowli na ziemi – w Gizie i Angkorze.

Od czasów tamtego złotego wieku biegun nieba, obracany mechanizmem precesji, przebył połowę drogi wokół bieguna ekliptyki. Również wahadło Oriona i Smoka niemal osiągnęło swą skrajną pozycję – obecnie Smok jest w swoim najniższym punkcie, zaś Orion w najwyższym.

Innymi słowy, niebiańscy strażnicy czasu stojący u bram nieśmiertelności, tak samo jak w 10 500 roku p.n.e., za chwilę ruszą w przeciwnym kierunku. Adept znający hermetyczną zasadę „jak w górze, tak na dole” będzie musiał zinterpretować ten układ jako zapowiedź nadchodzących wielkich zmian – zmian na lepsze lub na gorsze, zależnie od podjętych przez nas samych wyborów i naszego postępowania.

Część czwarta

Pacyfik

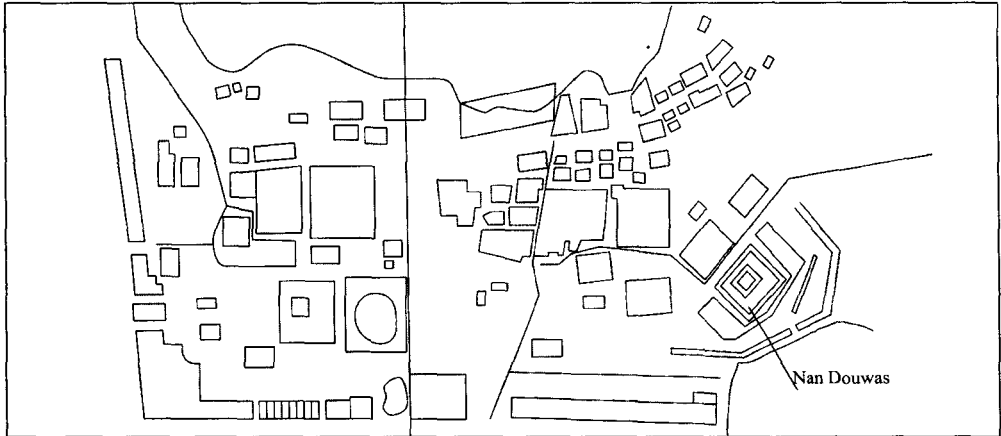
Fragmenty złamanego szyfru

Kambodża leży na zachodnim brzegu największego oceanu świata, Pacyfiku. Ponieważ Angkor jest oddalony o 72 stopnie długości geograficznej od Gizy, nic dziwnego, że zastanawialiśmy się, czy w oparciu o ten sam system geodezyjny można będzie zidentyfikować inne, związane z cyklem precesyjnym, miejsca.

Liczbą precesyjną, która najczęściej występuje w Angkorze, jest 54 – zwłaszcza w formie 54 wież Bayon oraz 54 dewów i asurów po obu stronach rampy prowadzącej do Angkor Thom. Musi się zatem wydać zastanawiające, że niezwykle i tajemnicze stanowisko o nieznanym pochodzeniu i funkcji leży na Pacyfiku, dokładnie 54 stopnie na wschód od Angkoru. Stanowisko to nazywa się Nan Madol i składa się z blisko 100 sztucznych wysepek zbudowanych z bazaltu i koralu na błękitnych wodach laguny przy południowo-wschodnim wybrzeżu mikronezyjskiej wyspy Pohnpei.

Wprawdzie jego położenie i ukształtowanie terenu jest inne, ale Nan Madol ma wiele cech wspólnych z Angkorem. Naukowcy uważają, że ów rój wysepek powstał między 800 a 1250 rokiem n.e. – dokładnie w okresie rozkwitu Angkoru – ale odkryto też ślady budowli we wcześniejszych warstwach, podobnie jak w Angkorze. Największa konstrukcja, Nan Douwas, jest zorientowana według stron świata, z głównym wejściem zwróconym ku zachodowi. Zgodnie z klasyczną formą mandali składa się z dwóch koncentrycznych murów obwodowych oddzielonych od siebie fosą wypełnioną morską wodą. Mury otaczające centralnie położone piramidalne wzgórze mają wysokość 7,6 metra i zostały wzniesione z bazaltowych megalitów o wadze do 50 ton i długości do 6 metrów.

Integralną częścią konstrukcji Nan Madol jest skomplikowany system kanałów doprowadzonych z laguny, przywodzących na myśl kilometry kanałów i fos przecinających krajobraz Angkoru. Ponadto świątynie Angkoru naśladują układ gwiazd konstelacji Smoka, zaś mieszkańcy Pohnpei pamiętają legendę mówiącą, iż kanały rozdzielające ich świątynie zostały wykopane przez „smoka”, który zaoferował swą pomoc dwóm mitycznym założycielom miasta o imionach Olosopa i Olosipa.



Plan wysp Nan Madol

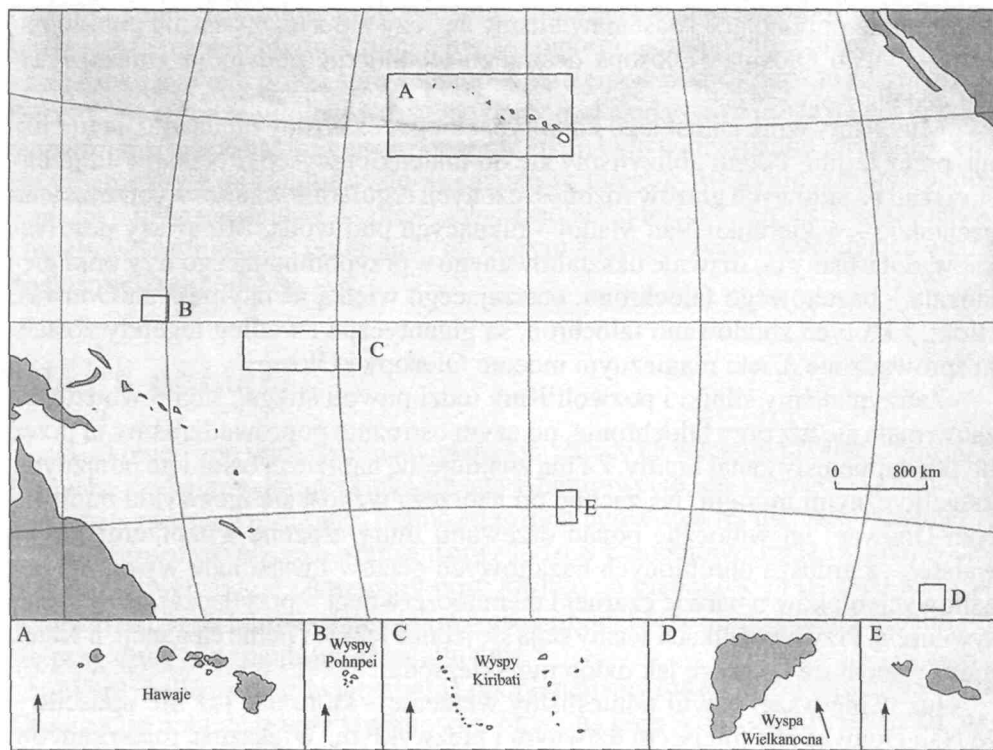
Bracia Olosopa i Olosipa byli według legendy „Ani-Aramach”, pierwotnymi królami-bogami, którzy w łodziach przybyli „z kraju na zachodzie”, przynosząc ze sobą „świętą ceremonię”, i z pomocą mądrych magów ustanowili ją w swoim nowym kraju. Jak pamiętamy, podobnie król Jayavarman II przybył do Kambodży łodzią z tajemniczego kraju „Króla Gór”, przynosząc ze sobą świętą ceremonię, którą ustanowił w nowym kraju z pomocą mądrych braminów „biegłych w magii”.

Charakterystyczną cechą panowania Jayavarmana był sposób, w jaki wyznaczył geodezyjnie miejsce budowy świątyń Angkoru. Trzykrotnie zakładał on tymczasowe stolice w Hariharalaya, Amarendrapura i Phnom Kulen, przemieszczając się nieustannie „niczym drapieżny ptak krążący nad krajem” – jak to trafnie ujął George Coedes – i „zataczając wielki krąg wokół przyszłego Angkoru (...)”.

Podobne legendy dotyczące Olosopy i Olosipy mówią, że ci „mądrzy i święci mężowie” zbudowali i opuścili cztery stolice na Pohnpei: pierwszą w dystrykcie Sokehs na północnym zachodzie wyspy, drugą w Net, trzecią w U, zaś czwartą w trudnym do wymówienia Madolenihmw. Istnienie tych stolic zostało archeologicznie potwierdzone, a jeśli prześledzimy ich położenie (porównaj diagram), to odkryjemy, że nie jest ono przypadkowe, lecz że bracia przemieszczali się konsekwentnie z północnego zachodu, przez północ i północny wschód, na południowy wschód – jak wskazówka zegarka przebywająca połowę trasy wokół tarczy.

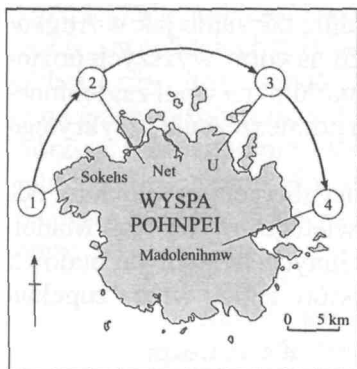
Miejscem, w którym wskazówka „staje”, jest Nan Madol, tradycyjnie nazywane „Sounhleng, czyli Rafą Niebios (...)”. Olosopa i Olosipa mieli wybrać to miejsce, kiedy wspięli się na szczyt wysokiego wzgórza, aby obejrzeć wyspę. Patrząc z tego punktu widokowego na błękitne wody Pacyfiku, daleko w dole „zobaczyli miasto pod wodą. Uznali to za znak, że powinni tam właśnie zbudować swoje miasto i wzniesli Nan Madol jako zwierciadlane odbicie zatopionego miasta”.

Zatopione „miasto bogów” pod „Rafą Niebios” nazywa się Khanimweiso i nie zostało wymyślone. W ramach archeologicznego programu konserwatorskiego kierowanego przez dr Arthura Saxe’a z Uniwersytetu Stanowego w Ohio podjęto badania znacznej części Nan Madol, które potwierdziły istnienie rozległych



Mapa Yonaguni

podmorskich ruin, częściowo znajdujących się na bardzo dużych głębokościach. Większość z nich odkryto na wschód, a kilka na południe od potężnych falochronów wokół Nan Douwas. Tworzy je coś, co wygląda na rzędy wysokich słupów czy też filarów o wysokości ośmiu metrów, stojących na płaskich piedestałach na stromych brzegach wyspy.



Mapa Pohnpei, ukazująca przeniesienie stolicy zgodnie z ruchem wskazówek zegara

Miasto z bazaltu

Pohnpei, o średnicy nie przekraczającej 20 kilometrów, jest małą i niezwykle piękną wyspą. Jej wnętrze, wznoszące się stromo ku kilku szczytom o wysokości około 800 metrów, porastają gęste lasy, zaś na wybrzeżach rosną zarośla mangrowe. Wysepkę otacza ze wszystkich stron rafa koralowa, w której liczne przejścia dają dostęp do morza. Dotarliśmy do Nan Madol w płaskodennej łodzi wyposażonej w dwa potężne silniki. Mknąc po turkusowych wodach wewnątrz rafy, mijaliśmy zielone pagórki i dziwne wzgórza o kształcie piramid. Jedno z nich, podwójny szczyty Takiun Peak, jest

szczególnie imponujące i zastanawialiśmy się, czy nie z tego właśnie punktu obserwacyjnego Olosipa i Olosopa dostrzegli legendarne podwodne miasto Khanimweiso.

Minęliśmy wrak chińskiego kutra rybackiego, osadzony niedawno na mieliźnie przez tajfun. Potem zbliżyliśmy się do małej wysepki Nakapw i ujrzeliśmy rząd bazaltowych głazów rozmieszczonych regularnie wzdłuż wybrzeża, a na zachodzie – w kierunku Nan Madol – niknących pod wodą. Minawszy port Nakapw, dotarliśmy do dziwnie ukształtowanego – przypominającego trzy boki pięciokąta – bazaltowego falochronu, otaczającego wielką świątynię Nan Douwas. Bloki, z których zbudowano falochron, są gigantyczne i według legendy zostały tu sprowadzone dzięki magicznym mocom Olosopy i Olosipy.

Zatrzymaliśmy silniki i pozwoliliśmy łodzi powoli ślizgać się po wodzie, aż zatrzymała się tuż przy falochronie, po czym ostrożnie poprowadziliśmy ją przez płytki, kamienisty kanał bramy. Za nią znajduje się nabrzeże, osłonięte potężnymi megalitycznymi murami. Na zachód od nabrzeża wznosi się niezwykła budowla Nan Douwas. Jej widoczne ponad drzewami mury złożone z naprzemiennych warstw – z grubsza obrobionych bazaltowych głazów i wspaniale wykutych bazaltowych bloków o barwie czarnej i ciemnoczerwonej – przytłaczają wręcz masowością. Przy narożnikach ściany stają się jednak lekkie i pełne elegancji, a wątek muru wznosi się ku górze jak dziób morskiej łodzi.

Już w pierwszej chwili odnieśliśmy wrażenie – które nas już nie opuściło – że Nan Douwas jest miejscem dziwnym i niezwykłym. Większość mieszkańców Pohnpei nie lubi tam chodzić nawet za dnia, a za żadne skarby nie odwiedziłaby tej budowli w nocy.

Uważają, że jest ona nawiedzona przez duchy.

Pośmiertne podróże

Weszliśmy do Nan Douwas przez zachodnią bramę, przechodząc przez szereg dziedzińców otaczających serce świątyni. Dokładnie tak samo jak w Angkor Wat, dziedzińce znajdują się jeden wewnątrz drugiego na coraz wyższych poziomach. Na najwyższym poziomie dotarliśmy do sanktuarium: na wpół zagłębionego w ziemi (na blisko półtora metra) – prostokątnego pomieszczenia przykrytego pięciotonowymi bazaltowymi blokami.

Nan Douwas otacza sieć kanałów wyłożonych megalitycznymi blokami, oddzielających od siebie setkę sztucznych wysepek świętego miasta Nan Madol. Zbadaliśmy je dokładnie, ale okazało się, że żadna z innych świątyń ani budowli nie zachowała się tak dobrze jak Nan Douwas. Niektóre z nich wręcz zupełnie zniknęły pod wodą i zaroślami mangrowców.

Jaką funkcję pełniło to ogromne święte miasto?

Dr Rufinio Mauricio, wykształcony w Stanach Zjednoczonych archeolog z Pohnpei, zajmował się tą kwestią przez ponad 20 lat. Powiedział nam, że budowle Nan Madol są związane ze starożytnymi miejscowymi wierzeniami dotyczącymi

życia po śmierci. Według tych wierzeń, zaskakująco podobnych do staroegipskich, dusza po śmierci musi odbyć bardzo niebezpieczną podróż przez zaświaty, gdzie czeka ją wiele prób i sprawdzianów. W Egipcie podróż ta prowadziła przez Duat, część nieba; na Pohnpei zaświaty były pod wodą – być może nawet w podziemnym mieście Khanimweiso. Podobnie jak to było w przypadku piramid w Gizie, również w Nan Madol wiele wskazuje, że tutejsze świątynie zostały zbudowane jako fizyczne modele, kopie – „zwierciadlane odbicia” – królestwa zaświatów i mogły pełnić funkcję „poligonu”, na którym adepti przygotowywali swe dusze do pośmiertnej podróży.

Miasta poniżej

Nurkowaliśmy wielokrotnie w głębokiej zatoce na wschód od falochronu Nan Douwas, szukając podmorskiego miasta Khanimweiso, do którego – jak mówią legendy – można wejść tylko bramą strzeżoną przez dwa monstrualne rekiny.

Za pierwszym razem nurkowaliśmy z łodzi w południowej części zatoki, w cieplej spokojnej wodzie. Zeszliśmy dość szybko na głębokość prawie 40 metrów. Widoczność była bardzo słaba, jak w gęstej mgłę, i przez pół godziny kręciliśmy się przy dnie, nie znajdując absolutnie nic.

Wyłynęliśmy na powierzchnię i podłynęliśmy łodzią bliżej falochronu Nan Douwas, w pobliże bramy wejściowej. Tutaj, na głębokości zaledwie trzech metrów, ujrzeliśmy mnóstwo leżących na dnie bazaltowych bloków i belek wyciosanych z krystalicznego bazaltu. Najwyraźniej zostały tu porzucone w czasach budowy falochronu. Nieco dalej od brzegu dno morskie gwałtownie opada stromo do głębokości blisko 20 metrów. Tutaj, płynąc na północ, znaleźliśmy dwie z kolumn zidentyfikowanych przez archeologów. Gęsto porośnięte wielobarwnymi koralowcami wyrastały z panujących w głębinie mroków ku światłu – wznosząc się w kierunku powierzchni jak uniesione palce.

Kolumny te są częścią podwodnego miasta Khanimweiso. Ale tu pojawia się dość ciekawy problem. Jak zauważył Arthur Saxe, legendy mówią nie o jednym, lecz o „dwóch takich miastach”. To drugie miasto nosi nazwę Khanimweiso Namkhet. Leży ono podobno „poza rafą”, a wejście do niego znajduje się w „głębokim i piaszczystym miejscu”. Wielu tubylców twierdziło, że dotarli do niego, niektórzy z nich zupełnie niedawno, zapuściwszy się daleko w morze w czasie polowania na żółwie. A w wywiadzie z amerykańskim badaczem Davidem Hatcherem Childressem stary mieszkaniec Pohnpei opowiedział taką oto dziwną historię:

Kilka lat temu pewien rybak leżał umierający. Jego duch odbył podróż do miasta za rafą. Kiedy zobaczył to miasto, które ciągnie się aż do Kosrae [wysoka wulkaniczna wyspa, 550 kilometrów na południowy wschód od Pohnpei, na której także znajdują się tajemnicze megalityczne ruiny], wrócił do swego ciała, opowiedział ludziom o tym, co ujrział, a potem umarł.

Wprawdzie związek ten może być tylko pozorny, ale słowo *namkhet* brzmi dziwnie podobnie do egipskich słów takich jak *ach* (światło), *achu* (przekształcony duch), a zwłaszcza *achet* (horyzont). To ostatnie słowo często wchodziło w skład nazw różnych miejsc, jak na przykład miasta Achetaton, a nawet Achet Chufu – „horyzontu Chufu”, jak brzmiała jedna z nazw nekropoli w Gizie. Zaczęliśmy się zatem zastanawiać nad Khanimweiso Namkhet. Ponieważ *khanimweiso* w języku Pohnpei oznacza miasto, to czy cała nazwa nie można by rozumieć jako miasto Achet albo miasto horyzontu?

Potop

Pohnpei nie jest jedyną wyspą na Pacyfiku, gdzie nazwy miejsc, legendy i wierzenia religijne kojarzą się z kulturą egipską i nie jest jedyną, gdzie krążą opowieści o zatopionych miastach. Oczywiście, nie należy wyciągać stąd zbyt daleko idących wniosków. Jednak w przypadku miasta Nan Madol szczególnie zastanowiła nas legenda mówiąca, iż zostało ono zbudowane „na wzór” starszego „miasta bogów”, obecnie zatopionego, i że stoi dokładnie nad tym wcześniejszym miastem. Nie potrafimy dostrzec żadnych istotnych różnic między tą legendą a przekazami dotyczącymi egipskich świątyń, na przykład świątyni Horusa w Edfu, które również były „kopiami” starszych budowli, wzniesionymi na wcześniejszych fundamentach w celu wskrzeszenia „dawnego świata bogów”. Zwróciliśmy też uwagę, że ów wcześniejszy boski świat, który *Teksty Budowlane z Edfu* nazywają „Ojczyzną Pierwotnych”, był podobno wyspą, pochłoniętą przez wody wielkiego potopu na globalną skalę.

Dowiedliśmy już gdzie indziej, że taki potop nawiedził Ziemię pod koniec ostatniej epoki lodowcowej, kiedy kontynentalne czapy lodowe o grubości kilku kilometrów, które przez ponad 100 000 lat przykrywały północną Europę i Amerykę, zaczęły topnieć. Geolodzy są zgodni co do tego, że w tym okresie gwałtownych przemian, który zakończył się około 9000 lat temu, poziom wód w oceanach podniósł się o ponad 100 metrów. Jeśli to założenie jest prawidłowe, to nietrudno sobie wyobrazić, że około roku 10 500 p.n.e. – na który wskazują astronomiczne korelacje Angkoru i Gizy – wyspa Pohnpei mogła wyglądać zupełnie inaczej niż dzisiaj. Jej rafa koralowa powstała stosunkowo niedawno – już po tym, jak podniósł się poziom wody i utworzyła się obecna linia wybrzeża. Jednak sama wyspa jest pochodzenia wulkanicznego i tworzy ją twardy bazaltowy rdzeń – szczyt wysokiej góry sterczący ponad wodami Pacyfiku. Poza granicą rafy zbocza tej wielkiej podmorskiej góry opadają stromo ku głębinom, łącząc się daleko w dole z kontynentem.

Potwór z nieba zabił Ziemię

Okres około 10 500 roku p.n.e. jest bardzo interesujący dla naukowców zajmujących się dziejami Ziemi. Trzy tysiące lat przed końcem ostatniej epoki

lodowcowej, ale na długo przed początkiem wielkiego topnienia, miał miejsce szereg kataklizmów, niemal na pewno związanych ze zjawiskami astronomicznymi, które całkowicie zmieniły oblicze naszej planety. Badania paleomagnetyczne potwierdziły, że mniej więcej 12 500 lat temu nastąpiło odwrócenie o 180 stopni biegunów magnetycznych Ziemi. Zaledwie 800 lat później, około 9600 roku p.n.e., Ziemia zderzyła się – co nie nastąpiło po raz pierwszy – z fragmentami rozpadającej się komety. Według profesora Alexandra Tollmana z uniwersytetu w Wiedniu „wydaje się, że konsekwencją eksplozji wywołanych kolizją był łańcuch kilkunastu odrębnych katastrof – między innymi trzęsień ziemi – odkształcenia geologiczne, pióropusze pary i fale pływów”.

Zastanawiające jest, że również na przełomie II i III tysiąclecia, w epoce, w której my sami żyjemy, mają miejsce niezwykle geologiczne i astronomiczne zjawiska tego samego typu, jakie wydarzyły się ponad 12 000 lat temu.

Szczególnie niepokoi fakt, że nieubłagany rozpad pola magnetycznego Ziemi, trwający przez ostatnie 2000 lat, od mniej więcej 100 lat uległ nagłemu przyspieszeniu. Naukowcy wręcz spodziewają się, że w najbliższym czasie energia pola spadnie do zera, co wkrótce doprowadzi do „odwrócenia biegunów” magnetycznych, prawdopodobnie jeszcze przed rokiem 2300.

To zjawisko niekoniecznie oznacza, że ulegną odwróceniu również bieguny geograficzne, czyli że nasza planeta zmieni położenie w przestrzeni kosmicznej. Jednak, jak zauważył geolog S. K. Runcorn, „raczej nie ulega wątpliwości, że pole magnetyczne Ziemi jest w jakiś sposób związane z ruchem wirowym naszej planety”.

Pole magnetyczne to zagadkowa siła nieznanego pochodzenia, był może generowana przez wewnętrzne jądro Ziemi – masywną żelazną kulę mniej więcej $\frac{3}{4}$ wielkości Księżyca, zawieszoną w skorupie płynnego żelaza, otoczonej z kolei wieloma warstwami skał i złóż mineralnych o grubości wielu kilometrów. Ostatnie badania Xiaodonga Songa i Paula G. Richardsa pozwoliły ustalić, że wewnętrzne jądro ma swój własny ruch rotacyjny – wiruje w tym samym kierunku co cała nasza planeta, lecz mniej więcej o 1% szybciej. Oznacza to, że powierzchnia wewnętrznego jądra przemieszcza się z prędkością 20 kilometrów na rok w stosunku do otaczających ją warstw. Jak napisał Richards: „Jest to ruch sto tysięcy razy szybszy niż ruchy, które zazwyczaj kojarzymy z właściwościami Ziemi”.

Niektórzy badacze, wśród nich zwłaszcza Rand i Rose Flem-Athowie z Kanady i zmarły profesor Charles Hapgood ze Stanów Zjednoczonych, sugerowali, że taki stosunkowo szybki ruch jednej warstwy względem drugiej mógł mieć miejsce – nawet wielokrotnie – również na poziomie zewnętrznej powłoki Ziemi. Ta twarda, kamienista warstwa, fachowo nazywana „litosferą” unosi się na warstwie płynnej zwanej „astenosferą”. Jeśli cała skorupa przesuwałaby się po astenosferze, „tak jak skórka pomarańczy przesuwałaby się po jej wewnętrznej części, gdyby była luźna”, doszłoby do apokaliptycznej globalnej katastrofy – niemal dosłownie do końca świata takiego, jaki znamy.

Flem-Athowie uważają, że w przeszłości takie wydarzenia miały miejsce wielokrotnie, ostatnio 11 000-12 000 lat temu:

Skorupa Ziemi marszczy się nad jej wewnętrzną częścią i świat nawiedzają niewiarygodne trzęsienia ziemi i powodzie. Zupełnie jakby niebo się waliło, kiedy kontynenty trzeszczą i zmieniają położenie. W głębinach oceanów trzęsienia ziemi wywołują wielkie fale przyływów, które uderzają w linie wybrzeży, zatapiając je. Niektóre lądy przesuwają się w cieplejsze strefy klimatyczne, zaś inne, zapchane w obszary polarne, doświadczają ciężkich mrozów. Topniejące czapy lodowe podnoszą poziom wód w oceanach coraz wyżej i wyżej. Wszystko, co żyje, musi dostosować się, wywędrować lub umrzeć (...).

Jeśli rzeczywiście na naszej planecie miały miejsce wydarzenia o takiej skali, jak twierdzą Flem-Athowie, to nie ulega wątpliwości, że musiała je wywołać jakaś ogromna siła. W 1953 roku Albert Einstein, jeden z pierwszych zwolenników teorii przemieszczania się skorupy ziemskiej, zasugerował możliwe rozwiązanie tej tajemnicy:

W regionach polarnych znajdują się trwałe złoża lodu, który nie jest rozmieszczony regularnie wokół biegunów. Ruch wirowy Ziemi oddziałuje na te niesymetrycznie rozłożone masy i wytwarza siłę odśrodkową, która jest przekazywana na sztywną skorupę ziemską. Powstająca w ten sposób coraz większa siła odśrodkowa, kiedy osiągnie moment krytyczny, powoduje ruch skorupy ziemskiej w stosunku do pozostałej części planety.

Einstein nie brał pod uwagę innych możliwych czynników. Wydaje się jednak równie prawdopodobne, że rozważałby też możliwość czołowego zderzenia z asteroidą, meteorem lub kometa, jeśli dysponowałby informacjami, które znają dzisiejsi naukowcy.

Na przykład w lutym 1994 roku prezydenta Stanów Zjednoczonych Billa Clintona zaalarmowała wiadomość, że sześć krążących po orbicie satelitów wykryło możliwość ataku militarnego na Amerykę. Wkrótce stało się jednak jasne, że satelity wykryły nie zbliżający się pocisk nieprzyjaciela, lecz wielki meteor, który ostatecznie eksplodował wysoko w atmosferze. W maju 1996 roku inny gigantyczny meteor, o średnicy ponad 300 metrów, uderzył w ziemię zaledwie trzy dni po tym, jak wykryły go wojskowe satelity.

Byli to tylko dwaj mali przedstawiciele obiektów kosmicznych tego rodzaju, z jakim spotykamy się coraz częściej. Od 1990 roku corocznie odkrywa się ponad 12 nowych komet, z których najbardziej spektakularna – nazwana kometa Hale’a-Boppa – jasno świeciła na północnym niebie w marcu i kwietniu 1997 roku, osiągając punkt najbliższy Ziemi w czasie wiosennej równonocy, 21-22 marca.

Starożytni uznaliby takie zjawisko, w takim momencie roku, w dodatku u schyłku tysiąclecia, co najmniej za omen – i taka interpretacja nie różni się znacznie od tej, którą przedstawiają współcześni naukowcy. Istotnie, najnowsze badania potwierdzają, że coraz silniejsza aktywność komet jest częścią wielkiego kosmicznego cyklu, w miarę jak Układ Słoneczny przemieszcza się powolnym falującym ruchem w obrębie naszej rodzimej galaktyki, Mlecznej Drogi. Mniej więcej co 30 000 000 lat prze-

chodzimy przez gęstą centralną płaszczyznę galaktyki. Tam napotykamy wielkie ilości meteorów, asteroid i komet, a niektóre z nich – co ma miejsce za każdym razem – zderzają się z Ziemią. Ponieważ badania kraterów dowodzą, że intensywne, długotrwałe i gwałtowne bombardowania miały miejsce między 96 a 94, między 67 a 65 i około 35 000 000 lat temu, byłoby nierozsądne nie brać pod uwagę możliwości, że obecnie przechodzimy trwający 5 000 000 lat okres tego rodzaju kolizji.

Istotnie, mamy podstawy przypuszczać, że od co najmniej miliona lat podlegamy intensywnemu bombardowaniu i że częstotliwość kolizji narasta. Nie ulega wątpliwości, że w tym okresie na Ziemi następowały silne niewyjaśnione zmiany klimatyczne, sejsmiczna niestabilność, przeplatające się okresy lodowcowe i powodzie, oscylacja temperatury powierzchni i regionalne wymieranie pewnych gatunków zwierząt. Niewykluczone, że wszystkie te zjawiska można łączyć z kolizjami z kosmicznym gruzem i niewykluczone, że mogą one doprowadzić w przyszłości do jeszcze większego kataklizmu – być może nawet równie wielkiego jak ten, który spowodował wyginięcie dinozaurów 65 000 000 lat temu.

Możemy tylko mieć nadzieję, że kosmos oszczędzi nam takiego losu. Dziesięciokilometrowej średnicy kometa, która niegdyś uderzyła w Zatokę Meksykańską, spowodowała eksplozję tysiąc razy potężniejszą niż siła całego arsenału nuklearnego zgromadzonego obecnie na świecie. Chmura pyłu, która się wówczas uniosła, odcięła dopływ światła słonecznego na pięć lat, a przez całe dziesięciolecie Ziemia w wyniku tego zderzenia była nawiedzana przez trzęsienia ziemi i wybuchy wulkanów.

Nawet przy zaawansowanych technologiach wczesnego wykrywania, w jakie są wyposażone współczesne satelity, będziemy mieli bardzo mało czasu, by przygotować się na katastrofę. Byłoby to zaledwie kilka dni. A w żadnym wypadku, w żadnych okolicznościach, nie trwałoby to dwa lata – nawet w przypadku największych komet, które zostałyby najwcześniej zauważone. Wielkie asteroidy – a niekiedy ich średnica dochodzi do 30 kilometrów – są niemal niemożliwe do wykrycia na ogromnych odległościach przestrzeni kosmicznej.

Czy właśnie taki obiekt mógłby unicestwić Ziemię?

Biorąc jako przykład obiekt o średnicy zaledwie dziesięciu kilometrów, z którym zderzylibyśmy się z prędkością 100 000 kilometrów na godzinę, profesor Emilio Spedicato z uniwersytetu w Bergamo we Włoszech obliczył, że „zakłócenia w atmosferze byłyby kolosalne i objęłyby całą półkulę”. Na podstawie raczej ostrożnego założenia, że jedynie 10% energii początkowej przeszłoby w falę uderzeniową, Spedicato ustalił, iż 2000 kilometrów od punktu zderzenia prędkość wiatru sięgałaby 2400 kilometrów na godzinę, a temperatura powietrza wzrosłaby o 480 stopni Celsjusza; w odległości 5000 kilometrów prędkość wynosiłaby 400 kilometrów na godzinę, a temperatura wzrosłaby o 60 stopni”. Nawet w odległości 10 000 kilometrów wiatr wiałby nieprzerwanie przez 14 godzin z prędkością ponad 100 kilometrów na godzinę, podnosząc temperaturę o 30 stopni. „Oprócz tego w atmosferze zaszłyby reakcje chemiczne prowadzące do powstania trujących substancji, takich jak cjanogen czy tlenek azotu, które całkowicie zniszczyłyby ochronną warstwę stratosferycznego ozonu”. Na koniec wreszcie przez lądy przetoczyłby się „wysokie na kilka metrów falowanie powierzchni”,

plyty tektoniczne przemieściłyby się, wulkany wybuchałyby wzdłuż linii ich połączeń i doszłoby do globalnego, katastrofalnego tsunami [fali przyprywy] zalewającego kontynenty”.

Badając historię Ziemi, Alexander Tollman i inni badacze doszli nawet do wniosku, że starożytne, znane na całym świecie mity o potopie mogą mieć swe źródło w rzeczywistych wydarzeniach o takim właśnie charakterze. Wysuwano różne hipotezy na temat dokładnej daty tego kataklizmu. Lecz wszyscy są zgodni co do tego, że coś bardzo złego, wręcz strasznego, zdarzyło się na Ziemi między 12 000 a 9000 rokiem p.n.e.

Wpływ komet

Victor Clube, astrofizyk z uniwersytetu w Oksfordzie, jego kolega Bill Napier z Królewskiego Obserwatorium Astronomicznego w Edynburgu, dr Duncan Steel ze Spaceguard Australia i Benny Peiser z Uniwersytetu Johna Moore'a w Liverpoolu należą do coraz liczniejszej grupy naukowców, którzy sugerują, że około 20 000 lat temu gigantyczna kometa wleciała do Układu Słonecznego i rozpadła się, „pozostawiając po sobie usianą odłamkami orbitę, przez którą Ziemia od czasu do czasu przechodzi. Najczęściej jedyną wyraźnie widoczną oznaką przechodzenia przez ten pas »gruzu« jest większa niż zwykle liczba »spadających gwiazd« (...), ale czasami Ziemia dostaje się w obszar, gdzie ów gruz jest znacznie gęstszy – i wówczas zagraża jej apokaliptyczna burza wybuchów i zniszczeń”.

Clube przypisał skutkom jednej z takich burz katastrofalne topnienie czap lodowych pod koniec ostatniej epoki lodowcowej, między 14 000 a 9000 lat temu, powódź o tak gigantycznej skali, że była w stanie doszczętnie wymieść wszelkie ślady „przedpotopowej” cywilizacji. Poziom mórz podniósł się o 100 metrów, co wystarczyło, by pogrzebać na zawsze każdą kulturę związaną z morzem. Clube i jego koledzy twierdzą też, że szereg mniejszych kataklizmów, spowodowanych zderzeniami z drobniejszymi fragmentami tej samej komety, mógł mieć miejsce około 2350 roku p.n.e. i 500 roku n.e. W obu tych przedziałach czasowych kwitnące i doskonale prosperujące historyczne cywilizacje tajemniczo i równocześnie zanikły. Według Benny'ego Peisera: „Istnieją poważne dowody na to, że silne burze meteoroidów są prawdziwą przyczyną upadku tych starożytnych cywilizacji”.

Jeśli w czasach historycznych cywilizacje były niszczone przez kosmiczne zderzenia, to logicznym byłoby rozważenie możliwości, czy jakaś cywilizacja mogła istnieć w czasach prehistorycznych, przed 2350 rokiem p.n.e. – być może w czasach tragicznego kataklizmu, który zakończył ostatnią epokę lodowcową ponad 9000 lat temu? Tamten kataklizm i dwa późniejsze z 2350 roku p.n.e. i 500 n.e. mają coraz mniejszą skalę, lecz nie można tego uznać za niepodważalną regułę. Przeciwnie, pas kosmicznego gruzu, który według Clube'a i jego kolegów krąży w Układzie Słonecznym, może ciągle jeszcze zawierać wiele dużych fragmentów komety.

Przemieszczenie skorupy ziemskiej 535 000 000 lat temu?

Teoria przemieszczającej się skorupy ziemskiej propagowana przez Hapgooda, Flem-Athów i wielu innych nie spotkała się z życzliwym przyjęciem w ortodoksyjnym środowisku naukowym. Zwłaszcza geolodzy krytykowali tę teorię, nazywając ją bredzeniem szaleńca i nawet nie próbując rozważyć jej poważnie. Starano się – skutecznie – stworzyć wrażenie, że jest to po prostu „nieprawdopodobna” hipoteza, głoszona przez wariatów, a tym samym nie zasługuje na to, by zajmowali się nią poważni naukowcy. Jednak za kulisami powoli i systematycznie gromadzono dowody na to, że od czasu do czasu skorupa ziemska rzeczywiście się przemieszcza i że nie ma żadnych geologicznych ani fizycznych powodów, dla których nie miałyby się to wydarzyć około 12 000 lat temu – dokładnie tak, jak sugerowali Flem-Athowie.

27 lipca 1997 roku – bez użycia słów „przemieszczenie skorupy ziemskiej” – zostały opublikowane w naukowym czasopiśmie „Science” dowody na to, że skorupa ziemska może się przesuwać i że ma to niekiedy miejsce. Dowody te zebrali badacze z Kalifornijskiego Instytutu Technologii, koncentrując się na okresie od 550 do 535 000 000 lat temu. Okres ten bezpośrednio poprzedzał to, co ewolucjoniści nazywają „eksplozją kambryjską” – największe zróżnicowanie i ekspansję życia, jakie kiedykolwiek miały miejsce na naszej planecie.

Ekipa z Caltech doszła do wniosku, że „ta ewolucyjna eksplozja zbiegła się w czasie z innym wyjątkowym wydarzeniem w dziejach Ziemi – ze zmianą o 90 stopni kierunku osi wirowania Ziemi w stosunku do kontynentów (...). Obszary, które poprzednio były na biegunie północnym i południowym, znalazły się na równiku, a dwa punkty w pobliżu równika stały się nowymi biegunami (...). Geologiczne dowody, które zebraliśmy ze złóż skalnych nagromadzonych przed, w czasie i po tym wydarzeniu, wskazują, że wszystkie większe kontynenty przemieściły się w tym samym czasie”.

Badacze z Caltech twierdzą, że to wydarzenie nie ma nic wspólnego z „tektoniką płyt” – procesem, który powoduje bardzo wolne stopniowe zbliżanie się i oddalanie kontynentalnych mas lądu z prędkością nie większą niż kilka centymetrów w ciągu roku. Dowody wskazują, że nastąpił wówczas tytaniczny obrót całej skorupy ziemskiej, z katastrofalną szybkością. Według dr Josepha Kirshvinka, geologa z Caltech i głównego autora opublikowanego studium: „Prędkość ta (...) była niezwykła. Przede wszystkim [wydaje się, że] wszystko przemieszczało się w tym samym kierunku”.

Badacze z Caltech wskazują, że (jak sugerowali Flem-Athowie kilka lat wcześniej) w okresie kiedy następowało przemieszczanie skorupy ziemskiej, wszystkie istniejące formy życia „były zmuszone do poradzenia sobie z szybko zmieniającymi się warunkami klimatycznymi, kiedy to kraje tropikalne nagle stały się zimnymi regionami polarnymi, a obszary dotychczas zimne stały się gorące”.

Gęsia skórka na obu rękach

Nurkując pod powierzchnię morza, wzburzonego na tyle, by powstawały na nim spienione fale, zanurzyliśmy się w spokojnym świecie podmorskiej ciszy.

Było to pod koniec marca 1997 roku, krótko po tym, jak kometa Hale'a-Boppa znalazła się najbliżej Ziemi; dotarliśmy na wyspę położoną dokładnie jeden stopień na północ od Zwrotnika Raka i 19,5 stopnia na wschód od budowli Angkoru. Wyspą tą jest Yonaguni, która szczyli się mianem „najdalej wysuniętego na zachód punktu Japonii. Tradycyjnie jej głównym powodem do sławy był pewien gatunek niezmiernie rzadkiej śmy. Oprócz tego na wybrzeżu jest pewne miejsce, gdzie płetwonurkowie mogą ukryć się na skalnym występie na głębokości 30 metrów i podziwiać w górze, pływające w obfitujących w ryby nurtach przy powierzchni, setki dorosłych rekinów-młotów.

Najbardziej doświadczonym nurkiem na Yonaguni jest Kihachiro Aratake, brodaty wilk morski, o lewej nodze zniekształconej przez polio, lecz potężnych ramionach i piersi, który przez większość życia zajmuje się rekinim biznesem. Nieco niezdarzy na lądzie, w wodzie przypomina delfina, zapuszcza się na wielkie głębokości. Po długich namowach powiedział nam, że pewnego razu zszedł w normalnym mokrym kombinezonie na głębokość 60 metrów, aby uwolnić zahaczoną kotwicę statku.

Aratake wymarzył sobie, że zbada każdy cal kwadratowy wybrzeża Yonaguni. W 1987 roku, wcielając ten zamiar w życie, nurkował przy południowo-wschodnim wybrzeżu wyspy, w pobliżu targanego wiatrami przylądka Arakawa Bana.

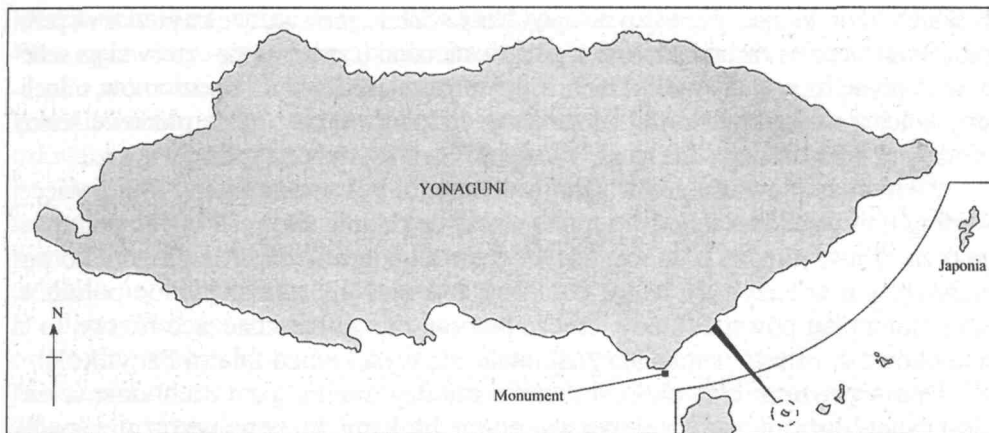
Powiedział nam, że miał nadzieję znaleźć w tych niespokojnych wodach inne żerowisko rekinów-młotów. Odkrył jednak coś zupełnie innego – coś, czemu niektórzy naukowcy przypisują ogromne znaczenie historyczne. Odkrycie to sprawiło, że – jak wspomina – dostał niezwyklej gęskiej skórki na obu ramionach.

To, co znalazł Aratake, sprawiło wrażenie konstrukcji wykonanej rękami ludzkimi – wykutych w litej skale na głębokości 27 metrów kształtów. Mający ponad 200 metrów monument wznosi się wdzięcznie szeregiem przypominających piramidę stopni ku szczytowej platformie, zaledwie 5 metrów pod powierzchnią wody.

W 1996 roku przeczytaliśmy o tym obiekcie w naukowym artykule napisanym przez profesora Masaaki Kimurę, wybitnego japońskiego geologa z Uniwersytetu Ryukyu na Okinawie. Kimura dokładnie studiował ten monument, setki razy nurkując tam w ciągu prowadzonych przez wiele lat prac badawczych. Wbrew opinii wielu przeciwników



Mapa Yonaguni



Położenie Yonaguni na Zwrotniku Raka około 9900-9000 roku p.n.e.

ze środowiska naukowego, uparcie twierdzi on, że monument jest dziełem człowieka.

Nasze zainteresowanie rosło i w marcu 1997 roku odbyliśmy naszą pierwszą podróż na Yonaguni...

Megality i platformy

Początkowo, gdy zanurzyliśmy się w falach, było wiele zamieszania, hałas, strumienie pęcherzyków powietrza. Potem powoli wszystko się uspokajało, aż w końcu unosiliśmy się w błękitnej przestrzeni, przepływając nad krawędziami stromych klifów, zanurzając się w podmorskich wąwozach i zapadając w mrocznej głębi.

Dno morza pod nami, opadające w kierunku południowym, było usiane głazami i koralowcami. Nie wyglądało na to, by tworzyły one jakiś sensowny układ. I wtedy nagle, na głębokości 20 metrów, natknęliśmy się na dwa monolityczne bloki – ważące chyba po 20 ton – stojące równoległe do siebie, sięgające niemal powierzchni. Podobnie jak sarsenowe bloki w Stonehenge w Anglii, sprawiały wrażenie celowo wyciętych i ustawionych.

Silny nurt przepływający wokół megalitów zniósł nas na wschód, wzdłuż idealnie pionowej i prostej ściany. Mocno pracując płetwami, popłynęliśmy w górę tej ściany, docierając w końcu na rozległą płaszczyznę, 12 metrów pod powierzchnią wody. Tutaj woda była spokojniejsza i chwytając się skał i koralu, mogliśmy się dokładnie rozejrzeć.

We wszystkich kierunkach rozciągała się kamienna platforma, w której były jakby wykute ludzkimi rękoma trójkątne i romboidalne formy ze stopniami i terasami, prowadzącymi w dół, na niższe poziomy i w górę, na wyższe. Na wschodnim krańcu platformy znaleźliśmy prosty kanał, szeroki na mniej więcej 3/4 i głęboki na 1/2 metra, biegnący przez jakieś osiem metrów w wypukłej plincie. Pośrodku monumentu

w skale wykute są cztery terasy o niezwykłym kształcie, prowadzące ku punktowi przesuniętemu nieco na zachód od środka, gdzie w narożniku znajdują się cztery ciągi schodów. Popłynęliśmy w dół wzdłuż nich, zatrzymując się na każdym z poziomów, minęliśmy kolejną rozległą platformę i dotarliśmy do krańca terasy, gdzie pionowe ściany opadały aż do morskiego dna na głębokości 27 metrów, tworząc rodzaj wąwozu.

Zwróciliśmy uwagę, że ów skraj monumentu był zorientowany mniej więcej według linii wschód-zachód – a może nawet dokładnie tak, jeśli wziąć pod uwagę rozbieżność między północą magnetyczną a geograficzną. Ale główny korpus budowli, jak wskazywały nasze kompasy, był ułożony na osi północ-południe. Jeśli monument powstał, kiedy jeszcze poziom morza był znacząco niższy, to ta schodkowa konstrukcja musiała znajdować się wysoko nad falami Pacyfiku.

Dno wąwozu mierzy około 4 metrów między wschodnią a zachodnią ścianą i jest usiane dużymi, jakby celowo wykutymi, blokami, które najwyraźniej spadły z góry. Kiedy spłynęliśmy na dno, okazało się, że jeden z tych bloków leży na szczycie spiralnych schodów wznoszących się nad okrągłym basenem. Dalej na zachód znaleźliśmy szereg prostokątnych nisz wykutych w regularnych odstępach u podstawy północnej ściany.

Światło, przefiltrowane przez zachmurzone niebo i przez morską wodę pełną planktonu, na głębokości 27 metrów stwarza nastrój katedralnego mroku. W takich warunkach, na dnie wąwozu, trudno było wyrobić sobie pojęcie o tajemniczej konstrukcji – o ile rzeczywiście jest to konstrukcja – która majaczyła przed nami.

Profesor Kimura postawił na szali całą swoją naukową reputację, twierdząc, że jest to budowla. Sugeruje, że może ona być związana celowo założonym geodezyjnym trójkątem z sanktuarium na szczycie najwyższej góry Yonaguni, położonej na północny zachód, i z innym punktem przy wschodnim wybrzeżu, gdzie – jak sądzi – prawdopodobnie powinny się znajdować kolejne zatopione ruiny. Jego hipoteza opiera się na potwierdzonym geologicznie fakcie, iż 9000 lat temu łańcuch wysp Okinawa stanowił wąski, lecz ciągły półwysep połączony z chińskim lądem. Podnoszący się poziom oceanów pod koniec ostatniej epoki lodowcowej sprawił, że półwysep niemal zupełnie zniknął pod wodą i pozostały z niego tylko najwyższe, rozproszone fragmenty.

Yonaguni jest jednym z takich fragmentów, a jeśli Kimura ma rację i podwodna konstrukcja rzeczywiście została wykonana przez człowieka, to historię należy napisać na nowo. Z drugiej strony wielu ekspertów podważało jego opinię, twierdząc, że monument musi być formacją naturalną, ponieważ wiadomo, że na świecie 9000 lat temu nie istniała żadna cywilizacja dysponująca technologią i organizacją, które pozwoliłyby stworzyć taki cud.

Schoch i West

Mając nadzieję rozwiązać ten problem raz na zawsze, we wrześniu 1997 roku wróciliśmy na wyspę z profesorem Robertem Schochem, geologiem z Boston University, którego badania zapoczątkowały międzynarodową dyskusję na temat wieku

Sfinksa (porównaj część druga). W podróży tej towarzyszył nam też John Anthony West, egiptolog, który zachęcił Schocha do podjęcia studiów nad Sfinksem.

Po obejrzeniu filmu przedstawiającego monumenty Yonaguni obaj byli przekonani, zanim jeszcze pierwszy raz zanurkowali, że konstrukcja ta jest dziełem człowieka. Jednak po zobaczeniu jej na własne oczy zaczęli w to powątpiewać.

Po pierwszym zanurzeniu Schoch oznajmił, że nie jest w stanie wydać ostatecznej opinii. „Jeśli znalazłbym się tylko w jednej odizolowanej jego części, uznałbym, że to naturalna formacja skalna – powiedział – ale kiedy stałem, patrząc na całość w jej kontekście, byłem bardziej skłonny uznać to za dzieło człowieka”.

John West był równie niezdecydowany. „Sądziłem, że cała ta sprawa okaże się ostateczną bronią, która dowiedzie istnienia zaginionej cywilizacji – narzekał – ale to okazało się bardziej niejednoznaczne. Niektóre fragmenty rzeczywiście wyglądają, jakby zostały wykute. Inne sprawiają wrażenie całkowicie naturalnych”.

„A może tak jest rzeczywiście – sugerowaliśmy – może mamy do czynienia z kultem religijnym, który dostrzegał symboliczne znaczenie naturalnych regularności i linii pęknięć w miejscowej skale i postanowił podkreślić te elementy w artystyczny sposób”.

Pod koniec naszego trzydniowego pobytu na Yonaguni, po wielu godzinach spędzonych pod wodą, Schoch nabrał mocniejszego przekonania, że monument musi być naturalną formacją: „Moim zdaniem powstanie tej struktury można wyjaśnić jako wynik naturalnych procesów (...), geologia mułowców i piaskowców z obszaru Yonaguni w połączeniu z działaniem fal i prądów na niższych poziomach morza w ciągu minionych tysiącleci mogły utworzyć ten monument 9000-10 000 lat temu.

Dowody Kimury

Po opuszczeniu Yonaguni udaliśmy się na Okinawę, na spotkanie z profesorem Masaaki Kimurą, japońskim geologiem z Uniwersytetu Ryukyu, który twierdzi, że monument jest dziełem człowieka. Opinia Kimury jest poparta wieloma mocnymi dowodami, które przedstawił Schochowi na fotografiach i rysunkach. Na przykład:

1. Bloki odkute w czasie kształtowania monumentu nie leżą w miejscach, gdzie powinny spaść, jeśli w grę wchodziłaby tylko grawitacja i inne czynniki naturalne. Sprawiają wrażenie, jakby zostały celowo zgromadzone w jednym miejscu, a niekiedy zupełnie usunięte.
2. Na stosunkowo niewielkich obszarach monumentu można znaleźć wiele kontrastujących ze sobą elementów: na przykład wzniesione krawędzie, dwumetrowej głębokości okrągłe jamy, regularne, geometryczne, schodkowe depresje i doskonale proste wąskie rowy. Jeśli monument ukształtowałyby tylko naturalne czynniki, to należałoby się spodziewać, że działałyby one w taki sam sposób w obrębie jednej formacji skalnej w określonym miejscu. Fakt, że można zaobserwować taką różnorodność, jest zatem mocnym argumentem na korzyść sztucznego pochodzenia.

3. Na wyższych poziomach monumentu jest wiele obszarów, które dość stromo opadają na południe. Kimura wskazuje, że na północnych ścianach tych obszarów znajdują się głębokie symetryczne rowy, które nie mogły powstać w wyniku żadnego znanego naturalnego procesu.
4. Ciąg regularnych schodów wznosi się po południowej stronie monumentu od podstawy, na głębokości 27 metrów, aż do szczytu, niecałe 6 metrów pod powierzchnią wody. Podobne schody znajdują się po północnej stronie monumentu.
5. Wyraźny „mur” zamyka zachodnią stronę monumentu. Jego istnienie trudno wyjaśnić jako wynik działania czynników naturalnych, ponieważ składa się on z wapiennych bloków nie występujących na Yonaguni.
6. Wokół zachodniej i południowej strony monumentu biegnie coś, co wygląda na ceremonialną drogę.

„Po spotkaniu z profesorem Kimurą – opowiadał później Schoch – nie mogę całkowicie wykluczyć możliwości, że monument na Yonaguni został przynajmniej częściowo ukształtowany i zmodyfikowany przez człowieka. Profesor Kimura zwrócił mi uwagę na szereg elementów, których nie widziałem w czasie mojej pierwszej krótkiej podróży (...). Jeśli będę miał okazję ponownie odwiedzić Yonaguni, to chciałbym zbadać przede wszystkim te właśnie obszary”.

Na pozór wydaje się niewiarygodne, że naukowcy nie są w stanie ustalić, czy obiekt jest naturalną formacją, czy też został wykuty w skale przez człowieka. Ale, jak nam powiedział sam Schoch, podobne sytuacje miały miejsce już wcześniej. Na przykład kiedy w XIX wieku wiktoriańscy geolodzy zaczęli wykopywać kamienne siekiery, groty strzał i krzemienne noże, większość z nich początkowo wierzyła, że są to obiekty całkowicie naturalne. Dopiero po kilkudziesięciu latach wszyscy zgodzili się co do tego, że były to narzędzia, wykonane i używane przez ludzi.

Z dokładnie tego samego typu problemem – tym razem dotyczącym nie tradycji wytwarzania narzędzi, lecz nieznannej tradycji architektonicznej – możemy mieć do czynienia w przypadku akademickiego zamieszania wokół podwodnego monumentu na Yonaguni. Dlatego badający go naukowcy powinni wziąć pod uwagę wszystkie jego znane i dające się zaobserwować elementy.

Ślady palców astronomów

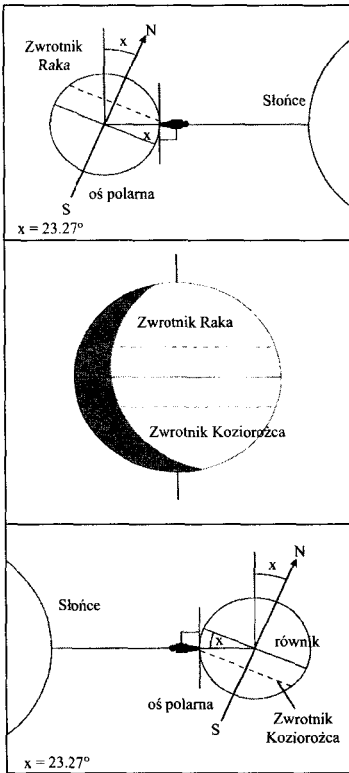
Naszym zdaniem duże znaczenie może mieć fakt, że wiele elementów monumentu zostałyby bez wahania zidentyfikowanych jako astronomiczne, gdyby znajdował się nad wodą. Jest on zorientowany na południe, w stronę południka, i ma potężny rów biegnący na linii wschód-zachód, wycelowany w punkty wschodu i zachodu Słońca w dniach wiosennej i jesiennej równonocy. Jest też położony w miejscu „nieprzypadkowym” z astronomicznego punktu widzenia – 24 stopnie i 27 minut na północ od równika, czyli dokładnie jeden stopień na północ od kropkowanej linii na współczesnych mapach i globusach, opisanej jako „Zwrotnik Raka”.

Zwrotniki istnieją, ponieważ Ziemia nie wiruje wokół osi ustawionej prostopadle w stosunku do płaszczyzny swojej orbity wokół Słońca. Jej oś jest nachylna od pionu o kąt, który obecnie wynosi 23 stopnie i 27 minut. Szczególnie istotną dla astronomów konsekwencją tego faktu jest to, że „równik niebieski”, czyli przedłużenie w przestrzeń kosmiczną geograficznego równika Ziemi, przecina ekliptykę pod dokładnie tym samym kątem 23 stopni i 27 minut. W technicznej terminologii ten kąt nazywa się „nachyleniem ekliptyki”. Na każdej szerokości geograficznej określa on skrajne północne i południowe pozycje na horyzoncie, w których Słońce wschodzi w ciągu roku. Określa on też położenie zwrotników. W naszej epoce leżą one dokładnie 23 stopnie i 27 minut na północ i na południe od geograficznego równika Ziemi – na szerokości geograficznej, odpowiadającej skrajnej północnej i południowej deklinacji ekliptyki w stosunku do równika niebieskiego”.

Określenie to brzmi nieco niezrozumiale, lecz efekty są proste:

1. Słońce osiąga swoją „skrajną północną deklinację” 21 czerwca, w dniu letniego przesilenia na półkuli północnej. Wówczas Ziemia jest w takim punkcie swojej orbity, kiedy północny kraniec jej osi polarnej (odchylonej od pionu pod kątem 23 stopni i 27 minut) znajduje się najbliżej Słońca. Na 23 stopniach i 27 minutach północnej szerokości geograficznej – gdzie obecnie jest Zwrotnik Raka – promienie słoneczne w dniu czerwcowego przesilenia padają w południe dokładnie prostopadle (porównaj diagram), nie dając cienia, a Słońce widoczne jest pod kątem 90 stopni prosto nad głową obserwatora.
2. Słońce osiąga swoją „skrajną południową deklinację” 21 grudnia, w dniu zimowego przesilenia na półkuli północnej. Wówczas Ziemia jest w takim punkcie swojej orbity, kiedy południowy kraniec jej osi polarnej (odchylonej od pionu pod kątem 23 stopni i 27 minut) znajduje się najbliżej Słońca. Na 23 stopniach i 27 minutach południowej szerokości geograficznej – gdzie obecnie jest Zwrotnik Koziorożca – promienie słoneczne w dniu czerwcowego przesilenia padają w południe dokładnie prostopadle (porównaj diagram), nie dając cienia, a Słońce widoczne jest pod kątem 90 stopni prosto nad głową obserwatora.

Precesyjne „chybotanie” osi ziemskiej powoduje powolną zmianę gwiazdnego tła, na którym Słońce wschodzi w danym dniu roku. Północny zwrotnik nosi nazwę Zwrotnika Raka, ponieważ w czasach, kiedy podobno po raz pierwszy astronomowie zaobserwowali i odnotowali to zjawisko – około 2000 lat temu – Słońce w dniu letniego przesilenia wschodziło na tle konstelacji Raka. Południowy zwrotnik nosi nazwę Koziorożca z tego samego powodu: 2000 lat temu w dniu grudniowego przesilenia Słońce wschodziło na tle gwiazdozbioru Koziorożca. Jednak w wyniku działania precesji Rak i Koziorożec nie są już dzisiaj gwiazdozbiórmi przesileniowymi. Mówiąc dokładnie, ponieważ w obecnej epoce Słońce wschodzi w dniu letniego przesilenia w Bliźniętach, a w dniu zimowego przesilenia w Strzelcu, Zwrotnik Raka



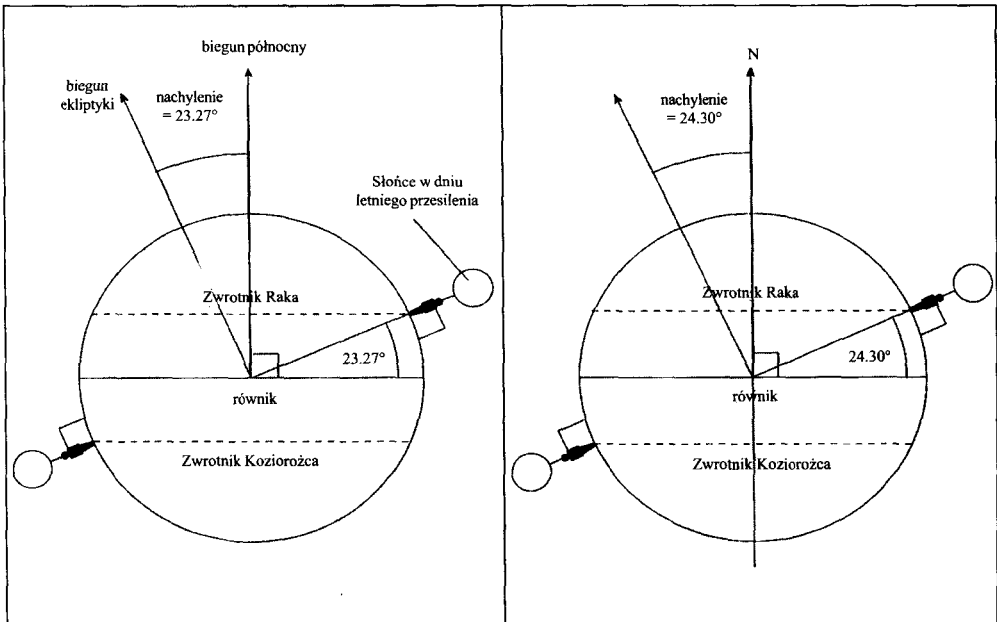
U góry: Powstawanie zwrotników

U dołu: Wpływ nachylenia osi ziemskiej na położenie zwrotników

powinien się właściwie nazywać dzisiaj Zwrotnikiem Bliźniąt, a Zwrotnik Koziorożca – Zwrotnikiem Strzelca. Co więcej, konstelacje przesileniowe będą się nadal zmieniać w wyniku zjawiska precesji: za niecałe tysiąc lat Słońce będzie w czerwcu wschodziło w Byku, zaś w grudniu w Skorpionie.

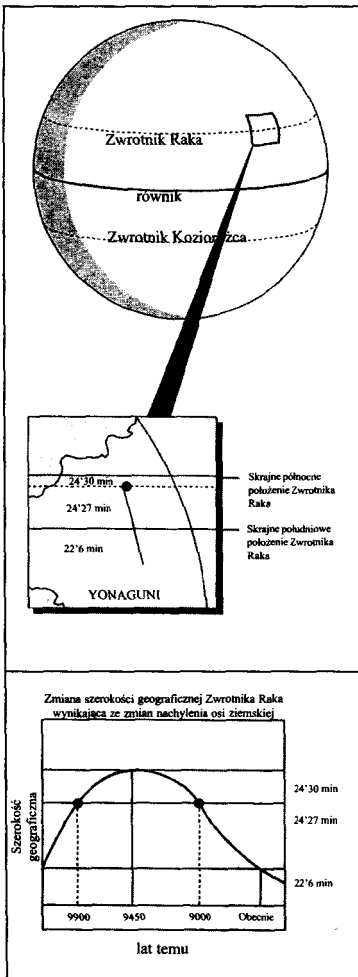
Precesja nie ma żadnego wpływu na skrajne północne i południowe położenie punktu wschodu Słońca na horyzoncie w ciągu roku ani nie ma żadnego wpływu na geograficzne położenie zwrotników. Na te współrzędne mają wpływ – i to znaczny w długich odcinkach czasu – drobne, lecz kumulujące się zmiany kąta nachylenia osi ziemskiej, które zostały wykryte za pomocą współczesnych instrumentów. Drobiazgowo obserwacje opublikowane w czasopiśmie „Science” i „Astronomy and Astrophysics” potwierdziły, że kąt ten nie jest stały. Obecnie wynosi on 23 stopnie i 27 minut, lecz może się on zmieniać, od minimalnej wartości 22 stopni i 6 minut do maksymalnej 24 stopni i 30 minut.

Astronomowie zastrzegają, że tempo zmian kąta nachylenia osi ziemskiej może nie być stałe, ale przez ostatnie 4000 lat:



nachylenie ekliptyki stopniowo się zwiększało (...) w tempie około 40 sekund kątowych na sto lat (...). W ten sposób nachylenie ekliptyki wzrosło od 2000 roku p.n.e. do dzisiaj o prawie pół stopnia, dostatecznie dużo, by zauważalnie zmienił się azymut punktów wschodu i zachodu Słońca.

Z tego samego powodu w tym samym okresie 4000 lat zmieniała się również o pół stopnia szerokość geograficzna zwrotników, osiągając obecną wartość 23 stopni i 27 minut odpowiednio na południe od równika w przypadku Zwrotnika Koziorożca i na północ od równika w przypadku Zwrotnika Raka. Wynika stąd, że w jakimś momencie w przeszłości Zwrotnik Raka musiał się znajdować 24 stopni i 30 minut na północ od równika (maksymalne nachylenie), a w jakimś momencie w przyszłości znajdzie się 22 stopnie i 6 minut na północ od równika (minimalne nachylenie). A zatem musiały być czasy, kiedy monument na Yonaguni, leżący na szerokości północnej 24 stopni i 27 minut, znajdował się dokładnie na Zwrotniku Raka – i możemy obliczyć, kiedy miało to miejsce.



Położenie Yonaguni na Zwrotniku Raka w latach 9900-9000 p.n.e.

Przypuszczalna data

Do tego rodzaju obliczeń zachęcają wyraźne astronomiczne cechy monumentu, a wobec braku jakichkolwiek danych geologicznych mogą one okazać się cenną pomocą przy ustaleniu daty jego powstania. Ponadto, jeśli zaakceptujemy obecne tempo zmian nachylenia osi ziemskiej – 40 sekund kątowych na sto lat – to znajdziemy się – i niekoniecznie przypadkowo – na dobrze znanym terytorium numerycznym.

Różnica między skrajnymi nachyleniami osi ziemskiej – 24 stopnie i 30 minut a 22 stopnie i 6 minut – wynosi 2 stopnie i 24 minuty. Każdy stopień dzieli się na 60 minut kątowych. Zatem 2 stopnie i 24 minuty odpowiadają 144 minutom kątowym – z których każda dzieli się z kolei na 60 sekund kątowych, dając w sumie 8640 sekund (144 x 60).

Jeśli podzielimy owe 8640 sekund przez 40 (ponieważ o 40 sekund na sto lat zmienia się nachylenie osi ziemskiej), odkryjemy, że 216 wieków – 21 600 lat – trwa przejście osi od minimalnego do maksymalnego kąta. Stąd wynika, że kolejne 21 600 lat musi minąć, zanim oś ziemska wróci z maksimum do minimum.

Wiemy, że obecnie kąt nachylenia osi ziemskiej wynosi 23 stopnie i 27 minut, że maleje i maksymalna wartość tego cyklu wynosi 24 stopnie i 30 minut. Ponieważ ostatnie maksimum zostało zarejestrowane, wiadomo, że nachylenie zmniejszyło się o 1 stopień i 3 minuty – czyli 63 minuty, czyli 3780 sekund. Na podstawie przyjętej wartości tempa zmian nachylenia osi – 40 sekund kątowych na sto lat – możemy obliczyć, że ostatni okres maksymalnego nachylenia osi ziemskiej musiał mieć miejsce 94,5 wieku temu (3780 podzielone na 40 = 94,5) czyli przed 9450 latami.

Ponieważ szerokość geograficzna Yonaguni (24 stopnie i 27 minut) jest o 3 minuty mniejsza od wartości maksymalnej (24 stopnie i 30 minut), możemy łatwo obliczyć, kiedy monument znajdował się dokładnie na Zwrotniku Raka: 3 minuty = 180 sekund, zmiana kąta, która przy tempie 40 sekund na sto lat musiała trwać 450 lat. Jeśli rzeczywiście nachylenie osi miało maksymalną wartość 9450 lat temu, to kąt 24 stopni i 27 minut – a co za tym idzie położenie Zwrotnika na szerokości geograficznej Yonaguni – odpowiada 9000 lat temu. Zwrotnik znajdował się na tej samej szerokości geograficznej również 900 lat wcześniej, pod koniec poprzedniej połowy cyklu (to znaczy wtedy, kiedy kąt nachylenia wzrastał ku maksymalnej wartości).

Zatem studia astronomiczne wskazują, że podwodny monument na Yonaguni najprawdopodobniej został zbudowany – a więc musiał stać na suchym lądzie – między 9900 a 9000 lat temu. Jak czytelnik zapewne pamięta, geolodzy twierdzą, że w tej samej epoce monument znajdował się nad powierzchnią morza.

Sieć?

Załóżmy, że w czasach prehistorycznych nieznanymi nawigatorzy i architektki założyli siatkę wyznaczającą zwrotniki, nadającą Ziemi długości i szerokości geograficzne i wiążącą niebo z ziemią w oparciu o „precesyjną” sekwencję liczb: 54, 72, 108, 144, 180, 216 itd. Taką siatkę oczywiście zniszczyłyby wielkie zmiany zachodzące na Ziemi, takie jak podniesienie się poziomu mórz czy zatapianie lądów. Jeśli zmiany byłyby poważne, to konieczne byłoby zrekonstruowanie – lub zbudowanie na nowo w najbliższych dogodnych miejscach – obiektów służących do wyznaczania tej siatki.

Z pewnością musi się wydać zastanawiające, że według najnowszych naukowych ustaleń połowa cyklu nachylenia osi ziemskiej trwa 216 wieków (21 600 lat) – liczba ta z pewnością byłaby bardzo interesująca dla starożytnych astronomów wierzących, że wielkie zmiany w niebiosach muszą mieć swój odpowiednik czy też kopię na Ziemi. Zastanawiające są też geodezyjne zależności między Gizą a Angkorem, oddalonymi od siebie o 72 stopnie długości geograficznej, oraz między Angkorem a Pohnpei, oddalonymi o 54 stopnie. Co jeszcze ciekawsze, jeśli spojrzymy na Pacyfik, zauważymy, że 72 stopnie na wschód od Angkoru (a zatem 144 stopnie na wschód od Gizy) znajdują się wyspy Kiribati, zaś 108 stopni na wschód od Angkoru (180 stopni na wschód od Gizy) – Tahiti, gdzie również odkryto tajemnicze, astronomicznie zorientowane megalityczne budowle. Czy można

uznać za dzieło przypadku, że wiele z tych budowli ma związek z religijnymi wierzeniami dotyczącymi pośmiertnej podróży duszy – z ideami niezmiernie podobnymi do tych, które zostały wyrażone w wielkich piramidach i świątyniach Egiptu oraz w hieroglificznych tekstach *Księgi Umarłych*?

Precyzyjnie opracowane megality na Pacyfiku znajdują się nie tylko na Pohnpei, Kiribati i Tahiti, ale także na Tonga, Samoa, Markizach i wyspie Pitcairn, których długość geograficzna nie wydaje się być „precesyjnie” związana z Angkorem i Gizą. Największe skupisko takich megalitów znajduje się jednak na Wyspie Wielkanocnej, która przy obecnym poziomie morza leży najbliżej, jak to jest możliwe, od linii 144 stopni na wschód od Angkoru.

Zanim została odkryta w niedzielę wielkanocną 1722 roku przez dwa holenderskie statki dowodzone przez admirała Jacoba Roggeveena, wyspa była nazywana przez tubylców Te-Pito-O-Te-Henua, „Pępkiem świata” lub Mata-Ki-Te-Rani, „Oczami patrzącymi w niebo”. Jak przekonamy się w następnych rozdziałach, nazwy te zawierają ważne wskazówki na temat tajemnicy tej położonej na końcu świata wyspy.

Wyspa czarowników

Wyspa Wielkanocna, nazywana przez jej mieszkańców Te-Pito-O-Te-Henua, „Pępkiem świata” lub Mata-Ki-Te-Rani, „Oczami patrzącymi w niebo”, leży 27 stopni i 7 minut na południe od równika oraz 109 stopni i 22 minuty na zachód od południka Greenwich. Przy takich współrzędnych znajduje się ona niewiele ponad 147 stopni na wschód od wielkiego kompleksu świątynnego Angkor w Kambodży. Ponieważ na ogromnej przestrzeni Pacyfiku w promieniu 3000 kilometrów wokół wyspy nie ma żadnych innych nadających się do zamieszkania lądów, leży ona najbliżej, jak to jest możliwe – przy obecnym poziomie morza – magicznej precesyjnej wartości 144 stopni na wschód od południka Angkoru. Ponadto wyspa jest częścią potężnego podwodnego wypiętrzenia, zwanego Grzbietem Wschodniopacyficznym, który w wielu miejscach sięga niemal do powierzchni oceanu. 12 000 lat temu, kiedy jeszcze nie roztopiły się wielkie czapy lodowe ostatniego zlodowacenia, poziom morza był o 100 metrów niższy niż obecnie. Grzbiet tworzył łańcuch małych, stromych skalistych wysepek, długością dorównujący łańcuchowi Andów. Jedyne połączenie w tym ciągu osobnych wysepek rozciągało się około 300 kilometrów na zachód od szczytu później nazwanego Te-Pito-O-Te-Henua i sięgało aż do punktu na oceanie położonego dokładnie 177 stopnie na wschód od Angkoru. Czy jest możliwe, że w zamierzchłej prehistorii w tym geodezyjnym centrum znajdowała się jakaś świątynia lub obserwatorium astronomiczne, później zatopione przez podnoszący się poziom wód?

Do takich spekulacji zachęca fakt, że kiedy amerykański okręt podwodny „Nautilus” odbywał swą podróż dookoła świata w 1958 roku, naukowcy na jego pokładzie „zwrócili uwagę na niezwykle wysoki i dotąd nie zidentyfikowany podmorski szczyt w pobliżu Wyspy Wielkanocnej”. Profesor H. W. Menard z instytutu zasobów morskich Uniwersytetu Kalifornijskiego zidentyfikował „ważną strefę pęknięć w sąsiedztwie Wyspy Wielkanocnej, strefę odpowiadającą tej, która znajduje się w archipelagu Markizów” oraz „wielki brzeg lub krawędź osadów”. Nie ulega też wątpliwości – i trudno mówić tu o przypadku – że według najstarszych

miejscowych legend Wyspa Wielkanocna była niegdyś częścią „większego kraju”. Legendy te zawierają interesujące i niekiedy sprzeczne elementy, ale wszystkie są zgodne co do tego, że w najdawniejszej mitycznej przeszłości:

potężna nadludzka istota imieniem Uoke, która przybyła z miejsca zwanego Hiva (...), podróżowała po Pacyfiku z ogromnym lewarem, którym podwalała całe wyspy i ciskała je do morza, gdzie niknęły w falach. Po zniszczeniu wielu wysp Uoke dotarł w końcu do Te-Pito-O-Te-Henua, która wówczas była lądem znacznie większym niż dzisiaj. Zaczął podwalać jej fragmenty i wrzucać do morza, ale skały wyspy były zbyt twarde dla lewara Uoke, który się zламаł. Uoke nie mógł już obalić ostatniego fragmentu i ten pozostał na swoim miejscu do dzisiaj.

Inne legendy z Wyspy Wielkanocnej mówią nam więcej o „Hiva”, tajemniczym kraju, z którego miał podobno pochodzić Uoke. Dowiadujemy się, że była to niegdyś wielka i wspaniała wyspa, którą jednak nawiedził tragiczny kataklizm i „pograżyła się w morzu”. Wtedy 300 ocalałych jej mieszkańców wyruszyło w dwóch ogromnych oceanicznych kanoe na Te-Pito-O-Te-Henua, w magiczny sposób zdobywszy wiedzę o istnieniu wyspy i o tym, jak do niej doплыnąć, posługując się gwiazdami.

Magia i geodezja

Zarówno w Angkorze, jak i na Pohnpei przybycie i objęcie władzy przez boskiego króla (Jayavarmana II w przypadku Kambodży oraz braci Olosopa i Olosipa na Pohnpei) organizował uczony człowiek nazywany „magiem”. I do Angkoru, i na Pohnpei boscy królowie mieli przybyć łodziami z odległego kraju. Zarówno w Angkorze, jak i na Pohnpei położenie świętego miasta zostało wybrane – a może lepiej byłoby powiedzieć „na nowo odkryte” – w wyniku „geodezyjnej prospekcji”, kiedy to monarcha odbywał wielką podróż wokół swej przyszłej stolicy, okrążając ją w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara.

Od samego początku swojej niezwyklej historii aż do pierwszego kontaktu z cywilizacją Zachodu w XVIII wieku Wyspa Wielkanocna była rządzona przez dynastię boskich królów.

Założycielem dynastii był Hotu Matua, dowódca dwóch wielkich kanoe z ocalałymi z Hiva, którzy wyruszyli w podróż po zatonięciu wyspy. Legendy Wyspy Wielkanocnej mówią nam, że owemu królowi, którego imię znaczy „płodny ojciec”, towarzyszyła królowa Ava-Reipua, a jego doradcą był niejaki Hua Maka, mag, który przepowiedział zatopienie Hiva i odbył pozacielesną podróż, w czasie której znalazł Te-Pito-O-Te-Henua jako miejsce ucieczki:

Hua Maka miał sen, w którym jego duch wędrował po całej wyspie (...). Po obejrzeniu wszystkich zatok (...) duch zatrzymał się w Anakena [na północno-

-wschodnim wybrzeżu] i wykrzyknął: „To jest to miejsce i to jest ta wielka zatoka, gdzie król Hotu Matua przybędzie i będzie żył”.

Po magicznej wizji Hua Maki wyspę fizycznie zbadało siedmiu „mędrców” – królewskich synów, wtajemniczonych adeptów – którzy „przyłynęli z Hiva w jednym kanoe”. Ich misja polegała na „otwarciu drogi” dla Hotu Matuy i przygotowaniu wyspy do zamieszkania.

Nie możemy zapominać, że również starożytny Egipt miał swoich „Siedmiu Mędrców”, którzy przybyli do doliny Nilu z odległej wyspy – „Ojczyzny Pierwotnych” – zniszczonej przez potop (porównaj część druga). Inskrypcje z Edfu, niekiedy nazywające ich „bogami-budowniczymi”, nie pozostawiają cienia wątpliwości, że najważniejszym zadaniem mędrców było wzniesienie „świętych wzgórz” w kluczowych miejscach całego kraju w celu doprowadzenia w dalszej perspektywie do „wskreszenia” ich zniszczonego „dawnego świata”. Czy możemy więc uznać za dzieło przypadku, iż pierwszym zadaniem siedmiu wtajemniczonych mężów z Hiva po przybyciu na Wyspę Wielkanocną było zbudowanie „kamiennych wzgórz”?

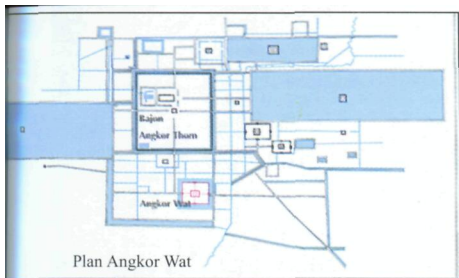
Dopiero kiedy owe wzgórza były gotowe, na horyzoncie pojawiły się kanoe wiozące Hotu Matuę i pozostałych uciekinierów z Hiva. Zanim jednak osadnicy mogli wylądować w Anakena, z jakiegoś powodu musieli okrążyć wyspę, jakby odprawiając rodzaj rytuału:

Następnie dwa kanoe rozdzieliły się. Łódź Hotu Matuy wyruszyła wokół wyspy na wschód [zgodnie z ruchem wskazówek zegara], zaś królowa Ava-Reipua popłynęła wokół niej na zachód [w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara]. Spotkali się przy wejściu do zatoki Anakena i każda z łodzi skierowała się ku jednemu z zamykających ją skalistych przylądków. Król ruszył w stronę punktu zwanego Hiro-Moko, zaś miejsce, w którym wylądowała królowa, nazywa się Hanga-Ohiro.

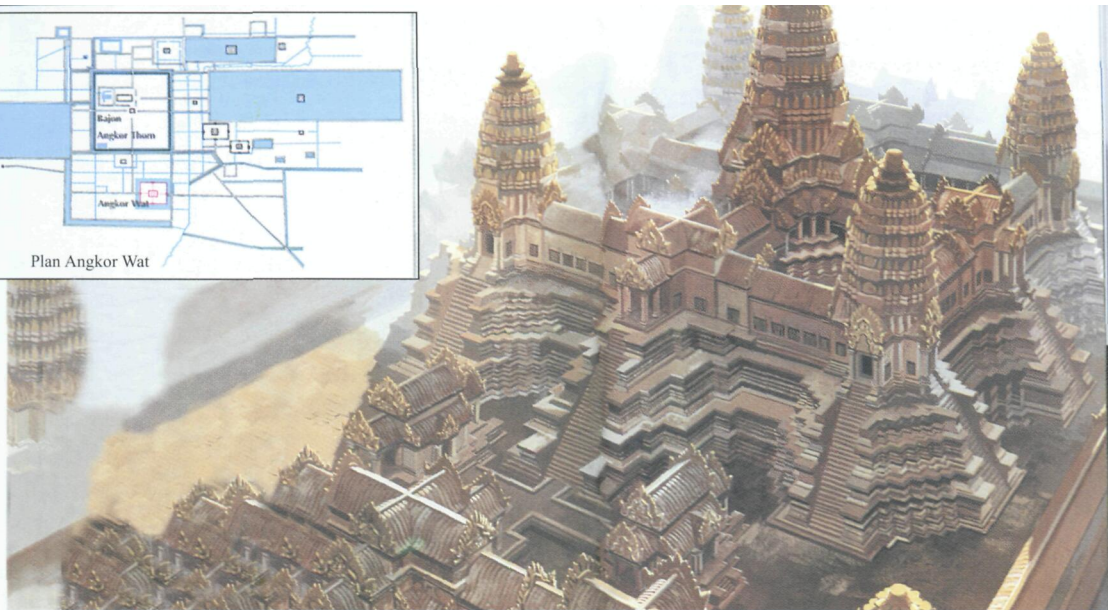
Tajemnice

Pewnego popołudnia w okolicy czerwcowego przesilenia – kiedy na południowej półkuli panuje zima – stanęliśmy na białym piasku plaży pomiędzy dwoma skalistymi przylądkami zatoki Anakena. Za nami znajdowała się Ahu Nau Nau – masywna schodkowa piramida z wielkich kamiennych bloków, zwieńczona długą platformą. Na tej platformie wznosi się siedem niezwykłych posągów, zwróconych plecami do morza; z jednego z nich zachował się tylko tors, jeden nie ma głowy, jeden jest cały, lecz z gołą głową, zaś cztery pozostałe noszą cztery gigantyczne czerwone, kamienne korony.

Niektórzy naukowcy zastanawiają się, czy tych siedem „moai” (co dosłownie znaczy „wizerunki”) przedstawia siedmiu mędrców Wyspy Wielkanocnej, którzy poprzedzili przybycie Hotu Matuy. Tego nie możemy być pewni, zwłaszcza że



Plan Angkor Wat



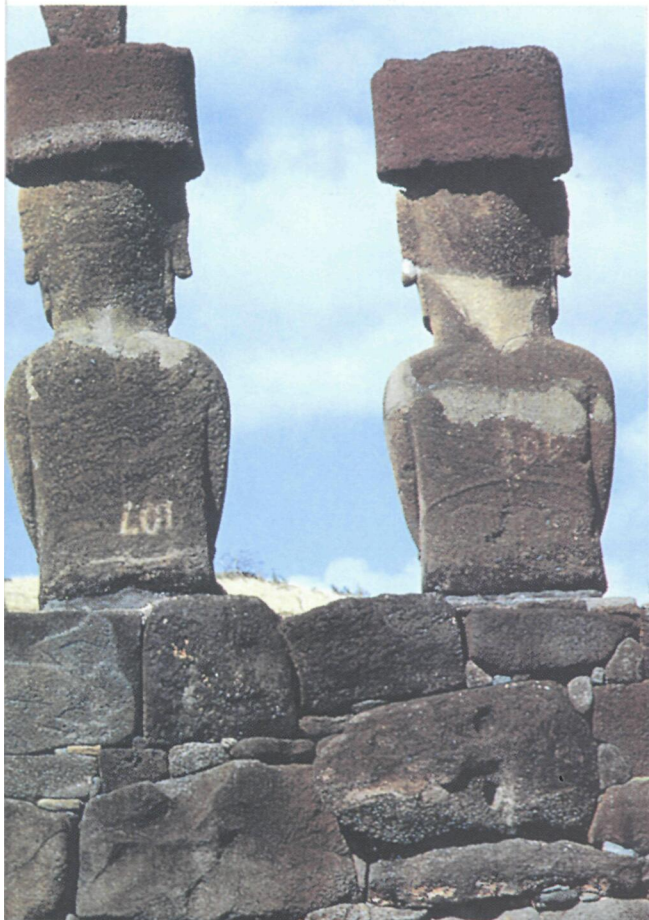
Bayon, serce Angkor Thom, jest odzwierciedleniem wszechświata. Zwieńczone jest 54 wieżami, z których każdą zdobią cztery ogromne kamienne twarze

Centralna brama i wieże Angkor Wat





Zagadka megalitycznych posągów z Wyspy Wielkanocnej i początki zaawansowanej cywilizacji, która je stworzyła, pozostają tajemnicą. Czy, jak twierdzi miejscowa tradycja, Wyspa Wielkanocna była kiedyś częścią większego lądu?



Widziane z tyłu posągi Ahu Nau Nau znad zatoki Anakena. Na ich kamiennej podstawie wyryto tajemnicze reliefy

Rongo rongo, pismo Wyspy Wielkanocnej





Krater Rano Kau na Wyspie Wielkanocnej

Precyzyjnie dopasowane kamienne bloki platformy Vinapu I na południowym wybrzeżu Wyspy Wielkanocnej są często porównywane z megalitycznymi budowlami Inków i ich poprzedników





Tytaniczne megality Sacsayhuaman w peruwiańskich Andach

Forteca Sacsayhuaman, największe i najbardziej imponujące dzieło megalitycznych budowniczych





„Kamień dwunastu kątów”, mur w Cuzco, klasyczny przykład poligonalnej konstrukcji. Precyzyjnie ociosane bloki są tak ściśle dopasowane, że nie można wsunąć pomiędzy nie noża



Nisza ze szlifowanego granitu, zachowana część kosmologicznej świątyni Coricancha



Nisza znajduje się w zewnętrznej ścianie komnaty poświęconej „Wenus, Plejadom i wszystkim gwiazdom”



Brama Słońca w Tiahuanaco. W środkowej części widoczna jest twarz boga zwrócona na wschód, w stronę wschodzących gwiazd i Księżycy



Monumentalne ściany Kalasasaya w Tiahuanaco



Postać Wirakoczy z Tiahuanaco

Świątynia Półpodziemna w Tiahuanaco. Na ścianie steli Wirakoczy znajduje się symbol węża

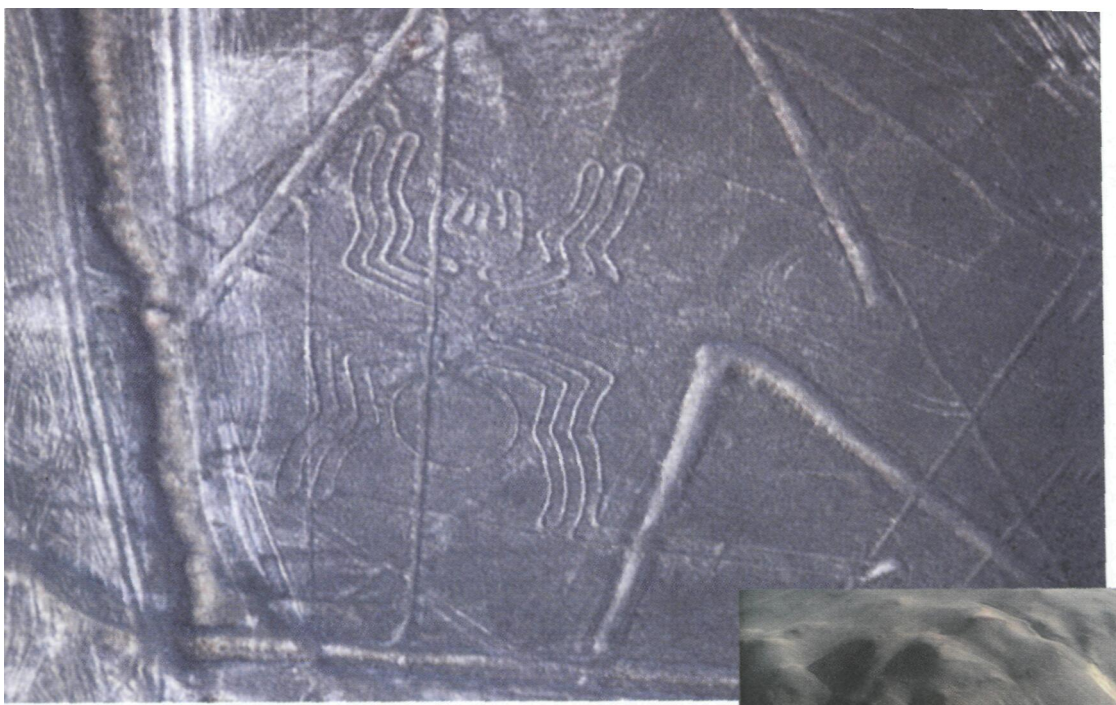




Machu Picchu zbudowane na wysokiej skale nad świętą rzeką Vilcamayu

Ollantaytambo. Mur z gigantycznych bloków wyciętych z różowego porfiru i przetransportowanych z kamieniołomów położonych wysoko w górach po drugiej stronie rzeki



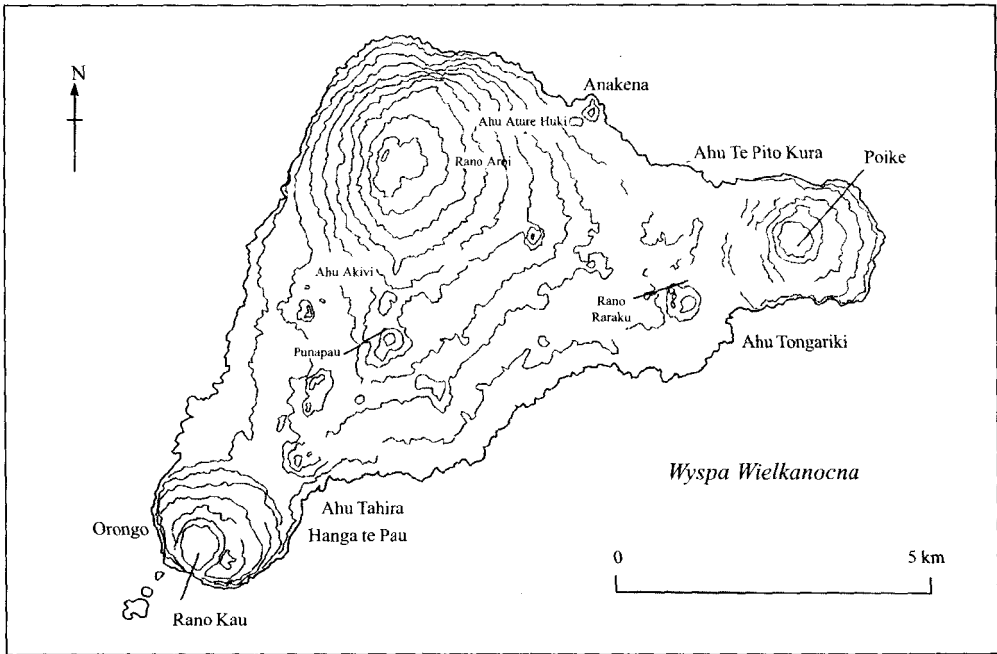


„Pająk” z Nazca, ziemskie odzwierciedlenie konstelacji Oriona

„Andyjski Kandelabr” znajduje się
180 stopni na wschód od Angkor
i 108 stopni na zachód od Giza.
Czy, jak Angkor i Giza, jest
odzwierciedleniem jakiegoś
gwiazdozbioru?

„Małpa” z Nazca jest według Marii Reiche przedstawieniem
Wielkiej Niedźwiedzicy





Mapa Wyspy Wielkanocnej

ósmego posąg, przysadzisty i dziwnie uformowany, stoi nieco z boku, w pobliżu Ahu Ature Huki. Prawdę mówiąc, nie wiemy nic pewnego na temat funkcji i znaczenia żadnego z ponad 600 wielkich posągów Wyspy Wielkanocnej. Jest to tajemnica, z którą próbowało się zmierzyć wiele pokoleń badaczy w ciągu ostatnich trzech wieków, lecz nikomu nie udało się jej ostatecznie rozwiązać.

Zagadką dotyczy zaginionego łądu – legendarnej wyspy Hiva pochłoniętej przez morze – oraz opowieści o tym, że mała grupka ludzi ocalała z kataklizmu „Iewara Uoke” i osiedliła się na skalistym szczycie wznoszącym się nad wodami, który nazwali Te-Pito-O-Te-Henua. Czy mamy uznać te opowieści tylko za wytwór fantazji? A może jest w nich ziarno prawdy?

Zagadką dotyczy też ludzi, którzy niegdyś musieli być doświadczonymi żeglarzami – gdyż tylko wytrawni nawigatorzy i marynarze mogli bezpiecznie doprowadzić swoje statki do tak odległego miejsca jak Te-Pito-O-Te-Henua.

I wreszcie dotyczy ludzi, którzy musieli mieć dobrze rozwinięte tradycje architektoniczne i budowlane, zanim przybyli na „Pepek świata” – ponieważ wielkie moai nie wykazują właściwie żadnych śladów eksperymentowania i nauki metodą prób i błędów. Przeciwnie, te wyjątkowe dzieła sztuki prezentują w pełni ukształtowany kanon, jak się wydaje – już na samym początku okresu tworzenia moai w dziejach Wyspy Wielkanocnej. Przy tym najlepiej wykonane moai są jednymi z najstarszych. To samo dotyczy masywnych kamiennych platform zwanych „Ahu”, na których stoi wiele moai: i tutaj starsze obiekty sprawiają wrażenie znacznie lepiej wykonanych niż późniejsze.

Archeolodzy uważają, prawdopodobnie słusznie, że dokładnie opracowali chronologię Wyspy Wielkanocnej na podstawie następujących danych:

- Najstarsze ślady ludzkiego osadnictwa – trzciny z grobu przy jednym z większych moai w Ahu Tepeu – zostały datowane metodą radiowęglową na rok 318 n.e.
- Kolejnym dowodem jest węgiel drzewny znaleziony w rowie na półwyspie Poike, datowany na rok 380 n.e.
- Trzecia data radiowęglowa, 690 rok n.e., została uzyskana dla innego ważnego stanowiska z posągami Moai, Ahu Tahai – z materiału organicznego prawdopodobnie pochodzącego z czasów budowy platformy.

Ahu Tahai jest zatem uważane przez archeologów za „najstarszą znaną obecnie konstrukcję tego rodzaju”. Sądzi się natomiast, że tamtejszy moai, którego nie sposób bezpośrednio poddać badaniom radiowęglowym, musiał zostać dodany znacznie później. Opinia taka ukształtowała się na podstawie faktu, że „najstarszy znany klasyczny posąg” Wyspy Wielkanocnej stoi samotnie niedaleko na północ od Tahai. „Kontekst” i badania radiowęglowe związanego z nim materiału organicznego przekonały archeologów, że ten 20-tonowy, wysoki na 5 metrów moai powstał w XII wieku n.e. Paradoksalnie jednak przyznają, że „klasyczna forma posągów była już dobrze ukształtowana” do tego czasu.

Odtąd przez mniej więcej 500 lat rzeźbiono wielkie ilości kamiennych moai, aż w końcu, około 1650 roku n.e., został ustawiony ostatni, czterometrowy posąg w Hanga Kioe. Siedemdziesiąt pięć lat później, po szeregu bratobójczych wojen między dwiema głównymi grupami etnicznymi zamieszkującymi wyspę (tak zwanymi „Długouchymi” i „Krótkouchymi”) nastąpiło tragiczne w skutkach pierwsze spotkanie dziesiątkowanej ludności wyspy z Europejczykami. Jak łatwo się domyślić, zabójstwa, porwania, polowania na niewolników oraz epidemie ospy i gruźlicy zdarzały się odtąd tak często, że w latach siedemdziesiątych XIX wieku żyło już tylko 111 rdzennych mieszkańców Wyspy Wielkanocnej. W tej garstce ocalałych nie było ani jednego przedstawiciela dziedzicznej kasty nauczycieli i wtajemniczonych adeptów, Ma’ori-Ko-Hau-Rongorongo, z których wszyscy zostali pojmani i uprowadzeni w czasie zacieklego peruwiańskiego polowania na niewolników w 1862 roku.

Hieroglify

To, co wiadomo o Ma’ori-Ko-Hau-Rongorongo, stanowi część intrygującej tajemnicy Wyspy Wielkanocnej, ponieważ słowo Ma’ori oznacza w tym kontekście „uczonego” lub „mistrza specjalnej wiedzy”.

Pierwsi z owych mistrzów Ma’ori (których nie należy mylić z Maorysami z Nowej Zelandii) mieli podobno przybyć na Wyspę Wielkanocną razem z samym Hotu Matua. Byli pisarzami, ludźmi wykształconymi. Ich zadanie polegało na recytowaniu świętych słów zapisanych na 67 drewnianych tabliczkach, które Hotu Matua



Pismo rongorongo z Wyspy
Wielkanocnej

przywiózł z Hiva. Kiedy oryginały ulegały zniszczeniu, przepisywali oni teksty na nowe tabliczki.

To nie jest mit: 24 tak zwane „tabliczki rongorongo” zachowały się do naszych czasów. Ich pełna, dawna nazwa brzmi Ko Hau Motu Mo Rongorongo, co znaczy dosłownie „linie pisma do recytacji”. Najczęściej są to płaskie drewniane deseczki, nieco zaokrąglone na brzegach, wypolerowane od długiego używania. Na deseczkach tych, w równych liniach o wysokości około centymetra, znajdują się setki różnych symboli – zwierzęta, ptaki, ryby i formy abstrakcyjne. Lingwiści sugerują, że symboli jest zbyt wiele, „by mogły tworzyć jakikolwiek alfabet fonetyczny czy sylabariusz”, i twierdzą, że musiały one tworzyć „w pełni rozwinięte pismo hieroglificzne, nieco podobne do tego, którego używano w starożytnym Egipcie czy cywilizacji Doliny Indusu”.

Uwagę zwraca szczególnie przebieg pisma na tabliczkach rongorongo, ponieważ jest to:

(...) rzadki i dziwny układ zwany „odwroconym bustrofedonem” – to znaczy, że znaki, docierając do krawędzi deseczki, zawracają „do góry nogami” do następnej linii tekstu. Oznacza to, że czytając tekst, trzeba przy każdej kolejnej linii odwracać tabliczkę o 180 stopni. Nie ulega wątpliwości, że inskrypcje te wykonali eksperci i że stanowią one w takim samym stopniu dzieło sztuki co zapis.

Ustne przekazy zebrane na Wyspie Wielkanocnej nie pozostawiają wątpliwości, że wiedza o tym, jak należy czytać i zapisywać to pismo, była przekazywana z pokolenia na pokolenie – a nawet, że uczono jej w specjalnej szkole założonej w Anakena – aż do 1862 roku, kiedy łowcy niewolników uprowadzili ostatnich Ma’ori-Ko-Hau-Rongorongo. Aż do tego czasu, kiedy złota nić tradycji Wyspy Wielkanocnej została tak brutalnie przerwana, w Anakena odbywał się też doroczny festiwal, w czasie którego „ludzie zbierali się, by słuchać odczytywania wszystkich tabliczek”.

Niektóre z krótszych recytacji przekazali europejscy i amerykańscy badacze z końca XIX wieku, lecz pisma dotąd nie udało się rozszyfrować. Wielu uczonych ogłaszało, że udało im się „złamać” kod (ostatnio w 1997 roku), ale żadne z tych twierdzeń do niczego konkretnego nie prowadziło. Prawda jest więc taka, że możemy tylko snuć domysły na temat zawartości świętych tabliczek i zastanawiać się, dlaczego tak długo przypisywano im tak wielkie znaczenie na Wyspie Wielkanocnej. Jesteśmy też zdani na domysły w jeszcze bardziej fundamentalnej kwestii – skąd i dlaczego pismo i tabliczki w ogóle znalazły się w tak nieprawdopodobnym miejscu. Ojciec Sebastian Englert, bawarski zakonnik-kapucyn i archeolog, który przez ponad 30 lat mieszkał na Wyspie Wielkanocnej, napisał wprost:

Języki pisane, wszędzie gdzie je znajdowano, były wytworem wielkich społeczeństw i rozwiniętych kultur, które operowały wielkimi ilościami informacji wymagających utrwalenia. Ich powstanie wynika z takiej właśnie potrzeby i jest bardzo mało prawdopodobne w przypadku małych, odizolowanych grup. To, że pismo zostało w ogóle wynalezione przez małeńską społeczność Wyspy Wielkanocnej, jest prawdziwie zaskakujące. A jednak jak dotąd nie udało się zidentyfikować żadnego źródła poza wyspą, z którego to pismo mogłoby pochodzić.

„Ci dawni robotnicy...”

Na tajemnicę Wyspy Wielkanocnej składają się co najmniej cztery główne elementy:

- Zagadka Hiva, legendarnej ojczyzny bogów, podobno zniszczonej przez potop.
- Zagadka doskonałych marynarzy, którzy doprowadzili flotę uciekinierów z Hiva do brzegów Te-Pito-O-Te-Henua.
- Zagadka wspaniałych architektów, którzy stworzyli pierwsze wielkie ahu i moai.
- Zagadka doskonałych skrybów, którzy rozumieli inskrypcje rongorongo.

Tak wyrafinowane umiejętności są wyznacznikami zaawansowanej cywilizacji. To, w jaki sposób wszystkie te elementy znalazły się na odległej wysepce na Pacyfiku, najwyraźniej wszystkie równocześnie, trudno wyjaśnić w kategoriach normalnych „ewolucyjnych” procesów, jakie przypisuje się zwykle ludzkim społeczeństwom. Dlatego też wielu naukowców rozważa możliwość, iż mieszkańcy Wyspy Wielkanocnej nie rozwinięli tych umiejętności niezależnie, lecz raczej otrzykali je w postaci wpływu – lub dziedzictwa – z jakiegoś innego źródła.

Nie będziemy się tutaj szerzej zajmować od dawna i bez rezultatu dyskutowanym problemem, czy Wyspa Wielkanocna została skolonizowana z zachodu, czyli z Polinezji, czy też ze wschodu, to znaczy z Ameryki Południowej. Nie ulega wątpliwości, że pierwsi osadnicy na Wyspie Wielkanocnej byli doskonałymi nawigatorami i żeglarzami, więc jasne jest, że musieli w epoce świetności wiele podróżować, nie tylko na wyspy Polinezji, ale również do Ameryki Południowej, a może nawet dalej. Naszym zdaniem właśnie z tych powodów na Wyspie Wielkanocnej widać wyraźne ślady prehistorycznych kontaktów zarówno z Polinezją, jak i Ameryką Łacińską – na przykład kurczaki i banany mogły być sprowadzone tylko z Polinezji, zaś bataty, tykwy i trzcina totora musiały przybyć z Ameryki Południowej.

Przynajmniej we wczesnej fazie osadnictwa na Wyspie Wielkanocnej, kiedy ludzie jeszcze nie zapomnieli umiejętności nawigacji i żeglugi dalekomorskiej, takie towary mogły być często przewożone w obu kierunkach, podobnie jak – naszym zdaniem – wiele innych dóbr, takich jak wiedza, technologia czy idee artystyczne i religijne. Nie zdziwiło nas zatem, że monolityczne posągi podobne do moai (choć w znacznie mniejszej liczbie) znaleziono w Tiahuanaco w górach Ameryki Południowej, ponad 4000 metrów nad poziomem morza, na polinezyjskich

Markizach i w wielu innych miejscach. Podobnie nie zdziwiło nas, że ahu z Wyspy Wielkanocnej można porównać z polinezyjskimi „marae”, a w przypadku platformy Ahu Tahira z „najlepszą architekturą inkaską”.

Jesteśmy niemal pewni, że przynajmniej niektóre z tych zbieżności są prawdziwe i w końcu zostaną potwierdzone wzajemne wpływy – chociaż niekoniecznie bardzo częste – prehistorycznych kultur Wyspy Wielkanocnej, Ameryki Południowej i Polinezji. Teoria ta wcale nie jest kontrowersyjna, ponieważ większość tradycyjnych archeologów chętnie ją poprze. Mniej oczywista jest natomiast rola Wyspy Wielkanocnej w szerszym schemacie powiązań – czy mogła być czymś więcej niż tylko pasywnym „odbiorcą” zewnętrznych wpływów. Skutecznie działającą kadre wykształconych, posługujących się piśmem architektów i rzeźbiarzy, których poprzednicy założyli „Pępek świata” dzięki nadzwyczajnym osiągnięciom w dziedzinie astronawigacji, tworzyli ludzie wybitni i zdeterminowani. Aż do czasu, kiedy zło pojawiło się w ich społeczeństwie, na krótko przed pierwszym kontaktem z Europejczykami, przez setki lat oddawali się tworzeniu nieprzemijających, budzących zachwyty dzieł sztuki religijnej.

Nie my pierwsi przypuszczamy, że we wszystkich swoich poczynaniach musieli się oni kierować potężnym poczuciem celu, który – jeśli tylko potrafilibyśmy go odgadnąć – stanowiłby klucz do całej tajemnicy. Jak napisała Scoresby Routledge, brytyjska badaczka i podróżniczka, która spędziła cały rok na Wyspie Wielkanocnej między 1914 a 1915 rokiem:

Ta ziemia cały czas jest nawiedzana przez cienie zmarłych budowniczych. Chcąc czy nie chcąc, ten, kto się tu znajdzie, musi żyć z tymi dawnymi robotnikami; powietrze wokół wibruje od poczucia sensu i energii, które były, lecz teraz już ich nie ma. Co to było? Co to było?

Zajmiemy się rozpatrzeniem możliwości, iż najważniejszy cel wtajemniczonych adeptów z Wyspy Wielkanocnej mógł być w jakiś sposób związany z tym samym podziemnym nurtem archaicznej duchowej gnozy, który zidentyfikowaliśmy w Angkorze w I tysiącleciu n.e. i w Gizie w III tysiącleciu p.n.e. – i który najwyraźniej powstał poza tymi obu miejscami, zanim jeszcze powstały źródła historyczne. Zastanawialiśmy się także, czy bardzo realne podobieństwa łączące Wyspę Wielkanocną, Tiahuanaco i Amerykę Południową oraz różne niezwykle megalityczne konstrukcje na Pacyfiku wynikają ze starożytnego, trzeciego źródła pośrednio wpływającego na wszystkie te kultury, czy też z bezpośrednich kontaktów, które zachodziły między tymi obszarami.

Z nieba na ziemię

Najstarsze dowody bliżej nieokreślonych „wpływów” działających za kulisami historii, jakie rozważaliśmy do tej pory, pochodzą z Egiptu. Tam kojarzono je z tradycjami dotyczącymi tajemniczej grupy półboskich istot zwanych Szemesu

Hor – „Towarzyszami Horusa” – którzy mieli się osiedlić w dolinie Nilu tysiące lat temu, w zamierzczłej epoce, zwanej „pierwszym razem”. Jak wiadomo z części drugiej, o wpływie tych osadników i ich kluczowej roli w kształtowaniu i kierowaniu późniejszą cywilizacją historycznych faraonów mówią liczne staroegipskie teksty dotyczące śmierci i odrodzenia, a zwłaszcza niezwykle *Teksty Budowlane* wykute na murach świątyni Horusa w Edfu w Górnym Egipcie.

Fragmentaryczne legendy dotyczące zasiedlenia Wyspy Wielkanocnej przez siedmiu mędrców i dynastię boskiego króla Hotu Matuy zawierają elementy przypominające *Teksty Budowlane z Edfu*. W obu przypadkach jest mowa o wyspie bogów – zwanej „Hiva” przez mieszkańców Wyspy Wielkanocnej i „Ojczyzną Pierwotnych” przez starożytnych Egipcjan. W obu przypadkach wyspę zniszczyła wielka burza lub potop – na Wyspie Wielkanocnej kojarzona z „lewarem Uoke”, a w bogatej symbolice tekstów z Edfu z „wielkim wężem”: „Atak był tak zaciekły, że zniszczył boski ląd i wszyscy boscy mieszkańcy umarli”. W obu przypadkach bogowie mieszkający na wyspie „utonęli w wodach”. W obu przypadkach niektórym udało się ująć z życiem. W obu przypadkach wypłynęli oni łodzią i dotarli do ziemi, na której się osiedlili. W obu przypadkach kierowali nimi boscy królowie. W obu przypadkach wśród osadników byli astronomowie i architekci. I w obu przypadkach osadnicy przywiązywali szczególną uwagę do budowania świątych „wzgórz”.

W Egipcie, jak się dowiadujemy, wzgórze te miały służyć jako fundamenty i wyznaczać orientację przyszłych świątyń, budowanych w przyszłości według planu, który w jakiś sposób miał „przypominać niebo”; celem zaś całego przedsięwzięcia miało być doprowadzenie do „wskrzeszenia dawnego świata bogów”. Z powodu takich idei wielkie świątynie w dolinie Nilu zawsze budowano na fundamentach wcześniejszych budowli sakralnych. Czy tylko przypadkowo wszystkie ahu na Wyspie Wielkanocnej zostały wzniesione na starszych platformach? A może również te konstrukcje były związane z jakimś wielkim tajemnym planem, wcielonym w życie przez tysiące lat na całym świecie, mającym na celu doprowadzenie do „odrodzenia dawnego świata”?

Spacerując wokół Ahu Nau Nau nad zatoką Anakena, łatwo zauważyć, że wielka platforma nie została zbudowana jednorazowo, lecz że była rozbudowywana wielokrotnie w różnych okresach. Znaczna część samego Ahu skonstruowana jest raczej prymitywnie z wielkich pokrytych petroglifami głazów, które najwyraźniej były w zupełnie innym położeniu umieszczone we wcześniejszych budowlach. Jeden z takich bloków po bliższych oględzinach okazał się nawet odłupaną głową starożytnego Moai, silnie zwiertzałą i poobtłukiwaną. Wiadomo także, że od strony lądu pod kilkumetrową warstwą ziemi Thor Heyerdahl odkrył w 1987 roku megalityczny kamienny mur. Został on wzniesiony z wielkich wspornie opracowanych kamiennych ciosów i zdaniem odkrywcy należał do warstwy osadniczej dużo starszej od okresu budowy ahu.

Ponadto archeolodzy odkryli tuż przy Ahu Nau Nau, od strony lądu, wielki obrzeżony kamieniami obszar o kształcie łodzi – jedną z wielu podobnych konstrukcji znalezionych przy platformach w różnych punktach wyspy (szczególnie dobrze zachowane znajdują się przy Ahu Vaiuri i Ahu Tepeu). Zdaniem archeologów kon-

strukcje te są fundamentami domów o kształcie łodzi, w których mieszkali pierwsi osadnicy. Ale znamy też legendy nazywające je „łodziami kości” i łączące je z bogiem-budowniczym imieniem Nuku Kehu, który miał w zamierzczłej przeszłości przybyć na Wyspę Wielkanocną razem z Hotu Matua. Istnieje także siedem platform o kształcie łodzi, zwanych ahu poepoe, które służyły jako groby. Najlepiej zachowana, mierząca 21 metrów, z dziobem wznoszącym się ponad metr wyżej niż rufa, leży nad oceanem w pobliżu Anakena, „jakby gotowa – jak napisał ojciec Sebastian Englert – zawieźć swoich zmarłych pasażerów na jakieś dalekie wybrzeże”.

Ahu poepoe i fundamenty „domów łodzi” bardzo przypominają komory na łodzi, często znajdujące się przy piramidach i grobowcach starożytnego Egiptu. W niektórych przypadkach, jakie zbadaliśmy – na przykład w Abydos w Górnym Egipcie – są to kamienne lub żeglone modele łodzi. Kiedy indziej mamy do czynienia z prawdziwymi pływającymi statkami – najszlachetniejszym z nich jest mająca ponad 30 metrów „łódź solarna” znaleziona w jednym z kilku zagłębień wokół egipskiej Wielkiej Piramidy.

Egipskie teksty dotyczące śmierci i odrodzenia opisują w swym przesyconym symbolami języku, że dusze zmarłych królów podróżują w takich łodziach między niebem a ziemią. Dlatego niezmiernie zainteresowało nas odkrycie, że jedna z legend z Wyspy Wielkanocnej mówi, iż król Hotu Matua: „zstąpił z niebios na ziemię (...), przybył na statku (...), przybył na ziemię z nieba”.

Bogowie, którzy powstają

W starożytnym języku egipskim słowo „ach” lub „achu”, czasem zapisywane też „ahu” oznacza „istota ze światła”, „mieszkaniec horyzontu”, „lśniący” lub „przekształcony duch”. Na Wyspie Wielkanocnej słowo „aku” znaczy „nadnaturalna istota”. Cofając się jeszcze raz do Egiptu, odkrywamy, że słowo to było często używane jako zaszczytny tytuł w odniesieniu do Szemesu Hor, Towarzyszy Horsa; „Achu Szemesu Hor” – brzmiał pełny tytuł określający tych tajemniczych otaczanych czcią boskich królów, którzy mieli władać Egiptem na tysiące lat przed tym, jak pierwszy faraon pierwszej historycznej dynastii zasiadł na tronie. Natknęliśmy się także na dziwny fragment staroegipskiej *Księgi o tym, co jest w zaświatach*, mówiący, że wtajemniczony musi „stać wraz z bogami, którzy stanęli (ahu)”. Te nadludzkie istoty miały mieć 9 łokci, czyli około sześciu metrów wzrostu.

Tego deszczowego popołudnia staliśmy u stóp najwyższego z siedmiu moai na Ahu Nau Nau. Wznosił się on nad nami na wysokość ponad sześć metrów, 18-tonowy monolit wykuty z charakterystycznego szaroczerwonego wulkanicznego tufu z kamieniołomów Rano Raraku – materiału, z którego wykuto wszystkie moai. Jego głowę wieńczy wycięta z innego kamienia (z czerwonego pumeksu z kamieniołomu Puna Pua) stożkowata korona czy też turban o wadze około sześciu ton.

Takie turbany można zobaczyć tylko na niewielu moai, a noszą one nazwę „pukao”. Największy z nich, o wysokości 1,8 metra, średnicy 2,1 metra i wadze około 11 ton, znajduje się na Ahu Te Pito Kura, dwa kilometry na wschód od

Anakena, gdzie pierwotnie zdobił głowę największego z moai, jaki kiedykolwiek został umieszczony na platformie. Ten ważący, jak się ocenia, prawie 81 ton posąg, obecnie przewrócony, został przetransportowany z odległego o 6,5 kilometra kamieniołomu Rano Raraku. Inny moai – prawdziwy potwór – do dzisiaj leżący w kamieniołomie waży blisko 90 ton i gdyby kiedykolwiek został postawiony, wznosiłby się na wysokość 23 metrów.

Transport tych gigantycznych posągów na ahu w różnych częściach wyspy, ich ustawienie, a następnie zwieńczenie wybranych kilku nieporęcznymi turbanami o wadze wielu ton słusznie nazwano „wybitnym przedsięwzięciem inżynierijnym”. Naukowcy przelali rzekę atramentu, zastanawiając się, w jaki sposób udało się tego wszystkiego dokonać na odległej wysepce, której populacja nigdy nie przekroczyła 4000 osób. Ponieważ środowisko akademickie uważa Wyspę Wielkanocną za temat niebezpiecznie skażony różnego rodzaju „szalonymi ideami” i „bredzeniem wariatów”, każdy z naukowców stara się prześcignąć swoich kolegów w udowadnianiu, iż on sam jest całkowicie zdrow na umyśle, racjonalny i „naukowy”. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że właśnie z tego powodu żaden z tych tradycyjnych uczonych nawet przez chwilę nie traktował poważnie legend Wyspy Wielkanocnej, które mówią wyraźnie i wprost, że moai były transportowane i podnoszone dzięki „mana”, dosłownie „czarodziejstwu” – sile umysłu, którą starożytni Egipcjanie nazywali „hekau”.

Legendy Wyspy Wielkanocnej przechowały mgliste wspomnienie o wydarzeniach z przeszłości, kiedy „wielcy magowie” umieli przemieszczać posągi „słowami swoich ust”. Magowie wykorzystywali okrągły kamień zwany Te Pito Kura „aby skoncentrować moc swojej »many« i tak kazali posągom iść”. Również wodzowie mieli podobno niekiedy dysponować wystarczająco potężną „maną”, by móc rozkazać posągom iść lub lecieć w powietrzu: „ludzie musieli ciężko pracować, by kuć moai, ale kiedy skończyli, król zapewniał »manę«, żeby je poruszyć”.

Podobną sytuację znajdziemy w Egipcie, gdzie jeden z najbardziej spektakularnych monumentów jest związany z legendami mówiącymi o użyciu magii. W pewnym papirusie czytamy o „etiopskim magu” imieniem Hor, który:

Zrobił wielkie sklepienie z kamienia, długie na 200 łokci i szerokie na 50 łokci, nad głowami króla i jego książąt, i zagroził, że zburzy je, zabijając ich wszystkich; kiedy król i jego ludzie ujrzeli to, wydali przejmujący okrzyk. Hor jednak wypowiedział zaklęcie, które sprawiło, że pojawiła się wielka widmowa łódź i wywiozła daleko kamienne sklepienie.

Podobne legendy o cudownych technologiach budowlanych odnotowali pierwsi Hiszpanie, którzy dotarli do tajemniczego andyjskiego miasta Tiahuanaco (zobacz część piąta) z megalitycznymi posągami, gigantycznymi murami i piramidami. Legendy mówią, że wielkie kamienne bloki zeszyły z kamieniołomów w górach „samoistnie lub na dźwięk trąbki i zajęły właściwe sobie miejsca”. Dalej na północ, w mieście Majów Uxmal w Ameryce Środkowej, identyczne opowieści krążyły o tak zwanej piramidzie czarownika. Mówiono, że została ona

w cudowny sposób wzniesiona „w ciągu zaledwie jednej nocy” przez karła obdarzonego magicznymi mocami, który wystarczyło, że „gwizdnął i ciężkie skały przemieszczały się na właściwe miejsce”. Podobne, dobrze poświadczone, legendy dotyczą megalitycznego miasta Nan Madol na mikronezyjskiej wysepce Pohnpei, które miało zostać zbudowane dzięki czarom boskich królów Olosopy i Olosipy: „za sprawą ich magicznych zaklęć wielkie masy kamienia jedna po drugiej leciały w powietrzu jak ptaki i osiadały w wyznaczonych miejscach”.

Być może popełniamy błąd, traktując te opowieści jako bajki. Może historycy i archeolodzy powinni wkładać nieco mniej wysiłku w poszukiwanie za wszelką cenę prozaicznych i przyziemnych wyjaśnień zagadek ludzkiej przeszłości i zwrócić nieco większą uwagę na wchodzące również w grę bardziej niezwykle możliwości. Faktem jest, że nie wiemy właściwie nic o naszej prehistorii, dotyczącej egipskich piramid, świątyń Angkoru, kamiennych miast Ameryki Południowej i Środkowej, bazaltowych murów miasta duchów Nan Madol czy ahu i moai na Wyspie Wielkanocnej. Możliwe, że był to długi okres powolnej, nieciekawej ewolucji, jak uważa większość naukowców. Ale może było zupełnie inaczej – może były to czasy znacznie bardziej skomplikowane, pełne życia i wyobraźni, nadziei i rozpacz. Może jeszcze jedna – lub wiele – starożytnych cywilizacji leży zapomniana i pogrzebana w najmroczniejszych dolinach naszej wspólnej przeszłości, zmyta doszczętnie przez bezimienny kataklizm wiele tysięcy temu. Może twórcy tej cywilizacji dysponowali zaawansowanymi technologiami, zupełnie odmiennymi od tych, które znamy dzisiaj. Może nawet nauczyli się pokonywać techniczne ograniczenia i manipulować materialnym światem za pomocą skoncentrowanej siły umysłu, bez trudu podnosząc i przesuając wielkie kamienne bloki.

Teraz już jesteśmy pewni, o czym pisaliśmy w poprzednich książkach, że był przynajmniej jeden zapomniany epizod w dziejach ludzkości – zaginiona cywilizacja zniszczona przez wielkie kataklizmy pod koniec ostatniego zlodowacenia. Wiele łączy tę cywilizację z epoką około 10 500 roku p.n.e. Ale hipoteza, którą rozważamy tutaj, jest jeszcze bardziej intrygująca. Możliwość, że kompleks wiedzy, jakim posługiwała się ta cywilizacja, został ocalony przez nielicznych ocalałych z kataklizmu, którzy znaleźli sposoby na rozprzestrzenienie tej wiedzy na całym świecie, przez kolejne pokolenia, może nawet do dzisiejszych czasów. To tłumaczyłoby, dlaczego tak często natykamy się na coś, co sprawia wrażenie spójnego, w pełni wykształconego systemu inicjacyjnego, wykorzystującego dualizm nieba i ziemi w dążeniu do nieśmiertelności duszy. System o niewiadomym pochodzeniu i wieku, pojawiający się w tak odległych w czasie i przestrzeni miejscach, jak Egipt epoki piramid, hermetyczne teksty z początków ery chrześcijańskiej, Kambodża i Ameryka Środkowa pod koniec I tysiąclecia n.e., być może także Mikronezja, jak wynikałoby z poprzedniego rozdziału i Wyspa Wielkanocna, określana przez swych mieszkańców niezwyklejmi nazwami: Te-Pito-O-Te-Henua, „Pepek świata”, i Mata-Ki-Te-Rani, „Oczy patrzące w niebo”.

Pajęcza sieć

Późnym popołudniem w dniu czerwcowego przesilenia, niedługo przed zachodem słońca, dotarliśmy do Ahu Akivi pośrodku zachodniej części Wyspy Wielkanocnej. Miejsce to leży w głębi łądu, trzy kilometry od wybrzeża. Podobnie jak Ahu Nau Nau nad zatoką Anakena znajduje się tam siedem moai, lecz żaden z nich nie ma turbanu na głowie i – co wyjątkowe – wszystkie są zwrócone na zachód, ku morzu, które jest dobrze widoczne z wysokiego punktu, gdzie stoją.

Istnieje dziwna legenda dotycząca tych poszarzałych ze starości, nieziemsko wyglądających posągów, pustymi oczodołami wpatrzonych w bezkresny ocean. Mieszkańcy Wyspy Wielkanocnej wierzą, że podobnie jak inne posągi umarli one w dawnych czasach, kiedy „mana” – magia – odeszła z wyspy i nigdy nie wróciła. Jednak wraz z kilkoma innymi te wyjątkowe posągi mają dwukrotnie w ciągu roku zamieniać się w „aringa ora” – dosłownie „żyjące twarze” – koncepcja ta niezwykle przypomina staroegipską wiarę w to, że posągi stają się „żywymi wizerunkami” („szesep anch”) po przejściu ceremonii „otwarcia ust i oczu”. Podobnie w Angkorze uważano, że posągi są pozbawione życia, dopóki ich oczy nie zostaną symbolicznie „otwarte”.

Wielkie kamienne moai z Wyspy Wielkanocnej miały niegdyś piękne inkrustowane oczy z białego koralu i czerwonego pumeksu. W wielu przypadkach – lecz nie w Ahu Akivi – znaleziono wystarczająco dużo fragmentów, by można było zrekonstruować inkrustowane oczy i przekonać się, że pierwotnie posągi wpatrywały się w niebo. Nietrudno się zatem domyślić, dlaczego wyspę nazywano Mata-Ki-Te-Rani, „Oczami patrzącymi w niebo”. W księżycową noc setki „żywych” posągów obserwujące gwiazdy oczami z lśniącego koralu wyglądały jak starożytni astronomowie próbujący poznać tajemnice kosmosu. Zaś w świetle dnia te same oczy śledziły drogę Słońca, którą starożytni Egipcjanie nazywali „drogą Horusa” lub „drogą Re”. Tą samą drogą podążali Achu Szemesu Hor, Towarzysze Horusa, którzy często musieli wznosić okrzyk „Anch Hor” – „bóg Horus żyje!”

Główne osie wielkiej astronomicznej świątyni w Angkor Wat w Kambodży są zorientowane zgodnie z kierunkami wschodu słońca w dniu grudniowego przesilenia i zachodu słońca w dniu marcowej równonocy – co na północnej półkuli odpowiada środkowi zimy i początkowi wiosny. Według legend z Wyspy Wielkanocnej moai z Ahu Akivi ożywają i „nabierają znaczenia” w dniach czerwcowego przesilenia i wrześniowej równonocy – odpowiednio środek zimy i początek wiosny na półkuli południowej.

Szczegółowe studia archeoastronomiczne prowadzone przez Williama Mulloya, Williama Lillera, Edmunda Edwardsa, Malcolma Clarka i innych potwierdziły precyzyjną równonocną orientację wschodniej fasady Ahu Akivi, a nawet dowiodły, że „cały kompleks został zaprojektowany, by wskazywać moment równonocy”. Równie dokładne równonocne i przesileniowe orientacje ustalono dla wielu innych nabrzeżnych ahu (na przykład Ahu Tepeu, Ahu Hekii na północnym wybrzeżu, Ahu Tongariki i dwóch szczególnie imponujących megalitycznych ahu wzniesionych z dokładnie przyciętych trapezoidalnych bloków w Vinapu). Ustalono także, że wiele innych ahu Wyspy Wielkanocnej, „położonych daleko w głębi lądu było zorientowanych według punktu wschodu słońca w dniu zimowego przesilenia”. W przypadku ahu Akivi nie wykryto tego rodzaju przesileniowej orientacji. A jednak stojąc obok rzędu starożytnych posągów i patrząc wraz z nimi na zachód późnym popołudniem w dniu czerwcowego przesilenia, wyraźnie odczuwaliśmy istnienie jakiegoś potężnego związku między niebem a ziemią. Przez chwilę promienie zachodzącego czoła wydawały się przenikać prosto do czoł posągów, co przypominało nam złote postacie na drugiej kaplicy staroegipskiego faraona Tutanchamona, o czołach również połączonych promieniami z ciałami niebieskimi. „Bogowie ci są jak ten – głosi towarzysząca im inskrypcja – promienie Re przenikają do ich ciał. On przyzywa ich dusze”.

Re, imię egipskiego boga Słońca, często występuje w związku z sakralną architekturą Wyspy Wielkanocnej, jej mityczną przeszłością i kosmologią. Co więcej, w języku Wyspy Wielkanocnej słowo „raa” znaczy „słońce”. Czwarty syn boskiego króla Hotu Matuy miał na imię Raa i od niego wywodził się cały klan Raa. Sylaba „ra” występuje też w nazwach dwóch innych klanów – Hitti-Ra (co znaczy „wschód słońca”) i Ura-o-Hehe („czerwone zachodzące słońce”) – oraz w nazwach trzech najważniejszych kraterowych jezior na wyspie: Rano Kau, Rano A-Roi i Rano Raraku. Jest też platforma Ahu w Hanga Papa, nosząca nazwę Ahu Ra'ai. Jej orientację badali archeolodzy Edmundo Edwards i Malcolm A. Clark i doszli do wniosku, że już sama nazwa jest bardzo „sugestywna”. Według ich obliczeń budowniczowie Ahu Ra'ai tak zorientowali platformę w stosunku do dwóch dogodnie położonych wulkanicznych szczytów, aby mogła ona służyć jako marker i obserwatorium drogi słońca w dniu grudniowego przesilenia.

Człowiek-ptak

Na południowo-zachodnim krańcu Wyspy Wielkanocnej, w Orongo, w pobliżu szczytu krateru Rano Kau, znajdują się cztery małe zagłębienia precyzyjnie

wykute w skale tuż obok wielkiego ahu. Ponieważ wiadomo, że Orongo było wielkim ośrodkiem rytualnym, otwory te przyciągnęły uwagę norweskiej ekspedycji archeologicznej, która pracowała na wyspie w latach 1955-56. Zajmował się nimi dr Edwin Ferdon. Po przeprowadzeniu obserwacji w dniach przesilenia i równonocy doszedł on do wniosku, że: „można z całą pewnością stwierdzić, że ów zespół czterech zagłębień stanowił przyrząd do obserwacji słońca”.

W Orongo oprócz ahu znajdował się niegdyś moai – wyjątkowy, bo wykuty z bazaltu – w roku 1868 wywieziony do British Museum. Najbardziej rzucającymi się obecnie w oczy elementami Orongo, położonego na przylądku, z jednej strony stromym urwiskiem schodzącym do oceanu, z drugiej zaś zamkniętym gigantycznym kraterem Rano Kau, są 54 przysadziste owalne domy o masywnych kamiennych ścianach z poziomymi kamiennymi belek, przykryte uskokowymi sklepieniami.

Właśnie w tym miejscu odbywał się co roku rytualny turniej „człowieka-ptaka”; miał on miejsce we wrześniu – w miesiącu wiosennej równonocy na południowej półkuli. Początki tej na pozór dziwacznej ceremonii są zagadką. Jej najważniejszą część stanowiła rzeczywista walka o jajo czarnej mewy – a konkretnie o pierwsze w roku mewie jajo, złożone na ptasiej wyspie Moto Nui, położonej zaledwie milę na południowy zachód od przylądka Orongo. Walkę tę podejmowali w imieniu dostojnych patronów młodzieńcy zwani „hopu manu” („słudzy ptaka”), zaś nadzorowali ją uczeni strażnicy tabliczek rongorongo. Na znak dany przez tych skrybów hopu manu rzucali się biegiem w dół klifu Orongo i płynęli na wysepkę w małych stożkowatego kształtu trzciniowych łódkach zwanych „pora”. Pierwszy wracający z jajem czarnej mewy, przekazywał je triumfalnie swemu patronowi, który w tym momencie był ogłaszany „tangatu manu” – świętym „człowiekiem-ptakiem”. Przez cały następny rok odbierał on cześć jako król. W tym czasie musiał golić głowę i malować ją na czerwono. Równocześnie na skałach Orongo rzeźbiono przedstawiający go petroglif w kształcie dziwnego, długodziobego człowieka o ptasiej głowie.

Manu Tera – jak na Wyspie Wielkanocnej nazywano czarną mewę – znaczy dosłownie „ptak słońca”. Dlatego też wydało nam się bardzo prawdopodobne, choć nie można tego udowodnić, że mewa była uważana za symbol słońca – tak samo jak feniks i sokół były symbolami słońca w starożytnym Egipcie. Feniks, mityczny ptak Benu, był kojarzony z Heliopolis („Miastem Słońca”) i ze słonecznym kamieniem Benben o kształcie piramidy, a także niewątpliwie miał związek z jajem:

Kiedy zbliżał się jego koniec, feniks budował gniazdo z aromatycznych ziół i korzeni, podpalał je i sam rzucał się w ogień. Ze stosu w cudowny sposób wyślizgiwał nowy feniks, który po zabalsamowaniu popiołów swego ojca w jajku z mirry odlatywał do Heliopolis, gdzie składał je na ołtarzu boga Słońca Re.

Nie można wykluczyć, że tradycja „człowieka-ptaka” z Wyspy Wielkanocnej wyrażała podobne idee. Jak napisał historyk R. A. Jairazbhoy:

Jeśli mielibyśmy wskazać pierwowzór tej praktyki, to automatycznie przychodzi na myśl jajo egipskiego boga Słońca [jajo kosmiczne]. *Księga Umarłych* mówi wyraźnie, że jajo to złożył Kenkenur, czyli „Wielki Gęgacz” [inna nazwa feniksa], a zmarły ma się nim opiekować i strzec go. Jest to zapisane w rozdziale zatytułowanym „Objęcie panowania nad wodami Zaświatów”. Natomiast podróż trzcinową łodzią przez morze przypomina rejs egipskiego boga Słońca Re do horyzontu w trzcinowej łodzi.

Spostrzeżenia Jairazbhoya, chociaż ignorowane przez innych historyków, są nadzwyczaj trafne: niemal każdy element ceremonii człowieka-ptaka miałby sens w rytuale związanym z pierwotnym jajem boga Słońca Re, adekwatnie symbolizowanym przez jajo „manu-tera”, ptaka Słońca. Szczególnie interesujące są w tym kontekście trzcinowe łodzie, które mieszkańcy Wyspy Wielkanocnej nazywali „pora”, co dosłownie znaczy „trzcinowe łodzie Słońca”. Jairazbhoy słusznie zauważył, że w staroegipskiej *Księdze Umarłych* właśnie w trzcinowej łodzi Re podróżuje po niebie. My znaleźliśmy tę samą ideę w znacznie starszych *Tekstach Piramid*, gdzie czytamy: „Trzcinowe tratwy nieba zostały ustawione dla Re, aby mógł po nich przejść do horyzontu (...)”.

Nie widzimy żadnej istotnej różnicy między trzcinowymi tratwami, na których w starożytnym Egipcie bóg Słońca Re przemierzał niebo, a trzcinowymi tratwami boga Słońca Raa, na których mieszkańcy Wyspy Wielkanocnej przepływali na wysepkę Moto Nui, by zdobyć symboliczne kosmiczne jajo boga Słońca. Co więcej, przedstawione w hieroglifach stożkowate trzcinowe łodzie, uważane przez archeologów za „najstarsze jednostki pływające po Nilu i moczarach Delt”, niczym nie różnią się od trzcinowych łodzi, jakich jeszcze w XX wieku używano w Środkowym Egipcie i w Nubii. Te łodzie z kolei prawie niczym nie różnią się od używanych na Wyspie Wielkanocnej – jedyna różnica polega na materiale: trzcina totora w przypadku Wyspy Wielkanocnej i papirus w Egipcie.

Spacerując po przylądku Orongo, między zboczami Rano Kau a nadmorskimi klifami, zastanawialiśmy się, czy może tu chodzić o jakiś związek. Czy nagromadzone warstwy historii mogą skrywać powiązanie między niezwykłymi kulturalnymi tradycjami Wyspy Wielkanocnej, rytuałem człowieka-ptaka, ahu i moai a starożytnym dążeniem do nieśmiertelności opisanym w *Tekstach Piramid*. Symbolizowały je „trzcinowe tratwy nieba”, które pozwalały nie tylko Re, lecz także duszom zmarłych „przejść do horyzontu”? Częścią tego dążenia, jak czytaliśmy w części drugiej, była wiedza, uważana za konieczną dla tych, którzy pragną „żyć przez miliony lat”. Czy zatem może być tylko dziełem przypadku, że tytuł nadawany świętemu człowiekowi-ptakowi Wyspy Wielkanocnej – tangatu-manu – znaczy dosłownie „uczony człowiek świętego ptaka”?

Starożytna religia egipska przywiązywała wielką wagę do takiej właśnie postaci uczonego człowieka/ptaka – długodziobego, ibisogłowego Thota, boga wiedzy, „liczącego gwiazdy”, który oznajmia w *Księdze Umarłych*:

Ja jestem Thot, mistrz prawa, który interpretuje pisma, biegły pisarz, którego ręce są czyste, który zapisuje to, co jest prawdą, który odrzuca fałsz. Ja

jestem Thot, wielki magią w barce milionów lat. Ten, który kieruje niebem, ziemią i Duat, który karmi słoneczny lud.

Warto też zwrócić uwagę na rozdział 669 *Tekstów Piramid*, w którym obietnica wiecznego życia dla króla łączy się z dziwną symboliką ptaka i jaja: „Twoje jest odrodzenie w gnieździe Thota (...). Oto król powstał; oto król jest połączony; oto król rozbił jajo”.

Około godziny 6 po południu zobaczyliśmy tęczę, tworzącą most nad kraterem Rano Kau. Piętnaście minut później tęcza zniknęła, a po 40 minutach słońce skryło się za horyzontem. Niebo na zachodzie miało kolor jasnopomarańczowy. A na morzu przed naszymi oczami zdarzyło się coś niezwykłego: nad Moto Nui padał deszcz, sprawiając wrażenie, jakby chmura była połączona z oceanem ogromną pępowiną. Trudno było stwierdzić, czy zjawiskiem, któremu się przyglądaliśmy, był padający deszcz, czy raczej proces formowania chmury. Wyglądało to, jakby chmura zasysała wilgoć z morza, a jednocześnie zasilala je deszczem.

W tym momencie zrozumieliśmy mistyczną siłę tej samotnej wyspy i odczuliśmy jej izolację. Otoczona otchłaniami Pacyfiku – trudniejszymi do przebycia niż jakakolwiek pustynia – leżała bezpośrednio pod gwiazdami „z oczami wpatrzonymi w niebo”, tak, jak głosiła jej nazwa Mata-Ki-Te-Rani.

Słowo „mata”, oznaczające „oko” lub „oczy” może mieć drugie, ukryte znaczenie. Fonetycznie jest niezwykle podobne do egipskiego słowa „maat”, znaczącego: „prawda”, „sprawiedliwość”, „prawość”, „równowaga”, „kosmiczna harmonia”. Ideę „maat” personifikowała bogini Maat, której symbolem było pióro prawdy i która odgrywała kluczową rolę w scenie sądu z *Księgi Umarłych* – kiedy rozstrzygał się wieczny los zmarłego.

W starożytnym języku egipskim jest też inne słowo „maat”. Według *Hieroglyphic Dictionary* sir E. A. Wallisa Budge’a może ono znaczyć: „oko”, „widzenie”, „wzrok”, „coś zobaczonego”, „wizje”. W *Księdze Umarłych* często występuje ono w określeniu „maat Re” oznaczającym „oko Re” – jak na przykład w rozdziale 17, gdzie czytamy: „To są wody niebios; inaczej, to jest wizerunek ka Re (»maat Re«).”

Jeśli od nazwy Mata-Ki-Te-Rani odejmiemy element Ki-Te (co znaczy „patrzący na”), zostanie Mata Rani, wyrażenie spotykane w języku Wyspy Wielkanocnej i językach Polinezji, znaczące „oko niebios”. Nikt nie może zaprzeczyć, że wyrażenie „Mata Rani” jest fonetycznie i semantycznie zbliżone do „maat Re”, co znaczy – w gruncie rzeczy – „oko Słońca”. Co więcej, oba wyrażenia dotyczą ciał niebieskich, inaczej mówiąc, mają charakter astronomiczny.

Tajemny język

Istnieją wyraźne ślady zapomnianej spuścizny astronomicznej na Wyspie Wielkanocnej – i nie ograniczają się one do ahu i moai. Oprócz fizycznych dowodów, istniejących w postaci orientacji kamiennych ruin wyspy, przetrwały

do naszych czasów intrygujące fragmenty mitów, przekazujących idee dualizmu nieba i ziemi, żywo przypominające te, które znamy ze starożytnego Egiptu i Angkoru.

Wspomnieliśmy już w rozdziale 13, że boski król Hotu Matua miał przybyć z niebios na ziemię w wielkim „statku”. Pełna wersja tej legendy brzmi następująco:

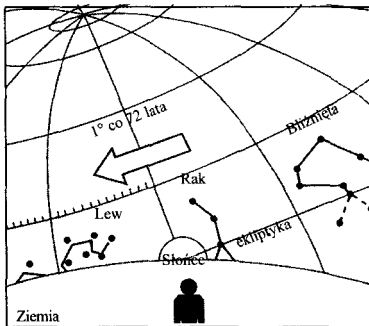
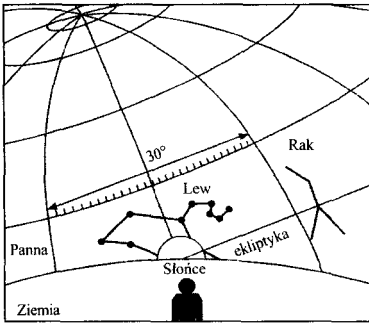
On zstąpił z niebios na ziemię
na obie ziemie, tak uczynił Hotu Matua,
wracając z pomocą niebios do obu światów swego najstarszego syna,
do obu światów, do swego świata.
Przybył na statku swego najmłodszego syna,
swego najlepszego syna,
przybył na ziemię z niebios.

Te zdania, przeczytane w XIX wieku z tabliczki rongorongo przez jednego z ostatnich wyspiarzy, którzy umieli czytać pismo, są naszym zdaniem zastanawiająco podobne do staroegipskich *Tekstów Piramid* i *Księgi Umarłych*, które opisują, że Re wstępował do nieba każdego ranka, kiedy w przenośnym znaczeniu był „najmłodszy” w barce słonecznej zwanej „mandzet” i zstępował o zmierzchu, kiedy był metaforycznie „najstarszy” w solarnej barce „meseket”.

Przytoczony wyżej tekst zawiera także ciekawą wzmiankę o „dwóch ziemiach”, które są dobrze znane każdemu, kto czytał *Hamlet's Mill* Giorgio de Santillany i Herthy von Dechend. Ich wielki przyczynik do nauki polega na zidentyfikowaniu astronomicznego języka zamierzchłej starożytności, zaszyfrowanego w mitach i budowlach – języka i nauki sięgających czasów, jak to ujęli, „jakiejś niewiarygodnie starej cywilizacji”, która rozwijała się na całym świecie tysiące lat przed pojawieniem się znanych nam źródeł historycznych.

Język ten jest szczególnie silnie związany z precesją równonocy i posługuje się sekwencją liczb wywodzących się z tempa, w jakim przebiega zjawisko precesji – jeden stopień na 72 lata, 30 stopni na 2160 lat i tak dalej. Język ten wykorzystuje też pewne „modele myślowe”, aby ułatwić zrozumienie skomplikowanych idei astronomicznych. Jeden z takich modeli był w mitologii nazywany „ziemią”, a De Santillana i von Dechend opisują go jako teoretyczną płaszczyznę przecinającą niebo, łączącą cztery „główne” konstelacje zodiaku, na których tle słońce wschodzi w dniach równonocy i przesilen:

Ponieważ cztery konstelacje wschodzące heliakalnie w czasie obu równonocy i obu przesileni określała „ziemia”, jest ona nazywana czworokątną (ale w żadnym przypadku nie była uważana za czworokątną przez dawnych Chińczyków itd.). A ponieważ konstelacje rządzą czterema narożnikami czworokątnej ziemi tylko przez pewien czas [z powodu precesji równonocy], można słusznie powiedzieć, że taka „ziemia” ginie i z wód powstaje nowa „ziemia”, z czterema nowymi konstelacjami wschodzącymi w czterech momentach roku.



Za sprawą zjawiska precesji gwiazdy, na których tle wschodzi słońce danego dnia, przesuwają się o jeden stopień na 72 lata

Naszym zdaniem dwie ziemie, o których mówi legenda Hotu Matuy, należy łączyć właśnie z tego rodzaju ideami. Jedną z nich mogła być fizyczna „ziemia” tutaj, w dole, terra firma, nasza planeta. Drugą byłaby niebiańska ziemia, teoretyczna płaszczyna przecinająca ekliptykę, którą de Santillana i von Dechend rozpoznali w archaicznych mitach astronomicznych na całym świecie. Przytoczone przez nich dowody wskazują jednoznacznie na to, że wszystkie te mity wywodzą się ze wspólnego źródła – wysoko rozwiniętego, wręcz „naukowego” źródła zagubionego w mrokach prehistorii. Obecność takich mitów na Wyspie Wielkanocnej wskazuje, że również ona mogła być niegdyś ściśle związana z owym tajemniczym źródłem.

Inny fragment legendy posługuje się tym samym międzynarodowym zaszyfrowanym językiem:

W dniach Rokoroko He Tau niebo runęło,
spadło z góry na ziemię.

Ludzie wykrzyknęli: Niebo runęło w dniach króla Rokoroko He Tau.

On czekał; oczekiwał na wyznaczony czas. Niebo wróciło; odeszło i pozostało tam w górze.

W języku de Santillany i von Dechend niebo spadające z góry na ziemię jest metaforą końca astronomicznej epoki – dokładnie tego samego rodzaju przemian na niebie, który został przedstawiony w scenach „wzburzenia Morza Mleka” w Angkor Wat i Angkor Thom w Kambodży. Ponadto w pewnym kontekście rzeczywiście można powiedzieć, że niebo spada na ziemię, a wtedy metafora ta nabiera szczególnej wyrazistości. Gdybyśmy mogli patrzeć na wschód przez tysiące lat, ujrzelibyśmy, że w wyniku precesji „rządząca” konstelacja, na której tle wschodzi słońce w dniu wiosennej równonocy (zobacz diagram), istotnie się obniża. Po upływie odpowiednio długiego czasu każda konstelacja znika za horyzontem, a jej miejsce zastępuje następna.

Być może właśnie takie znaczenie ma legenda z Wyspy Wielkanocnej mówiąca o tym, że niebo spadło i „odeszło”. Jeśli tak, to nie powinno nas dziwić, że legenda mówi też o narodzinach nowej astronomicznej epoki („niebo wróciło”), która trwała potem przez długi czas („pozostało tam w górze”).

Mandala ustawiona z posągów

Wskazówek i wspomnień o astronomicznym dziedzictwie Wyspy Wielkanocnej jest znacznie więcej. Legendy mówią na przykład, że wiele wieków temu istniało na

wyspie bractwo „uczonych mężów, którzy badali niebo”. Owych „tangata rani” łatwo było rozpoznać, ponieważ mieli „wytatuowane na twarzach kolorowe plamy” – przypominają się starożytni egipscy kapłani-astronomowie z Heliopolis, którzy nosili charakterystyczne płaszcze z lamparciej skóry z kolorowymi cętkami.

Tangata rani mieli podobno swoje ulubione punkty obserwacyjne. Jeden z nich był nazywany „jaskinią nachylenia Słońca” – a zatem znowu związek z obserwacjami solarnymi. Jednak mieszkańcy Wyspy Wielkanocnej pamiętają także, że ich przodkowie niezmiernie interesowali się gwiazdami, które nazywali „hetu”. W 1914 roku Scoresby Routledge widziała rozległą płaską skałę w pobliżu wschodniego krańca wyspy; tubylcy powiedzieli jej, że miejsce to nazywa się „papa ui hetu’u”, co według chilijskiego archeoastronoma Williama Lillera znaczy „gwiazdne obserwatorium (dosłownie »skała, z której patrzyli na gwiazdy«)”. Innym razem pani Routledge została zabrana do jaskini wychodzącej na północny zachód, w pobliżu Ahu Tahai. Jej informatorzy wyjaśnili, że „było to miejsce, gdzie kapłani mówili uczniom o gwiazdozbiorach i drogach gwiazd”.

Wynika stąd jasno, że przez bardzo długi czas wyspa nazywana „Oczami patrzącymi w niebo” miała zinstytucjonalizowany system przekazywania wiedzy astronomicznej – system inicjacyjny z mistrzami i uczniami. Wiemy, że w starożytnym Egipcie taki system rozkwitał w Heliopolis i że nauki heliopolitańskich kapłanów stanowiły duchową i filozoficzną podstawę Egiptu przez ponad trzy tysiąclecia. Ich podstawową zasadą była „maat”; starali się oni stworzyć społeczeństwo, które byłoby w równowadze z samym sobą i z wszechświatem. Nikt nie wątpi, że w Egipcie powiodło im się doskonale. Ale jeśli weźmiemy pod uwagę nieszczęsne położenie mieszkańców Wyspy Wielkanocnej – przez całe pokolenia osamotnionych na maleńkim trójkącie wulkanicznej skały, o wymiarach zaledwie 18 x 19 x 24 kilometry, porzuconych pośrodku Pacyfiku niczym więźniowie jakiegoś koszmarnego Alcatraz – to musimy przyznać, że również im się udało osiągnąć cel. W każdej chwili mogli wpaść w klaustrofobiczną rozpacz i doprowadzić do samozniszczenia. A jednak jest pewne, że co najmniej od VIII do XVI wieku n.e. – a być może znacznie dłużej – tworzyli pokojowe, stabilne i konstruktywne społeczeństwo, które wytwarzało dostatecznie dużo nadwyżek, by utrzymywać liczną rzemieślniczą klasę architektów i rzeźbiarzy, niezbędną do stworzenia ahu i moai. Było to społeczeństwo, które starożytni Egipcjanie z pewnością uznaliby za rządzone „maat” – społeczeństwo najwyraźniej natchnione przejmującym poczuciem duchowej siły, która wyrażała się w indywidualnej i zbiorowej twórczości artystycznej. Pozostało ono światu zagadkę przesyconą mistycznym pięknem – prawdziwą mandalę z ponad 600 niepokojących posągów, które wydają się wysypywać z krateru Rano Raraku, gdzie zostały wykute, wielką spiralą o dwóch ramionach.

Równoleżniki i południki

Wspięliśmy się po stromym zewnętrznym zboczu krateru Rano Raraku, przeszliśmy przez porośniętą trawą krawędź i dotarliśmy do ziejącej jamy wygasłego

wulkanu. Cały obszar był dosłownie usiany moai w różnych stadiach ukończenia i głowami moai – w sumie 276 rzeźb, niektóre stały, inne leżały. Wewnątrz krateru wszystkie stojące posągi, na pozór bezładnie rozrzucone, spoglądały w dół, ku porośniętemu trzcinami jezioru na dnie krateru.

Niczym gorący posiłek pozostawiony na stole te dziwaczne figury jakby z innego świata wydawały się wskazywać na gwałtownie przerwana działalność. Nie trudno nam było zrozumieć, dlaczego zdaniem ortodoksyjnych archeologów posągi są tak bezładnie porzucane po zboczach krateru, ponieważ w chwili wybuchu konfliktu społecznego robotnicy w kamieniołomach po prostu odłożyli narzędzia i pozostawili posągi tam, gdzie stały – przerwali pracę i nigdy nie podjęli jej na nowo. A jednak może warto byłoby się zastanowić, czy układ moai wewnątrz i na zewnątrz krateru nie jest celowy i czy te setki posągów, wywierające tak ogromne wrażenie, nie stanowiły jednego złożonego monumentu. Mniejsze głowy wyglądały, jakby wyrastały spod ziemi – dziwaczne, sękate, powyginane rośliny ukształtowane z żywej skały, pomarszczonej i zwietrzałej. Ich twarze miały w sobie jakieś dostojeństwo, gdy patrzyły niewidzącymi oczami w wulkaniczne jezioro w centrum wyspy pośrodku ogromnego oceanu.

Wysoko w górze, na krawędzi Rano Raraku, skąd widać po wschodniej stronie strome zbocze schodzące do morza, prawie 180 metrów niżej zauważyliśmy dziwną rzecz – otwartą wykutą w skale grotę z rzędami wykutych w skale ławek czy też siedzeń wzdłuż ścian. Podobnie jak moai, wszystkie te ławki były zwrócone ku jezioru na dnie krateru. Wszystkie te ławki, a także szczeliny, zagłębienia i nisza głęboka na ponad metr i wysoka na ponad dwa metry sprawiały, że obiekt ten był zdumiewająco podobny do kutech w skale schodów i tarasów podwodnego monumentu na Yonaguni. David Hatcher Childress opisuje opowiadaną na Wyspie Wielkanocnej legendę o siedmiu magach, którzy zasiedli razem, by skoncentrować swą „manę” i sprawić, że posągi zaczną iść: „Wszystkie moai miały pójść w tym samym kierunku. Kiedy wyszły z krateru, zaczęły iść w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara (...), spirala wokół wyspy. Możecie zobaczyć starożytną drogę, po której kroczyły”.

Można zobaczyć więcej niż jedną starożytną drogę, a obok wielu z nich znajdują się moai, przewrócone twarzą ku ziemi – zupełnie jakby poruszały się pełnym wdzięku ruchem niczym w grze w krzesła i nagle wszystkie równocześnie musiały paść na ziemię. Są też inne prehistoryczne szlaki, które mieszkańcy Wyspy Wielkanocnej nazywają Ara Mahiva i które podobno niegdyś „obejmowały całe wybrzeże wyspy”. Były one podobno „dziełem nadnaturalnej istoty”. Najbardziej interesująca jest jednak następująca legenda odczytana w 1886 roku z tabliczki rongorongo przez starca imieniem Ure Vaeiko:

Kiedy wyspa została stworzona i poznali ją nasi praojcowie, cały ład przecinały drogi pięknie wyłożone płaskimi kamieniami. Heke [to imię przypomina egipskie słowo „hekau” – „magia”] był budowniczym tych dróg i to właśnie on zasiadał w honorowym miejscu pośrodku, skąd drogi rozchodziły się we wszystkich kierunkach. Drogi te były tak przemyślnie ułożone, że naśladowały sieć wielkiego pająka z szarymi i czarnymi cętkami i nikt nie umiał znaleźć ich początku ani końca.

Recytacja została przerwana w tym miejscu z powodu „nieczytelnego tekstu w innym języku”, którego Vaeiko nie umiał rozpoznać, po czym zakończył kolejną niejasną wzmianką o „cętkowanym pająku”. Pierwotnie, jak czytał, stworzenie to żyło w Hiva (legendarnej, zatopionej ojczyźnie pierwszych osadników Wyspy Wielkanocnej) i „wstąpiłoby do nieba, lecz przeszkodził mu w tym dotkliwy chłód”.

Oprócz wzmianki o przedpotopowym źródle wiedzy najbardziej charakterystyczne elementy informacji przekazanych przez Ure Vaeiko, naszym zdaniem, to:

1. Istniała niegdyś dziwna „sieć” dróg zaplanowana jak „pajęcza sieć”.
2. Sieć rozchodziła się promieniście z „zaszczytnego miejsca pośrodku”.
3. Najwyraźniej miała jakiś związek z niebem.

Przypuszczamy, że taka symbolika może nawiązywać do dawno zapomnianego systemu globalnych i astronomicznych współrzędnych – sieci południków i równoleżników podobnej do tej, która jest stosowana na współczesnych mapach i jej „niebiańskich” odpowiedników – deklinacji i rektascensji, za których pomocą astronomowie określają położenie ciał niebieskich.

Symbol sieci był dobrze znany i często stosowany w starożytnym świecie. Na przykład o chińskim kartografie Chang Heng, wynalazcy kartografii kwantytatywnej, napisano w XVI wieku, że „narzucił on sieć współrzędnych na niebo i ziemię i obliczył jej podstawy”.

Pępki świata

Wyspa Wielkanocna była nazywana „Oczami patrzącymi w niebo”, ale także Te-Pito-O-Te-Henua – „Pępkiem świata”. Nazwę tę miał podobno nadać jej sam boski król Hotu Matua. Co ciekawe, jak zobaczymy w części piątej, taką samą nazwę nosi Cuzco – co znaczy „pępek” – przedziwna megalityczna stolica imperium inkaskiego, położona wysoko w peruwiańskich Andach. Co więcej, tę samą nazwę lub ideę łączono w starożytności z wieloma innymi rytualnymi i sakralnymi „zaszczytnymi miejscami pośrodku”. We wszystkich przypadkach, kiedy mamy dostateczną liczbę dowodów, okazuje się, że były one ośrodkami geodezji i geometrii oraz spokrewnionej z nimi sztuki geomancji – co oznacza „wróżenie z ziemi”.

Często też okazuje się, że takie „pępki ziemi” mają związki z meteorytami – kamieniami, które spadły z nieba. Wiele z nich miało także swoje własne „kamienie pępka”, „kamienie słońca” czy też „kamienie węgielne”, którym czasem towarzyszyły tradycje wznoszenia obelisków lub słupów. Oprócz tego wszystkie były przedstawiane jako pierwotne centrum stworzenia, z którego powstało wszystko inne: „Święty stworzył świat jako embrion. Kiedy embrion rozrastał się od pępka na zewnątrz, również Bóg zaczął tworzyć świat od swego pępka, skąd rozprzestrzenił się w różnych kierunkach”.

Również Wyspa Wielkanocna ma dobrze udokumentowane tradycje związane z meteorytami, nazywanymi „ure ti’oti’o moana”. Trzy z nich są podobno „pogrzebane głęboko pod ziemią wyspy”. Oprócz tego tajemniczy „okrągło obrobiony kamień”, o średnicy około 75 centymetrów, można do dzisiaj oglądać na wybrzeżu w pobliżu Ahu Te Pito Kura, dwa kilometry na wschód od Anakena. Kamień ten, uważany za pepek wyspy, dawni czarodzieje używali podobno „aby skoncentrować »manę« i w ten sposób kazać posagom kroczyć”. Jego nazwa, Te Pito Kura, może być tłumaczona jako „złoty pepek” lub „pepek światła”. Równie dobrze może znaczyć „pepek Słońca” – byłaby to idea niezwykle bliska egipskiej koncepcji Benben, słonecznego kamienia, który spadł z nieba i został umieszczony na filarze w środku „domu feniksa” w centrum świętego miasta Heliopolis – które z kolei uważano za centrum stworzonego świata i miejsce oryginalnego „prapagórka”.

Podobne idee w starożytnym Izraelu łączono ze świętym miastem Jerozolimą:

Ziemia Święta jest centralnym punktem na powierzchni ziemi, Jerozolima jest centralnym punktem Palestyny, a Świątynia znajduje się w centrum Świętego Miasta. W samym sanktuarium święta Arka [Przymierza] zajmuje centralne miejsce (...) zbudowana na Kamieniu Węgielnym [„Eben Szetijah”], który jest środkiem ziemi.

Żydowskie legendy dodają, że Eben Szetijah był kamienną poduszką, na której wspierał głowę patriarcha Jakub, kiedy miał swój słynny sen o drabinie (mówiący o połączeniu nieba z ziemią). Następnie:

Wziął on kamień, umieścił go na filarze i wylał na niego olej, który został mu zesłany z niebios, i Bóg zanurzył ten namaszczonego kamień w otchłani, aby służył jako środek ziemi. Ten sam kamień, Eben Szetijah, stanowiący środek sanktuarium, na którym jest wyryte Niewymawialne Imię. Jego znajomość daje człowiekowi panowanie nad naturą oraz nad życiem i śmiercią.

Wysuwano uzasadnione przypuszczenia, że Eben Szetijah mógł być „kamieniem ognia, czyli meteoritem” – za taką hipotezę przemawia *Księga Kronik* i *Księga Samuela*, mówiące o „ogniu z nieba”, który uderzył w ołtarz w Jerozolimie. Co więcej, nie ulega wątpliwości, że nie chodziło o obiekt wyjątkowy, lecz o jeden z grupy obiektów tego samego rodzaju.

Najbardziej chyba znanym przykładem jest słynny kamienny „omfalos” z greckich Delf, cieszącego się największym prestiżem ośrodka geomancji w świecie starożytnym. Podobnie jak Benben i Eben Szetijah, ów „pepek” – gdyż dokładnie to znaczy słowo „omfalos” – był uważany za środek ziemi i za kamień, który spadł z nieba. Grecka mitologia mówi o tym konkretnym kamieniu, że właśnie nim – zamiast swoim synem Zeusem – został nakarmiony monstrualny bóg czasu Chronos, pożerający własne dzieci. Kiedy Zeus osiągnął wiek męski, zemścił się na Chronosie, „zrzucając go z nieba w najgłębszą otchłań wszechświata”, a wcześniej zmusił go do zwymiotowania kamienia. „Wylądował on w samym środku wszechświata, w świątyni w Delfach”.

Delfy leżą na zboczu góry Parnas, w wyjątkowo pięknej dolinie z widokiem na Zatokę Korynecką. Ich omfalos jest fallicznym, podobnym do filara, nieco stożkowatym kamieniem. Oryginał nie zachował się do naszych czasów, lecz znaleziono jego kopię wykonaną w okresie hellenistycznym. Jego powierzchnię zdobi wykonany w reliefie rodzaj siatki – archeolodzy nazywają to „wzorem wełnianej sieci”. Trudno dostrzec, gdzie się ona zaczyna i gdzie kończy – podobnie jak sieć nakrapianego pająka.

Greckie legendy silnie łączą delficki omfalos z ptakami, w czym nie ma nic dziwnego, ponieważ greccy augurowie praktykowali sztukę wróżenia z lotu ptaków. Podobno kamień omfalos zdobiły wizerunki dwóch złotych orłów, na pamiątkę tego, że Zeus wypuścił niegdyś dwa złote orły na dwóch krańcach świata i sprawił, że poleciały w kierunku środka. Naturalnie spotkały się w Delfach.

Ponieważ jeden z orłów miał wylecieć ze wschodu, a drugi z zachodu, lecąc, zakreśliłyby wielki półokrąg wzdłuż krzywizny ziemi – odpowiadający linii równoleżnika. Jak zapewnia historyk nauki Livio Catullo Stecchini, „w starożytnej ikonografii te dwa ptaki [czasami przedstawiane jako orły, kiedy indziej jako gołębnice] są standardowym symbolem zakładania siatki południków i równoleżników”. Stecchini dowodzi też, że wzór siatki wyryty na delfickim omfalosie miał symbolizować „siatkę południków i równoleżników”.

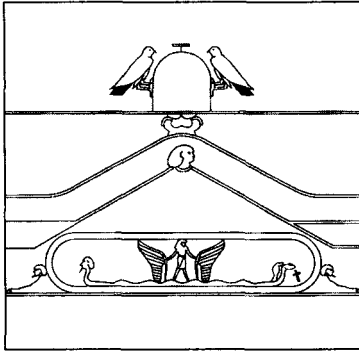
Delfy były „pępkiem świata”. Podobną rolę pełniło Bayon w schemacie świątyń w Angkorze, nazwane przez Bernarda Grosliera „omfalosem kamiennego kosmosu Angkoru”. Tę samą funkcję przypisywano sakralnemu okręgowi Giza/Heliopolis w Egipcie, nad którym panował Ozyrys w swoim najbardziej starożytnym wcieleniu Sokarisa, boga orientacji i równowagi, który rządził też piątą godziną Duat (częścią nazywaną w wielu starożytnych tekstach „Królestwem Sokarisa”).

W przedstawionym w *Księdze tego, co jest w zaświatach* Królestwie Sokarisa ważne miejsce zajmuje kamień omfalos, na którym przysiadły dwa ptaki. Materialny przykład takiego omfalosa, odkopany w Górnym Egipcie przez amerykańskiego archeologa G. A. Reisnera w sanktuarium świątyni Amona w Karnaku, nadał sens greckim legendom o „gołębicach” latających między Karnakiem a Delfami. Autorytety takie jak Peter Tompkins, ściśle współpracujący ze Stecchinim, i John Michel w swoim wybitnym studium *At the Centre of the World* (Centrum świata) przytaczają przekonujące dowody, że sieć takich ośrodków, nieustannie komunikujących się ze sobą, istniała niegdyś na całym świecie:

Z powodu wysokiego poziomu nauk geodezyjnych i geograficznych Egipt stał się geodezyjnym ośrodkiem całego znanego świata. Inne kraje lokalizowały swoje świątynie i stolice w odniesieniu do egipskiego „zerowego” południka – między innymi takie stolice jak Nimrud, Susza, Persepolis, a nawet prawdopodobnie starożytna chińska stolica An-Yang (...). Ponieważ każdy z tych ośrodków geodezyjnych był politycznym i geograficznym „pępkiem świata, umieszczano tam „omfalos”, czyli kamienny pępek, symbolizujący północną półkulę od bieguna do równika, z zaznaczonymi południkami i równoleżnikami, pokazujący odległość i kierunek innych takich pępków.

Latarnia geodezyjna

Samą ideę istnienia takiej siatki w świecie starożytnym odrzucają z oburzeniem przedstawiciele głównego nurtu archeologii i historii – podobnie jak wszelkie próby skojarzenia z nią znanych stanowisk archeologicznych. Mimo wszystko wyraźne śla-



„Omfalos” w Królestwie Sokarisa

dy zapomnianej wiedzy astronomicznej widoczne na Wyspie Wielkanocnej i wielokrotnie powracające echa staroegipskich idei duchowych i kosmologicznych każą wątpić w prezentowane przez naukowców wyjaśnienie, że dziwna nazwa „Pepék świata” nadana wyspie przez jej mieszkańców ma wyłącznie „poetyckie” znaczenie. Naszym zdaniem Te-Pito-O-Te-Henua zostało wybrane na miejsce osadnictwa i otrzymało swoją nazwę wyłącznie z powodu swego położenia geograficznego.

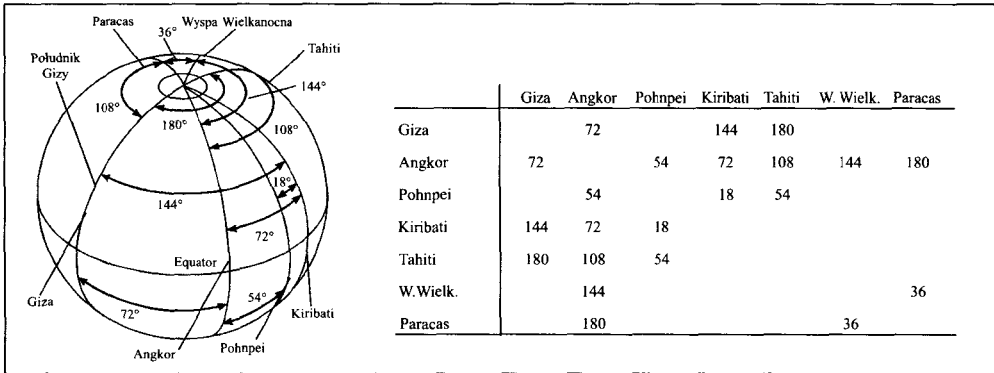
W hipotetycznej siatce geograficznej bazującej na Heliopolis świątynie Angkoru leżą 72 stopnie na wschód od południka zerowego, ruiny Nan Madol – 54 stopnie na wschód od Angkoru, a megality Kiribati i Tahiti znajdują się odpowiednio 72 i 108 stopni na wschód od Angkoru. Jeśli owa siatka opierała się na „skali precesyjnej”, to kolejną istotną liczbą powinno być 144. Jeśli poszukamy południka 144 stopni na wschód od południka Angkoru (co zarazem będzie odpowiadało 144 stopniom na zachód od Gizy), przekonamy się, że jedynym dostępnym miejscem na 165 milionach kilometrów kwadratowych Pacyfiku jest Wyspa Wielkanocna, leżąca zaledwie 320 kilometrów od tego południka.

Naszym zdaniem Wyspa Wielkanocna mogła zostać pierwotnie zasiedlona, aby służyć jako swego rodzaju latarnia kierunkowa – związana ze starożytnym systemem współrzędnych nieba i ziemi, wyznaczanym przez liczne tak zwane pepki świata.

Zetknęliśmy się z fragmentami tego systemu w Egipcie i Angkorze. Jedną z największych zagadek jest sposób, w jaki system ten nieustannie przeplatał najbardziej ezoteryczne formy duchowych dociekań i dążenia do osiągnięcia nieśmiertelności z wysoce naukowym podejściem do astronomii i pomiarów ziemi. Kolejną tajemnicą jest jego niewiarygodny zasięg, nie tylko w przestrzeni, ale i w czasie – odradza się on niczym feniks z popiołów w wielu różnych kulturach i epokach.

Nie twierdzimy, że wiemy, kiedy system ten dotarł na Wyspę Wielkanocną, lecz naszym zdaniem dowody potwierdzają teorię, iż został on prawdopodobnie zapomniany, po czym przeżywał długi okres izolacji, kiedy uległ zniekształceniu i osłabieniu. Do chwili pierwszego kontaktu z Europejczykami, który tylko przyspieszył proces degeneracji, niewiele pozostało z duchowych i naukowych aspektów tego systemu.

Sieć pozostaje jednak siecią i kolejną po 144 liczbą w skali precesyjnej powinno być 180.



Siatka współrzędnych geograficznych

Dokładnie 180 stopni na wschód od Angkoru (i 108 stopni na zachód od Gizy) i niemal dokładnie w takiej samej odległości od równika (13 stopni i 48 minut) jak Angkor (13 stopni i 26 minut) istnieje ogromny i trudny do przeoczenia marker. Jest to zarys wyraźnie widocznego daleko z morza trójzębu lub kandelabra o wysokości 250 metrów, wryty w czerwonych klifach Zatoki Paracas na wybrzeżu Peru.

Wskazuje on w głąb lądu, w stronę płaskowyżu Nazca na południu i Andów na wschodzie.

Część piąta

Peru i Boliwia

Zamki z piasku

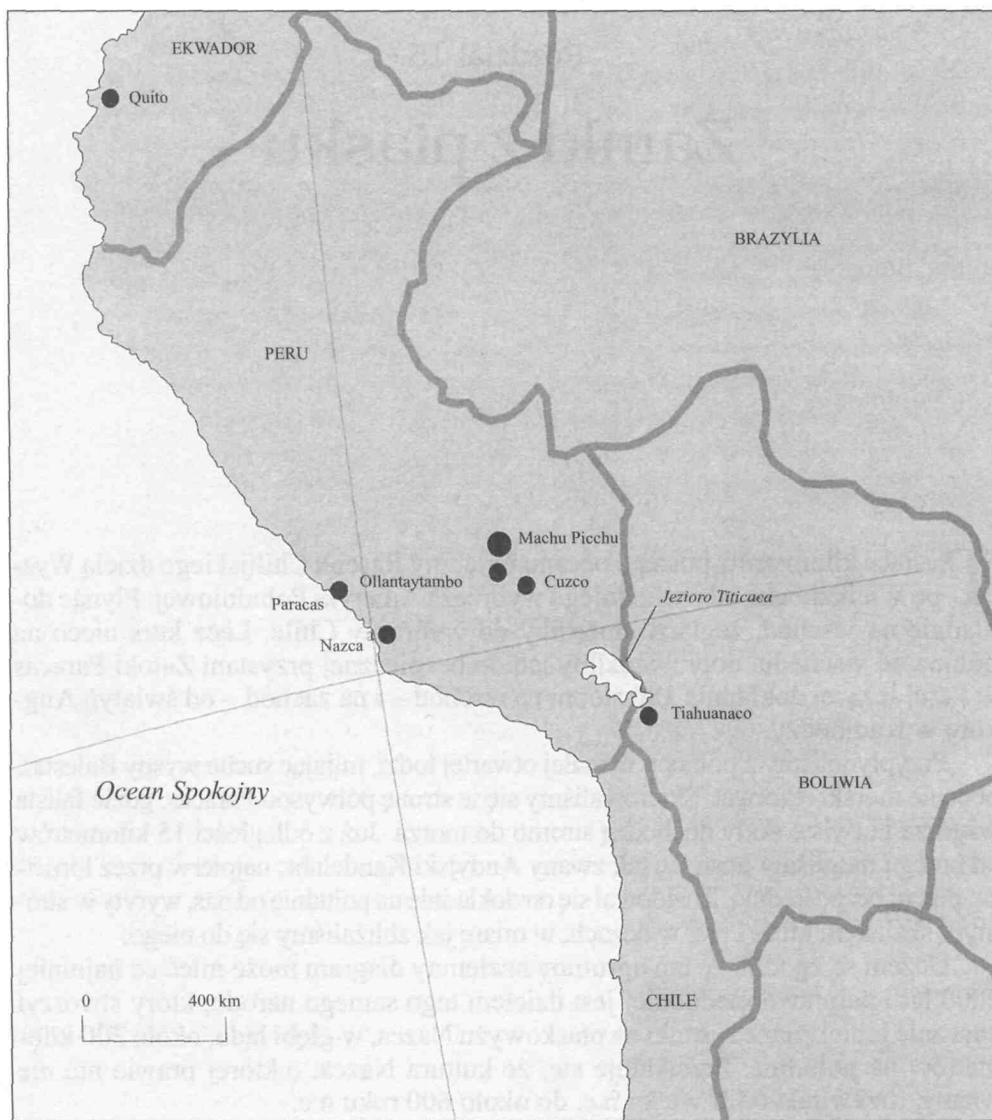
Tysiące kilometrów pustego oceanu i głębiny Basenu Chilijskiego dzielą Wyspę Wielkanocną od zachodniego wybrzeża Ameryki Południowej. Płynąc dokładnie na wschód, żeglarze dotarliby do wybrzeży Chile. Lecz kurs nieco na północ od wschodu, doprowadziłby ich do bezpiecznej przystani Zatoki Paracas w Peru, leżącej dokładnie 180 stopni na wschód – i na zachód – od świątyń Angkoru w Kambodży.

Przy płynęliśmy z północy w małej otwartej łodzi, mijając suche wyspy Balestas, obecnie morski rezerwat. Skierowaliśmy się w stronę półwyspu Paracas, gdzie faliste wzgórza i urwiste skały dochodzą stromo do morza. Już z odległości 15 kilometrów od brzegu mogliśmy dostrzec tak zwany Andyjski Kandelabr; najpierw przez lornetkę, potem bezpośrednio. Znajdował się on dokładnie na południe od nas, wryty w stromym skalistym klifie i rósł w oczach, w miarę jak zbliżaliśmy się do niego.

Uczeni są zgodni, że ten ogromny naziemny diagram może mieć co najmniej 2000 lat i najprawdopodobniej jest dziełem tego samego narodu, który stworzył znacznie lepiej znane rysunki na płaskowyżu Nazca, w głębi lądu, około 300 kilometrów na południe. Przewiduje się, że kultura Nazca, o której prawie nic nie wiemy, rozkwitała od II wieku n.e. do około 600 roku n.e.

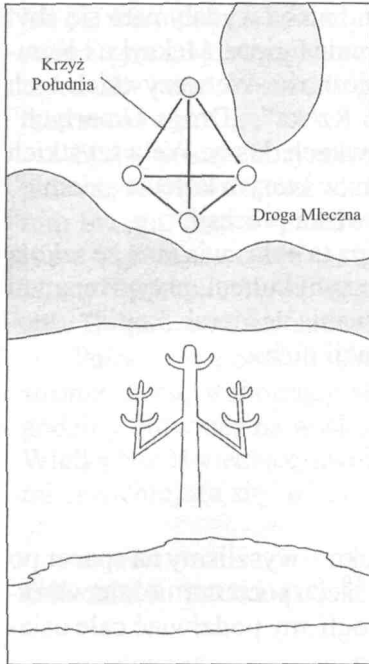
Krzyż na ziemi, krzyż na niebie

„Kandelabr” ma czworokątną, podobną do skrzyni podstawę otaczającą koło, z którego wyrasta środkowa pionowa belka, mierząca ponad 240 metrów i zorientowana z północy na południe. Przecina go, mniej więcej w jednej trzeciej wysokości, trójkątna poprzeczka o długości około 120 metrów, ułożona na linii wschód-zachód, która wspiera dwie krótsze pionowe belki. Wszystkie trzy pionowe elementy są zwieńczone dziwnymi wzorami, które najczęściej są interpretowane jako płomienie lub wiązki światła.

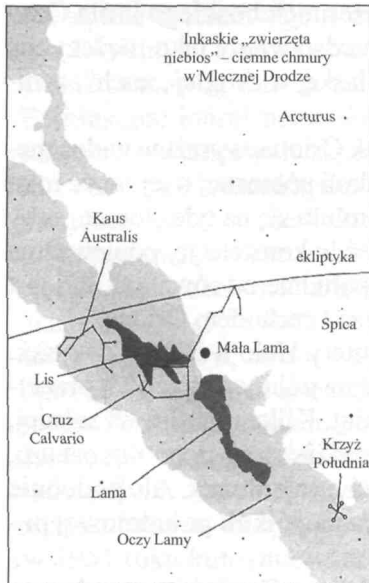


Ponieważ „Kandelabr” leży w charakterystycznym miejscu, dokładnie w połowie drogi wokół kuli ziemskiej od Angkoru i 108 stopni na wschód od Gizy – dwóch miejsc „przypominających niebo” dzięki modelom specyficznych konstelacji na ziemi – zastanawialiśmy się, czy i on nie mógłby być modelem jakichś elementów nieba. Szczególnie zachęca do podjęcia takiego tropu orientacja diagramu. Jest on umieszczony bardzo blisko południka niebieskiego, wielkiej przebiegającej z północy na południe linii podziału nieba, na której astronomowie wszystkich kultur obserwowali „przejścia” gwiazd.

Twórcy „Kandelabru” zaplanowali go tak, żeby był widoczny z północy. Właściwie nie istnieje żaden inny kierunek, z którego byłby on dobrze widoczny –



„Kandelabr” w Andach jako ziemski odpowiednik Krzyża Południa



Ciemne chmury w Mlecznej Drodze tworzące inkaskie „zwierzęta niebios”

obserwator musi stać dokładnie na południe od zbocza, na którym figura została wryta. Kiedy ogląda się go od podstawy, wzrok w naturalny sposób wędruje ku południowemu niebu ponad zboczem, a zwłaszcza ku południowemu południkowi nieba. Wprawdzie może to być wyłącznie dziełem przypadku, ale z symulacji komputerowych wynika, że około północy w marcową równonoc 2000 lat temu – kiedy prawdopodobnie powstał „Kandelabr” – na południowym południku, na wysokości 52 stopni znajdowała się konstelacja zwana Krzyżem Południa. W takim momencie obserwator znajdujący się, tak jak my, na łodzi około kilometra na północ od Kandelabra widziałby Krzyż Południa zawieszony na niebie bezpośrednio nad wrytym w skale diagramem.

Wejście do krainy umarłych

Nietrudno sobie wyobrazić, że „Kandelabr”, ze swą trójkątną poprzeczką na pionowej centralnej osi, mógłby wyobrażać Krzyż Południa. Ponadto, chociaż europejscy żeglarze nie znali tej konstelacji aż do XVI wieku, wiedzieli o niej znacznie wcześniej – choć nie wiadomo jak długo – andyjscy kapłani-astronomowie. Były też czasy, kiedy gwiazdy Krzyża badali egipcjacy i greccy astronomowie – zanim precesja zaniósła tę konstelację za horyzont północnych szerokości geograficznych.

Krzyż Południa jest częścią Drogi Mlecznej, lecz nam wydało się szczególnie interesujące – o czym przekonamy się w rozdziale 16 – to, że leży on w specyficznej części Drogi Mlecznej, którą Inkowie uważali za wejście do krainy zmarłych. Znajduje się on też w pobliżu dwóch „ciemnych chmur” symbolicznie przedstawianych jako lis i lama. Od niepamiętnych czasów andyjskie legendy kojarzyły te dwa mgliste „zwierzęta nieba”, utworzone z międzygwiazdowego pyłu, z potopem, który zniszczył Ziemię w zamierzchłej starożytności – potopem, przed którym wcześniejsza rasa ludzi była podobno ostrzegana przez „koniunkcję gwiazd”.

Takie idee i ich związek z konkretnymi regionami nieba wydały nam się zbyt podobne do wierzeń, z którymi spotkaliśmy się na terenie Egiptu, Meksyku i Kambodży, by można to było uznać za przypadkową zbieżność. We wszystkich tych kulturach Mleczna Droga – „Morze Mleka”, „Kręta Rzeka”, „Droga Umarłych” itd. – odgrywała istotną rolę w pośmiertnych wędrówkach duszy. We wszystkich tych kulturach łączyła się także z cyklicznym czasem, w którym kolejne „ziemie” są nieustannie niszczone i odnawiane za sprawą zjawiska precesji.

Wszędzie, gdzie się z nią zetknęliśmy, kosmologia ta była związana ze szkołą sakralnej geometrii i architektury oraz z astronomicznym kultem, przypisującym z tajemniczych powodów szczególną wagę do budowania na ziemi „kopii” – modeli, symbolicznych schematów – pewnych konstelacji nieba.

Czy tak samo nie było i w Peru?

Południowy widok

Tamtej nocy w Paracas – było to 11 maja 1997 roku – wyszliśmy na spacer po plaży godzinę po zachodzie słońca. Początkowo było nieco pochmurnie, ale wkrótce niebo przejaśniło się o około 7.15 wieczorem i mogliśmy podziwiać całe usiane gwiazdami sklepienie.

Przypomnieliśmy sobie, że Egipcjanie często symbolicznie przedstawiali niebo jako boginię Nut, lubieżną kobietę o pełnych piersiach, z rozchylonymi rękoma i nogami, z palcami rąk i nóg wspartymi na przeciwnych krańcach horyzontu, nagim ciałem wygiętym łukiem nad ziemią i brzuchem ozdobionym gwiazdozbiorami. Najważniejszą z nich był Orion, niebiański wizerunek boskiego króla Ozyrysa, w staroegipskich tekstach astronomicznych przedstawiany jako mężczyzna stojący w trzcinowej łodzi, trzymający w jednej ręce laskę, w drugiej „anch”, symbol wiecznego życia.

Spojrzeliśmy na zachód, gdzie zaskoczył nas widok Oriona, wyraźnie widocznego nisko na niebie. Zaskoczyło nas to, ponieważ na półkuli północnej o tej porze roku Orion już znajdował się poniżej horyzontu, gdy niebo robiło się na tyle ciemne, żeby zobaczyć gwiazdy. Z Zatoki Paracas mogliśmy widzieć tę konstelację, ponieważ na tej szerokości geograficznej (13 stopni i 48 minut na południe od równika) maj jest miesiącem zimowym i noc zapada na dwie godziny przed zachodem Oriona.

Innym zaskoczeniem była dla nas obecność komety Hale’a-Boppa z wyraźnie widocznym ogonem, poniżej Oriona, kilka stopni na północny zachód, przecinającej Drogę Mleczną w kierunku prostokąta Bliźniąt. Kilka tygodni wcześniej, patrząc z naszego ogrodu w Anglii, sądziliśmy, że widzieliśmy ją po raz ostatni, kiedy przestała być widoczna na niebie krótko po zachodzie słońca. Ale podobnie jak w przypadku Oriona, wcześniejszy zachód słońca na półkuli południowej pozwolił nam ją jeszcze raz zobaczyć.

Trzecim zaskoczeniem było dla nas położenie Oriona. Z naszej perspektywy na południowej półkuli widzieliśmy, że zamiast stać pionowo, jak na półkuli północnej, jest ułożony poziomo. W tej pozycji wcale nie przypominał człowieka i –

jak się wkrótce przekonamy – naukowcy dowiedli, że starożytni mieszkańcy Peru postrzegali go jako gigantycznego pająka. Wyciągnięte ramiona Ozyrysa trzymające laskę i anch bez trudu przekształciły się w rozpostarte odnóża wielkiego pająka na niebie.

Stykając się z horyzontem na północnym wschodzie, Mleczna Droga przecinała niebo błyszczącym ukośnym pasem. Orion, jak zwykle, leżał na jej zachodnim brzegu. Nad Orionem, nad brzegiem niebiańskiej rzeki, znajdował się Syriusz – „Psia Gwiazda” w konstelacji Małego Psa, przez starożytnych Egipcjan identyfikowana z Izydą, boginią magii. Nad horyzontem widać też było jeden z rogów Byka, Lew leżał nad naszymi głowami.

Patrząc na południe, dostrześliśmy Krzyż Południa, jeszcze po wschodniej stronie nieba, wznoszący się ku południkowi, do którego miał dotrzeć za trzy godziny. Również na wschodzie były Panna i Waga, zaś na północy widzieliśmy Wielką Niedźwiedzicę, swoimi siedmioma – tak dobrze nam znanymi – gwiazdami „czochrającą się” o horyzont.

Starsza pani od linii

Następnego ranka wyruszyliśmy na południe autostradą panamerykańską, przez spalony słońcem krajobraz, do małego miasteczka Nazca. Leży ono pośrodku rozległego pustynnego płaskowyżu, który około 2000 lat temu został ozdobiony wielkimi symbolicznymi figurami zwierząt i ptaków. Wiele z tych rysunków dorównuje wielkością diagramowi z Paracas i – jak już wiemy – prawdopodobnie są one dziełem tego samego ludu.

Byliśmy w Nazca już wcześniej, w czerwcu 1993 roku. Spotkaliśmy się wówczas z szacowną starszą panią, przykutą do łóżka przez zaawansowaną chorobę Parkinsona, której nazwisko brzmi Maria Reiche. Była zupełnie ślepa, lecz jej szare oczy wpatrywały się w sklepienie nad nami, jakby starała się dostrzec przez nie bezkresne przestrzenie nieba. W jej umyśle, rozjaśnionym czystym białym światłem, kłębił się nieskończony wszechświat inteligencji – galaktyki wspomnień, powiązań, wizji, przeczuć i możliwości.

Przeznaczeniem Marii Reiche stało się zwrócenie uwagi świata na linie z Nazca. Urodziła się w Dreźnie w 1903 roku. W latach 20. studiowała na uniwersytecie w Hamburgu, lecz w 1932 roku, zniechęcona sukcesami partii nazistowskiej, opuściła ojczyznę i zamieszkała w Peru. Pracując w tym kraju, zetknęła się z doktorem Paulem Kosokiem z nowojorskiego Uniwersytetu Long Island, który kilka lat wcześniej rozpoczął ambitny projekt badawczy nad liniami z Nazca. Po kilku wizytach na tym miejscu w 1945 roku, rok później zamieszkała na stałe w miasteczku Nazca, dołączając do ekipy Kosoka, a po jego przejściu na emeryturę w 1951 roku kontynuowała prace.

Maria Reiche, astronom i matematyk, pedantyczna, oszczędna wegetarianka i ascetka, nigdy nie wyszła za mąż. Została jakby „wybrana”, aby służyć jako doskonała strażniczka świętego depozytu. Starła się spełniać tę funkcję jak najlepiej,

studiując, badając i opiekując się wielkimi naziemnymi dziełami sztuki aż do osiemdziesiątych lat życia.

Kiedy odwiedziliśmy Marię Reiche 12 czerwca 1993 roku, była słaba i ciężko chora, ale zachowała pełną jasność umysłu. Z jakiegoś powodu poprosiła, abyśmy ją wzięli za ręce. Miała masywne kości i chłodną skórę. Jej palce na chwilę zacisnęły się na naszych, jakby wyrażając niepokój, lecz wyraz twarzy nie zmienił się. Tylne drzwi jej pokoju były otwarte i mogliśmy przez nie dojrzeć mały, pełen kwiatów ogródek skąpany w blasku popołudniowego światła. Powietrze poruszała świeża bryza.

Skóra Marii była tak pomarszczona i przezroczysta, że sprawiała wrażenie zmu-mfikowanego ciała, wysuszonego na pustyni przez tysiące lat. Trudno nam było sobie wyobrazić, że uda się jej powiedzieć więcej niż kilka słów. A jednak kiedy zadawaliśmy jej pytania, odpowiadała silnym głosem w doskonałej angielszczyźnie.

Zapytaliśmy ją o opinię na temat znaczenia linii z Nazca. Odpowiedziała nam:

One nas uczą, że całe nasze pojęcie o ludach starożytności jest błędne – że tutaj, w Peru, była zaawansowana cywilizacja, z zaawansowanym rozumieniem astronomii i matematyki i że była to cywilizacja artystów przekazujących coś wyjątkowego na temat ludzkiej duszy, co przyszłe pokolenia powinny starać się pojąć.

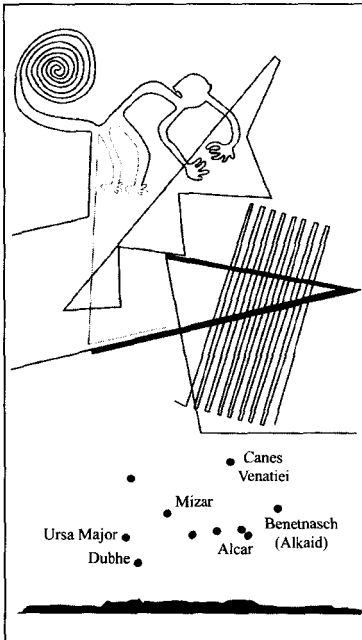
Powiedziała, że linie z Nazca są dla niej dzisiaj równie tajemnicze, jak były pół wieku wcześniej, kiedy ujrzała je po raz pierwszy – kiedy, jak napisała w liście do jednego ze swych przyjaciół, odkryła, że: „Bogowie z Nazca porwali mnie już wtedy, gdy się urodziłam i zamknęli mnie w swoim zamku z piasku, abym bawiła się z ich ogromnymi postaciami, aż pewnego dnia odkryję cel swego istnienia”.

Zwróciła uwagę, że mimo wysiłków wielu uczonych i mimo jej wieloletnich badań i pomiarów zagadka Nazca w dalszym ciągu nie została rozwiązana. Nikt nie umie z całą pewnością powiedzieć, co miały oznaczać figury, w jaki sposób udało się tak precyzyjnie je wykonać w tak wielkiej skali i dlaczego widać je naprawdę wyraźnie tylko z samolotu. Jej zdaniem – a wiedzieliśmy, że rozważała to przez długie lata – pewnego dnia okaże się, że odpowiedź ma związek ze starożytną astronomią. Przyznała, że jak dotąd tylko w przypadku kilku figur z Nazca udało się zidentyfikować orientację na punkty wschodu i zachodu ważnych gwiazd. Mimo wszystko jest przekonana, że całe wyjaśnienie wielkich naziemnych rysunków musi leżeć w starożytnej gwiazdnej religii.

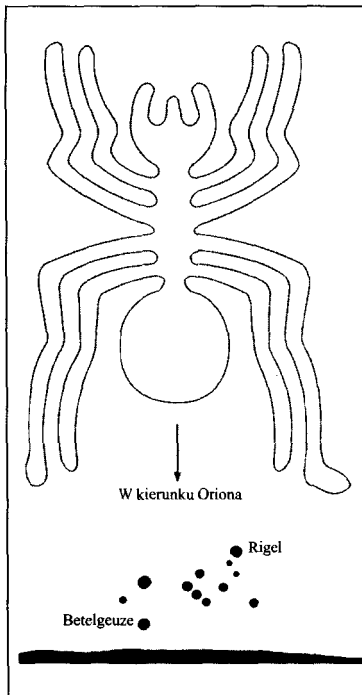
Jedną z możliwości, którymi się bardzo poważnie zajmowała, jest to, że rysunki mogą stanowić diagramy gwiazdozbiorów. Na przykład czy „Małpa” z Nazca nie może być Wielką Niedźwiedzicą? Albo czy „Pająk” nie może być Orionem?

Plan imitacji nieba

Później mieliśmy okazję przestudiować dokładną astronomiczną interpretację figury „Małpy”, którą Maria Reiche opublikowała w 1958 roku, przytaczając dowody na to, iż rysunek ten przedstawia Wielki Wóz (porównaj diagram).



„Małpa” z Nazca



„Pająk” z Nazca

Twierdziła też, że rysunek został zorientowany według punktu zachodu gwiazdy Benetnasch na końcu „dyszla” Wozu.

Podobnie na wykładzie wygłoszonym w Londynie w 1976 roku dowiodła, że „Pająk” może przedstawiać Oriona, z przewężeniem tułowia symbolizującym trzy gwiazdy pasa i linią przecinającą figurę skierowaną na punkt zachodu Oriona w epoce, kiedy powstały figury.

W ostatnich latach badania Marii Reiche podjęła dr Phyllis Pitluga, astronom w chicagowskim Adler Planetary. Spotkaliśmy się z dr Pitlugą na obiedzie w Londynie w 1994 roku. Razem z nami był nasz przyjaciel Robert Bauval, autor książki *Piramidy – brama do gwiazd* oraz przyjaciel dr Pitlugi, David Parker, fotograf z Nazca. Głównym tematem rozmowy był przygotowany przez dr Pitlugę telewizyjny film dokumentalny, w którym prezentowała ona dalsze dowody na istnienie związków między Pajakiem z Nazca a Orionem. Potwierdzając intuicyjne obserwacje Marii Reiche, dowody te jednoznacznie wskazywały, że Pająk rzeczywiście został zaprojektowany jako wizerunek Oriona, tak jak leżał on wzdłuż zachodniego horyzontu 2000 lat temu. Pitluga powiedziała nam także, że jest niemal pewna, iż artyści-astronomowie z Nazca musieli dobrze znać zjawisko precesji. Możliwe nawet, sugerowała, że liczne linie proste biegnące pod różnymi kątami przez poszczególne figury odpowiadają próbom śledzenia precesji i że rysunki służyły jako „etykiety” wskazujące, z którymi konstelacjami są związane linie.

W 1996 roku Pitluga opublikowała artykuł rozwijający koncepcje przedstawione na XV dorocznym spotkaniu Society for Scientific Exploration [Stowarzyszenia Badań Naukowych]. W artykule tym potwierdza, że konstelacje w obrębie Drogi Mlecznej i w jej pobliżu były najprawdopodobniej „wzorem dla postaci z Nazca” i sugeruje, że linie mogły służyć do określania długich odcinków czasu przez obserwację precesyjnych zmian w odpowiadających im konstelacjach. Ponadto prezentuje dowody na:

fizyczny związek współczesnych andyjskich figur roślinnych i zwierzęcych widzianych jako cienie w ciemnych plamach wzdłuż Drogi Mlecznej z liniami figuralnymi wskazującymi punkty wschodu i zachodu tych samych andyjskich figur 2000 lat temu.

Kiedy wróciliśmy do Nazca w 1997 roku, dr Pitluga ciągle jeszcze nie opublikowała od dawna oczekiwanej z niecierpliwością monografii przedstawiającej dalsze szczegóły jej teorii, która głosi, że sedno zagadki Nazca stanowi wielki plan naśladowania nieba. Rozumiemy, że jej wnioski różnią się radykalnie od opinii większości pozostałych naukowców, którzy badali linie i preferowali czysto religijne i ceremonialne wyjaśnienia. A jednak idea, że figury z Nazca mogły być schematami konstelacji, brzmi bardzo wiarygodnie. Jest ona całkowicie zgodna z zaprezentowanymi w tej książce dowodami potężnych wpływów religijnych o zasięgu ogólnoswiatowym, które zachowały z najbardziej zamierzchłej starożytności charakterystyczną doktrynę dualizmu nieba i ziemi – „jak w górze, tak na dole”. Naturalnym wynikiem tej doktryny, gdziekolwiek była ona nauczana, był fakt, że jej zwolennicy – prędzej czy później, w taki czy inny sposób – starali się naśladować niebo na ziemi.

Sieć i figury

Lot nad Nazca w lekkim jednosilnikowym samolocie był męczący. Startowaliśmy z wysokości samego płaskowyżu – ponad 550 metrów. Szybko wznieśliśmy się na wysokość 750 metrów i lecieliśmy wzdłuż autostrady panamerykańskiej na północny zachód, powoli nabierając wysokości, aż do 1220 metrów. Tam przez 6-7 minut zataczaliśmy szerokie koło nad jednym z najpiękniejszych geoglify Nazca, figurą gigantycznego „Kondora” ze skrzydłami rozpostartymi na prawie 120 metrów. Wokół, ponad 50 kilometrów w każdą stronę, rozciągała się pustynia poprzecinana niesamowitą płataniną linii i geometrycznych wzorów przypominających pajęczą sieć. Przypomniała nam się legenda z Wyspy Wielkanocnej o „pająku w szare i czarne cętki”, którego sieć została porównana do tajemniczej „sieci dróg”, tak „przemysłnie zaprojektowanej”, że „nikt nie umiał znaleźć jej początku ani końca”.

Zeszliśmy na wysokość 640 metrów, zaledwie 90 metrów nad powierzchnią płaskowyżu, aby dokładnie przyjrzeć się „Pająkowi” z Nazca, który leży na północny wschód od „Kondora” i ma około 45 metrów długości. Na zachód od niego znajduje się „Kolibier”, długi na 90 metrów, o szyi przeciętej prostą linią wskazującą punkt wschodu słońca w dniu grudniowego przesilenia. Inne większe figury w bezpośrednim sąsiedztwie to: „Małpa”, „Pies”, „Człowiek-Sowa”, „Drzewo”, „Ręce”, „Jaszczurka”, liczne trójkąty i trapezoidy oraz „Wieloryb”. Jest też niezwykła spirala, przypominająca średniowieczny labirynt i dwie dalsze figury ptaków – „Papuga” (silnie stylizowana) i mityczny „Alcatraz” o długiej zygzakowatej szyi i podobnym do pipety dziobie, mającym prawie 60 metrów długości.

Konstelacje na ziemi

Podobnie jak Angkor, Giza i zaplanowane według zasad astronomii miasta Ameryki Środkowej, geoglify z Nazca stanowią wielką kosmiczną i filozoficzną zagadkę i tajemnicę zasługującą na głębokie skupienie. Są prawdziwą „mandalą umysłu”. Naszym zdaniem Maria Reiche ma rację, twierdząc, iż wejście do tej mandali prowadzi przez drzwi astronomii.

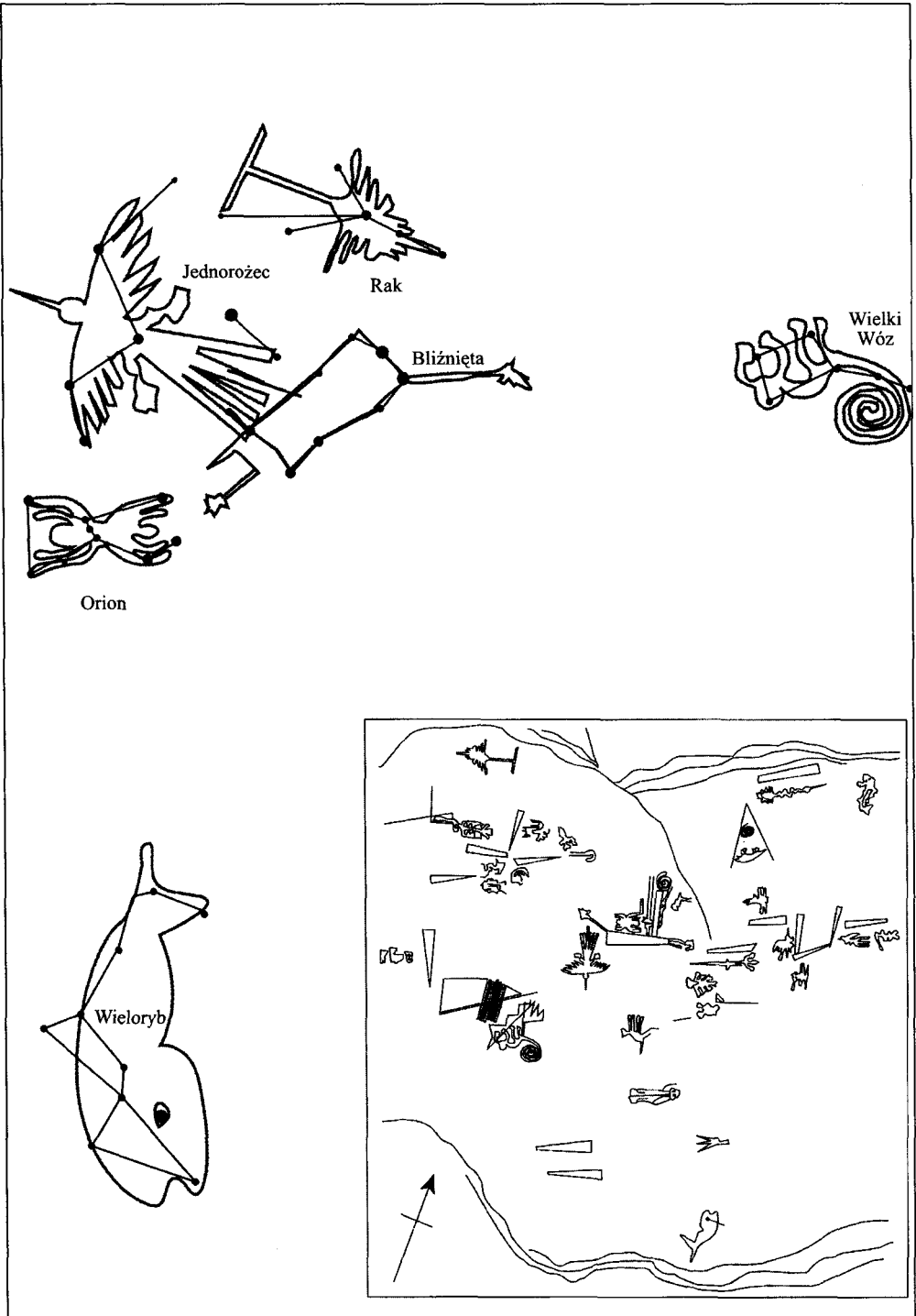
Istoty ludzkie mają naturalną skłonność do dopatrywania się znajomych kształtów i układów w każdym przypadkowym zbiorze obiektów. Gwiazdy na niebie są archetypowym „przypadkowym zbiorem” i warto pamiętać, że ludzie wszystkich czasów i wszystkich kultur widzieli na niebie niesłychaną różnorodność mitycznych stworzeń i kształtów geometrycznych.

Wśród konstelacji rozpoznawanych dzisiaj przez zachodnich astronomów, które są produktem finalnym długiego procesu gromadzenia wiedzy astronomicznej i astrologicznej, jest „Wieloryb”, „Lew”, kilka „psów”, „Lis”, wiele ptaków (na przykład „Łabędź” i „Orzeł”), „Skorpion”, różne węże i smoki, jaszczurka, „Rak”, „Koziorożec”, „Zajac”, gigantyczny człowiek (Orion), dziewicza królowa (Panna), rzeka (Erydan) oraz figury geometryczne, jak na przykład Oktant czy Trójkąt Południa.

Archeolodzy są zgodni, że linie z Nazca mają około 2000 lat. Komputerowe symulacje nieba nad Nazca około godziny 21 w dniu marcowej równonocy 2000 lat temu pokazują Wielki Wóz („Małpę”?) na północy i Oriona („Pająka”?) znikającego za horyzontem na zachodzie. Poniżej gwiazdy Rigel z tylnej nogi niebiańskiego „Pajaka” znajduje się gwiazdna rzeka Erydan. Na ziemi noga „Pajaka” z Nazca ma w odpowiadającym miejscu dziwne przedłużenie. Jeśli przyjmiemy hipotezę Marii Reiche, iż „Małpa”, ze swym niezwykłym spiralnym ogonem, symbolizuje Wielki Wóz, to jakie konstelacje powinniśmy spodziewać się znaleźć wokół niej w Nazca?

Tego samego dnia i o tej samej godzinie 2000 lat temu „Kameleon” był widoczny na południu – i w Nazca jest jaszczurka. Obok „Kameleona” znajdował się „Cyrkiel”, „Oktant” i „Trójkąt Południa” – i w Nazca są takie gigantyczne trójkątne figury. Canis Maior, „Pies”, leżał na zachodzie – i w Nazca jest przedstawiony pies. Poniżej zachodniego horyzontu w wodach niebiańskiego oceanu pływał „Wieloryb” i także wieloryba możemy zobaczyć w Nazca.

Dokładnie nad Orionem na zachodnim niebie znajdowała się konstelacja obecnie nazywana „Jednorożcem”. Ale równie dobrze można ją sobie wyobrazić jako ptaka o rozpostartych skrzydłach, jak „Kondor” z Nazca. Na północ od „Jednorożca” i Oriona Bliźnięta tworzą na niebie wielki czworokąt. Na ziemi w Nazca jest czworokątna figura między „Pajakiem” a „Kondorem”. Powyżej Bliźniąt był Rak – trójkątna forma, w której inna kultura bez trudu mogła dostrzec ptaka o niewielkich skrzydłach i z długim dziobem; w Nazca jest „Koliber”. Jeszcze dalej na północ znajdowała się konstelacja dzisiaj zwana „Rysiem” – długa falująca linia; w Nazca najbardziej charakterystyczną cechą ptaka „Alcatraz” jest długa zyzgakowata linia szyi.



U góry: Figury z Nazca odzwierciedlające gwiazdozbiory. U dołu: Plan Nazca

Nie sugerujemy, że rysunki na płaskowyżu Nazca stanowiły rzeczywistością „mapę” czy też „diagram” nieba w dniu marcowej równonocy 2000 lat temu. Tak nie było. Po prostu zauważyliśmy, że wiele konstelacji, które dzisiaj znamy z nieba, może mieć swoje odzwierciedlenie w układach i orientacji głównych figur w Nazca. Wprawdzie wydaje się, że ich wzajemne położenie zostało wybrane przypadkowo (figury na ziemi są całkowicie „przemieszane” w stosunku do pozycji odpowiadających im figur na niebie), ale może być istotny fakt, iż wszystkie te figury leżą w wielkim pasie ciągnącym się z północy na południe przez zachodnią część sfery niebieskiej. Był to region przez wiele starożytnych kultur, zwłaszcza przez Egipcjan i Majów, uważany za bramy do zaświatów. Najczęściej, jak mogliśmy się przekonać, bramy te lokalizowano na obszarze Drogi Mlecznej, pomiędzy Lwem i Orionem, a istnieją dowody, że andyjscy kapłani-astronomowie łączyli je z miejscem przecięcia Drogi Mlecznej i ekliptyki z czworokątem Bliźniąt.

Zatem, mimo „przemieszania” figur, byłoby głupotą wykluczać możliwość, że ogromne rzeźby płaskowyżu Nazca mogą zawierać symboliczny obraz – wręcz mandalę – regionu nieba, po którym ludzkie dusze musiały podróżować po śmierci.

Zagadka

Ponieważ nie zachowały się żadne źródła pisane, wiemy bardzo mało o wierzeniach ludu Nazca. Pewnych wskazówek dostarczają późniejsze religijne tradycje andyjskie, które niemal na pewno wywodzą się z tego samego pnia. Bardzo interesujące jest również Cahuachi, główne stanowisko archeologiczne kultury Nazca. Sakralny okrąg z piramidami i świątyniami zajmuje powierzchnię ponad 150 hektarów i leży kilka kilometrów na południowy zachód od głównych geoglifów. Archeolog Michael Moseley określił je jako „nie tyle miasto, co wielki ośrodek kongregacyjny”.

Cahuachi sprawia wrażenie miasta postapokaliptycznego, zrujnowanego, zniszczonego, pochłoniętego przez piaski pustyni. Coś tu rozkwitało – jakiś kult, jakaś religia – kiedy 2000 lat temu powstawały linie i figury na płaskowyżu. Ale istnieją dowody, że miejsce to było zamieszkane znacznie wcześniej i wszystkie główne budowle zostały wzniesione na miejscach wyznaczonych przez wcześniejsze święte wzgórza i naturalne pagórki.

Cahuachi jest przede wszystkim miastem piramid, a kiedy ogląda się je z powietrza, najbardziej imponujący monument to centralna schodkowa piramida. Ta pięciopoziomowa budowla ma 18 metrów wysokości i jest zorientowana według osi północ-południe, z wejściem na północnym boku. Po obu jej stronach, tworząc ukośny rząd, znajdują się mniejsze piramidy o konturach mocno zatartych przez erozję. Bezpośrednio na południowy zachód od nich leży terasowe zbocze, przez archeologów nazywane „Wielką Świątynią”, wznoszące się nad czymś, co niegdyś było rozległym, otoczonym murem dziedzińcem.

Jak sugerował archeolog Johan Reinhard, można bez większego ryzyka założyć, że podobnie jak piramidy w Gizie, Teotihuacan i Angkorze, piramidy Cahuachi „funkcjonowały jako symboliczny krajobraz, w którym formy architektoniczne i przedstawienia bóstw odzwierciedlały świętą geografie”.

W Egipcie, Meksyku i Kambodży budowle tego rodzaju służyły jako instrumenty pomagające we wtajemniczaniu w potężny system duchowej wiedzy. Był to jeden i ten sam system na całym świecie. Zawsze i wszędzie nauczano tej samej wiedzy. I we wszystkich miejscach stosowano tę samą technikę, zmuszającą adeptów do myślenia kategoriami nieba i ziemi w celu zgłębienia labiryntu dualistycznej tajemnicy:

Niebo w górze, Niebo w dole;
Gwiazdy w górze, Gwiazdy w dole;
Wszystko, co jest nad, pokaże to, co jest pod.
Szczęśliwyś, który zagadkę rozwiązesz.

Czy jest tylko dziełem przypadku, czy też może wynikiem celowego planu, że dokładnie tę samą zagadkę napotykamy w Nazca – gdzie piramidy-góry Cahuachi stoją pośród wielkich konstelacji pustynnych rysunków, spoglądając w górę, ku niebu?

Oko Re

Mata-Ki-Te-Rani – „Oczy patrzące w niebo” – to jedna z dwóch starożytnych nazw Wyspy Wielkanocnej, druga brzmi Te-Pito-O-Te-Henua, „Pepek świata”. Ponad 300 kilometrów na wschód od Nazca, wśród szczytów Andów, leży inkaskie miasto Cuzco – którego nazwa znaczy dosłownie „Pepek świata”. 300 kilometrów na południe od Nazca, na peruwiańskim wybrzeżu, znajduje się starożytny morski port zwany Matarani. Jak czytelnik zapewne pamięta, słowo „matarani” w językach Polinezji znaczy „oko niebios”, a w starożytnym języku egipskim „maat re” znaczy „oko słońca”.

W Cuzco, gdzie wyrafinowany „kult słońca” był praktykowany pod panowaniem inkaskich boskich królów do czasu przybycia Hiszpanów w XVI wieku, istnieją astronomicznie zorientowane megalityczne ruiny. Ów kult słońca był już wówczas niezmiernie stary, a legendy łączą jego początki z tajemniczym miastem i imperium zwanym Tiahuanaco, północnym na wysokich równinach na południe od jeziora Titicaca. Matarani było portem tego imperium nad Pacyfikiem.

Wszystkie cywilizacje andyjskie wierzyły, że jezioro Titicaca było miejscem, w którym został stworzony świat. Z wyspy pośrodku jeziora wyłonił się bóg stwórca, Wirakocza, osobowa postać słońca, którego niemal wszystkie mity Ameryki Południowej opisują jako wysoką, brodatą postać o białej skórze.

Tajemnica i jezioro

W roku 1910 historyk sir Clements Markham, czołowy autorytet w sprawach Inków, pisał o „do dziś nie rozwiązanej zagadce na płaskowyżu jeziora Titicaca (...). Tajemnicę tę stanowi istnienie po południowej stronie jeziora ruin wielkiego miasta, którego budowniczości są nam całkowicie nieznani”.

Blisko 100 lat później tajemnica pozostaje nie rozwiązana. Zrujnowane miasto – od stosunkowo niedawna nazywane Tiahuanaco – w starożytności nosiło nazwę Taupicala, czyli „Kamień środka”. Wśród archeologów panuje zadziwiająca niezgodność co do daty jego powstania, niektórzy eksperci datują je na II tysiąclecie p.n.e., inni opowiadają się za znacznie późniejszą datacją, między II a IX wiekiem n.e.

Jak zobaczymy, wszystkie te chronologie opierają się na bardzo kruchych podstawach, a istnieje coraz więcej dowodów, że datowanie Tiahuanaco może być jedną z największych pomyłek archeologii. Nawet II tysiąclecie p.n.e., najstarsza datacja zaproponowana przez współczesnych naukowców, może się okazać „za młoda” o tysiące lat.

Organizacja

Znakiem rozpoznawczym budowniczych Tiahuanaco było użycie ogromnych megalitów. Jak napisał Markham:

Jeden z kamieni ma wymiary 8 x 1,6 metra, waży 170 ton, inny mierzy 6 x 3 metry. Poza monolitami starożytnego Egiptu nie dorównuje im nic w żadnej części świata. Transport i umieszczenie takich monolitów wskazuje na (...) istnienie zorganizowanej władzy (...). Musiała istnieć organizacja łącząca umiejętności i inteligencję z władzą i potencjałem administracyjnym.

Jedną z niewielu spraw, co do których naukowcy zajmujący się Tiahuanaco są całkowicie zgodni, jest właśnie istnienie tej inteligentnej, potężnej i skutecznie zarządzanej „organizacji”, która nie miała nic wspólnego z dobrze udokumentowaną andyjską cywilizacją Inków (rozkwitającą między XV a XVI wiekiem n.e.). Opinię naukowców potwierdzają legendy Indian Aymara, którzy od niepamiętnych czasów mieszkają w pobliżu Tiahuanaco. W XVI wieku hiszpański kronikarz Cieza de Leon zapytał ich, czy megalityczne budowle miasta są dziełem Inków:

Roześmiali się na to pytanie, zapewniając, że zostały one zbudowane na długo przed panowaniem Inków i (...) że słyszeli od swoich przodków, iż wszystko zdarzyło się nagle, w ciągu jednej nocy.

Megalityczni budowniczowie

Tiahuanaco nie jest jedynym megalitycznym miastem w Andach, które historycy i lokalne tradycje łączą z tajemniczym, jak dotąd niezidentyfikowanym i, jak się wydaje, bardzo starożytnym źródłem. Około 650 kilometrów na północ mnóstwo podobnych ruin znajduje się wokół Cuzco, stolicy Inków. Jak zapewnia sir Clements Markham:

W Cuzco jest cyklopedia budowla (...) z wielkim monolitem zwanym „kamieniem dwunastu narożników”. Niektóre części starożytnych zabytków w Ollantaytambo [60 kilometrów od Cuzco] są zbudowane z megalitów (...). Lecz największym i najbardziej imponującym dziełem tych megalitycznych budowniczych jest forteca na wzgórzu Sacsayhuaman [na przedmieściu Cuzco]. Tworzą ją trzy równoległe mury, każdy długości 330 jardów, z 21 wysuniętymi i cofającymi się kątami (...). Zewnętrzny mur na swoich wystających narożnikach ma bloki o wymiarach: 14 stóp na 12, inny 10 stóp na sześć. Musiała istnieć jakaś ważna przyczyna wzniesienia tak cudownego (...) dzieła, o którym nic nie wiemy. Pochodzenia tej budowli, tak jak całego Tiahuanaco, nie znamy. Inkowie nie wiedzieli o nim nic. [Inkaski kronikarz] Garcilaso [de la Vega] wspomina o wieżach, murach i bramach, podając nawet imiona architektów, ale chodzi tu o późniejsze budowle wewnątrz cyklopiej fortecy. Zewnętrzne mury muszą pochodzić z epoki megalitycznej.

Wprawdzie Markham nie zaproponował dokładnej daty „epoki megalitycznej (...), kiedy transportowano cyklopie bloki i wznoszono cyklopie fortece”, ale wielokrotnie potwierdzał swoją głęboką wiarę w „starożytność” Tiahuanaco, Sacsayhuaman i innych podobnych budowli. Stwierdził też, że „andyjska cywilizacja sięga zamierzchłej starożytności”.

Pępowina

Ludzie, obecnie nazywani „Inkami”, byli mówiącymi w języku keczua południowoamerykańskimi Indianami. Nazwa ta pierwotnie odnosiła się tylko do

królów i była tytułem – o monarsze mówiono „Inka”. Dopiero znacznie później określeniem tym zaczęto nazywać cały naród. Inkowie byli nowymi przybyszami w dziejach Andów. Warto powtórzyć, że ich imperium liczyło sobie około 100 lat w chwili przybycia Hiszpanów. Lecz przechowali oni legendy mówiące o odległych czasach, kiedy przodkowie Inków zostali zesłani z nieba na ziemię przez boga-stwórcę Wirakoczę, o którym mówili „nasz Ojciec Słońce”. Zadaniem pary królewskiej było przynieść ludzkości zbawienie.

Oto historia opowiedziana w XVI wieku przez inkaskiego historyka Garcilaso de la Vegę. Rozgrywa się ona w apokaliptycznej minionej epoce wśród gór i urwistych zboczy, gdzie ludzie byli kanibalami i „żyli jak dzikie bestie, nie znając porządku ani religii”:

Widząc warunki, w jakich żyli, nasz Ojciec Słońce wstydił się za nich i postanowił zesać z nieba na ziemię jednego ze swoich synów i jedną ze swoich córek, aby mogli nauczyć ludzi czcić go i uznawać za boga (...). Nasz Ojciec Słońce wysłał dwójkę swoich dzieci do jeziora Titicaca i dał im pręt ze złota, nieco krótszy niż ramię człowieka, o grubości dwóch palców.

„Idźcie, dokąd chcecie – powiedział im – a gdziekolwiek się zatrzymacie, żeby jeść lub spać, wbijcie ten pręt w ziemię. W miejscu gdzie zaraz po wbiciu zniknie on zupełnie, musicie założyć i utrzymywać swój dwór. A ludzie, których weźmiecie pod swoje panowanie, będą żyli w stanie pokoju i rozsądku dzięki miłosierdziu, trosce i łagodności”.

Ogłosivszy swoją wolę dwójce swych dzieci, nasz Ojciec Słońce odesłał ich. Potem opuścili oni jezioro Titicaca i ruszyli na północ, każdego dnia na próżno próbując wbić swój złoty pręt w ziemię (...).

[Na koniec] Inka i jego żona weszli do Doliny Cuzco (...) Tam, [w miejscu zwanym Cuzco Cara Urumi, „Niezakrytym kamieniem pępka”], wypróbowali swój złoty pręt, który nie tylko wbił się w ziemię, ale zniknął całkowicie (...). Tak powstało nasze królewskie miasto.

Legendy, które przekazuje Garcilaso i inni, nie pozostawiają cienia wątpliwości, że miejscem, gdzie „dzieci Słońca” pojawiły się, kiedy zostały zesłane nad brzegi jeziora Titicaca, było megalityczne miasto Tiahuanaco. Nie ulega też wątpliwości, że Tiahuanaco było uważane za oryginalną świętą stolicę andyjskiego boga-stwórcy Wirakoczy, który był ludzkim wcieleniem „naszego Ojca Słońca”.

Możemy założyć, że kiedy dwoje „dzieci Słońca” zaniósł złoty pręt Wirakoczy na północ z Tiahuanaco do Cuzco i „tam wbiło go w ziemię”, odprawiało rytuał będący swego rodzaju połączeniem z pępownią. Tę samą ideę przekazują niezwykle starożytne nazwy obu tych miast: „Pępek świata” w przypadku Cuzco i „Kamień środka” w przypadku Tiahuanaco. To przypomina nam Te Pito Kura, złoty „kamień pępka” z Wyspy Wielkanocnej i Eben Szetijah z legend żydowskich – „Kamień Węgielny” świątyni w Jerozolimie, który miał zostać „zanurzony w otchłani” przez Boga, aby „służył jako środek ziemi”.

Klif Lwa

Wyruszyliśmy z Nazca do Cuzco – 800 kilometrów lotu nad Andami. Góry oglądane z wysokości 9000 metrów zza szyb kabiny samolotu sprawiały wrażenie, jakby ciągnęły się bez końca we wszystkich kierunkach. Ostre, ośnieżone, surowe i bezlitosne szczyty stanowią rodzaj naturalnej fortecy, otaczającej i chroniącej śródlądowe jezioro Titicaca niczym drogocenny skarb.

Jezioro ma 300 metrów głębokości i ponad 7700 kilometrów kwadratowych powierzchni, a linia jego wybrzeża znajduje się na wysokości 3800 metrów nad poziomem morza. Jego nazwa – „Titicaca” – ma dwa znaczenia: „Klif Ołowiu” lub „Klif Lwa”. Tę samą nazwę tradycyjnie nosi największa wyspa na jeziorze, obecnie znana lepiej jako Wyspa Słońca, oraz specyficzne miejsce na tej wyspie – stromy, czarny, zwrócony na wschód klif, tworzący terasowe stopnie. Ten przepagórek był uważany za „miejsce stworzenia”, w którym obecna i wszystkie poprzednie epoki świata zostały wprowadzone w ruch. Dla upamiętnienia tych wydarzeń, w krótkim stuletnim okresie między pojawieniem się imperium Inków a zniszczeniem go przez hiszpańską konkwistę, na klifie Titicaca wzniesiono piękną kamienną świątynię z fontannami i schodami, zorientowaną w kierunku wschodu słońca w dniu równonocy. Jak twierdzi archeoastronom William Sullivan: „Z zachwycającą symboliczną lapidarnością samo słowo »Titicaca« opowiada całą historię (...). »Lwi klif« Titicaca wznoszący się z wód jeziora wyraża narodziny nowego świata”.

Brodaty bóg i Piąte Słońce

Według andyjskich legend „nowy świat” został powołany do istnienia za sprawą słowa boga Wirakoczy. Jak Atum w starożytnym Egipcie lub Wisznu u Hindusów, był on pierwszym i podstawowym symbolem wielkich twórczych mocy kosmosu. Był identyfikowany ze słońcem i, jak mogliśmy się przekonać, stanowił ludzkie wcielenie słońca. Tak samo jak meksykański twórca cywilizacji bóg Quetzalcoatl, był opisywany jako: „biały człowiek (...), brodaty i o niebieskich oczach (...), o imponującej postawie i władcym zachowaniu (...). W wielu miejscach nauczył ludzi, jak powinni żyć (...)”.

Ponieważ historycy nie godzą się z możliwością istnienia jakichkolwiek wzajemnych wpływów i zależności między prekolumbijskim Meksykiem a prekolumbijskim regionem Andów, uważa się za czysty przypadek, że starożytne kultury na obu tych obszarach czciły białoskórego, brodatego boga-cywilizatora. A czy również przypadkowo obie kultury wierzyły, że żyją w piątej epoce ziemi i nazywały tę epokę „Piątym Słońcem”?

Zapoznaliśmy się z meksykańską wersją tego systemu wierzeń w części pierwszej. Andyjska wersja została utrwalona na piśmie w XVI wieku przez peruwiańskiego arystokratę imieniem Huaman Poma, którego imię „Sokół-Lew” żywo przypomina symbolikę Horusów-królów starożytnego Egiptu. Hiszpański ksiądz Martin de Murua pozostawił relację o andyjskich wierzeniach: „Od stworzenia świata aż do tego czasu minęły cztery Słońca, nie licząc tego, które obecnie nas oświetla”.

W Meksyku i w Ameryce Południowej wierzono, że każde z czterech poprzednich Słońc zostało zniszczone przez wielki kataklizm – wodę, spadające niebo, wiatr, ogień. W obu cywilizacjach wierzono też, że i Piąte Słońce wkrótce czeka zagłada za sprawą czegoś, co w Meksyku nazywano „wielkim poruszeniem ziemi”, zaś w Andach „pachacuti”. Słowo „pachacuti” znaczy dosłownie „przewrócenie ziemi” (według tłumaczenia sir Clementsa Markhama) lub „przewrócenie czasoprzestrzeni” według Williama Sullivana.

Andyjskie Heliopolis?

Mieszkańcy Andów uważali, że bóg Wirakocza, który tworzył nowe światy, był także odpowiedzialny za zniszczenie poprzedzających je światów.

Jego pierwszym dziełem miał być „świat, w którym nie było światła ani ciepła”. Jako mieszkańców tego „jądra ciemności” Wirakocza stworzył „wielkich, silnych ludzi nadnaturalnej wielkości, którzy żyli nierzeczywistym bytem jak zwierzęta”. Kiedy ci giganci przestali mu się podobać, „zniszczył ich potopem, una pachacuti, obaleniem świata przez wodę”:

Potem, po potopie, pojawiwszy się znowu na wyspie Titicaca (...), powołał do istnienia nową rasę ludzi postury takiej jak on sam, który był przeciętnego wzrostu, człowieka i rozkazał, żeby słońce, księżyc i gwiazdy powstały i znalazły się na niebie (...), aby świeciły w dzień i w nocy.

Takie są tradycje dotyczące Titicaca, Wyspy Słońca – a zwłaszcza „lwiego klifu” po wschodniej stronie wyspy, gdzie Wirakocza wyłonił się z wód jeziora – która miała stanowić pierwotne miejsce stworzenia. W tym wielkim schemacie duchowej geografii Tiahuanaco, „ze swoimi starożytnymi i dziwnymi budowlami”, było uważane za pierwsze miasto, jakie Wirakocza zbudował po stworzeniu świata.

Nie ma żadnej istotnej różnicy między tą koncepcją a starożytną egipską ideą Heliopolis jako miasta „w miejscu stworzenia” – w którym bóg Atum „wzniósł się [z wód praoceanu Nunu] jako Wysokie Wzgórze [i] zajaśniał jako kamień Benben w Świątyni Feniksa”.

Inną ciekawostką jest zwrócony na wschód „lwi klif” Titicaca, szczególnie kojarzony ze stworzeniem obecnej epoki ziemi. Egipski Wielki Sfinks jest lwem wykutym w „klifie” płaskowyżu Giza. Według inskrypcji z czasów XVIII dynastii umieszczonej na steli między jego łapami, wyznacza on „Wspaniałe Miejsce Pierwszego Razu” – czyli początek obecnej epoki ziemi.

Świątynia Słońca

Po ustanowieniu stolicy w Cuzco Inkowie przejęli starsze święte miejsce, w samym centrum miasta, i na jego szczycie zbudowali Coricancha, wielką narodową

Świątynię Słońca. W samym środku Coricancha, na przestronnym otwartym ku niebu dziedzińcu znajdowało się symboliczne pole z rosnącą na nim „kukurydzą” uformowaną z czystego złota. Pośrodku pola znajdowała się ośmiokątna skrzynia z szarego kamienia, niegdyś pokryta 55 kilogramami czystego złota. Wyznaczała ona miejsce nazywane Cuzco Cara Urumi („Niezakryty kamień pępka”), gdzie według mitów „dzieci Słońca” wbiły w ziemię złoty pręt.

Kiedy Hiszpanie napotykali rdzennie amerykańskie święte miejsca, bardzo często budowali tam kościoły. W Coricancha zbudowali wielki kościół Santo Domingo, lecz mury wcześniejszej inkaskiej budowli pozostawili w znacznej mierze nietknięte. W czasie trzęsienia ziemi w 1951 roku kościół został poważnie uszkodzony i odsłoniła się konstrukcja oryginalnej świątyni, z masywnymi, odpornymi na wstrząsy tektoniczne murami z ogromnych kamiennych bloków dopasowanych do siebie niczym fragmenty wielkiego puzzle’a. Połączenia bloków są tak precyzyjnie wykonane, że niemal ich nie widać i całość sprawia wrażenie ogromnej pracy jubilerskiej.

Spojrzelśmy w dół, na ośmiokątną granitową skrzynię pośrodku otoczonego portykiem dziedzińca. Dzisiaj nie ma już na niej złota: odarli je doszczętnie Hiszpanie na samym początku konkwisty – podobnie jak wszędzie w Coricancha. Dzisiaj nikt nie ma pojęcia, jaka była pierwotnie jej funkcja. Nie jesteśmy nawet pewni, czy zawsze wyglądała tak jak dzisiaj – przypominając kształtem fontannę – ponieważ fanatyczni zakonnicy mogli ją przekuć, kiedy w XVI wieku budowano wokół niej kościół.

Garcilaso de la Vega, który znał Coricancha, zanim stało się kościołem i później, nie wspomina o skrzyni, lecz dostarcza nam mnóstwa innych szczegółów, pozwalających poznać oryginalny charakter inkaskiej Świątyni Słońca:

To, co będziemy nazywać wysokim ołtarzem, chociaż Indianie nie znają takiego określenia, znajdowało się na wschodzie, zaś dach, umieszczony bardzo wysoko, był z drewna pokrytego trawą. Na czterech ścianach od góry do dołu wisały złote płyty, a wizerunek Słońca wieńczył ołtarz. Wizerunek ten był wykonany ze złotej płyty, dwukrotnie grubszej niż te, które wisały na ścianach, i składał się z okrągłej twarzy otoczonej promieniami i płomieniami (...), cała rzecz była tak wielka, że zajmowała całą tylną ścianę świątyni.

Po drugiej stronie Słońca przechowywano niezliczone mumie inkaskich królów, tak dobrze zachowane, że robiły wrażenie żywych. Siedziały na złotych tronach ustawionych na płytach z tego samego metalu i patrzyły na wchodzącego (...). Indianie ukryli te ciała razem z innymi skarbami, które jeszcze nie wyszły na światło dzienne (...).

Wskazówki astronomiczne

Uważa się, że jednym z tych ukrytych skarbów był wizerunek Wirakoczy, boga Słońca w ludzkiej postaci. Wizerunek ten widzieli i opisywali liczni hiszpańscy

kronikarze, zanim zaginał w XVI wieku. Podobno był „wykonany ze złota o ciężarze 10-letniego chłopca i miał postać stojącego człowieka z prawym ramieniem uniesionym i zamkniętą dłonią z wyjątkiem kciuka i palca wskazującego (...)”.

William Sullivan jako pierwszy zauważył, że jest to charakterystyczna postawa astronoma prowadzącego obserwacje i że „miara dłoni, to znaczy odległość między kciukiem a palcem wskazującym wyciągniętej ręki, dla »archaicznych« astronomów stanowiła wygodny sposób odmierzania czasu na sferze niebieskiej”. Sullivan wskazuje, że dokładnie taką samą miarą dłoni posługują się do dzisiaj tradycyjnie polinezyjscy żeglarze na Karolinach. Według antropologa Davida Lewisa ta miara, opisana jako „odległość między kciukiem a palcem wskazującym na długość wyprostowanej ręki, czyli około 10 stopni (...), może odpowiadać starożytnej technice (...)”.

Jako awatar Słońca Wirakocza ma wyraźnie astronomiczny charakter i dlatego wydaje się bardzo możliwe, że jego ziemskie wcielenie zostało przedstawione w postaci astronoma obserwującego gwiazdy – zwłaszcza że w Coricancha znajdujemy też inne ślady starożytnego kultu astronomicznego.

Bardzo ważne było, jak pisze Garcilaso „pięć wielkich kwadratowych pomieszczeń” wokół centralnego dziedzińca; część ich ścian z polerowanego szarego granitu zachowała się do dzisiaj. „Nie było między nimi połączenia – informuje nas Garcilaso – i miały sklepienia w formie piramidy”.

Jedno z pomieszczeń było:

Poświęcone Księżycowi, narzeczonej Słońca. Było ono całkowicie pokryte srebrem (...). Podobizna Księżycy z twarzą kobiety zdołała je w taki sam sposób, jak wizerunek Słońca zdołał większą budowlę (...). Pokój położony najbliżej księżycowego był dedykowany Wenus, Plejadom i wszystkim gwiazdom (...). Pomieszczenie było obwieszane srebrem, tak jak pokój Księżycy, a sklepienie było usiane gwiazdami jak firmament. Następne pomieszczenie było poświęcone błyskawicom i burzy (...). Czwarty pokój był poświęcony tęczy, która, jak mówili, pochodzi od Słońca (...). Był całkowicie ozdobiony złotem a na całej powierzchni jednej ze ścian wymalowano tęczę w pięknych kolorach (...). Piąte i ostatnie pomieszczenie było zarezerwowane dla arcykapłanów i ich pomocników, którzy wywodzili się z królewskiego rodu (...). Ten pokój był wyłożony złotem tak samo jak pozostałe.

Gwiezdana piramida Inków

To, co opisał Garcilaso, jest kosmologiczną świątynią.

Główna budowla, przepiękna przejrzystą symboliką solarną, była dedykowana Słońcu. Ponadto, chociaż nie pisze o tym Garcilaso, miała ona wyraźną solarną orientację, w której pobliski szczyt górski pełnił rolę „celownika”. Nazwa tego szczytu brzmi „Pachatusan”, co znaczy „belka” lub „podpora” wszechświata. Dla obserwatora stojącego na dziedzińcu Coricancha słońce wschodziło dokładnie nad Pachatusan w dniu czerwcowego przesilenia.

Z pięciu dodatkowych pomieszczeń Świątyni Słońca jedno było zarezerwowane dla arcykapłanów i ich asystentów, zaś wszystkie pozostałe były dedykowane zjawiskom kosmologicznym, a konkretnie astronomicznym.

Przypuszczamy, że nawet poświęcenie jednego z pomieszczeń błyskawicom i burzy miało więcej wspólnego z astronomią niż z pogodą, ponieważ wszędzie w świecie starożytnym błyskawice symbolizowały meteoryty – „kamień gromu”. Mamy doskonale dowody na to, że niegdyś w Andach rozkwitał kult meteorytów, zadziwiająco podobny do staroegipskiego kultu meteorytu Benben. Jeden z licznych tytułów Wirakoczy używanych przez Inków w liturgii brzmiał nawet Illa-Tiki. Słowo „illa” znaczy „kamień gromu”, zaś „tiki” – „pierwotny”, „oryginalny”, „fundamentalny”. Czy ów „pierwotny kamień gromu” nie brzmi niczym Benben – kamień, który według starożytnych Egipcjan „spadł z nieba w pierwotnej epoce”? I czy jest tylko dziełem przypadku, że w obu miejscach meteoryty były kojarzone z twórczymi mocami kosmosu – a zwłaszcza z płodnością i odradzaniem?

Garcilaso podaje, że inne pomieszczenie w świątyni było poświęcone tęczy, którą Inkowie uważali za emanację Słońca. To przypomniało nam pogląd starożytnych Khmerów z Angkoru, że tęcze były mostami łączącymi światy bogów i ludzi.

Pozostałe dwa pomieszczenia Coricancha były całkowicie i jednoznacznie związane z ciałami niebieskimi – jedno z Księżycem, drugie z „Wenus, Plejadami i wszystkimi innymi gwiazdami”. W tej ostatniej sali sufit był „usiany gwiazdami jak firmament”. Przypominało to grobowce staroegipskich faraonów, w których również stropy są ozdobione gwiazdami – na przykład w Dolinie Królów, w piramidach V i VI dynastii i Sakkarze.

Relacja Garcilasa zawiera dwa inne bardzo ciekawe szczegóły. Podaje, że Inkowie mumifikowali ciała swoich zmarłych boskich królów (podobnie postępowali starożytni Egipcjanie) i że astronomiczne pomieszczenia w Coricancha miały pierwotnie „sklepienia w formie piramidy”. Czy można uznać za czysty przypadek, że układ na ziemi trzech piramid w Gizie został zaplanowany na wzór układów astronomicznych, a Wielka Piramida zawiera wiele różnych pomieszczeń z kanałami wycelowanymi w konkretne gwiazdy?

Kapłani-astronomowie

Dowiedzieliśmy się w części drugiej, że piramidami w Gizie opiekowali się kapłani-astronomowie z Heliopolis, „nauczyciele tajemnic nieba”, których przełożony, „szef astronomów” bezpośrednio komunikował się, jak wierzono, z mocami niebios. Inkowie nazywali swojego arcykapłana z Coricancha „uilac-umu”, co znaczy „ten, który mówi o boskich sprawach”. Pomagała mu kasta uczonych kapłanów zwanych amuatas, wśród których było kolegium tarpuntaes – biegłych astronomów. „Ich zadaniem było studiowanie ciał niebieskich, odnotowywanie ruchów Słońca, ustalanie czasu przesileni i równonocy [oraz] przewidywanie zaćmień”. W tym celu

wykorzystywali szereg monolitów zwanych „sucas”, obecnie niestety całkowicie zniszczonych, które – według dawnych kronikarzy stały „na górzystym horyzoncie doliny Cuzco w strategicznych punktach widocznych z Coricancha, wyznaczających kierunki zimowego i letniego przesilenia”.

W części drugiej zapoznaliśmy się także ze wzmiankami w *Tekstach Piramid*, które sugerują, że starożytni Egipcjanie, albo ich prehistoryczni dobroczyńcy, bardzo wcześnie dysponowali zaawansowaną wiedzą o mechanice nieba. Na przykład termin „Szemesu Hor”, „Towarzysze Horusa”, można uznać za nawiązanie do grupy obserwatorów, którzy „śledzili drogę Słońca” – czyli ekliptykę. Zainteresowało nas zatem, że zdaniem archeoastronoma Williama Sullivana – Coricancha, o wyraźnie ekliptycznym zewnętrznym murze, służyło jako model ekliptyki.

Płaszczyzna ekliptyki była wyobrażona (...) za pomocą Świątyni Słońca, która w języku Keczua była nazywana „Coricancha”, co znaczy dosłownie „złota zagroda”. Pokrewny czasownik „cancha” znaczy „otaczać”. Symbolika „złotego kręgu Słońca (...) sugeruje (...) płaszczyznę ekliptyki (...).

Sullivan dowodzi słuszności swojej hipotezy, tłumacząc jeden z licznych tytułów Wirakoczy: Intipintin Tiki-Muyo Camac. Epitet ten:

znaczy dosłownie „stwórca-złączonego-podstawowego-kręgu-słońca” (...). Jeśli nasze dziecko wróciłoby ze szkoły po podstawowej lekcji astronomii i zamiast podawać podręcznikową definicję ekliptyki (pozorna droga Słońca w ciągu roku), określiłoby ją jako złączony podstawowy krąg Słońca, moglibyśmy przyjąć, że pojęło istotę sprawy.

Pośmiertne podróże

Starożytny system religijny, który kapłani z Heliopolis – jak sami twierdzili – odziedziczyli po „Towarzyszach Horusa”, łączył precyzyjne obserwacje astronomiczne i wyrafinowaną wiedzę o tak trudno uchwytnych zjawiskach jak precesja równonocy, z dążeniem do osiągnięcia nieśmiertelności ludzkiej duszy. Spotkaliśmy się ze śladami takich samych dążeń w starożytnym Meksyku oraz wśród świątyń Angkoru w Kambodży. Czy może być kwestią przypadku, że tymi samymi problemami zajmowali się w Andach nie tylko Inkowie, ale również wszyscy ich znani poprzednicy tysiące lat wcześniej?

Szczególnie godny uwagi jest fakt, że zarówno kultury Andów, jak i starożytnego Egiptu wierzyły, że dusze zmarłych muszą odbyć pośmiertną podróż wśród gwiazd i odnaleźć na niebie bramę do zaświatów. Starożytni Egipcjanie nazywali zaświaty Duat i lokalizowali je w konkretnym regionie nieba, między konstelacją Lwa z jednej strony, a Orionem/Bykiem z drugiej – gdzie jasno świeci Mleczna Droga. Położona w połowie odległości między Lwem i Bykiem konstelacja Bliźniąt wyznacza punkt przecięcia się Mlecznej Drogi z ekliptyką. Dokładnie to samo

miejsce według wierzeń rdzennych mieszkańców Andów było „skrzyżowaniem krainy żywych i krainy zmarłych”.

Starożytni Egipcjanie około 2500 roku p.n.e. wierzyli, że Duat było aktywne – to znaczy, że otwierały się jego bramy – tylko w czasie czerwcowego przesilenia. Inkowie około 1500 roku n.e. również wierzyli, że bramy ich niebiańskich zaświatów otwierają się tylko w czasie przesilenia. Według nich następowało to w ciągu czterech dni około grudniowego przesilenia, kiedy Słońce odpoczywało na południowym zwrotniku, wyznaczając „doroczne otwarcie krainy umarłych dla krainy żywych”.

Inkowie wierzyli, że „w tym świecie jesteście wygnancami z naszej ojczyzny w świecie na górze” i w chwili śmierci dusza, która żyła we wtajemniczonym adeptcie, powinna móc wrócić do nieba i przybrać na nowo prawdziwą niebiańską chwałę. Staroegipskie *Teksty Piramid*, mówiące o dążeniu wtajemniczonego do osiągnięcia „życia przez miliony lat” oznajmniają dumnie: „ziemia jest odrazą króla (...). Ten król jest związany z niebem (...). Ten król jest jedną z tych (...) istot (...), które nigdy nie spadną z nieba na ziemię”.

Dokładnie takie same idee inspirowały twórców naśladowujących niebo świątyń Angkoru w Kambodży. Można je znaleźć również jako nieustannie powtarzający się refren w *Tekstach Hermetycznych* i pismach gnostyków, krążących po Egipcie i Bliskim Wschodzie w pierwszych wiekach ery chrześcijańskiej. Hermetyczny kodeks znany jako *Kore Kosmou* jest szczególnie bliski wierzeniom Inków, porównując wygnanie dusz z niebiańskiego królestwa w górze do inkarnacji w ludzkiej postaci. „O my nieszczęśni – protestują dusze – jakże ciężkie warunki nas czekają! Jakże nienawistne rzeczy będziemy musieli czynić, aby zaspokoić potrzeby tego ciała, które tak niedługo musi zginąć!” Błagają zatem Stwórcę, aby ulżył ich cierpieniom i zesłał na nie zapomnienie; „Spraw, żebyśmy zapomnieli, jakie szczęście straciliśmy i do jakiego złego świata musimy zstąpić”.

Wszystkie te systemy religijne uczą, że dusza, która wcieliła się w ludzką postać, musi być poddana straszliwym próbom, jeśli ma odnaleźć drogę powrotną do królestwa w niebie. W andyjskich relacjach o podróży po zaświatach próby te często symbolizowało przejście przez wąski most z ludzkich włosów przerzucony nad rwącą rzeką. Inkowie wierzyli też, że dusza może przepłynąć przez rzekę „z pomocą czarnych psów” – idea ta przypomina rolę czarnych psów Anubisa i Upuauta jako przewodników ludzkiej duszy w staroegipskiej *Księdze Umarłych*.

Część tego szeroko rozpowszechnionego systemu wierzeń stanowiło przekonanie, że aby mieć nadzieję na osiągnięcie zbawienia, człowiek powinien wykorzystywać okazję zdobycia doświadczenia i podejmowania wyborów stawianych przed nim przez jego materialną egzystencję, aby zdobyć specyficzny rodzaj tajemnej wiedzy. Ta wiedza powinna pozwolić duszy podnieść się ze stanu upadku i wrócić do niebios, ale jej zdobycie wymagało długiego i żmudnego procesu duchowej inicjacji, którego przejście „trudne dla kogoś obciążonego ciałem”. W taki lub inny sposób wszystkie starożytne źródła zalecają adeptowi zdecydowanemu iść tą drogą „przyjmując umysł za przewodnika, rozum za nauczyciela. One wyprowadzą cię ze zniszczenia i niebezpieczeństw”. Pilne rozwijanie umysłu i rozumu pozwoli

także pielgrzymowi zrozumieć, dlaczego „Pan uczynił wszystko w tajemnicy” i dlaczego powiedział: „Przybyłem, aby uczynić rzeczy na dole takimi, jakie są rzeczy w górze”.

Nagroda dla tych, którym udało się ukończyć podróż, było „istnienie bez śmierci pośród umierającej ludzkości”. Jak wiadomo, w Egipcie, Meksyku i Angkorze poszukiwania nieśmiertelności były prowadzone w otoczeniu wielkich astronomicznie zorientowanych monumentów w krajobrazie „naśladującym niebo”.

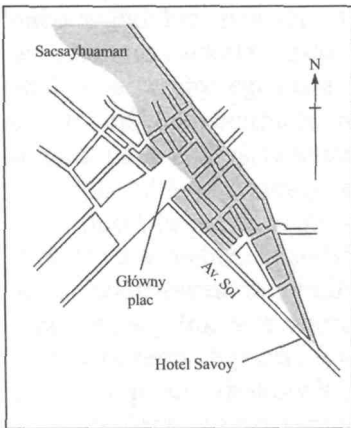
W Egipcie Nil był ziemskim odpowiednikiem Mlecznej Drogi. Inkowie uważali całą dolinę Cuzco w górę aż do Machu Picchu za odzwierciedlenie nieba, a płynącą przez nią rzekę Vilcamayu za ziemski odpowiednik Mlecznej Drogi. Zarówno nad brzegami Nilu, jak i Vilcamayu odprawiano specjalne rytuały w czasie czerwcowego przesilenia. W obu miejscach rytuałom tym przewodniczyli boscy królowie – Inka i faraon, których koncepcje praktycznie niczym się nie różniły. W obu kulturach rytuały te odprawiano w megalitycznych budowlach, których wieku nie znamy.

Poznaliśmy dowody na to, że Sfinks w Gizie i otaczające go megalityczne świątynie mogą mieć ponad 12 000 lat. Ponieważ nie wiemy właściwie nic o pochodzeniu megalitycznych konstrukcji wokół Tiahuanaco i Cuzco, nie powinniśmy wykluczać możliwości, że są one równie stare.

Kamień w centrum

Opuściliśmy Coricancha i wyruszyliśmy z Cuzco na północ, do pobliskich ruin Sacsayhuaman, co znaczy dosłownie „Zadowolony Sokół”. Nazwa ta może mieć coś wspólnego z Szemesu Hor – „Towarzyszami” starożytnego egipskiego boga-sokoła, Horusa.

W XVI wieku Garcilaso de la Vega dał wyczerpujący opis Sacsayhuaman:



„Puma” w Sacsayhuaman

Jego proporcje są niewyobrażalne dla kogoś, kto go nie widział. Po bliższym obejrzeniu i dokładnym zbadaniu wydaje się tak niezwykle, że można by pomyśleć, iż jakaś magia czuwała nad jego budową (...). Jest zbudowane z tak wielu [ogromnych] kamieni, że człowiek zastanawia się, jak Indianie mogli je wykuwać, transportować i jak udało im się umieścić je jedno na drugim (...). Są do siebie tak dokładnie dopasowane, że nie sposób wsunąć między nie ostrza noża. Jeśli pomyślimy o tym, jak niewiarygodną pracę wykonano tu bez użycia jakiegokolwiek maszyny (...), jak możemy wyjaśnić fakt, że peruwiańscy Indianie byli w stanie rozbić, wyrzeźbić, podnieść, przetransportować i ustawić tak ogromne bloki kamienia, które bardziej przypominają fragmenty góry niż kamienie budowlane? Czy przesadą jest stwierdzenie, że stanowią one zagadkę większą niż siedem cudów świata?

Ze swoimi trzema rzędami gigantycznych zygzakowatych murów biegnącymi w trzech równoległych terasach na długości 300 metrów przez zbocze góry bezpośrednio nad Cuzco, Sacsayhuaman jest zbyt wielkie, by dało się objąć jednym spojrzeniem. Od dawna wiadomo, że stanowi ono część jeszcze większego geoglifu, niegdyś widocznego ze szczytów okolicznych wzgórz; w połączeniu z najstarszymi dzielnicami Cuzco tworzy kształt gigantycznej pumy. Rzeka Tullumayo

(obecnie przeprowadzona pod ziemią przez współczesne miasto) pełniła funkcję grzbietu tego starożytnego kota. Tors tworzył skrawek ziemi między Tullumayo na wschodzie a rzeką Huatanay (obecnie również pod ziemią) na zachodzie. W kształcie Sacsayhuaman ciągle można rozpoznać głowę lwa. Na południu zygzakowate mury tworzą zęby dolnej szczęki. Na północy górną szczęką jest skalny występ. Między szczękami leży długi pas otwartej, oczyszczonej ziemi – przedstawiający otwartą paszczę lwa. Jest ona zwrócona na zachód, w kierunku słońca zachodzącego w dniu równonocy – dokładnie tak samo, jak wielki Sfinks w Gizie jest skierowany na wschodzące słońce w dniu równonocy.

Legendy, potwierdzone przez współczesne badania archeologiczne, mówią o sieci tuneli pod Sfinksem, w których ukryte są tajemnicze skarby. Podobne legendy – również potwierdzone przez badania wykopaliskowe – mówią o labiryncie niezmiernie długich tuneli pod dolną szczęką lwa z Sacsayhuaman. „Ludzie, którzy do nich wchodzą, giną na zawsze albo wychodzą szaleni i przerażeni, ścisnąc w dłoniach skarby”.

Problem wielkich kamieni

Godzinę przed zachodem słońca staliśmy na skale tworzącej górną szczękę lwa, patrząc na południe, w kierunku trzech zygzakowatych rzędów „zębów” w dolnej szczęce. Tworzy je ponad 1000 kamiennych bloków. Wszystkie są potężne, wiele z nich waży ponad 200 ton, a największe znajdują się na najniższej terasie. Według pomiarów i obliczeń dr Johna Hemminga z Royal Geographic Society w Londynie jeden z nich ma 8,5 metra wysokości i waży 355 ton, co czyni go jednym z „największych bloków, jakie kiedykolwiek użyto w jakiegokolwiek budowli”. Hemming zwrócił też uwagę na poligonalny charakter muru, którym wszystkie bloki różnego kształtu i wielkości łączą się w skomplikowany i intrygujący wzór”.

Trzy terasy sięgają łącznie wysokości 15 metrów. Z miejsca, w którym staliśmy, w świetle wczesnego wieczoru ich kontury zlewały się, tworząc fantastyczny zamek z bajki, ze spiętrzonymi jedna na drugiej warstwami kamienia, prowadzącymi ku niebu. Im niżej słońce było na zachodzie, tym dłuższe stawały się cienie rzucane przez poszarpane krawędzie lwich zębów i mieliśmy coraz silniejsze wrażenie, że cały monument został zaprojektowany, aby śledzić ruchy Słońca.

Zeszliśmy ze skalnego występu i ruszyliśmy trawiastą przestrzenią lwiej paszczy w stronę zygzakowatego muru. Wielkie kamienie, ciemne i ciężkie, majaczyły przed nami w mroku. Patrząc na ich przerażającą masę i zastanawiając się nad ich przytłaczającym ciężarem, nie mogliśmy – podobnie jak Garcilaso – wyobrazić sobie, jak mogły zostać przetransportowane z odległych o wiele kilometrów kamieniołomów, a tym bardziej jak udało się je tak precyzyjnie dopasować i ułożyć we właściwych miejscach.

Wprawdzie kilku uczonych – niekiedy takiego formatu jak sir Clements Markham – podważało powszechnie przyjętą archeologiczną teorię, która przypisywała Sacsayhuaman Inkom i utrzymywała, że cały ten zespół architektoniczny został

zbudowany „metodą prób i błędów, polegającą na wielokrotnym przemieszczaniu każdego kamienia, jakkolwiek mogło to być pracochłonne”. Jak dotąd nie opublikowano żadnego studium, które wyjaśniałoby tę „metodę prób i błędów”. Ponadto naukowcy przyznają, że wielkie megalityczne mury Sacsayhuaman „zostały ukończone lub porzucone przed przybyciem Hiszpanów, a Inkowie ani nie opowiadali, ani nie pozostawili żadnych opisów swoich metod”.

W gruncie rzeczy jedyny opis podjętej przez Inków próby poruszenia megalitu (zawarty w *Królewskich komentarzach na temat Inków* Garcilasa) sugeruje, że nie mieli oni pojęcia, jak się do tego zabrać i próba zakończyła się katastrofą. Garcilaso pisze o wielkim głazie o „niewiarygodnych” rozmiarach, który był „ciągnięty w poprzek góry przez ponad 20 000 Indian, poruszających się w górę i w dół stromego zbocza (...), a w pewnym momencie wymknął im się z rąk, miażdżąc ponad 3000 ludzi”.

Nie wątpimy, że Inkowie byli biegłymi budowniczymi ani że wiele mniejszych wewnętrznych budowli w Sacsayhuaman – z których obecnie nie zostało prawie nic – zbudowali Inkowie (podobnie jak znaczną część Cuzco). Jednak jeśli transport jednego wielkiego kamienia był dla nich aż tak wielkim problemem, to zastanówmy się, jak mogło im się udać przemieścić setki równie „zabójczych monstrów” i zbudować z nich zygzakowate mury Sacsayhuaman. Alternatywą jest jedynie hipoteza, że Clements Markham miał rację i mury są istotnie dziedzictwem z dawniejszej przeszłości – „megalitycznej epoki, kiedy transportowano cyklopie bloki i wznoszono cyklopie budowle”.

Giganci

Wróciliśmy, by przyjrzeć się dokładniej skalnemu występowi – górnej „szczęce” lwa – wznoszącej się 200 metrów na północ od zygzakowatych murów. Jego kontury zostały wyretuszowane rękami ludzi i historycy zazwyczaj przypisują to dzieło Inkom. Ale i tutaj nie mamy żadnych dowodów, że Inkowie mieli z tym cokolwiek wspólnego. Ponieważ jak dotąd nie wynaleziono żadnego wiarygodnego testu, który pozwoliłby mierzyć wiek kamiennych monumentów, teoretycznie jest możliwe, że skała została obrobiona na tysiące lat przed pojawieniem się Inków przez całkowicie inny lud, a następnie „przejęta” przez Inków, kiedy w XV wieku weszli na arenę dziejów. Taki scenariusz nie musi zakładać gwałtownego przerwania ciągłości między hipotetyczną „starszą kulturą” a Inkami. Przeciwnie, późniejsza kultura mogła odziedziczyć niektóre z legend i tradycji wcześniejszej oraz próbować naśladować, w znacznie mniejszej skali, jej tytaniczne dzieła. Istnieją potwierdzenia takiego procesu w niezliczonych świętych miejscach na całym świecie – a zwłaszcza w Egipcie, Meksyku i Angkorze, gdzie wszystkie monumenty budowano na fundamentach wcześniejszych, które z kolei zostały wzniesione na jeszcze starszych – i tak dalej, bez końca, w przeszłość.

Taki scenariusz w przypadku megalitów z Sacsayhuaman potwierdzają andyjskie mity, mówiące o magicznych osiągnięciach inżynierskich i architektonicznych

nych brodatego, białoskórego, jasnowłosego boga Wirakoczy i jego towarzyszy – „posłańców”, „łśniących” – którzy wyłonili się z wód jeziora Titicaca na początku świata. Istnieje też podobna legenda dotycząca rasy prehistorycznych mistrzów-budowniczych nazywanych Huari. Zostali oni opisani jako: „Biali, brodaci giganci, stworzeni nad jeziorem Titicaca, skąd wyruszyli cywilizować Andy (...)”.

Wielkie megality przypisywane takim samym gigantom można znaleźć na całym świecie, od Stonehenge po obie Ameryki. Ich kute w skale struktury, przypominają skalny występ w Sacsayhuaman. Zostały w nim wykute całe szeregi występów, teras, załamań, kanałów, trójkątnych uskoków i kamiennych „siedzeń”, uderzająco podobnych do ogólnego układu podwodnego monumentu na Yonaguni w Japonii oraz kutyh w skale jaskiń i siedzeń wewnątrz krateru Rano Raraku na Wyspie Wielkanocnej.

Bardzo podobne, opracowane przez człowieka skalne występy, rzeźbione w zagadkowe formy, można spotkać w wielu miejscach w regionie Cuzco. Jednym z najbardziej intrygujących tego rodzaju wzgórz jest Qenko, 1,5 kilometra na wschód od Sacsayhuaman. Silnie zerodowany wapienny ostaniec wyrzeźbiono wewnątrz i na zewnątrz, aby stworzyć tajemniczą kopułę, wypełnioną jaskiniami, ławami, korytarzami i niszami. Na samym szczycie, również wykuty w macierzystej skale, znajduje się owalny występ zwieńczony rozwidleniem. W pochyłych zboczach kopuły wyrzeźbiono zygzakowate kanały, figury różnych zwierząt – pumy, kondora i lamy – oraz liczne schody i terasy żywo przypominające monument na Yonaguni. U podstawy kopuły, otoczony niskim eliptycznym murem, znajduje się monolit o wysokości prawie 4 metrów, nieco podobny do tak zwanego „heelstone” ze Stonehenge.

Nie znamy żadnych faktów dotyczących tego ani innych kutyh w skale andyjskich monumentów. Wszystkie sprawiają wrażenie, jakby powstały tak dawno, że być może nigdy nie będziemy w stanie zrozumieć ani poznać ich twórców. Wyrażają system etyczny, dzisiaj nieznaną, który nigdy nie szukał łatwych rozwiązań, lecz zawsze dążył do perfekcji przez podejmowanie jak najtrudniejszych wyzwań. W Egipcie ten system etyczny stworzył piramidy w Gizie, w Angkorze największy zespół świątyń, jaki kiedykolwiek widział świat, w Nazca niewiarygodne naziemne rysunki, które można zobaczyć tylko z powietrza. Podobnie w niedostępnych miejscach wysoko w Andach stworzył sakralne budowle z kamiennych bloków o wadze setek ton.

Ollantaytambo

Sacsayhuaman jest wprawdzie oszałamiające, ale niezwykle wzgórze świątynne Ollantaytambo, 60 kilometrów na północny wschód od niego, przyćmiewa je pod każdym względem. Docierając tam, stajemy przed terasowym amfiteatrem, rozciągającym się wzdłuż stromego, nieco wklęsłego zbocza aż do płaskiej krawędzi 80 metrów nad nami.

Wspieliśmy się między terasami zagłębioną drogą, zwracając uwagę, że niższe poziomy zbudowane ze stosunkowo małych kamieni. W miarę jak wspinaliśmy się wyżej, paradoksalnie bloki stawały się jakby coraz większe. W końcu dotarliśmy na

poziom, gdzie leżały bezładnie porozrzucane masywne granitowe megality. Każdy z nich ważył 50-70 ton i znajdowały się na wysokości 60 metrów.

Zanim ruszyliśmy dalej w górę, przeszliśmy wzdłuż wąskiej ławy u podnóża muru ze ściśle dopasowanych trapezoidalnych bloków, w którym znajdowało się dziesięć wielokątnych nisz. Południowy kraniec ławy przechodził pod megalityczną bramą, zwieńczoną kamiennym nadprożem, która prowadziła na niewielki owalny punkt widokowy umieszczony na krawędzi góry.

Cofnęliśmy się i doszliśmy do schodów wykutych w trapezoidalnym murze. Idąc nimi w górę, doszliśmy w końcu na szczyt Ollantaytambo – po części góry, po części świątyni. Leżało tam wiele porozrzucanych megalitów o wadze od 100 do 200 ton, a w najwyższym punkcie znajdowała się przysadzista, kwadratowa budowla, której fasadę tworzyło sześć potężnych megalitów. Każdy z nich miał około dwóch metrów szerokości, mniej więcej metra grubości, zaś ich wysokość wynosiła 3,4-4,3 metra. Odnieśliśmy wrażenie, że te gigantyczne, gładko przycięte kamienie mogły niegdyś stanowić tylną ścianę jakiegoś pomieszczenia, którego pozostałe ściany, zrujnowane, leżały wokół nas. Były one wbudowane w zbocze wyższej góry, na której szczycie było mnóstwo kolejnych megalitów. Co najmniej 30 z nich ważyło, jak oceniliśmy, ponad 200 ton.

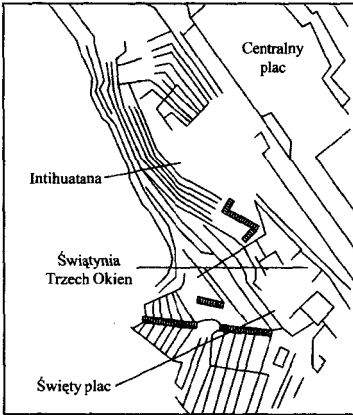
Co najciekawsze, te wypolerowane, twarde jak diament bloki różowego porfiru nie tylko w niczym, poza rozmiarami, nie przypominały bloków z Cuzco czy Sacsayhuaman, ale musiały odbyć wręcz niewiarygodną drogę, żeby się tutaj znaleźć. Geolodzy ustalili, że kamieniołomy, w których zostały wykute, leżą w odległości prawie osiem kilometrów, wyżej o 900 metrów, po przeciwnej stronie świętej rzeki Vilcamayu. To znaczy, że musiały zostać najpierw zniesione na dno doliny, potem przetransportowane przez rzekę i po stromym zboczu wciągnięte na szczyt Ollantaytambo. Zadanie niemal nadludzkie.

Bloki z Ollantaytambo najbardziej przypominają architekturę Tiahuanaco, leżącego daleko na południowy wschód, za jeziorem Titicaca. Te ogromne, o kształcie belek i ostrych krawędziach, megality z niewytłumaczalnymi wystęпами i zagłębieniami, są ułożone z niesamowitą precyzją.

To mogłoby tłumaczyć, dlaczego najbardziej charakterystyczny symbol Tiahuanaco, schodkowa piramida, jest wielokrotnie przedstawiany w płytkim reliefie na jednej z pionowych belek w megalitycznym murze Ollantaytambo. W starożytnym Egipcie dokładnie ten sam symbol był hieroglifem oznaczającym kamień Benben, emblemat nieśmiertelnego życia. Podobnie jak w Egipcie, w Tiahuanaco i w Angkorze, jednym ze „znaków rozpoznawczych” budowniczych Ollantaytambo była charakterystyczna technika budowlana, wykorzystująca do spajania boków metalowe kłamy w kształcie litery „I”.

Machu Picchu

Naszym ostatnim celem w Peru było geomantyczne miasto Machu Picchu, na wysokim górskim szczycie, otoczonym zakolem świętej rzeki Vilcamayu. Całe



Fragment Machu Picchu

miasto jest niezwykle, a większą jego część bez wątpienia należy przypisać Inkom. Jednak spośród jego budowli niektóre są znacznie starsze, chociaż Inkowie wykorzystywali je i modyfikowali. Jest wśród nich kuta w skale grotą, piękny megalityczny monument zwany „Świątynią Trzech Okien” i najbardziej intrygujące, centralne piramidalne wzgórze Machu Picchu, częściowo naturalne, częściowo nadbudowane. Wierzchołek tego wzgórza tworzy odsłonięta skała macierzysta, w której wykuto kształt nieco przypominający zaciśniętą pięść z jednym palcem wyprostowanym w górę.

Obiekt ten, nazywany „Intihuatana”, co znaczy „Miejsce cumowania słońca”, nigdy nie doczekał się satysfakcjonującej interpretacji. Obecną nazwę nadał mu raczej arbitralnie Hiram Bingham, ame-

rykański podróżnik, który odkrył miasto w 1911 roku. Istotnie, ma ona orientację solarną – zarówno na punkty równonocy, jak i przesilen – jeśli wykorzystać ją jako celownik w połączeniu ze szczytami sąsiednich gór. Jednak absolutnie nie stanowi doskonałego gnomonu czy przyrządu obserwacyjnego.

Archeoastronom Ray White odkrył niedawno wyryte u podstawy Intihuatany przedstawienia czterech konstelacji wyraźnie widocznych na andyjskim niebie – Krzyża Południa, Letniego Trójkąta i jasnych „gwiazdnych oczu” Lamy widocznej w postaci ciemniejszej chmury w obrębie Mlecznej Drogi oraz Plejad. Inkowie wierzyli, że konstelacje te rządzą czterema „suyus”, czyli ćwiartkami ich imperium.

To wielkie imperium, spadkobierca starożytnej gwiazdnej religii, której początki giną w mrokach historii, osiągnęło zadziwiająco wiele, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę krótki czas jego istnienia. A jednak w dziesięcioleciach poprzedzających kataklizm hiszpańskiej konkwisty, która zmiotła je bezpowrotnie z powierzchni ziemi, pograżyło się w stanie duchowego upadku i przestało rozumieć inicjacyjny i alegoryczny charakter swoich wierzeń. Naszym zdaniem Inkowie odziedziczyli ten niezwykle duchowy system przez niezmiernie długi ciąg kulturowy od nieznanymi poprzedników, którzy wzniesli megalityczne konstrukcje w Andach. Sugerujemy także, że budowniczości ci byli związani z innymi, również tajemniczymi, działającymi na całym świecie, i że wszyscy oni nauczali tych samych idei. Jak przekonująco dowodzi William Sullivan w swoim fundamentalnym studium poświęconym andyjskiej kosmologii, Inkowie i ich nieznanymi poprzednicy w prekolumbijskich Andach posługiwali się dokładnie tym samym „technicznym językiem mitów”, który był używany w całym Starym Świecie, aby przekazać skomplikowane informacje o precesji równonocy.

Zdaniem Sullivana „jakaś zupełnie niezwykła percepcja z dokładnym wejrzeniem w otchłanie ludzkiego umysłu” kryje się za sformułowaniem tego „języka świętego objawienia opartego na empirycznych obserwacjach”. Twierdzi także, że

Inkowie zapomnieli lub błędnie zrozumieli – a tym samym zniekształcili – oryginalne nauki, które otrzymali w spadku. Podobnie jak Aztekowie, którzy w Ameryce Środkowej odziedziczyli niemal identyczne duchowe idee, Inkowie popełnili fatalny błąd, interpretując zbyt dosłownie symbolikę inicjacyjnych rytuałów. Ów błąd zaprowadził ich do mrocznego piekła czarnej magii, ofiar z ludzi i sprawił, że porzucili zalecenia „swego Ojca Słońca” o życiu w społeczeństwie sprawiedliwym i rozumnym, „z miłością, współczuciem i łagodnością”.

Inkaskie ofiary były składane z zimnym, mechanicznym wyrachowaniem wśród systemu prostych linii geodezyjnie zaplanowanych zgodnie z układem nieba. Orientacja tych linii, zwanych „ceques” odpowiada punktom wschodu i zachodu pewnych gwiazd i konstelacji, między innymi tych czterech, które wyrzeźbiono na podstawie Intihuatany. Ta niezwykła sieć, rozchodząca się promieniście przez setki kilometrów we wszystkich kierunkach z „Pępka świata” w Coricancha w Cuzco, splamiona krwią ludzkich ofiar, tworzyła niewidzialne połączenia między wieloma różnymi, odległymi od siebie, ważnymi monumentami.

W okolicy tak surowej jak Machu Picchu niepokój budzi myśl o tym, że Inkowie, podobnie jak Aztekowie, wierzyli, iż dusze ofiar wznoszą się prosto do nieba i stają się gwiazdami na niebie. W Egipcie i w Angkorze istniały takie same wierzenia. Przekonaliśmy się jednak, że tam nie miały one związku z ludzkimi ofiarami, lecz z naukami i rytuałami kultu opartego na astronomicznej wiedzy, który poszukiwał nieśmiertelności dla wtajemniczonych. W Meksyku i w Andach astronomicznie zorientowane monumenty piramidalne były ważnymi elementami maszyny ofiarnej. W Egipcie i w Angkorze astronomicznie zorientowane monumenty piramidalne były częścią gnostycyzmu drogi ku nieśmiertelności.

Możliwe, że granica między światłem i ciemnością nie jest grubsza od ludzkiego włosa. Jeśli rzeczywiście, jak sugerujemy w tej książce, kultury Egiptu, Angkoru, Meksyku i Andów przejęły to samo duchowe dziedzictwo idei łączących niebo i ziemię, to nie w każdym przypadku ów proces dziedziczenia przebiegał w ten sam sposób. Przeciwnie, wszystko wskazuje, że integralną częścią samego systemu jest to, iż ci, którzy w nim uczestniczą, muszą sami wybrać kierunek, w którym będzie rozwijało się ich przeznaczenie:

Mamy moc wybierania lepszego i mamy moc wybierania gorszego (...). To właśnie samych siebie będziemy obwiniać o złe uczynki, jeśli wybierzemy zło zamiast dobra.

Trzciny łodzie nieba

Jedna ze starożytnych linii ceque czczonych przez Inków przechodzi przez – lub bardzo blisko – Machu Picchu, Ollantaytambo, Sacsayhuaman i Cuzco. Linia ta przechodzi, bez najmniejszego odchylenia, przez jezioro Titicaca, przez wyspę Suriqi w pobliżu południowego wybrzeża boliwijskiej części jeziora i wreszcie przez miasto Tiahuanaco – na dystansie blisko 800 kilometrów.

Od predynastycznych czasów w Egipcie głównym środkiem transportu na Nilu były łodzie z wysokimi zakrzywionymi dziobami i rufami wykonane z wiązek papirusowych łądąg. Przez tysiące lat praktycznie identyczne łodzie były wykonywane w Andach przez miejscowych Indian Aymara z wyspy Suriqi. Papirus nie rośnie nad jeziorem Titicaca, toteż Indianie wykonywali swoje łodzie z trzciny totora, która jest podobna do papirusu. Trzcina totora rośnie również na Wyspie Wielkanocnej, gdzie tradycyjnie używano jej do sporządzania trzciniowych tratw na doroczną ceremonię „człowieka-ptaka”.

Ortodoksyjna archeologia uważa te i inne uderzające zbieżności za dzieło przypadku. Równie możliwe jest jednak, że nie są one wynikiem „niezależnego rozwoju”, lecz wywodzą się z jednego wspólnego, bardzo starego źródła.

Jeśli okazałoby się, że tak było w istocie, to wynikałoby stąd, że w jakimś momencie prehistorii grupa ludzi dysponująca zaawansowaną wiedzą astronomiczną, architektoniczną i duchową musiała przemierzać cały świat. Musieli oni być wyśmienitymi nawigatorami, gdyż inaczej nie udałoby im się ustalić, dokąd płyną, i doskonalszymi żeglarzami, gdyż inaczej nie przebyliby bezpiecznie bezkresnych przestrzeni oceanu. Musieli też być w posiadaniu wiedzy, którą uważali za niezmiernie istotną dla ludzkości, gdyż inaczej nie zadawaliby sobie tyle trudu, żeby ją propagować.

Niewątpliwie pływali na statkach, być może z wysokimi, zakrzywionymi dziobami i rufami, może zbudowanych z wielkich wiązek trzciny, a może wykonanych z innego, bardziej trwałego materiału, jak na przykład cedrowe deski tak zwanej „solarnej łodzi” Chufu odkrytej po południowej stronie Wielkiej Piramidy w Egipcie. Nie będziemy się obszerniej zajmować tym problemem, gdyż omawialiśmy go gdzie indziej, ale naszym zdaniem jest bardzo prawdopodobne, że cały ten system budowy łodzi jest razem z charakterystycznym systemem wierzeń religijnych (w Egipcie i Andach kojarzonym z takimi właśnie łodziami) fragmentem zachowanego dziedzictwa zapomnianej epoki nawigatorów i żeglarzy. Epoki, która charakteryzowała się także budową ogólnoswiatowej sieci megalitycznych świątyń.

Gwałt na Tiahuanaco

Dwadzieścia cztery kilometry na południowy wschód od Suriqi krążyliśmy wynajętym samolotem nad Tiahuanaco, najbardziej niezwykłą ze wszystkich megalitycznych świątyń w Andach – miejscem początku „Kamieniem Środka”.

Wystartowaliśmy małą Cessną Skymaster z Międzynarodowego Portu Lotniczego w La Paz w Boliwii. Lotnisko jest położone na skraju rozległego śródgórskiego płaskowyżu zwanego altiplano, rozciągającego się prawie tysiąc kilometrów na północ i na południe od jeziora Titicaca. Startowaliśmy z wysokości 4140 metrów nad poziomem morza, czyli dość wysoko, ale zdecydowaliśmy się nie hermetyzować kabiny, aby Santha mogła otworzyć okno i robić zdjęcia.

Wzbiliśmy się w kryształowo czysty błękit nieba przez warstwę nielicznych chmur; daleko przed nami lśniły w słońcu ośnieżone szczyty gór. Na wysokości

4360 metrów, mniej więcej 240 metrów nad powierzchnią altiplano, dojrzelśmy jezioro Titicaca, odbijające promienie porannego słońca, a następnie łańcuch wysp, wśród nich Suriqi.

Lecielśmy wzdłuż wstążki głównej drogi prowadzącej z La Paz do Laja i Tiahuanaco przez bajeczny krajobraz altiplano, usiany poletkami, obrzeżony górkami szczytami, poprzecinany wielkim pęknięciami i serpentynami rzek. Potem, zniżając lot między dwa łańcuchy górskie, znaleźliśmy się w płaskiej, szerokiej dolinie, na której zachodnim krańcu, w odległości około 16 kilometrów od jeziora, leży Tiahuanaco.

Wcześniej odwiedzaliśmy już wielokrotnie to zrujnowane miasto drogą lądową, lecz nigdy nie widzieliśmy go z powietrza. Szczególnie pięknie i poetycko wyglądało, skąpane w łagodnym, złocistym świetle, przywracającym mu, jak się nam zdawało, dawną świetność.

Czas i ludzie nie byli łaskawi dla Tiahuanaco. W XVI wieku jego wielkie budowle były systematycznie niszczone, a funkcjonariusze Kościoła katolickiego rozbili wiele posągów w czasie swojej fanatycznej kampanii przeciwko bałwochwalstwu w Andach. W tym samym okresie, zachęteni dawnymi pogłoskami, poszukiwacze skarbów wykopali głęboki krater na szczycie piramidy Akapana, jednej z najważniejszych budowli Tiahuanaco. W XIX wieku, bez względu na straty archeologiczne, inżynierowie budujący linię kolejową traktowali starożytne megality jako kamieniołom. Na początku XX wieku bloki z Tiahuanaco były rutynowo wyjmowane, rozbijane i jako materiał budowlany wywożone do miejsc tak odległych, jak La Paz. To, co pozostało, wieśniacy zabierali do budowy chat, a pozbawieni skrupułów poszukiwacze skarbów i szabrownicy zabierali wszystko, co dało się wynieść i sprzedać, zaś na tym, czego nie mogli, ryli swoje inicjały.

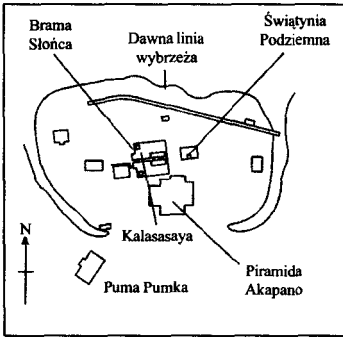
W latach 40. XX wieku podjęto pierwszą próbę ratowania nielicznych ocalałych posągów przed dalszym wandalizmem: wszystkie oprócz dwóch rzeźb wywieziono do La Paz i umieszczono w muzeum na wolnym powietrzu naprzeciwko stadionu, pośrodku najruchliwszego skrzyżowania w boliwijskiej stolicy. Tam stoją do dzisiejszego dnia, skąpane w nieustającym kwaśnym deszczu z samochodowych spalin – w środowisku tak toksycznym i niszczyielskim, że jeszcze za naszego życia najprawdopodobniej ulegną bezpowrotnemu zniszczeniu. Tymczasem dwa monumentalne posągi, które zostały na miejscu, otoczono drutem kolczastym jak więźniów obozu koncentracyjnego.

Czy nasza kultura zamierza zamordować przeszłość?

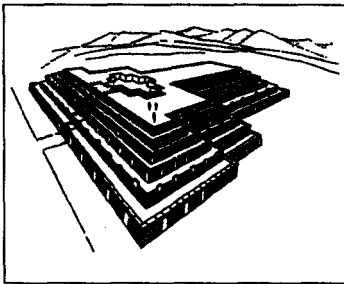
W Tiahuanaco czasami można odnieść takie właśnie wrażenie. A jednak, niczym ludzki duch, oryginalna koncepcja tego miasta jest tak potężna i majestatyczna, że wrogim siłom nie udało się jej doszczętnie zniszczyć. Coś jeszcze zostało.

Widok z lotu ptaka

Miasto składa się z czterech głównych elementów, lecz tylko trzy z nich: Świątynię Półpodziemną, Kalasasayę i piramidę Akapana widzieliśmy, krążąc na wysokości



Plan Tiahuanaco



Piramida Akapana w Tiahuanaco

około 150 metrów nad Tiahuanaco. Musielibyśmy wzbic się wyżej, żeby dostrzec megalityczną schodkową piramidę zwaną Puma Punku – „Lwią Bramą” w południowo-zachodniej części ogromnego miasta. Kalasasaya jest prostokątnym kompleksem, o bokach długości 130 (wschód-zachód) i 120 metrów (północ-południe), zorientowanym według stron świata. Jej ściany wzniesiono z czerwonych piaskowcowych megalitów otaczających podwyższoną platformę, na której z powietrza mogliśmy dostrzec zarysy dwóch posągów, jakie pozostały w Tiahuanaco. W północno-zachodnim narożniku platformy widzieliśmy też monumentalną „Bramę Słońca”, wykuta z jednego 45-tonowego bloku andezytu.

Piramida Akapana, podobnie jak Kalasasaya zorientowana według stron świata, jest archetypicznym świętym wzgórzem o skomplikowanej i przemyślanej konstrukcji. Przede wszystkim, co najlepiej widać z powietrza, sam plan jej podstawy – o powierzchni ponad 200 metrów kwadratowych – ma kształt trzystopniowej piramidy, z „podstawą” na wschodzie i „szczytem” na zachodzie. Na tym planie wznosi się ona w górę siedmioma stopniami, do wysokości

system drenów, którymi kolejno woda wylewała się z pionowych ścian liczących każdego poziomu, i które zbierały ją z powrotem pod poziomą powierzchnią każdego stopnia i przekazywały dalej, tak że spływała kaskadami w dół wszystkich poziomów piramidy.

Trzecią wielką budowlą widoczną z naszej wysokości jest Świątynia Półpodziemna – zagłębiony w ziemi, otwarty ku niebu prostokątny obszar o powierzchni 26 na 28 metrów. Znajdują się tam trzy stele, jedna ozdobiona postacią brodatego człowieka, a jej ściany zdobią wizerunki dziesiątek dziwnych głów o wielkich, wypukłych oczach. Archeolodzy są generalnie zgodni co do tego, że brodata postać, która nie ma rysów rdzennych Amerykanów, jest przedstawieniem Wirakoczy w jego ludzkiej postaci. Na obu bokach steli wyryto pionowe wizerunki węży, uniwersalne symbole wiedzy i mocy duchowych, dobrze nam znane z Egiptu, Meksyku i Kambodży.

Krążąc nad Tiahuanaco i przyglądając mu się z różnych kierunków i wysokości, próbując odtworzyć w wyobraźni szczegóły zniszczone przez czas, powoli zaczynaliśmy sobie zdawać sprawę, że i to miasto było mandalą, podobnie jak świątynie Angkoru, jak piramidy w Gizie. Mandalą, której forma, symbolika i geometria miały za zadanie skoncentrować umysł adepta i postawić przed jego oczami prawdziwy labirynt zagadek.

Zagadki

Naszym zdaniem całe Tiahuanaco to zbiór zagadek zamkniętych w jeszcze większej zagadce.

Zagadką są wielkie kamienne bloki. W Puma Punku, przysadzistej schodkowej piramidzie o podstawie o powierzchni mniej więcej 50 na 60 metrów, znajduje się blok ważący, jak się oblicza, 447 ton. Waga wielu innych waha się od 100 do 200 ton. Główne kamieniołomy, z których pochodzi użyty w Tiahuanaco andezyt, leżą w odległości 60 kilometrów, a w odległości 15 kilometrów inne, gdzie wydobywano czerwony piaskowiec. Stanowi to wielką zagadkę, ponieważ zadania tego nie mogły wykonać tysiące prymitywnych tubylców ciągnących bloki za pomocą lin. Pomijając wszystko inne, Tiahuanaco leży na wysokości 4115 metrów nad poziomem morza, gdzie trudności związane z organizacją i wykarmieniem licznej siły roboczej są ogromne. Ktokolwiek zatem zbudował to święte miasto, możemy być pewni, że nie był to lud prymitywny.

Szczególnie wyraźnie widać w Puma Punku inną zagadkę: wiele megalitów łączą metalowe klamry, niekiedy bardzo duże. Przez dłuższy czas sądzono, że te klamry w kształcie litery „T” albo „I” były najpierw odlewane, a następnie umieszczane w specjalnie przygotowanych zagłębieniach. Jednak dokładniejsze badania prowadzone z użyciem elektronowego mikroskopu skaningowego ujawniły, że w zagłębienia w blokach wlewano roztopiony metal. To wskazuje, że budownicy musieli używać przenośnych pieców hutniczych, przechodząc z nimi od bloku do bloku w miarę postępu prac budowlanych. Wymagało to znacznie wyższego poziomu technologii niż, jak uważają naukowcy, istniał w prekolumbijskiej Ameryce Południowej.

Kolejna zagadka: badania spektrometryczne nielicznych zachowanych klamr wykazały, że użyty do ich odlania nietypowy stop składał się z 2,05 % arsenu, 95,15 % miedzi, 0,26 % żelaza, 0,84 % krzemu i 1,70 % niklu. Nikiel nie występuje nigdzie w Boliwii. Co więcej, „rzadko spotykany” stop arsenowo-niklowego brązu wymagałby pieca hutniczego dającego niezwykle wysokie temperatury.

Największą zagadką Tiahuanaco jest jego wiek. Daty przyjmowane przez większość archeologów, mieszczące się między 1500 rokiem p.n.e. a 900 rokiem n.e. zostały zakwestionowane na podstawie geologii tego stanowiska, która wskazuje na jego związek z jeziorem Titicaca, który ostatni raz istniał ponad 10 000 lat temu. Nad wężami po bokach postaci Wirakoczy w Świątyni Półpodziemnej znajdują się przedstawienia zwierząt najbardziej przypominających gatunek Toxo-

don – wielkiego podobnego do konia zwierzęcia, które żyło w okolicach Tiahuanaco ponad 12 000 lat temu. Po wschodniej zaś stronie Bramy Słońca można dostrzec przedstawienie stworzenia podobnego do słonia, być może trąbowca z gatunku Cuvieronius, który również wymarł 12 000 lat temu.

Co jednak najważniejsze, orientacje astronomiczne wskazują na znacznie wcześniejszą datę powstania Tiahuanaco. Po raz pierwszy zwrócił na nie uwagę boliwijski archeolog Artur Posnansky na początku XX wieku. Jego obliczenia opierały się na zmianach nachylenia osi ziemskiej (nachylenia ekliptyki, porównaj rozdział 12), zachodzących w tempie jednego stopnia na 100 lat. W wyniku tego procesu powoli przesuwają się wzdłuż horyzontu, od przesilenia do przesilenia, punkt wschodu słońca; w ciągu tysięcy lat punkty te stopniowo przesuwają się na północ, aż do osiągnięcia skrajnej pozycji, po czym następuje ruch w przeciwnym kierunku, na południe. Posnansky obliczył, że główne astronomiczne orientacje Tiahuanaco wskazują, iż pomiary mogły być wykonywane ponad 17 000 lat temu. W oparciu o współczesne pomiary satelitarne amerykański archeoastronom Neil Steede niedawno datę tę sprecyzował na dwanaście tysięcy lat.

Ważna zmiana

Ortodoksyjni archeolodzy i historycy najczęściej wyśmiewają możliwość, że Tiahuanaco liczy ponad 12 000 lat. Ale wydaje się, że w 1996 i 1997 roku nastąpiła ważna zmiana.

Jedną z pierwszych wskazówek, że można cokolwiek zmienić, było uściślenie przez Steede'a pierwszych obliczeń Posnansky'ego na XI tysiąclecie p.n.e. Potem, w styczniu 1997 roku, Oswaldo Rivera, dyrektor Boliwijskiego Narodowego Instytutu Archeologii i jeden z czołowych ekspertów od spraw Tiahuanaco na świecie, wygłosił wiele niezwykłych opinii w wywiadzie prasowym prowadzonym przez Shun Daichi, japońskiego tłumacza *Śladów palców bogów*:

Daichi: Tak na marginesie, amerykański naukowiec Neil Steede bada obecnie Kalasasaya pod kątem astronomicznym (...), jego badania wskazują, że wewnętrzne mury zostały zbudowane 2000 lat temu, zaś zewnętrzne – 12 000 lat temu. Co pan sądzi o tych wynikach?

Rivera: Prawda jest taka, że sami prowadzimy obecnie podobne badania. Poprzedni badacze koncentrowali się na wschodzie słońca; my obserwujemy zachody. Po drugiej stronie, naprzeciwko wewnętrznego muru, stoi dziesięć megalitów, które służyły jako obserwatorium astronomiczne. Szczegółowy raport na temat tych prac był już gotowy 21 grudnia 1996 roku. Dał on takie same rezultaty jak obserwacje wschodu słońca.

Daichi: Badania Steede'a wskazują, że Kalasasaya została zbudowana 12 000 lat temu. Czy uzyskaliście taką samą liczbę?

Rivera: Bardzo podobną liczbę.

Daichi: To znaczy 12 000? Posnansky mówił o 17 000...

Rivera: W tej sprawie potrzebne są jeszcze dalsze badania.

Daichi: Nie możecie jeszcze wyciągnąć wniosków?

Rivera: Prace ciągle jeszcze trwają. Odkrycie prawdy to niełatwa sprawa. Jestem przekonany, że przy zastosowaniu doskonalszej metody, technik i narzędzi w ciągu najbliższych lat uzyskamy znacznie więcej informacji.

Daichi: Istnieje wiele podobieństw między Egiptem a Ameryką Południową: mumie, reinkarnacja, megality...

Rivera: I piramida, i motyw krzyża, nie zapominajmy o „Komorze Króla”.

Daichi: Komorze Króla?

Rivera: Możliwe, że w tym roku będziemy świadkami największego odkrycia archeologicznego XX wieku. Rzeczywiście, wewnątrz piramidy Akapana w Tiahuanaco znajduje się komora. Piramida ma w swoim wnętrzu korytarz i komorę. Uważamy, że pomieszczenie to będzie podobne do Komory Króla w Gizie, w Egipcie. Planujemy w tym roku otworzyć jej drzwi.

W styczniu 1997 roku, kiedy Daichi zarejestrował ten wywiad, Rivera był dyrektorem Boliwijskiego Narodowego Instytutu Archeologii. Pełnił tę funkcję przez ponad siedem lat, prowadząc w tym czasie intensywne wykopaliska w Tiahuanaco (a także przez 14 lat wcześniej), zyskując sobie dzięki wysokiej jakości pracy doskonałą międzynarodową reputację. W marcu 1997 roku nieoczekiwanie złożył rezygnację.

Potwierdzenie

Spostrzeżenia, które poczynił Rivera w japońskim wywiadzie, stanowiły naukową herezję najcięższego gatunku. Ponieważ przywykliśmy już do zaciętego oporu egiptologów wobec jakichkolwiek uwag na temat starożytności Gizy, zdziwiło nas, gdy usłyszeliśmy od Daichi, że najwybitniejsza postać boliwijskiej archeologii poważnie rozważa możliwość, że Tiahuanaco mogło zostać założone 12 000 lat temu – i co równie sensacyjne, że może się tam znajdować ukryte pomieszczenie.

W maju 1997 roku, dwa dni po naszym locie nad Tiahuanaco, spotkaliśmy się z Riverą na umówionym spotkaniu w Kalasasaya przed Bramą Słońca. Spodziewaliśmy się, że może odwołać to, co powiedział Daichiemu. Jednak on potwierdził, że data 12 000 p.n.e., na którą wskazują astronomiczne obliczenia, zaczyna wyglądać na prawdziwą:

Możliwe, że tak. Sądzymy, że Tiahuanaco jest znacznie starsze, niż sądziliśmy dotychczas. Po dwudziestu jeden latach prowadzenia wykopalisk i studiów w Tiahuanaco, mogę powiedzieć, że cały czas patrzyliśmy na to z otwartymi ze zdziwienia ustami, gdyż Tiahuanaco jest niezwykle, również dla archeologów, którzy tu pracują. Codziennie odkrywamy różne rzeczy.

Rivera przyznaje, że umieszczając datę powstania Tiahuanaco w XI tysiącleciu p.n.e. – w tym samym tysiącleciu, w którym prawdopodobnie został wykuty Sfinks – potwierdza, iż w Tiahuanaco musiała działać jakaś zaginiona cywilizacja: „Może to byli Atlantydzi”. Powiedział nam także, że zaczął dochodzić do wniosku, iż hipoteza o istnieniu takiej zaginionej cywilizacji pomaga mu zrozumieć zadziwiające podobieństwa między Meksykiem, Ameryką Południową i Egiptem: „Potrzebujemy jakiegoś punktu wspólnego dla wszystkich tych rzeczy, które dzisiaj są odizolowane i były odizolowane przez bardzo długi czas”.

Mapa wykuta w kamieniu

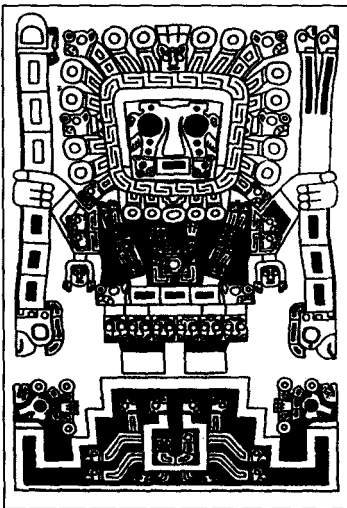
Możliwe, że zamknięta komora, którą Rivera zidentyfikował w piramidzie Akapana, dałaby odpowiedzi na chociaż część tych zagadek. Zapytaliśmy, czy posunęli się do przodu w tej kwestii. Odpowiedział: „Szukamy wejścia do tego pomieszczenia pośrodku piramidy, wewnątrz piramidy. Przypuszczamy, że może być do niej osiem wejść”.

„Więc znaleźliście komorę albo wejście do komory wewnątrz piramidy Akapana?” – nalegaliśmy.

Odpowiedział: „Nie weszliśmy do niej, dopiero szukamy. Pracowałem rok, cały rok, na tych wykopaliskach... I jestem pewien, że wkrótce odkryjemy wewnętrzną część Tiahuanaco... Podziemne Tiahuanaco, pod tym, które widać... Sądzę, że 12 albo 21 metrów w dół jest drugie Tiahuanaco, święte Tiahuanaco, pierwsze... Nie potrafię powiedzieć, jak stare może ono być. To nowy rozdział w studiach nad Tiahuanaco. Otwieramy zupełnie nową księgę”.

Ale najdziwniejsza część rozmowy była przed nami. Kiedy zapytaliśmy Riverę, skąd ma pewność, że znajdzie komorę, wskazał na wschodnie lico Bramy Słońca, ozdobione na całej wysokości niezwykłym fryzem obrazów, symboli i figur geometrycznych. Pośrodku fryzu, mającego ponad 3 metry długości, została przedstawiona antropomorficzna istota trzymająca w każdej ręce dziwnego kształtu laskę. Ta stylizowana postać, przez archeologów uważana za jedną z licznych form czy też awatarów Wirakoczy, boga Słońca, przypomina komputerową ikonę. Ma rysy lwa, jest skierowana na wschód, nosi brodę i stoi na podstawie w kształcie schodkowej piramidy.

Rivera zwrócił nam uwagę właśnie na ową piramidalną podstawę. Ma ona trzy stopnie, w takim samym układzie jak stopnie w planie Akapany. W jej wnętrzu znajduje się wyobrażenie czegoś, co Rivera uważa za komorę. Do tego kwadratowego



Postać Wirakoczy na Bramie Słońca w Tiahuanaco, być może z przedstawieniem podziemnej komory

pomieszczenia – zawierającego jakieś dziwne stworzenie, może węża, może lwa – prowadzi osiem korytarzy. Sześć z nich ma kształt ptasiogłowych (czyli inaczej pierzastych) węży; dwa mają postać węży o lwich głowach, cztery z nich są nachylone pod identycznym kątem jak Wielka Galeria w egipskiej Wielkiej Piramidzie.

„Jestem pewien, że to jest mapa Akapany” – oznajmił Rivera. Wskazując osiem wejść, dodał: „Pracujemy w jednym z nich. Jestem pewien, że wkrótce rozpoczniemy nasze wykopaliska na nowo”.

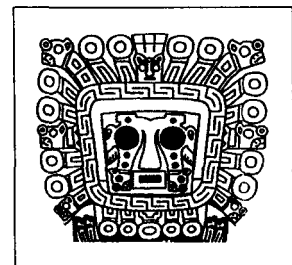
Podobieństwa do Gizy

Nie sposób było nie przypomnieć sobie o wydarzeniach, jakie miały miejsce w Gizie w latach 90., kiedy to amerykańskie badania sejsmologiczne wykazały istnienie podziemnych pomieszczeń pod Sfinksem, a niemiecki robot z kamerą spenetrował wąski południowy szyb Komory Królowej wewnątrz Wielkiej Piramidy. Robot przebył zaledwie 60 metrów i dotarł do małych zamkniętych drzwi, najwyraźniej prowadzących do nieznannej dotychczas komory. Podobnie jak Oswaldo Rivera, badacze w Gizie również musieli przerwać prace, chociaż cały czas mieli nadzieję, że podejmą je na nowo.

Co szczególnie interesujące, zarówno w przypadku Tiahuanaco, jak i Gizy sugerowano na podstawie wiarygodnych badań astronomicznych i geologicznych, że liczą one ponad 12 000 lat i że w obu miejscach widać wyraźne ślady, iż budowle zostały wzniesione nad rozległymi podziemnymi labiryntami i pomieszczeniami. Ponadto zarówno w Gizie, jak i w Tiahuanaco krążą pogłoski, że może w nich być ukryte jakieś przesłanie od zaginionej cywilizacji.

Działanie dualizmu

Oswaldo Rivera odjechał do La Paz, my zaś zostaliśmy w Kalasasaya, aby zobaczyć zachód słońca nad jeziorem Titicaca na północnym zachodzie oraz księżyc w pełni wschodzący nad szczytem góry Illimani na południowym wschodzie. Przez łuk Bramy Słońca, stojąc najpierw po jednej, następnie po drugiej jej stronie, można było dostrzec oba ciała niebieskie, znajdujące się dokładnie po przeciwnych stronach nieba. Łatwo mogliśmy sobie wyobrazić, że Brama stanowiła podporę jakiejś gigantycznej kosmicznej wagi, z Księżycem i Słońcem na szalach.



Głowa Wirakoczy z dwiętnastoma „słonecznymi promieniami”

Na fryzie zdobiącym wschodnie lico bramy głowę Wirakoczy zdobi, jak przystało bóstwu Słońca, 19 „promieni słonecznych”. William Sullivan dowodził, że promienie te nie mają związku ze Słońcem, lecz wskazują na znajomość 19-letniego cyklu metonicznego Księżycyca – „liczba lat, po jakiej konkretna faza Księżycyca

przypada znowu na daną datę solarną. Innymi słowy, jeśli w dniu twoich urodzin przypada pełnia Księżyca, to taka sytuacja powtórzy się dopiero za 19 lat”. Równie prawdopodobna jest możliwość, że 19 promieni symbolizuje „przesilenia” Księżyca – północną i południową skrajność jego punktów bezruchu – które osiąga on również co 19 lat. Daleko od Tiahuanaco, o czym wspominaliśmy we wstępie, megalityczny krąg w Callanish na Hebrydach został zaprojektowany tak, by „przechwytywał” księżyc co 19 lat w jego skrajnym południowym punkcie bezruchu.

Doszliśmy do wniosku, że Callanish, Tiahuanaco i wiele innych monumentów na całym świecie, które badaliśmy, stanowiły części wielkiego archaicznego projektu naukowego, którego celem było osiągnięcie nieśmiertelności ludzkiej duszy. Jeśli w ukrytych komorach w Gizie i Tiahuanaco nie znajdziemy czegoś w rodzaju „Kamienia z Rosetty”, to prawdopodobnie długie lata zajmie nam zrozumienie, jak działała ta nauka oraz gdzie i kiedy powstała.

Wiemy jednak, że wykorzystywała ona szereg charakterystycznych emblematów. Dlatego nie zaskoczyło nas, że po obu stronach postaci Wirakoczy na wschodnim licu bramy znajdują się trzy poziome rzędy istot nazywanych „aniołami”. Wszystkie one są „ludźmi-ptakami”, ludźmi ze skrzydłami, czasem o głowach ludzkich, czasem ptasich.

Bardzo podobny wizerunek ptaka o ludzkiej głowie był stosowany w Egipcie, gdzie symbolizował jeden z aspektów duszy, „ba”, czyli „duszę-serce”. Czytelnik zapewne pamięta, że ba mogło po śmierci żyć jako samodzielna istota i poruszać się swobodnie po Duat, jak ptaki. Z tego powodu symbolizował ją ptak.

W starożytnym Egipcie często przedstawiano dusze „ba” przyjmujące promienie (energii, życia...) od ciał niebieskich – słońca, gwiazd, księżyca. Wydaje nam się, że 48 postaci „człowieka-ptaka” na Bramie Słońca, 24 po każdej stronie Wirakoczy (choć niektóre z nich są doszczętnie zwiertzałe) mogą przedstawiać dokładnie do samo, tłocząc się po obu stronach słoneczno-księżycowego bóstwa niczym ćmy wokół świecy. „Mapa Akapany” Oswaldo Rivery, piramidalna podstawa pod stopami Wirakoczy, jest więc przedstawieniem kamienia Benben, symbolizującego wieczne życie.

W gasnącym świetle wieczoru szliśmy wokół świątyni Kalasasaya; obejrzelismy oba jej posągi – andezytowy monolit o wysokości 3,7 metra, drugi zaś z paskowca, o wysokości 1,8 metra. Obie postacie trzymały w rękach dziwne przedmioty. Oba zdobiły wyraźne i charakterystyczne morskie motywy – na przykład wizerunki morskich stworzeń – wyrzeźbione na paskach. Podobnie jak kapłani-astronomowie starożytnych Majów i Egipcjan, którzy nosili lamparcie skóry z cętkami przypominającymi gwiazdy – oba posągi przedstawiały postacie odziane w szaty pokryte okrągłymi cętkami.

Kiedy w jednej chwili zapadła ciemność, a na altiplano zaczął wiać lodowaty wiatr, wróciliśmy do Bramy i spojrzeliśmy na pozbawione wyrazu oczy lwiego awatara Wirakoczy. Stary bóg, zwrócony na wschód, miał teraz zachodzące słońce za plecami i spoglądał w stronę wschodzącego księżyca i gwiazd. Sprawiał wrażenie, jakby dyrygował nimi, niczym wielką kosmiczną orkiestrą.

Odczuliśmy potęgę chłodnego wszechświata – bezkresnej przestrzeni, w której został umieszczony człowiek, materialna istota obdarzona boską możliwością dokonywania wyborów między dobrem i złem, duchową mocą dawania i przyjmowania miłości oraz inteligencją pozwalającą z pełnym szacunku podziwem zgłębiać tajemnice kosmosu.

I przypomnieliśmy sobie, co powiedzieli starożytni – że przez cały czas w kosmosie działa Bóg Dualizmu, odmierzający cykle milionów lat i przeliczający gwiazdy:

Bóg Dualizmu pracuje,
Stwórca człowieka,
Zwierciadło, które wszystko rozjaśnia,
Matka bogów, ojciec bogów, stary bóg
Rozpostarty na pępku ziemi
Wewnątrz turkusowego kręgu.
Ten, który przebywa w wodach...
Ten, który przebywa w chmurach.
Stary bóg, który zamieszkuje cienie krainy umarłych,
Pan ognia i czasu.

Wnioski

Czwarta świątynia

Wielka, wszechkulturowa teoria znaczenia i tajemnicy śmierci oraz możliwości osiągnięcia wiecznego życia przyświecała światu starożytnemu. Ścisły związek z nią miała nauka o nieśmiertelności, która starała się uwolnić ducha od ograniczeń materialnego świata. Nauka ta była na swój sposób równie rygorystyczna i empiryczna, jak astrofizyka, medycyna czy inżynieria genetyczna. Jednak w przeciwieństwie do współczesnych nauk sprawia ona wrażenie od samego początku równie starej jak góry – w pełni rozwiniętej. Z adeptami i mistrzami gotowymi do pracy już u zarania dziejów, w tak odległych częściach świata, jak północna Europa, Egipt, Mezopotamia, wedyjskie Indie, Pacyfik, Japonia, Chiny, południowo-wschodnia Azja i obie Ameryki.

We wszystkich tych regionach mistrzowie nauczali niezwyklej, lecz dającej się łatwo rozpoznać doktryny dualizmu nieba i ziemi, pozostawiając we wszystkich przypadkach charakterystyczny „bagaż” mitów, monumentów i idei duchowych. Mistrzowie ci niezmiennie podkreślali, że:

Cały ten świat, który leży na dole został uporządkowany i wypełniony treścią przez rzeczy, które znajdują się na górze; bowiem rzeczy na dole nie mają mocy porządkowania świata na górze. Słabsze tajemnice muszą zatem ustąpić przed silniejszymi (...), system rzeczy na górze jest silniejszy niż rzeczy na dole (...) i na dole nie ma niczego, co nie zstąpiłoby z góry.

Nauka, która głosiła te prawa, posługiwała się międzynarodowym językiem – techniczną terminologią wyrażaną w mitach i architekturze – opartym na powszechnie przyjętych konwencjach dotyczących skomplikowanych cykli astronomicznych. Cykle te jednak przebiegają tak wolno, że ich wykrycie było możliwe jedynie w drodze precyzyjnych obserwacji nieba, prowadzonych konsekwentnie przez tysiące lat.

Bezcenna perła

Kto prowadził te obserwacje? W jaki sposób wiedza o tym rozprzestrzeniła się po całym świecie? Kiedy się to wszystko zaczęło? Jeszcze przed Egiptem, przed wedyjskimi Indiami, przed Majami? I jaki był charakter tego systemu wiedzy?

Odpowiedź na te pytania skrywa coś cennego, co ludzkość utraciła w mrokach przeszłości. Jesteśmy przekonani, że ta „bezcenna perła” może być spuścizną zaginionej cywilizacji, „nauką o duszy” rozwiniętą przez tysiące lat badań i eksperymentów, dotyczącą fundamentalnych kwestii życia i śmierci.

Naukę tę można na nowo odkryć. Podobnie jak wszystkie współczesne nauki, aby funkcjonować, wymaga materialnych instrumentów i zbioru teorii. Próbowaliśmy dowieść, że ślady tych instrumentów zachowały się w wielu wielkich monumentach i świątyniach starożytności, a ślady teorii w pismach religijnych i mitach, które przetrwały do naszych czasów z zamierzchłej prehistorii. Naszym zdaniem nie jest dziełem przypadku, że kiedy te dwa elementy spotykają się, współdziałają ze sobą i całość staje się czymś znacznie więcej niż tylko sumą części składowych. Zupełnie jakby mity zostały celowo zaplanowane, aby ożywić formy i geometrię monumentów, a równocześnie jakby monumenty nadawały treść i znaczenie mitom. Zupełnie jakbyśmy zainstalowali w komputerze skomplikowaną grę, budząc drzemiące możliwości maszyny.

Zaginiona cywilizacja

Próbowaliśmy zagrać w grę mitów i budowli oraz zrozumieć zapomniany język astronomicznych alegorii i dualizmu nieba i ziemi.

W budowlach natknęliśmy się na powtarzające się astronomiczne orientacje i astronomiczną symbolikę. Czasem, jak w Gizie, w Angkorze i u Majów w Ameryce Środkowej, orientacje i symbolika stapały się w ambitne dzieło kopiowania nieba, odzwierciedlania na ziemi całych konstelacji.

W mitologii, legendach i tekstach religijnych krajów, po których podróżowaliśmy, raz za razem znajdowaliśmy inny wspólny system idei – wiarę w to, że dusza może się odradzać przez tysiące lat, w różnych formach i okolicznościach, w ten sposób gromadząc doświadczenie i dążąc do doskonałości. We wszystkich tych kulturach napotkaliśmy także podobną wiarę w to, że doskonalenie duszy może nastąpić nie tylko przez szlachetne czyny i szlachetne myśli, ale również przez pełne pozbycie się wszelkich przywiązań do materialnego świata i opanowanie starożytnego systemu wiedzy.

Nigdzie nie zostało wprost powiedziane, na czym miała polegać ta wiedza, lecz w wielu miejscach znajdujemy ślady, wskazujące na astronomię i szczególnie zainteresowanie wielkim astronomicznym cyklem precesji. Ponadto istnieje wiele tekstów i legend sugerujących, że monumenty mogły służyć jako instrumenty badawcze i naukowe. Mówi się o nich jako o miejscach, gdzie wtajemniczony adept mógł „przekształcić się w boga” lub w „jasną gwiazdę” albo też zyskać możliwość odrodzenia: „abyś mógł żyć i być znowu mały”.

Jesteśmy przekonani, że najbardziej prawdopodobnym źródłem wszystkich tych idei jest zaginiona cywilizacja. Konkretna hipoteza, którą przedstawiliśmy w *Śladach pałców bogów*, głosi, że cywilizacja ta rozkwitała przed 10 500 rokiem p.n.e. i została zniszczona niemal doszczętnie przez wielki kataklizm, który wstrząsnął ziemią pod koniec ostatniej epoki lodowcowej. Przypuszczamy, że ocalała garstka ludzi, którzy rozeszli się po całym świecie i osiedlili na różnych kontynentach. I sugerujemy, że w każdym miejscu, w którym się osiedlili, zakładali kult mądrości oparty na astronomicznej wiedzy i oferujący swoim wyznawcom tajemnicę nieśmiertelności.

Sieć takich kultów pokrywała niegdyś cały świat, promieniując z geodezyjnych ośrodków, zazwyczaj określanych terminem „pepek świata”. Przedstawiliśmy dowody na to, że przynajmniej niektóre z tych miejsc były w relacji do innych według astronomicznych obliczeń, na przykład dzieli je 72 stopnie długości geograficznej – albo 54, 108 lub 144 stopnie. Wszystkie te liczby wynikają ze zjawiska precesji równonocy.

Zastanowiło nas też, że jeśli zastosujemy obliczenia precesyjne do astronomicznie zorientowanych budowli, takich jak Wielki Sfinks, trzy piramidy w Gizie i 72 świątynie Angkoru w Kambodży, okaże się, że wszystkie one „utrwały” ten sam moment – czas wschodu słońca w dniu wiosennej równonocy, 12 000 lat temu.

Zgadamy się, że Sfinks, piramidy i świątynie w Kambodży powstały w różnych okresach. Ale ponieważ wszystkie one zdradzają tak wyraźne ślady wspólnego celu i służyły tej samej duchowej idei, wydedukowaliśmy, że kult, któremu służyły, musiał być niezmiernie stary – i niezmiernie długowieczny, skoro stawał sobie takie same zadania w Egipcie w 2500 roku p.n.e. i w Angkorze w 1150 roku n.e. Nie widzimy żadnego powodu, aby korzenie takiego kultu nie mogły sięgać 10 500 roku p.n.e. – epoki, na którą tak uparcie wskazują monumenty. Co więcej, wydaje się nam bardzo prawdopodobne, że ów kult, wypełniający cały czas te same cele, może istnieć do dzisiaj.

Kupcy światła

W XVII wieku angielski filozof Francis Bacon rozpoczął pracę nad niezwykłą książką, zatytułowaną *Nowa Atlantyda*, lecz zmarł, zanim zdążył ją ukończyć. Książka ta opisywała wyspę Bensalem, istniejącą „pośród największego bezkresu wód świata”, rządzoną przez kolegium mędrców. Mieszkańcami Bensalem byli oświeceni i naukowo zaawansowani astronomowie i geometry. Umieli oni budować samoloty i łodzie podwodne („mamy kilka sposobów latania w powietrzu; i mamy statki i łodzie pływające pod wodą”). Bacon przypisywał mieszkańcom wyspy znajomość inżynierii genetycznej, „widzenia przedmiotów znajdujących się daleko” i „różnych sztuk mechanicznych”. Byli oni także biegłymi marynarzami i nawigatorami, lecz skrytymi i niechętnymi do wyjawiania swoich sekretów: „dobrze znamy większość zamieszkałego świata, lecz sami pozostajemy nieznanymi”.

Opowieść Bacona jest uznawana za fikcję i sposób wyrażania idei filozoficznych i politycznych. A jednak zainteresowało nas to, że opisał on kapłanów-astroonomów z Bensalem jako dysponentów specjalnej wiedzy przejętej przez kolejne pokolenia od wielkiej cywilizacji z przeszłości – cywilizacji zniszczonej przez wielki potop. Bacon mówi nam, że poszukiwali oni „wiedzy o przyczynach i tajemnych ruchach rzeczy”, że ich misja polegała na podtrzymywaniu „pierwszego dzieła Boga, którym było Światło” i że misję tę spełniało poza wyspą „dwunastu, którzy żeglowali do obcych krajów pod nazwami innych narodów (gdyż naszą własną ukrywamy) (...), byli oni Kupcami Światła”.

Kwestią, czy *Nowa Atlantyda* jest wytworem fantazji Bacona, czy też postanowił on wyjawić nieznany fragment historii, przybierając ją w baśniowy kostium, zajmijmy się w innej książce. Nie ulega jednak wątpliwości, że na całym świecie, w epokach odległych o tysiące lat, rzekomo nie związani ze sobą wizjonerzy i mędracy odgrywali kluczową rolę w kierowaniu nie związanymi ze sobą kulturami, prowadząc je zadziwiająco podobnymi drogami duchowego rozwoju. Ci nauczyciele i twórcy cywilizacji zawsze pochodzili z innego miejsca – często z jakiejś wyspy – i przybywali łodzią zza morza.

Być może byli to Kupcy Światła – Achu Szemesu Hor starożytnego Egiptu, „pierzaste węże” Meksyku, Wirakoczowie z Andów, boscy królowie Khmerów. Może należeli do tajemnego stowarzyszenia, dokładnie tak, jak sugeruje Bacon, do „niewidzialnego kolegium” oddanego sprawie zachowania tajemniczego dziedzictwa wiedzy sprzed potopu – wyspy światła otoczonej wodami ciemności.

Organizacja

Wszystkie idee religijne, którymi zajmowaliśmy się w *Zwierciadle nieba*, mają ściśle „gnostyczny” charakter. W Egipcie, Angkorze, w starożytnym Meksyku adeptów uczono poszukiwać wiedzy o tajemnicy egzystencji poprzez bezpośrednie doświadczenie. Ale istniała też religia zwana „gnozą” – co dosłownie oznacza „wiedzę” lub „tajemną wiedzę” – mająca wielu wyznawców na Bliskim Wschodzie na przełomie ery chrześcijańskiej.

Centrum tej religii był Egipt, gdzie pod koniec lat 40. XX wieku odkryto wielką bibliotekę gnostycznych tekstów w Nag Hammadi – bardzo blisko świątyni w Dendera. Papirusy te, pochodzące mniej więcej z III wieku n.e., obecnie określane mianem „gnostycznych ewangelii” lub „biblioteki z Nag Hammadi” – wielokrotnie wspominają o istnieniu tajnego stowarzyszenia, zazwyczaj nazywanego „Organizacją”. Wiele tekstów precyzuje cele tej „Organizacji”: wznoszenie monumentów „jako przedstawienia duchowych miejsc (czyli gwiazd) oraz powstrzymywanie uniwersalnych sił ciemności i ignorancji, które:

prowadziły ludzi ulegających im do wielkich kłopotów, zwodząc ich wieloma podstępami. Starzeli się, nie znajdując przyjemności. Umierali, nie znając

prawdy i nie poznając Boga prawdy. I tak wszelkie stworzenie popadło w niewolę na zawsze, od początku świata aż do teraz.

Podobnie jak starożytni Egipcjanie, Khmerowie i mieszkańcy Meksyku, gnostycy uważali wszechświat za szkołę pozwalającą zdobyć doświadczenie, stworzoną, aby dać „niedoskonałym duszom” bezcenną możliwość uczenia się i dorastania przez dokonywanie wyborów dyktowanych przez materialną egzystencję:

Widzialne stworzenia (...) zostały powołane do istnienia z powodu tych, którzy potrzebują nauki i formowania, aby to, co małe, mogło powoli i stopniowo dorosnąć. Z tego właśnie powodu [Bóg] stworzył rodzaj ludzki (...).

Gnostycy wierzyli też, że w materialnym świecie działają dwie potężne duchowe siły – siła światła i miłości oraz siła ciemności i nihilizmu. Celem sił ciemności jest uniemożliwienie istotom ludzkim uświadomienia sobie boskiej iskry, która w nich tkwi – „sprawienie, by pili wodę zapomnienia, aby nie mogli dowiedzieć się, skąd pochodzą”. Siły ciemności usypiają inteligencję i szerzą raka „ślepoty umysłu”, ponieważ: „Ignorancja jest matką wszelkiego zła (...). Ignorancja jest niewolą. Wiedza jest mądrością”.

„Organizacja” natomiast służy siłom światła, a jej najświętszym celem jest uwolnienie istot ludzkich ze stanu niewoli przez wtajemniczenie ich w kult wiedzy. Żadne zadanie nie mogłoby być ważniejsze ani bardziej naglące. Według gnostyków ludzkość jest przedmiotem kosmicznej walki; zatem indywidualnie podejmowane wybory między złem a wyrwaniem się z niewiedzy mają konsekwencje wykraczające poza tylko materialną, doczesną i ludzką płaszczyznę. Dlatego gnostycy powiadali: „Walczymy nie przeciwko ciału i krwi, lecz przeciwko światowym władcom ciemności i duchom grzechu”.

Archont i wąż

Gnostycy znali starożytną religię egipską, a także współistnieli z judaizmem i wczesnym chrześcijaństwem. Poważali Ozyrysa, staroegipskiego boga odrodzenia, „który staje przed ciemnością jako strażnik światła”. Natomiast Jehowę, starotestamentowego boga żydów i chrześcijan, uważali za mroczną siłę, wręcz jednego ze „światowych władców ciemności” – „Archonta”, którego zadaniem było utrzymywanie ludzkości w wiecznym stanie duchowej ignorancji. Może się to wydać szokujące żydom i chrześcijanom, ale gnostyczna wersja starotestamentowej historii „kuszenia” Adama i Ewy w Ogrodzie Edenu przedstawia węża nie jako złoczyńcę i winowajcę, lecz raczej jako bohatera i prawdziwego dobroczyńcę ludzkości:

– Co Bóg wam powiedział? – zapytał Ewę wąż. – Co znaczy „Nie jedzcie z drzewa wiedzy [gnozy]”? Ona odpowiedziała:

- Nie tylko „Nie jedzcie z niego, ale nawet nie dotykajcie go, bowiem umrzecie”. Wąż dodał jej otuchy, mówiąc:
- Nie bój się. Wraz ze śmiercią nie umrzesz; on powiedział wam tak z zazdrości. Wasze oczy się otworzą i będziecie jak bogowie, rozpoznający dobro i zło.

Gnostycy uczyli, że kiedy Adam i Ewa, pierwsza ludzka para, zjedli z drzewa wiedzy, doznali oświecenia i odnaleźli swoją prawdziwą świetlaną i nieśmiertelną naturę. Ta świadomość sama w sobie nie dawała im jeszcze nieśmiertelności, lecz była niezbędnym warunkiem dla tych, którzy pragnęli „jeść z drzewa życia”.

Archonci byli jednak zazdrośni i powiedzieli:

Spójrzcie na Adama! On stał się podobny do nas, tak że zna różnicę między dobrem a złem. Może teraz przyjdzie do drzewa życia, zje z niego i stanie się nieśmiertelny. Wgnajmy go z Raju na dół, do kraju, z którego został zabrany, aby od tam nie mógł rozpoznać nic lepszego (...). I tak wypędzili Adama z Raju, razem z jego żoną. Lecz to, czego dokonali, nie wystarczyło im. Przeciwnie, czuli obawę. Poszli do drzewa życia i otoczyli je wzbudającymi przerażenie rzeczami (...), i umieścili pośrodku płomienisty miecz, aby żadna ziemską istotą nie mogła dostać się do tego miejsca.

Potop

Gnostyczne teksty mówią nam, że na późniejszym etapie dziejów, w złotym wieku, Adam i Ewa przez wiedzę wzniesli się na wyższy poziom rozwoju, za pomocą przemysłowych maszyn wpływali na materialny świat i zaczęli prowadzić wzniosłe duchowe poszukiwania. Archonci z zazdrości postanowili jeszcze raz umniejszyć ludzkie możliwości: „Władcy naradzili się między sobą i powiedzieli: Dalej, wywołajmy potop naszymi rękami i zniszczmy wszelkie ciało, od człowieka po zwierzę”.

Według gnostyków potop nie miał na celu ukarania zła – jak twierdzi Biblia – lecz wyłącznie ukaranie ludzkości za to, że wzniosła się tak wysoko i „odebranie światła”, które rozwijało się wśród ludzi. Archontom udało się w znacznej mierze osiągnąć swój cel. Nielicznym udało się przeżyć, zostali jednak rzuceni „między wielkie przeszkody i w życie w trudzie, aby ludzkość musiała się zajmować przyziemnymi sprawami i nie miała możliwości poświęcać się świętemu duchowi.

Na szczęście jednak wśród ocalałych byli tacy, którzy przechowywali świętą wiedzę i postanowili przekazywać ją następnym pokoleniom dla ich korzyści, tak długo, jak to będzie konieczne, kiedy tylko będzie możliwe, aż do czasu, kiedy będzie mogło znowu nastąpić powszechne przebudzenie”.

Popol Vuh

Nie istnieje żadna uznana przez historyków droga, którą gnostyczne idee mogły dotrzeć do starożytnych Majów Quiche w Meksyku i Gwatemali. Wspominaliśmy w części pierwszej, że Quiche byli budowniczymi Utatlan, „gwiazdowego miasta” Orio-

na. Ich jedyną zachowaną świętą księgą, spisaną po konkwiście, lecz zawierającą znacznie starsze nauki, jest *Popol Vuh*. Co ciekawe, podobnie jak teksty gnostyczne, mówi ona o dawnym złotym wieku i „pierwszych ludziach”, którzy wówczas żyli:

„Obdarzeni inteligencją, widzieli i mogli widzieć daleko; umieli widzieć, umieli poznawać wszystko, co jest na świecie. Rzeczy ukryte daleko widzieli, nie ruszając się wcześniej z miejsca (...). Wielka była ich mądrość; ich spojrzenie sięgało lasów, skał, jezior, mórz, gór i dolin. Doprawdy, byli ludźmi godnymi podziwu (...). Umieli poznać wszystko i zbadali cztery narożniki, cztery punkty łuku niebios i okrągłe oblicze ziemi.

Wielkie osiągnięcia „pierwszych ludzi” miały doprowadzić ich do katastrofy, gdyż rozgniewały bogów, którzy postanowili zesłać na nich zapomnienie:

Wówczas Serce Niebios wyrzuciło na ich oczy mgłę, która zaćmiła ich wzrok, jak oddech mąci zwierciadło. Ich oczy były zakryte i mogli dostrzec tylko to, co jest blisko i tylko to było dla nich wyraźne (...). W ten sposób została zniszczona cała mądrość i cała wiedza „pierwszych ludzi” (...).

Wszystkim, co ocalało, by opowiedzieć nam o wyżynach, na jakie się nigdy wzniesli, jest *Popol Vuh*, księga nazywana przez samych Majów „światłem, które przybyło zza morza”.

Dziedzictwo

Bardzo podobne wierzenia, liczące blisko 5000 lat, możemy znaleźć w rzekomo nie związanych z Nowym Światem tekstach starożytnych Egipcjan i Sumerów. W tak odległych miejscach jak Mikronezja, południowo-wschodnia Azja, Chiny, Peru, Grecja i Indie utrzymuje się tradycja – tak stara jak góry – mówiąca, że dawno temu rasa nadludzi, która została okrutnie doświadczona przez bogów, ukryła tajemny skarb. Legendy i teksty religijne wskazują, że skarbem tym nie było złoto i drogie kamienie, lecz wiedza, być może w postaci „ksiąg” lub „archiwów”.

Na przykład w indyjskiej wersji znanego na całym świecie mitu o potopie bóg Wisznu ostrzega Manu, swego ludzkiego podopiecznego, że wkrótce nastąpi powódź i że powinien on „ukryć święte pisma w bezpiecznym miejscu”, aby ocalić przed zniszczeniem wiedzę przedpotopowych ras. Podobnie w tradycji mezopotamskiej heros imieniem Utnapisztim otrzymuje od boga Ea polecenie „zabrania początku, środka i końca wszystkiego, co zostało utrwalone na piśmie, i zakopania tego w Mieście Słońca Sippar”. Kiedy wody potopu opadły, ocalali mieli udać się do Miasta Słońca, aby „odszukać pisma”, zawierające „wiedzę korzystną dla przyszłych pokoleń ludzkości”. Gdy w XVII wieku astronom z Oksfordu, John Greaves, odwiedził Egipt, zebrał liczne miejscowe legendy przypisujące budowę Wielkiej Piramidy królowi sprzed potopu:

Stało się tak, ponieważ zobaczył we śnie, że cała ziemia przewróciła się, jej mieszkańcy padli na twarze, a gwiazdy runęły w dół i zderzały się ze sobą z przeraźliwym hukiem (...). Obudził się przerażony, zebrał głównych kapłanów ze wszystkich prowincji Egiptu (...). Opowiedział im całą sprawę, a oni zmierzili wysokość gwiazd i dokonali swoich obliczeń, i przepowiedzieli potop. Król zapytał, czy nawiedzi on nasz kraj. Odpowiedzieli, że tak i że go zniszczy. Ale pozostała do potopu jeszcze pewna liczba lat i król polecił w tym czasie zbudować piramidy (...). I wyrył w tych piramidach wszystko, co mówili mądrzy ludzie, a także wszystkie doniosłe nauki – nauka Astrologii, Arytmetyki, Geometrii i Fizyki. A może to wszystko zrozumieć tylko ten, kto zna ich litery i język (...).

Lew, Orion, Smok, Wodnik

Co mają wspólne te relacje z wiarą w złoty wiek, potop – albo inny równie niszczycielski kataklizm – jako przyczynę zatrzymania rozwoju ludzkiej wiedzy i wiarę w podejmowane przez nielicznych ocalałych z kataklizmu próby znalezienia sposobu przekazania przyszłości bezcennej wiedzy dawnej cywilizacji?

Mądrość ta, zawsze i wszędzie, dotyczyła tego, co gnostyczne teksty nazywają „celem poszukiwań człowieka, nieśmiertelnym odkryciem”. Nauczała ona, że adept musi dążyć do osiągnięcia „życia przez miliony lat” – którego nie mogą dostąpić wszyscy i do którego nie dochodzi się przez ślepą wiarę ani nawet szlachetne czyny, lecz jest nagrodą, jaką „może zdobyć ludzka dusza”.

Doszliśmy do wniosku, że starożytne monumenty, mity i teksty religijne, które badaliśmy w *Zwierciadle nieba*, są częściami instrumentarium starożytnego systemu duchowego mającego na celu umożliwienie tym, którzy okażą się tego godni, zdobycie tajemnicy wiecznego życia.

Uważamy też, że za tym systemem – jak wynika z tekstów gnostycznych – musiał stać jakiś rodzaj „organizacji”. By wskazać najbardziej oczywiste spośród wielu przykładów, jakimi się zajmowaliśmy: trudno wyjaśnić w jakikolwiek inny sposób zadziwiające zbieżności między Gizą a Angkorem – mimo iż te dwa miejsca są od siebie oddalone o prawie 8000 kilometrów. Jednak co jeszcze ważniejsze, w obu miejscach znajdują się gigantyczne budowle naśladujące szczególną grupę 4 gwiazdozbiorów – Lwa, Oriona, Smoka i Wodnika – w dniu wiosennej równonocy 10 500 roku p. n. e.

O świcie w dniu wiosennej równonocy 10 500 roku p. n. e. Wodnik krył się za horyzontem na zachodzie, Lew wschodził na wschodzie, Orion znajdował się na południku niebieskim na południu, zaś Smok na południku na północy.

Trudno uznać za dzieło przypadku fakt, że modele dwóch z tych konstelacji (Lwa i Oriona) znajdują się w Gizie, zaś trzeciej (Smoka) w Angkorze, zwłaszcza że każdy z tych modeli jest zwrócony w jednym z głównych kierunków świata. Wydaje się nam oczywiste, że tak subtelny schemat musiał zostać precyzyjnie zaplanowany, a planowanie jest wynikiem organizacji.

Tego rodzaju organizacja z pewnością dążyłaby do ukończenia swego wielkiego projektu i dlatego należałoby się spodziewać, że w jakimś momencie dziejów, gdzieś na świecie, starałaby się wznieść świątynię odzwierciedlającą Wodnika – czwartą konstelację heraldycznego nieba z 10 500 roku p. n. e. Aby wszystko zgadzało się z ogólnoswiatowym schematem, należałoby oczekiwać, że taka świątynia – „podobna do Wodnika” – będzie zwrócona na zachód, podobnie jak Angkor jest zorientowana na północ, piramidy w Gizie na południe, a Sfinks na wschód. Powinniśmy się też spodziewać, że będzie ona leżała w określonej odległości od Angkoru i Gizy – które dzieli odległość 72 stopni – co jest „główną” liczbą precesyjną.

Wodnik i Feniks

Być może taka świątynia naśladowująca Wodnika już istnieje.

Może jest nią Tiahuanaco, które nawiązuje do Wodnika przez zastosowanie charakterystycznych morskich motywów na dwóch posągach w Kalasasaya i wodne kanały zwróconej na zachód piramidy Akapana? Jeśli tak, to bardzo interesujące rzeczy mogą zostać znalezione, jeśli Oswaldo Rivera dotrze do ukrytej podziemnej komory.

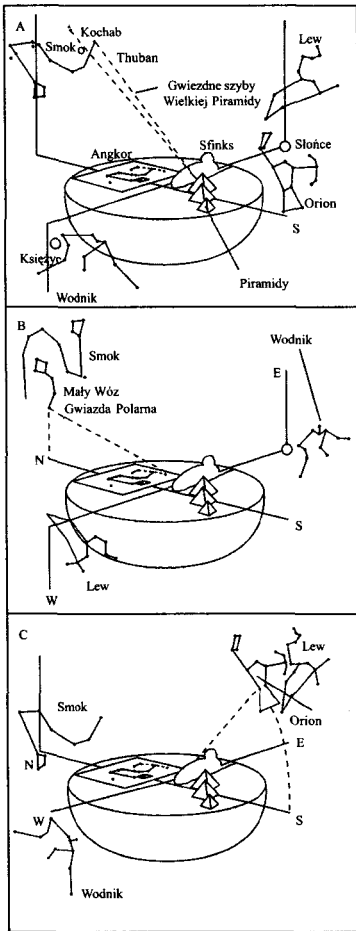
A może jest to jakieś inne miejsce związane z wodą? Wiele niespodzianek może jeszcze kryć obszar Zatoki Meksykańskiej, wybrzeże Florydy w Stanach Zjednoczonych i Bahamy – a zwłaszcza płytkie przybrzeżne wody wokół wysp Bimini. We wrześniu 1997 roku otrzymaliśmy faks od nurka Jaquesa Mayola, który jako pierwszy człowiek zanurzył się bez aparatu tlenowego na głębokość 100 metrów. Poinformował nas, że między 1967 a 1975 rokiem należał do ekipy nurków i archeologów, kierowanej przez dr Mansona Valentine’a (wówczas kustosa Muzeum Nauki w Miami), która prowadziła podwodne poszukiwania wokół Bimini. Ekipa ta znalazła „niewyjaśnione podwodne ruiny sprzed kataklizmu (...) przy wybrzeżu Bimini”. Mayol dodał też: „Dysponuję kilkoma zadziwiającymi slajdami zrobionymi pod wodą. Z oczywistych przyczyn dr Valentine nigdy nie uznał tych ruin za ewentualne pozostałości Atlantydy”.

Czy wśród tych śladów dawnej cywilizacji mogła się znajdować czwarta świątynia?

A może czwarta świątynia nie została jeszcze zbudowana i powstanie w przyszłości – „gdy nadejdzie czas” – jako ostatni etap realizacji starożytnego planu.

Wyobraźmy sobie, że jesteśmy w Gizie, 21 marca około 2000 roku (albo kiedykolwiek w ubiegłym lub przyszłym stuleciu). Wyobraźmy sobie, że stoimy między łapami Sfinksa, spoglądając w tym samym kierunku co on. Mniej więcej godzinę przed świtem zauważymy gwiazdozbiór Wodnika, wyłaniający się zza wschodniego horyzontu, w tym samym miejscu, gdzie niebawem wzejdzie Słońce.

Wprawdzie większość starożytnych zodiaków przedstawiała Wodnika jako męczyznę wylewającego wodę z naczynia, ale w niektórych kulturach przedstawiano go jako wlatującego w górę ptaka. Rzymianie przedstawiali tę konstelację jako pawia lub gęś. Majowie widzieli w niej Coz, niebiańskiego sokoła. Zaś



(A) „Heraldyczne niebo” o wschodzie słońca w dniu wiosennej równonocy 10 500 roku p.n.e. (B) „Heraldyczne niebo” o wschodzie słońca w dniu wiosennej równonocy 2000 roku n.e. (Lew i Wodnik „zamieniły się” miejscami). (C) „Heraldyczne niebo” o zachodzie słońca w dniu wiosennej równonocy 2000 roku n.e. (Orion i Smok zmieniły pozycję w stosunku do 10 500 roku p.n.e., tak że Orion jest teraz w swoim najwyższym punkcie, zaś Smok w najniższym).

w latach 20. XX wieku angielska badaczka Katherine Maltwood przedstawiła dowody na to, że starożytni Hindusi mogli identyfikować Wodnika z mitycznym człowiekiem-ptakiem, Garudą, który miał „głowę, skrzydła, pazury i dziób orła, a ciało i kończyny człowieka”.

Maltwood porównała też Garudę, króla ptaków, z Feniksem z egipskiej i greckiej mitologii, wskazując, że – podobnie jak Feniks – Garuda był kojarzony z długimi cyklami czasu (miał się on wykluć z jaja 500 lat po jego złożeniu. Ponadto najbardziej charakterystyczną cechą Feniksa jest nieśmiertelność, a indyjskie mity mówią, że to właśnie Garuda ukraść bogom eliksir nieśmiertelności. Według mitów, podobnie jak drzewo życia w ogrodzie Edenu, eliksir ów był ukryty przed ludźmi w niebezpiecznym miejscu, otoczony płomieniami i chroniony tym razem nie przez płomienisty miecz, ale przez „szybko wirujące koło, lśniące i o ostrej krawędzi”. Garuda ugasił płomień, złamał wirujące koło i odleciał z beczennym pucharem zawierającym eliksir życia.

Na pamiątkę tej wyprawy Garuda jest często przedstawiany z pucharem wypełnionym płynem – co wydaje się kolejnym potwierdzeniem jego związku z Wodnikiem ze współczesnych zodiaków. Co więcej, jeśli Wodnik to Garuda, a Garuda to Feniks, to – jak wskazuje Maltwood – tylko krok dzieli nas od uznania Wodnika za gwiazdny wizerunek Feniksa. Możliwe, że został on nawet wyobrażony w gigantycznym prehistorycznym ziemnym zodiaku, widocznym jedynie z powietrza, wokół angielskiego świętego miasta Glastonbury. Według staroegipskiej ikonografii i hieroglifów Feniks „narodził się, zanim powstała śmierć” i symbolizował wieczne powracanie wszystkiego oraz triumf ducha nad materią. Zatem obserwując wężście Feniksa-Wodnika w dniu równonocy, co możemy czynić dzisiaj, stoimy przed potężnym niebiańskim symbolem odrodzenia.

Ponieważ, jak wierzono niegdyś, to, co dzieje się na dole, jest określane przez to, co dzieje się na górze, możemy zapytać: czy coś wkrótce narodzi się na nowo?

Zmartwychwstanie

Godzinę przed świtem w dniu wiosennej równonocy 10 500 roku p.n.e. Lew znajdował się tam, gdzie dzisiaj Wodnik, zaś Wodnik właśnie zachodził. W 2000 roku ma miejsce dokładnie odwrotna sytuacja: Wodnik wschodzi, a zachodzi Lew.

Dokładnie o wschodzie słońca w dniu wiosennej równonocy 10 500 roku p.n.e. konstelacja Oriona znajdowała się na południowym południku nieba, zaś Smok na północnym – leżąc naprzeciwko siebie po przeciwnych stronach sklepienia niebieskiego. W dniu wiosennej równonocy 2000 roku n.e. dzieje się dokładnie to samo, lecz o zachodzie słońca, a nie o wschodzie. Ponadto w 10 500 roku p.n.e. Smok był na swej największej wysokości nad horyzontem, zaś w 2000 roku n.e. na najmniejszej. Orion zaś w 10 500 roku p.n.e. był najniżej, zaś obecnie jest najwyżej.

Innymi słowy na tych dwóch niebach, które dzieli 12 500 lat, konstelacje są te same, ale wszystko odwróciło się o 180 stopni.

Czy może się w tym kryć jakieś przesłanie – albo nauka, albo zapowiedź nadchodzących zmian? „Organizacja” – jak sobie wyobrażamy – przywiązywała szczególną wagę do obrazu nieba w dniu wiosennej równonocy 10 500 roku p.n.e. Jeśli nadal ona istnieje, to czy nie powinna równie mocno interesować się „odwrotnym” niebem w dniu wiosennej równonocy roku 2000 n.e.?

Być może to niebo – a przypominamy, że w czasie całego XX wieku precesja nie zmieniła znacząco jego wyglądu – już zostało odebrane jako sygnał do wzniesienia czwartej świątyni? Może prehistoryczny kult nieśmiertelności, wykorzystujący budowle związane z gwiazdozbiorami i cyklami astronomicznymi jako przyrzędy inicjacyjne, wkrótce ożyje? Dzisiaj, jak nigdy wcześniej, podróżni przybywają do Angkoru i Gizy wśród tłumów zafascynowanych tajemnicą tych miejsc. To samo można powiedzieć o meksykańskich świątyniach i piramidach, o kolośach Wyspy Wielkanocnej, liniach na płaskowyżu Nazca w Peru, które pielgrzymi oglądają z podniebnych rydwanów, oraz o Cuzco, Ollantaytambo i Tiahuanaco w wysokich Andach.

Ludzkość znajdująca się na przełomie tysiącleci, na końcu stulecia naznaczonego bezprecedensowym okrucieństwem, rozlewem krwi i chciwością, staje w obliczu poważnego wyboru między duchem a materią – między ciemnością a światłem. Współczesne religie, podobnie jak współczesna nauka, opuściły nas, nie dając już żadnego wsparcia ani przewodnictwa. Być może jedyna nasza nadzieja w tym – z czego mędrcy już dawno temu zdali sobie sprawę – że:

może jeszcze kiedyś nastąpi jakiś rodzaj „odrodzenia” z nieodwracalnie potępionej przeszłości i pewne idee ożyją na nowo i już nie pozbawimy naszych wnuków ostatniej szansy na zdobycie dziedzictwa najbardziej wzniosłej i najdawniejszej przeszłości.

Podziękowania

Donaldowi i Muriel Hancockom, Jamesowi Macaulayowi i Solomonowi Lorthu za to, że byli z nami przez cały czas, jak zawsze. Lew i Lindzie Jenkinsom, którzy wiele lat temu pokazali nam *Hamlet's Mill* – i opiekowali się nami w Kalifornii. Tomowi Weldonowi, naszemu wydawcy i długoletniemu przyjacielowi. Julie Martin, która opracowała graficznie tę książkę. Zahi Hawassowi, który zaskoczył nas przy Sfinksie. Oswaldo Riverze, za otwarcie drogi do Tiwanaku. Johnowi Grigsby'emu za jego świetne prace badawcze i odkrycie korelacji gwiazdozbioru Smoka. Yasuo Watanabe za jego uprzejmość i otwartość umysłu. Shun Daichi, naszemu przyjacielowi, badaczowi i łącznikowi z kulturą japońską. Timowi Copestake, Stefanowi Wickhamowi, Colinowi Clarke'owi, Catharine Bandish, Danny'emu Hambrookowi i wszystkim członkom wielkiej ekipy filmowej, która przygotowywała z nami film „Quest for the Lost Civilization”. Eileen Warren, Barry'emu Jeffriesowi i Janowi Mathewsowi za opiekę w kraju.